

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 1/412 - 2/413

1982



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

OBSERWATORIUM : NASZA OCENA

K. POMIAN : 13 GRUDNIA 1981

SŁ. MROŻEK : LIST DO CUDZOZIEMCÓW

Zb. BYRSKI : O KONTREWOLUCJI REAGANA

SPIS RZECZY

Redakcja:	Nasza ocena	3
Krzysztof Pomian:	13 grudnia 1981	12
Redaktor:	Do Czytelników	16
Sławomir Mrozek:	List do cudzoziemców	17
Jacek Kaczmarski:	Nie mogę spać. — Szturm. — Nie lubię	20
Gustaw Herling-Grudziński:	Dziennik pisany nocą	23
Kazimierz Zamorski:	Na antenie	39
	WIERSZE	
Josif Brodski:	Wiersze o kampanii zimowej 1980 r.	61
Josif Brodski:	Melodia berlińskiego muru	64
	ARCHIWUM POLITYCZNE	
Zbigniew Byrski:	O kontrrewolucji Ronalda Reagana ..	66
Janusz Mondry:	Czy zmiana polityki USA wobec Polski K R A J	84
Czesław Bobrowski:	O gospodarce krajowej	82
Adam Szostkiewicz:	Tam gdzie sięgają cerkwie	93
Stanisław Piotrowski:	Jak wygląda współczesna architektura polska? (dok.)	98
	SPRAWY I TROSKI	
—	Akcja pomocy dla Polski (III)	111
—	Obietnice wyborcze	113
	SĄSIEDZI	
Adam Kruczek:	W sowieckiej prasie	115
Andrzej J. Chilecki:	Kronika niemiecka	121
E. Żagiell:	Kronika litewska	126
	WIDZIANE INACZEJ	
Kisiel:	Zniewolony umysł	131
	STRATY KULTURY POLSKIEJ	
Leszek Kołakowski:	Pamięci nauczyciela	135
	CI, CO ODESZLI	
Michał Heller:	Andrzej Stypułkowski	141
—	Od Redakcji	142
—	DOROCZNE NAGRODY „KULTURY”	
	Socjusz. — Konstanty A. Jeleński, Józef Łobodowski. — Zygmunt Kal- lenbach	142
	KRONIKA KULTURALNA	
Maria Danilewicz Zielińska:	Zeznania zdezorientowanych czytelników	149
Jan Dołęga:	Udało mi się nie zostać poetą... ..	166
—	POLCUL Foundation	176
	KSIĄŻKI	
Jerzy Pietrkiewicz:	Dwa profetyczne płomienie	179
Janina Katz Hewetson:	Pan Kornel	182
Ewa Morawska:	Polonica w Bibliotece Kongresu Sta- nów Zjednoczonych	187
M. Broński:	Włodzimierz Bukowski	194
Jan Ciechanowski:	Tito i Džilal	198
Adam Kruczek:	Zapomniana wojna	202
—	Nadstane nowości wydawnicze	204
—	◆ Wydarzenia miesiąca	205
—	◆	
W. Babiński, M. O. Blachut, M. Leśniakowa, G. Lerski, Z. M. Karetta, B. Karst, T. Mianowicz, D. Mostwin, Wł. Nowik, P. Wandycz, St. Ziemiński:	Listy do Redakcji	216
—	Odpowiedzi Redakcji	222

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń/Luty - Janvier/Février 1982

INSTYTUT



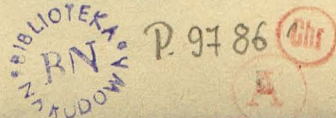
LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Kajetanostwo Bienieccy, Montreal, Que. (Kanada) — zamiast kwiatów na trumnę śp. Bolesława Pomian-Piątkowskiego, zmarłego w Montrealu 5 grudnia 1981	F. 120,00
Dr Krzysztof J. Boreyko, Easton, Ct. (USA), po raz 2-gi — \$ 137,00	F. 780,00
Inż. Mieczysław Bornet, Toronto, Ont. (Kanada), po raz 14-ty	F. 102,50
Aleksander Bragiński, Pittsburgh, Pa. (USA), po raz 29-ty — \$ 20,00	F. 114,00
Manfred Dąbrowski, Audincourt (France), po raz 6-ty	F. 40,00
Renata i Juliusz Dzianott, Rosario de State (Argentyna), po raz 6-ty — \$ 110,00	F. 627,00
Dla uczczenia pamięci Kazimierza Okulicza — Tadeusz Kadenacy	F. 100,00
Dla uczczenia pamięci ostatniego Posła Rzeczypospolitej w Finlandii i Szwecji, Henryka Sokolnickiego, zmarłego w Helsinkach w 91-szym roku życia — Norbert Zaba, Stockholm F. H., (USA) — po raz 16-ty — \$ 10,00	F. 110,00
L. Fulmyk, Winnipeg, Man. (Kanada), po raz 6-ty — \$c. 20,00	F. 57,00
Dr Jerzy Gintel, Caracas, po raz 21-szy	F. 92,00
Stanisław Gombiński, Paryż, po raz 20-ty	F. 90,00
Leon Grobelny, Dearborn, Mi. (USA), po raz 2-gi i 3-ci à \$ 8,00 = \$ 16,00	F. 300,00
Marek Hurvic, Paryż, po raz 14-ty	F. 91,00
W. Iwanowski, Milton, Ma. (USA), po raz 21-szy — \$ 8,00 ..	F. 100,00
Dr Zdzisław Jaworski, Ottawa, Ont. (Kanada), po raz 3-ci ..	F. 45,00
Jurek Koziół, Chicago, Ill. (USA), po raz 2-gi — \$ 47,00 ..	F. 300,00
Vincent Krociel, Le Blanc Mesnil (France)	F. 267,00
Prof. Karol Krótki, Edmonton, Alta (Kanada), po raz 7-my — \$c. 100,00	F. 40,00
Prof. Jerzy Langrod, Paryż, po raz 34-ty	F. 470,00
L. Łabno, Nussbaumen (Szwajcaria), po raz 3-ci	F. 100,00
Andrzej Mieszkowski, Tilburg (Holandia) — \$ 20,00	F. 165,00
Iza Neyman, Nicea — w 7-mą rocznicę śmierci dr Anieli Klein — zamiast kwiatów na jej grób	F. 114,00
Seweryn Palicki, Lidino (Szwecja) — zamiast życzeń świątecznych	F. 210,00
Bolesław Rodowicz, Astoria, N.Y. (USA), po raz 2-gi — \$ 8,00 ..	F. 100,00
Stefan Rose, Paryż, po raz 3-ci	F. 45,50
Kazimierz A. Różankowski, Ocean Grove, N.J. (USA), po raz 6-ty — \$ 18,00	F. 240,00
Zbigniew J. Rusin, Kopenhaga — w związku z wydarzeniami w Polsce zebrane na więźniów politycznych „internowanych” w Polsce od duńskich przyjaciół K.D. 165,00 i od Z. J. Rusina K.D. 100,00, razem	F. 102,00
Prof. Aleksander Schenker, Hamden, Conn. (USA), po raz 12-ty — \$ 50,00	F. 206,17
M. Skrobikowie, San Francisco, Cal. (USA) — dla uczczenia pamięci Witolda Korwin-Łopuszańskiego — \$ 100,00	F. 285,00
Dr Władysław W. Socha, Upper Grandview, N.Y. (USA), po raz 5-ty — \$ 18,00	F. 570,00
Zygmunt Sowa, Detroit, Mich. (USA), po raz 15-ty — \$ 48,00 ..	F. 102,00
Aleksander Stachowicz, Paryż	F. 273,00
	F. 500,00

(Dalszy ciąg Wpłat na str. 223)

1982 K 1757



Obserwatorium

NASZA OCENA

„Polacy chcą niepodległości, lecz pragnęliby, aby ta niepodległość kosztowała dwa grosze i dwie krople krwi — a niepodległość jest dobrem nie tylko cennym ale i bardzo kosztownym”.

Józef Piłsudski na konferencji niepodległościowych organizacji politycznych 25-26 sierpnia 1912 roku w Zakopanem.

O północy dnia 12 grudnia rozpoczęła się jeszcze jedna polska tragedia narodowa. Rozległy się dzwonki do mieszkań; zaczęto aresztowania na skalę nie mniejszą, niż w którymkolwiek okresie okupacji hitlerowskiej — na skalę podobną do tego, co działo się na wschodnich obszarach Rzeczypospolitej po 17 sierpnia 1939 roku. Rozpoczął się gigantyczny pogrom największej w dziejach Polski organizacji — „Solidarności”. Wykonawcami byli Polacy. Wojsko polskie, o którym tak piękne krążyły legendy — ostatnio o wiele piękniejsze za granicą, niż w kraju — przystąpiło do pacyfikacji własnej, niedawno rozbudzonej do wolności ojczyzny. Mit pewnego dogadania się „Polaka z Polakiem” skończył wraz z zatrzaśnięciem się drzwi aresztu za Lechem Wałęsą.

Kiedy piszemy te słowa 19 grudnia nie znane są ani ostateczny wynik akcji pogromowej („normalizacji”, jak się to zaczyna wzorem czeskim nazywać), ani liczba krwawych ofiar, ani pełny zasięg aresztowań. Cztery fakty widać wszakże jasno:

1. Choć pogrom dokonywany jest polskimi siłami (co daje wielu rządów łatwy pretekst do mówienia o „wewnętrznej sprawie polskiej”), siłą sprawczą jest Moskwa. Nie musimy się

opierać na domysłach; można przytoczyć bezpośrednio autorytety: artykuły w *Izwiestiach* i *Prawdzie*, zapewniające, że „zachowanie rewolucyjnych zdobyczy narodu polskiego” jest sprawą dotyczącą „bezpośrednio żywotnych interesów wszystkich narodów i państw, które wybrały drogę socjalizmu”, a także obwieszczające stan wojenny przemówienie Wojciecha Jaruzelskiego, w którym mówi o „suwerenności Polski” zobowiązującej do samodzielnego uporania się z zagrożeniem. Żadnemu przywódcy naprawdę suwerennego państwa takie oświadczenie nie przyszłoby nawet do głowy; sedno sprawy leży w domyślnym uzupelnieniu: jeżeli nie zademonstrujemy naszej suwerenności w ten właśnie sposób, zrobi to za nas kto inny.

2. Zakres narzuconych społeczeństwu ograniczeń jest tak ogromny — szerszy, niż podczas ostatniej wojny, kiedy np. nie wyłączono telefonów, nie przerwano wymiany pocztowej i nie zakazano podróży — że sprowadzają się one do zamachu stanu przeciwko całemu narodowi. Najjaskrawszym tego wyrazem jest przerwanie wszelkich, poza dwoma dziennikami, publikacji prasowych. Nie mamy więc do czynienia z jeszcze jednym puczem wojskowym czy zmianą partyjnej ekipy: jest to najraptowniejsza w dwudziestowiecznej historii Europy próba zaprowadzenia reżymu totalitarnego.

3. Jawnie położono kres „kierowniczej roli partii”. Nie słyhać o niej w oficjalnych wypowiedziach, jej aparat przestał działać jako całość, wielu członków władz rozmaitych szczebli zostało izolowanych lub aresztowanych. To, na co nie odważała się porywać „opozycja”, zostało dokonane przez partyjną soldateskę. Ale dokonane za zgodą i zachętą Moskwy. Na tych zasadach wolno wszystko, byle nie nazywać rzeczy po imieniu.

4. Skończył się też trwający od ponad pięciu lat okres unikania przemocy. W tym okresie władze stosowały przemoc ukradkiem i marginalnie; ruchy wolnościowe a potem „Solidarność”, NZS, inne związki i cała „opozycja” wyrzekały się jej zasadniczo i ostentacyjnie. Przemoc i gwałt były niemożliwe; ktokolwiek by je zalecał lub nawet dopuszczał w swoich planach — stawał się poza obrębem przyjętych reguł gry. Teraz władze złamały owe reguły. Przemoc wchodzi znowu do normalnego repertuaru środków i trudno oczekiwać od przeciwników reżymu, aby godzili się na los biernych ofiar.

Nie wiemy dziś, powtórzmy, jaki będzie bezpośredni skutek pogromu. Skąpe i wyrwykowe wiadomości zdają się świadczyć o sporadycznym i rozsianym oporze, który władze stopniowo choć nie bez trudu tłumią. Ten opór, który stanowi naszą naj-

większą szansę, może jeszcze trwać — i im dłużej potrwa, tym większe będą jego możliwości rozszerzania się, osłabienia spójności wojska, rozerwania obręczy przemocy, zmuszenia władzy do rokowań.

Jeżeli jednak pogrom się powiedzie, przyniesie tylko czasowe opanowanie sytuacji. „Normalizacja”, a właściwie pacyfikacja, nie rozwiąże żadnego spośród problemów i konfliktów, które wywoływały dotychczas ferment w społeczeństwie polskim i doprowadziły do przemian w lecie 1980 roku; przeciwnie, dodaje do nich nowe i ostrzejsze. Przyduszenie płomienia gniewu podnosi zarazem jego ciśnienie. Następny wybuch może okazać się krwawy od pierwszej chwili: przepowiadali to niejednokrotnie nawet działacze partyjni. Moskiewscy inspiratorzy wojskowej „rady ocalenia narodowego” nie powinni się łudzić. Dopóki nie zaczną traktować Polaków jako partnerów, nie wasali — dopóty Polska pozostanie beczką z prochem. Powinien o tym pamiętać również Zachód. To prawda, że nastawienie opinii publicznej na Zachodzie jest dla Polaków niebywale życzliwe; głosy sympatii dla „Solidarności” są masowe i wzruszające. Ale niejeden przywódca zachodni (z Helmutem Schmidtem na czele) marzy najwidoczniej o tym, aby znowu „porządek zapanował w Warszawie”, jak 150 lat temu. Jeżeli zapanuje, będzie to porządek złudny. Normalizacja przy pomocy terroru musi okazać się fikcją. Tymczasem zaś wstrzemięźliwa reakcja Zachodu na pogrom w Polsce zachęca tylko ZSSR do dalszego awanturnictwa, przekonywa, że stosowanie przemocy w sporach politycznych jest nadal opłacalne.

Jak do tego doszło? Historia ostatnich siedemnastu miesięcy jest przeładowana wydarzeniami, odmiennymi od wszystkiego, co działo się przedtem i gdzie indziej. Z trudem poddaje się dziś analizie; musimy się ograniczyć do ogólnych stwierdzeń i hipotez.

Polskie lato 1980 wybuchło nagle. Spodziewano się go, choć nie w tej postaci i skali; pracowano na nie — choć przygotowując nie to, co nastąpiło. Sukces strajków lipca i sierpnia 1980 roku był dziełem determinacji i żywiołowej, autentycznej jedności postaw i celów; ale był również, na planie czysto praktycznym, dziełem szczęśliwego zbiegu okoliczności — w stopniu większym, niż to sobie potem chciano uświadomić. Szczęście polegało na rozkładzie i paraliżu władz. Rezultat był tak olśniewający, że zaniedbano zastanowienia się, co byłoby się stało (i co może się stać w przyszłości), gdyby władza zachowała się inaczej.

Wybuch „Solidarności” unieruchomił w praktyce kierowni-

czą rolę partii, która nie była już w stanie, jak do tego przywykła, narzucać społeczeństwu swojej woli. Również uczestnictwo PRL w Pakcie Warszawskim zredukowane zostało do poziomu teoretycznego zobowiązania. Deklarowanie, że się tej kierowniczej roli ani uczestnictwa w sojuszach nie kwestionuje, było zabiegiem rytualnym, bardzo ważnym, ale pozbawionym praktycznego pokrycia. Tymczasem Kreml, przywiązujący wielką wagę do formalnych pozorów, jeszcze większą przykładła do rzeczywistego układu sił. Oskarżając Solidarność o podważanie ustroju i chęć jego obalenia przywódcy i komentatorzy sowieccy mieli w swoim poczuciu pełną rację, bo nie chodziło im wówczas o słowa, ale o fakty. A fakt zasadniczy stanowiło to, że Polska przestawała być dyspozycyjna. Kierownictwo KPZS zajmowało więc od początku stanowisko jednoznaczne: zmiany, zachodzące w Polsce, można tolerować tylko tymczasowo, są one nie do przyjęcia.

Opór polskich sfer rządzących wobec postulatów społeczeństwa wynikał w znacznej mierze z tego właśnie, że dla kierownictwa PZPR ważniejsze było nastawienie Kremla, niż nastroje i aspiracje własnego narodu. Działy także dwa inne czynniki: chęć obrony własnych interesów oraz niemal zupełny brak wyobraźni politycznej. Władza ustępowała jedynie pod silnym naciskiem. Oczyszczania aparatu z ludzi najbardziej skompromitowanych dokonywano bardzo niechętnie; do karania winnych nadużyć w ogóle nie doszło.

W sytuacji, kiedy Moskwa uważała bezpośrednią interwencję zbrojną za krok ostateczny, którego usiłowała za wszelką niemal cenę uniknąć — koła rządzące Polską miały szanse przetrwania kryzysu polityczno-gospodarczego na zasadzie dogadania się i kompromisu z niezależnymi związkami zawodowymi i całym narodem. Twierdzimy, że śmiała decyzja dopuszczenia swobodnie wybranych reprezentantów społeczeństwa do współudziału w podejmowaniu decyzji i kontrolowaniu ich wykonania, podjęta dostatecznie wcześniej — np. w maju 1981 roku — mogłaby ocalić wielki eksperyment demokratyzacyjny czyli polską „odnowę”. Nie stało się tak głównie z winy rządzącego aparatu, który wolał dopuścić do całkowitego niemal zablokowania mechanizmów władzy społeczno-ekonomicznej, niż się tą władzą podzielić.

Z dzisiejszej perspektywy widać, że przynajmniej część członków władz partyjno-rządowych od kilku miesięcy świadomie przewlekała lub zrywała rokowania, przygotowując równocześnie siły do pogromu. W obliczu niemożności osiągnięcia porozumienia i wyegzekwowania udzielanych obietnic — żądania „Solidar-

ności” i innych niezależnych związków rosły z tygodnia na tydzień. Rozpowszechniało się przekonanie, że tylko całościowe i zasadnicze zmiany w systemie politycznym umożliwią niezbędne reformy gospodarcze, wywołają inicjatywy społeczne, dadzą narodowi szansę rozpoczęcia procesu wynurzania się z biedy i chaosu. Dialog, szczątki dialogu, stawały się coraz trudniejsze — bo dotyczyły kwestii coraz bardziej fundamentalnych. Już nie rejestracji związków, legalizacji strajków lub samorządu pracowniczego — ale wolnych wyborów. I wówczas część aparatu władzy, najściślej powiązana z Moskwą, zdecydowała się na skok w ciemność, przerwanie wszelkich pozorów porozumienia i otwarty terror.

Czy tak się stać musiało? To pytanie trzeba rozbić na dwie części: czy była inna droga dla władz? i czy „Solidarność” (mówimy o niej, dla skrótu myślowego, jako o całości niezależnych sił społecznych) mogła zapobiec skuteczności pogromu? Na pierwszą część pytania udzieliliśmy już odpowiedzi: można było znaleźć wyjście kompromisowe. Pod trzema warunkami: 1. wykazania większej śmiałości politycznej przez umiarkowaną część kierownictwa partii; 2. objęcia przez umiarkowane koła partyjne kontroli nad MSW i wojskiem; 3. większej dojrzałości politycznej najbardziej głośnych doradców „Solidarności” i przywódców „demokratycznej opozycji”. Decydujący okazał się fakt, że cały aparat przymusu oraz wojsko pozostały nietknięte przez proces „odnowy”, zachowały pełną siłę uderzenia.

Mimo wszystko wydaje się, że pogrom mógł się nie udać. Niezbędnym warunkiem jego sukcesu była słabość i rozproszenie oporu. Przywódcy „Solidarności” przejawiają wielkie męstwo, nie uginając się pod naciskiem władz wojskowych; ale „Solidarność” jako całość okazała się nieprzygotowana organizacyjnie i psychicznie na konfrontację siłową. Nieprzygotowana również — chociaż było wiele wyjątków — na ryzyko ofiar śmiertelnych. Bez podjęcia tego ryzyka była jednak bezbronna. Przywódcy i członkowie związku powtarzali: jedyną naszą bronią jest strajk; wyrzekamy się przemocy; nie będziemy używać siły. Ale nieubłaganą konsekwencją takiej postawy, jeżeli nie ma ona prowadzić do kapitulacji przed przeciwnikiem, który użyć siły się nie zawaha, jest gotowość do ponoszenia męczeńskich ofiar. Jeżeli zaś chce się uniknąć rzezi bezbronnych — trzeba być gotowym do odpowiedzenia przemocą na przemoc, nawet w obliczu drastycznej nierówności sił. Zapewniano się wzajemnie, że wojsko polskie nie będzie strzelać do współbraci. Ale wojsko, o ile wiemy dotychczas, nie zostało postawione w obliczu wyboru: strzelać czy nie strzelać. Do strzelania wystarczają na razie od-

działy służby bezpieczeństwa i ZOMO. Podziwiamy polskie podziemie lat wojny; podziwiamy dziś Afganów. Podstawą działania i jednych i drugich była gotowość poświęcenia życia.

Sukcesy ostatnich miesięcy przychodziły nam za łatwo. Za niski był próg, strachu, który trzeba było przekraczać. Przed prawdziwą wielką próbą stajemy dopiero teraz. I wolno się obawiać, że dla odrobienia strat politycznych i moralnych, które nam od 13 grudnia zadano, trzeba będzie ponieść znacznie więcej ofiar, niż by poświęcono, stawiając natychmiastowy twardy opór.

Czy można się było lepiej przygotować? Tak. Jakie popełniliśmy błędy? Przede wszystkim daliśmy się porwać upojeniu, iluzji własnej siły, złudzeniu zupełnej niemocy władz; daremnie Wałęsa ostrzegał przed tym na zjeździe w Gdańsku, nawet jeszcze w Radomiu, na kilka dni przed katastrofą. Snuto wielkie plany, opracowywano programy, zapewniano zagranicznych dziennikarzy o „swobodzie manewru politycznego” nowego szefa partii i o niezłomnej potędze „Solidarności” i sił demokratycznych. Dziś czyta się te zapewnienia z takim samym zażenowaniem, jak artykuły o mocarstwowej Polsce, pisane w latach trzydziestych. Trzeba zresztą sprawiedliwie stwierdzić, że zadania, jakie „Solidarność” musiała wykonać, były w tak krótkim okresie niewykonalne: samorządności i demokracji trzeba się uczyć długo i w spokoju.

Zaniedbano nie tylko przygotowania psychicznego na wypadek konfrontacji; takie przygotowanie było istotnie bardzo trudne. Zaniedbano także pracy nad infrastrukturą ruchów wolnościowych w Polsce. Za wiele było zebrań i oświadczeń, za wiele współzawodnictwa, sporów, wzajemnych oskarżeń (jak podczas kłótni o zasługi KOR-u na zjeździe w Gdańsku, jak wewnątrz regionu mazowieckiego „Solidarności”, gdzie szalały mafijność, głupota i histeria) — a za mało przyziemnej roboty nad formowaniem i utrwalaniem struktury organizacyjnej. Działające pod osłoną puklerza „Solidarności” grupy i organizacje polityczne zabawiały się w planowanie gruntownej przebudowy ustroju, ba — nawet układu sił w naszej części Europy; proklamowały ogólnopolskie akcje, ruchy, kluby i konfederacje, odsłaniając w pełni swoje składy personalne. Działano w oczywistym mniemaniu, że bój to jest nasz ostatni, nie zabezpieczono odwodów, pławiono się w jawności. Stracono bezpowrotnie mnóstwo czasu na gadaniu, pisaniu i drukowaniu — a trzeba go było używać także na tworzenie rezerwowych sposobów porozumiewania się tajnych komórek, ukrytych przed służbą bezpieczeństwa siatek. Prawie wszyscy robili czy starali się robić wszystko na raz — nie bacząc na to, jak chytrze rozdzielił role broniący się system. A równocześnie domagano się — najgłośniejsi ci, którzy powinni

byli wiedzieć lepiej, intelektualiści — doradcy ze sporym doświadczeniem politycznym — zmian ostentacyjnych, fasadowych, zamiast wykorzystywać możliwość rozwiązań cząstkowych a konkretnych.

Czy, jeżeli pogrom okaże się w tej chwili skuteczny, mamy uznać wszystko za stracone? Z pewnością nie, i w tej postaci postawione pytanie może brzmieć jak pusta retoryka. Zostanie przecież, może i powinna zostać, świadomość jedności duchowej społeczeństwa, a również jego umiejętności samoorganizacji. Zostanie pamięć o miesiącach swobodnego oddechu, miesiącach bez strachu. „Solidarność” w zdumiewająco krótkim czasie dokonała wielkiego dzieła zjednoczenia ludzi wszystkich sfer i okolic Polski. Przełamała bariery klasowych podziałów, obaliła liczne uprzedzenia. Po latach atomizacji społeczeństwa doprowadziła do niebywałego zbliżenia się ludzi do siebie. Uczyla stawiać interes ogólnonarodowy ponad grupowym. Wyzwoliła ogromne bogactwo inicjatyw jednostkowych i zbiorowych; ujawniła twórczy potencjał narodu. Nagle rozkwitło życie intelektualne — symbolem tego rozkwitu był przerwany przez ogłoszenie stanu wojennego Kongres Kultury Polskiej w Warszawie. W ciągu ostatniego roku opublikowano mnóstwo książek, broszur, a przede wszystkim pism, które trwale pozostaną w dorobku naszej kultury.

Pytanie postawiliśmy jednak nie dla retorycznego efektu, ale aby zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo utracenia nie owej cennej tradycji — lecz wiary w sens działań, podejmowanych i w ciągu ubiegłych kilkunastu miesięcy, i wcześniej. Widać w tej chwili straszliwą groźbę szerokiego i głębokiego rozgoryczenia, zwłaszcza tych, którzy najwięcej z siebie dali, najwięcej zaryzykowali i najbardziej dziś cierpią. Jak po roku 1831, jak po 1863, jak po Powstaniu Warszawskim może nadejść okres żalu i pretensji do tych — przede wszystkim przywódców, jeszcze bardziej doradców i patronów intelektualnych — którzy wywiedli lud polski w pole własnych urojeń i ambicji. Tej groźbie trzeba świadomie stawiać czoła. A przeprowadzając konieczny i surowy rachunek błędów — trzeba stwierdzać, że były one znacznie mniejsze, niż zasługi i osiągnięcia.

Polacy mają przed sobą okres nowej, wielkiej próby moralnej i politycznej. Społeczeństwo już w tej chwili zaczyna stosować bierny opór; ale nacisk na pokajanie się i kolaborację będzie ogromny, odczuje go zwłaszcza inteligencja. Aresztowania i represje wyeliminowały na czas jakiś z życia publicznego dużą część polskich elit naukowych, kulturalnych i fachowych; gwałtowność prześladowań musiała te elity jeszcze bardziej zra-

zić do władz PRL. Rada wojskowa jest dziś popierana otwarcie tylko przez figury rodzaju Wojciecha Żukrowskiego; nawet jeżeli uda się jej zmusić lub skłonić do współpracy garść innych — zantagonizowanie środowisk inteligentnych stanowi jeszcze jedną przyczynę, dla której ratowanie gospodarki polskiej przez komunistyczną soldateskę jest przedsięwzięciem beznadziejnym. Zresztą rada wojskowa nie wydaje się poświęcać temu zadaniu wiele uwagi. O poziomie jej „myślenia” ekonomicznego świadczy ogłoszenie po pięciu dniach stanu wojennego, w sytuacji trwających strajków, zamkniętych stoczni i gigantycznych kosztów operacji wojskowej, komunikatu, że stan gospodarki polskiej już ulega poprawie.

Co powinniśmy dziś postulować i robić? Związki zawodowe wolnego świata mają obowiązek jak najusilniejszego dopominania się o swoich uwieczonych i pozbawionych praw kolegów w Polsce. To, co się dzieje w naszym kraju, jest wyzwaniem, rzucanym międzynarodowemu braterstwu ludzi pracy — o którym wypowiedziano tyle wzniosłych słów. Nie skrępowane wymogami (rzeczywistymi czy urojonymi) politycznej taktyki, związki zawodowe wolnego świata, a także stowarzyszenia twórcze i naukowe mogą i powinny brać w opiekę prześladowanych Polaków, organizować dla nich pomoc lekarską, żywnościową i prawną. Związki zawodowe mają też obowiązek wywierania presji na rządy swoich państw, które z ociąganiem tylko potępiły niebawome przecieź w cywilizowanym świecie prześladowania i bezprawie w Polsce, i które nie potrafią się zdobyć na otwarte powiedzenie, że sprawcą całej tragedii jest ZSSR.

Potępienie jest niewystarczające; poza słowami potrzebne są czyny. Konieczne jest twarde postawienie warunku: przed zniesieniem stanu wojennego, uwolnieniem aresztowanych i przywróceniem swobody działania „Solidarności” — PRL nie otrzyma żadnych ulg finansowych, kredytów ani pomocy gospodarczej. Pożądane byłoby zastosowanie okresowych przynajmniej sankcji ekonomicznych w stosunku do wszystkich krajów bloku moskiewskiego, których rządzące partie domagały się uprzednio rozprawy z „Solidarnością”. Dotyczy to przede wszystkim ZSSR. Sankcje takie mogą na wahających się rządach wymusić a potem realizować tylko związki zawodowe wolnego świata, jest to ich historyczne zadanie. Postawa dokerów amerykańskich i związkowców francuskich, przede wszystkim centrali CFDT, pozwala tu żywić pewne nadzieje.

Obowiązkiem emigracji polskiej i wszystkich Polaków, którzy mogą wywierać wpływ na opinię publiczną i sfery rządzące na Zachodzie, jest kształtowanie takiej właśnie linii politycznej,

oraz tłumaczenie, że Zachód powinien ją obrać nie dlatego, czy nie tylko dlatego, że jest ona pożyteczna dla Polaków — ale dlatego, że jest ona na dłuższą metę korzystna dla samego Zachodu.

Drugim zadaniem emigracji polskiej jest — wespół z najnowszymi przybyszami z Polski, odciętymi od kraju przez stan wojenny — wzmacniać dotychczasowe i tworzyć nowe ośrodki oddziaływania politycznego. Powinny one z jednej strony zapewnić ciągłość istnienia krajowych ruchów wolnościowych, z drugiej zaś pobudzać i ożywiać polskie środowiska emigracyjne, na które spadnie teraz dodatkowa rola rzeczników zakneblowanych środowisk krajowych. Należy też czym prędzej otoczyć opieką rzesze najnowszych uchodźców z wyboru lub mimo woli, aby nie uległy rozproszaniu, aby nie zatraciły się w trudnej walce o byt, aby mogły odświeżyć i wzbogacić wielopokoleniową zbiorowość emigracyjną.

Kościół katolicki w Polsce, jedyna instytucja, ocalała dotychczas z pogromu, daje piękne dowody odwagi — na przykład w oświadczeniu episkopatu z dnia 15 grudnia, oraz w odmowie Prymasa Glempa prowadzenia rozmów z gen. Jaruzelskim bez udziału Lecha Wałęsy. Mamy nadzieję, że nadal Kościół opierać się będzie pokusom przekraczania granic swego narodowego autorytetu moralnego dla osiągnięcia doraźnych instytucjonalnych celów.

Najtrudniejsza rola przypada oczywiście ludziom w kraju, którzy muszą podjąć od nowa pracę organizacyjną i koncepcyjną. Trzeba będzie od początku uczyć się działań niejawnych. I trzeba będzie w odmienionych, znacznie gorszych, niż w ciągu ostatnich 25 lat warunkach, opracowywać postulaty i programy.

Uważamy, że w programach tych powinny się znaleźć następujące składniki minimalne — poza oczywistym żądaniem zniesienia stanu wojennego i zwolnienia więzionych:

1. Zezwolenie zawieszonym organizacjom związkowym na wznowienie statutowej działalności.
2. Utworzenie Społecznej Rady Gospodarki Narodowej, w formie proponowanej we wrześniu przez grono czołowych intelektualistów i zaaprobowanej przez Prymasa i „Solidarność”.
3. Przeprowadzenie wolnych wyborów do samorządów lokalnych.

Czy realizacja tego minimalnego programu dałaby nam Polskę, jakiej chcemy? Nie; ale otworzyłaby do niej drogę — poprzez Polskę, jaka jest dzisiaj możliwa.

tlaczającej większości narodu, jak i o władzy. O przytłaczającej większości narodu, że okazała bezprzykładne opanowanie i rozsądek w warunkach, które wręcz prowokowały do uzewnętrznienia tłumionej od lat pogardy i wyładowania nienawiści. O władzy i jej zwolennikach — bo, nie łudźmy się, są i tacy — że wypowiedziała, w imię obrony interesów Związku Sowieckiego, wojnę narodowi polskiemu.

Ktoś powie, że wiedział o tym od dawna. Od 1944 roku. Sprawa nie jest jednak aż taka prosta. Gdyby różnice między Gomułką, Gierkiem i Kanią a Jaruzelskim polegały tylko na ubiorze, nie byłoby o czym mówić. Ale są to różnice zasadnicze. Wyrażają się w liczbie zabitych i rannych, która, tylko w ciągu pierwszego tygodnia dyktatury Jaruzelskiego, przekroczyła zapewne łączną liczbę zabitych i rannych podczas wszystkich masakr dokonanych w historii PRL. Wyraża się też w liczbie więźniów politycznych dorównującej — jeśli przyjąć dane ujawnione na Zachodzie — rekordom ustalonym w najgorszych latach stalinizmu, a jeśli nawet poprzestać na danych oficjalnych — zgół niewiarygodnych — to i tak wielokrotnie wyższej od wszystkiego, z czym mieliśmy do czynienia w ciągu minionych 25 lat.

Na tym nie koniec. W okresie, jaki upłynął od października 1956, wyrosło w Polsce pokolenie, które okazało się zdolne do zapoczątkowania i podtrzymania owego trwającego osiemnaście miesięcy bezprecedensowego ruchu społecznego. Wyrosło dlatego, że — mimo wszelkie okaleczenia, przemilczenia i fałszy, jakże skądinąd dotkliwe — nawiązana została, po przerwie spowodowanej stalinizmem, ciągłość kultury narodowej. Że krzewił swą naukę Kościół. Że żywotne pozostały i były wpajane młodym tradycje polskiej inteligencji. Że utrzymywano wielorakie związki z Zachodem. W tych warunkach, których nie zdołał całkiem zniszczyć nawet haniebny pogrom z marca 1968 roku, ukształtowali się późniejsi działacze opozycji demokratycznej i organizacji niezależnych oraz ci wszyscy, których wiedza i zapał umożliwiły budowę „Solidarności”.

Nie jest moim zamiarem bronienie władców Polski z lat 1956-1981. Jest nim zwrócenie uwagi na istotne odmienności ustroju, jaki istniał w ciągu tego ćwierćwiecza, w porównaniu z tym, którego zarysy zaczynają przezierać z obwieszczeń junty wojskowej. Tamten był komunizmem typu sowieckiego ale, co ważne, heterodoksyjnym w tym sensie, że pozostawiał dość znaczny zakres swobód Kościołowi, nie kolektywizował wsi, pozwalał ludziom na pewną swobodę ruchu — w tym na podróże poza blok — stosował represje ograniczone i wybiórcze. Po sierpniu 1980 roku, a zwłaszcza po zarejestrowaniu „Solidarności”, odstęptwa

13 Grudnia 1981

Zacznijmy od dwóch stwierdzeń niepodważalnych.

W ciągu osiemnastu miesięcy, licząc od 1 lipca 1980 roku, Polska była widownią ruchu społecznego bez precedensu nie tylko w naszej historii ale również w dziejach powszechnych. Widownią strajków, zebrzań, zgromadzeń, wieców, pochodów, dyskusji i wyborów, w których uczestniczyły dziesiątki milionów osób. Były zapewne tu i ówdzie jakieś scysje. Gdzieśgdzie może i doszło do rękoczynów albo do wywożenia na taczkach. Ale — rzecz niebywała — w ciągu tych osiemnastu miesięcy nie odnotowano ani jednej ofiary śmiertelnej. Nie było nawet ciężko rannych. Nikt — z wyjątkiem związkowców pobitych w Bydgoszczy przez milicję — nie odniósł poważniejszych obrażeń. Toteż ktokolwiek określał ten ruch społeczny mianem „rewolucji” wprowadzał natychmiast jakieś zastrzeżenie podkreślające jego osobliwość: „samoograniczająca się”, na przykład, czy „obywatelska”. A ci, którzy mówili w tym związku o „powstaniu” dodawali od razu: „pokojowe”. Nic lepiej niż ten brak ustalonej nazwy nie świadczy o wyjątkowości zjawiska.

W ciągu tygodnia, jaki minął od wojskowego zamachu stanu z 13 grudnia 1981 roku, „siły porządku” zabiły co najmniej kilkadziesiąt osób. Rannych są setki, więźniów — dziesiątki tysięcy.

Zapamiętajmy:

Z jednej strony: osiemnaście miesięcy ruchu społecznego, miliony uczestników i ani jednej ofiary. Z drugiej: dziesiątki zabitych, kilkuset rannych i pierwsze trupy przywożone z polskich łagrów.

To zestawienie mówi właściwie wszystko zarówno o przy-

od modelu sowieckiego stały się ogromne, a Polska weszła w fazę szukania nowych formuł ustrojowych.

Jeśli dziś trzeba z całą ostrością podkreślić odrębność sowietofaszystu, jaki zaprowadza w Polsce generał Jaruzelski, to dlatego, że co do jego osoby i poglądów nagromadziły się tysiączne złudzenia fabrykowane zapewne przez specjalistów z Wydziału Czarnej Propagandy Głównego Zarządu Politycznego. Któż nie słyszał w kraju i za granicą o głębokim przywiązaniu generała Jaruzelskiego do polskich tradycji patriotycznych czy o jego rodzinie wywiezionej podczas wojny do łagrów. Komuż nie opowiedziano o rzekomej odmowie użycia wojska przeciw robotnikom Wybrzeża w grudniu 1970 roku. Któż nie zetknął się — zwłaszcza od lutego 1981 roku — z przekonaniem o zbawienych dla społeczeństwa i gospodarki skutkach przejścia władzy przez wojsko — przez nasze, polskie wojsko. Przeciwstawiano je partii, jak gdyby nie należeli do niej prawie wszyscy oficerowie i komplet generałów. Traktowano je jako emanację narodu, jak gdyby nie było bardziej niż jakakolwiek instytucja w Polsce podporządkowane Związkowi Sowieckiemu. Uważano za ostoję zdobywcy po-sierpniowych, jak gdyby jego rzecznicy nie głosili na łamach swej prasy — i to co najmniej od połowy lat sześćdziesiątych — ideologii nacjonalistycznej i pro-sowieckiej zarazem, nadto zaś autorytarnej, anty-semickiej i anty-inteligenckiej. A przecież wojsko — to nie tylko poborowi, po większej części, członkowie „Solidarności”. To przede wszystkim zawodowi podoficerowie i oficerowie, których od lat wychowywano do roli janczarów. Są Polakami, rzecz jasna, jak są nimi oprawcy z ZOMO, jak są nimi obrońcy i piewcy terroru: Żukrowski, Urban, Górnicki. Jak są nimi członkowie Rady Państwa, którzy — z jednym wyjątkiem — podpisali dekret o wprowadzeniu stanu wojennego: wyrok śmierci na setki rodaków. Ale są to Polacy z gatunku tych, co w listopadzie 1830 roku chronili się do Petersburga, a w roku 1863 łapali i wieszali powstańców.

Cios, jaki spadł na nas 13 grudnia 1981 roku daje się porównać tylko z najazdem hitlerowskim albo z wyczynami NKWD w latach 1944-1945. Przeżywamy katastrofę, a perspektywy na najbliższą przyszłość są ciemne. Generał Jaruzelski zapewnia, że nie chce cofnąć Polski do sytuacji sprzed sierpnia 1980 roku. Obawiam się, że należy mu wierzyć. Wstępne poczynania jego władzy świadczą bowiem, że cofa nas ona o wiele dalej w czasie i przestrzeni: do Związku Sowieckiego pierwszych lat powojennych, do którego nas w owym czasie nie przyłączono. Represje już są masowe i pozostaną takie zapewne na długo, ponieważ władza uzależnia ich zlagodzenie od uspokojenia się społeczeń-

stwa. O swobodzie ruchu nie ma mowy: nigdy, nawet w czasie okupacji, nie wyłączono, jak teraz, telefonów i nie zakazano podróży z miasta do miasta. Tępi się kulturę polską w osobach jej przedstawicieli, nie zważając na wiek, płeć i stan zdrowia. Tępi się, podobnie, tych wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób manifestowali ostatnimi czasy swe związki z działalnością niezależną. Czekamy na decyzje w sprawie wsi — wspomina się już przecież o rekwizycjach — i z trwogą myślimy o losach Kościoła, który ma swych przedstawicieli wśród prześladowanych. Nie izby można było wątpić o żywotności katolicyzmu polskiego. Ale dlatego, że obawiamy się pomnożenia pocztu jego męczenników.

Czy generał Jaruzelski tego właśnie pragnął? Pytanie bez znaczenia. Albo jest on człowiekiem niezdolnym do przewidzenia skutków własnych czynów, albo musiał się liczyć z tym, że pucz wojskowy, gdy raz się zacznie, ma własne prawa i przeinacza dobre chęci organizatorów, które brukują piekło. Że ekstremiści w partii, w wojsku, w bezpieczeństwie i w milicji zrobią wszystko, by wykorzystać uzyskaną wreszcie pełnię władzy. By bezlitośnie rozprawić się z przeciwnikami. By stworzyć sytuację, która by się mogła zdawać nieodwracalna. By przyrąbać Polskę do prokrustowego łoża systemu sowieckiego w jego odmianie najbrzydliwszej i najkrwawszej. I tym głównie różniące się od stalinowskiego pierwowzoru, że osłaniającej swe zbrodnie retoryką „narodową”. Opiewaniem posłusznego robotnika, ucieleśnienia cnót patriarchalnych, i matki wieloródki. Zwalczeniem zgniłków inteligenckich i innych kosmopolitów i syjonistów. Naród dostanie w podarunku rogatywkę. Ale przedtem amputuje mu się mózg.

Taki jest program wpisany w pierwsze posunięcia zsovietyzowanych polskich generałów, w ich obwieszczenia, rozporządzenia, dekrety, odwołania, nominacje i rozkazy. W ich politykę izolowania Polski i przekształcenia jej w jeden wielki obóz, gdzie nie wolno przejść z baraku do baraku, i w którego obrębie znajdują się obozy o znacznie obostrzonym reżymie dla osób szczególnie niezależnych. Ale program ten ma nikłe szanse urzeczywistnienia, choć na pewno spowoduje ogromne straty. Kultura polska zejdzie w podziemie, jak to czyniła w przeszłości. Rozwinie się bierny opór, którego załazki już zaczynają być widoczne. Osiemnaście miesięcy wolności wytworzyło więzi, które zostaną odbudowane. Na każdy zakaz wynajdzie się sposób obejścia lub bezkarnego złamania. Można wyłączyć telefony, ale nie da się wyłączyć pamięci, chyba że razem z życiem. Można zakazać podróży koleją, ale nie wyobraźnią. Jesteśmy dziś narodem

innym, innym niż byliśmy dwa lata temu. Narodem, który nauczył się przełamywać strach, żyć godnie. Który wie, że może wybić się ku wolności i że przyjdzie dzień, gdy osiągnie swój cel.

Czeka nas okres straszny. Ale generał Jaruzelski, mimo wszelkich wysiłków, wciąż jeszcze nie zarobił na duży okrągły miedziak z napisem: „*Za usmirenije polskawo miatieża*”.

22 grudnia 1981

Krzysztof POMIAN

DO CZYTELNIKÓW

W związku z dramatyczną sytuacją w Polsce rzeczą najpilniejszą w chwili obecnej jest skoncentrowanie pomocy dla ludzi walczących w Kraju z komunistyczną juntą Jaruzelskiego i coraz bardziej krwawym terrorem oraz dla coraz liczniejszych ofiar.

I dlatego zawieszamy na razie przyjmowanie wpłat na Krajowy Fundusz Wydawniczy — zresztą niezależne oficyny i wydawnictwa zostały zamknięte a ich redaktorzy i wydawcy osadzeni w obozach koncentracyjnych. Jesteśmy przekonani, że ten stan rzeczy się zmieni, że wolna prasa musi się odrodzić i wtedy Fundusz wznowimy.

Chcemy spreczować: pomoc dla społeczeństwa polskiego płynie z całego wolnego świata i tu Fundusz Kultury nie może odegrać większej roli. Nam idzie o *pomoc dla kombatantów w Kraju*. Liczymy, że i tym razem nasi Czytelnicy nie zawiodą.

REDAKTOR

List do cudzoziemców

Wszyscy wiedzą co zdarzyło się w Polsce w nocy z 12 na 13 grudnia i co dzieje się nadal. Ale żeby zrozumieć to, co się wie, należy najpierw wiedzieć, że:

Wydarzenia w Polsce nie są żadnym „stanem wyjątkowym ogłoszonym w myśl polskiej konstytucji” — oficjalna, rządowa wersja tych wydarzeń. Nie są też „zamachem stanu” ani „puczem wojskowym” — definicja używana przez tych, którzy nie zgadzają się z definicją oficjalną. Inaczej mówiąc, to co się dzieje w Polsce nie jest niczym w Polsce nowym ani wyjątkowym.

Pojęcie wyjątkowości teraz zakłada, że dotąd, przedtem, wszystko było normalnie. Otóż w Polsce nic nie było normalnie — czyli ani prawomocnie, ani naturalnie — od 1939 roku. Poprzez niemiecką okupację najpierw — do wprowadzenia siłą systemu komunistycznego przez Związek Sowiecki natychmiast potem, za zgodą, a przynajmniej przy niesprzeciwianiu się temu przez mocarstwa zachodnie. Ani później, przez trzydzieści sześć lat nieprzerwanie, czyli aż do chwili obecnej. To, co się dzieje teraz w Polsce jest tylko kontynuacją, a nie wyjątkowością. To nie jest wyjątkowe, chociaż jest nienormalne. Nicustająca anormalność. Jedyną nowością, ale nie zmianą, jest tylko i jedynie to, że wszystko co do tej pory działo się pod przykrywką kłamstw — na przykład kłamstwa o ustroju parlamentarnym w Polsce — teraz dzieje się nadal jako naga prawda, a mianowicie jako działanie nagiej przemocy. A raczej, zamiast powiedzieć: „dzieje się nadal” należy powiedzieć: wraca do punktu wyjścia, po zatoczeniu pełnego koła w ciągu trzydziestu sześciu lat.

Nie jest prawdą, jakoby wojsko polskie było trzecią, neutralną siłą pomiędzy Partią, a Solidarnością, czyli między Partią, a społeczeństwem, narodem. Po prostu bez użycia wojska Partia

nie jest już w stanie nadal uprawiać dyktatury nad społeczeństwem, zbyt już jest słaba. Uwięzienie byłych przywódców Partii, od dawna już odsuniętych od władzy — a przynajmniej oficjalny komunikat o ich uwięzieniu — równocześnie z uwięzieniem przywódców Solidarności jest doskonałym chwyttem propagandowym ze strony tejże Partii. A jednocześnie przykładem jak można spożytkować swoje własne odpadki. Tylko gdyby generał Jarużelski aresztował aktualnego pierwszego sekretarza Partii, czyli gdyby aresztował sam siebie, teza o jego bezstronności byłaby wiarygodna.

Nie jest prawdą, że to, co się dzieje w Polsce, co się działo od 1945 roku — jest tylko wewnętrzną sprawą Polski, konfliktem w polskiej rodzinie. Twierdzić, że tak jest, to znaczy zakładać, że Polska jest krajem niepodległym, państwem samorządnym i suwerennym. Podczas, kiedy wiadomo, że bez sowieckiej pomocy i mieszania się do naszych spraw Polska wyglądałaby inaczej niż wygląda i to od samego początku jej powojennej historii, nie mówiąc już o jej obecnych nieszczęściach. Jeżeli komunistyczna partia rządzi jeszcze w Polsce, to tylko dzięki sowieckiemu poparciu. Zachodni mężowie stanu, kiedy powtarzają frazes o polskich problemach jako o polskich wewnętrznych problemach, które Polacy mają sobie rozwiązać sami między sobą — używają języka wprawdzie odpowiedniego dla ich dyplomatycznych celów, ale pośrednio podpisują się pod kłamstwem. Mianowicie pod kłamstwem o polskiej niepodległości i sowieckiej nieingerencji.

Nie jest prawdą, jakoby Polsce groziła wojna domowa. Zbrojne starcie dwóch części tego samego narodu, wyznających odmienne przekonania — to jest wojna domowa. Tymczasem jeżeli w Polsce w ogóle są jeszcze komuniści, to — z wyjątkiem patologicznych przypadków — nie są już motywowani żadną szczerą i głęboką wiarą w komunistyczny dogmat. Są motywowani okolicznościami, oportunistem, samo-oszustwem. A przeważnie są to ludzie, którzy wszystko postawili na system, którzy bez niego nie znaczyliby nic i którzy w służbie systemu poszli już tak daleko, że już nie mają, albo wydaje im się, że nie mają — odwrotu. Przeważająca, a zatem decydująca część ludności jest niekomunistyczna, jeżeli nie antykomunistyczna. Polska jest zagrożona śmiertelnie, ale nie przez wojnę domową, tylko przez zbrojną opresję i represję, która narodziła się z zewnątrz i dokonuje się wewnątrz kraju, ewentualnie pod fałszywym pretekstem wojny domowej.

Nie jest prawdą, że Solidarność ponosi winę za polski kryzys. Zespół zjawisk opatrzonej nazwą Solidarność jest ogólnospołeczna, ogólnonarodowa, ludową reakcją przeciwko przyczynom kry-

zysu, reakcją zwalczaną przez tę przyczynę właśnie, czyli przez zespół zjawisk pod nazwą: Partia, system komunistyczny. Użycie wojska nie jest zwalczaniem kryzysu, ale wprost przeciwnie: jest próbą kontynuowania przyczyn kryzysu, czyli próbą obrony i zachowania monopolu komunistycznej władzy w Polsce. Ten monopol, ta władza — nigdy nie była w Polsce prawomocna, to znaczy — nigdy nie wybrana wolną wolą społeczeństwa i narodu polskiego. A więc nie może być obroniona i zachowana środkami prawowitymi, to znaczy demokratycznymi. Teraz, kiedy ta władza usiłuje się utrzymać otwarcie już używając zbrojnej przemocy — daje tym samym dowód swojej nieprawomocności. Nieprawość, nieprawomocność jest grzechem pierworodnym tej władzy.

Sławomir MROŹEK

Tekst powyższy S. Mroźek wysłał do *New York Herald Tribune* która zamieściła go w skróconej formie.

Z piosenek Jacka Kaczmarskiego

NIE MOGĘ SPAĆ

Wieczór każdy spędza jak chce
 Ten się modli ten śpiewa ci grają
 Ktoś cytrynę skradzioną ssie
 Ktoś kobietę prowadzi do raju
 Ktoś karmi psa
 A ja
 Choć wiem że rano muszę wstać
 Nie mogę spać
 Nie mogę spać

Noc każdemu przynosi sen
 Temu koszmar temu marzenie
 Komuś niebyt leży jak pień
 Ale niebyt to też ukojenie
 Więc dobrze mu
 A mnie
 Choć wiem że rano muszę wstać
 Nie dane spać
 Nie dane spać

Więc słyszę wszystko co tylko noc zna
 Krok złodzieja i szepty spiskowców
 Jęk skazańca mlaskanie psa
 I to co przez sen mówią obcy
 Więc wchłaniam to
 Co noc
 Bo właśnie po to żeby wstać
 Nie wolno spać
 Nie wolno spać

1980

SZTURM

Szturmują bramy! Kłódek trzask!
 Ze wszystkich stron rozgrzane twarze!
 Straż puszcza pod naciskiem mas!
 Wpadają w chłodne korytarze
 Wołając — Czas! Już czas! Już czas!
 Gną się parkiety pod naporem,
 Zrośnięte otwierają drzwi,
 Wśród rzeźb, obrazów i ubiorów
 Z przepisów barwna ciżba drwi
 I woła — Wzoru! Wzoru! Wzoru!

Muzeum wszystkich nie pomieści,
 Więc idą przez pamiętek zbiór,
 A ci, co raz już całość przeszli,
 Spowrotem zamykają sznur
 Wołając — Treści! Treści! Treści!

Patrzą na szable, katafalki,
 Procesje zamienionych w lód,
 Błamy sztandarów rozpostartych,
 Wybrzmiałych pieśni zwoje nut
 I krzyczą — Walki! Walki! Walki!

I cisza tej zapada miary
 Gdy nagle wiedzą, czego chcą
 Ci, którym przeznaczono mary,
 A którzy o swe życie drżą,
 Ale wołają — Wiary!

— Ofiary... — echem mury drwią.

1980

NIE LUBIĘ

wg W. Wysockiego

Nie lubię gdy mi mówią po imieniu
 Gdy w zdaniu jest co drugie słowo — brat
 Nie lubię gdy mnie klepią po ramieniu
 Z uśmiechem wykrzykując — kopę lat!

Nie lubię gdy czytają moje listy
Przez ramię odczytując treść ich kart
Nie lubię tych co myślą że na wszystko
Najlepszy jest cios w pochylony kark

Nie znoszę gdy do czegoś ktoś mnie zmusza
Nie znoszę gdy na litość brać mnie chce
Nie znoszę gdy z butami leżą w duszę
Tym bardziej gdy mi napluc w nią starają się
Nie znoszę much co żywią się krwią świeżą
Nie znoszę psów co szarpia mięsa strzep
Nie znoszę tych co tępo w siebie wierzą
Gdy nawet już ich dławi własny pęd!

Nie cierpię poczucia bezradności
Z jakim zaszczute zwierzę patrzy w lufy strzelb
Nie cierpię zbiegów złych okoliczności
Co pojawiają się gdy ktoś osiąga cel
Nie cierpię więc niewyjaśnionych przyczyn
Nie cierpię niepowetowanych strat
Nie cierpię liczyć niespełnionych życzeń
Nim mi ostatnie uprzejmy spełni kat

Ja nienawidzę gdy przerwie mi rozmowę
W słuchawce suchy metaliczny szczeł
Ja nienawidzę strzałów w tył głowy
Do salw w powietrze czuję tylko wstręt
Ja nienawidzę siebie kiedy tchórzę
Gdy wy tłumaczeń dla łajdactw szukam swych
Kiedy uśmiecham się do tych którym służę
Choć z całej duszy nienawidzę ich!

1976

Jacek KACZMARSKI

Dziennik pisany nocą

Neapol, 26 października 1981

Znowu to samo: rekonwalescencja wywołuje u mnie potrzebę grzebania się w odległych wspomnieniach, starych notatkach i listach, jakbym chciał sprawdzić czy choroba nie okaleczyła mojej pamięci. W zeszycie „Kalkuta-Delhi” z datą 4-8 czerwca 1952, w zeszycie tak wypowiadałem że czytanie wymaga sporego wysiłku, zatrzymuję się nad opisem wizyty w kalkuckiej świątyni bogini Kali.

„Wciśnięta pomiędzy małe i brudne domki, zawalona od ulicy śmieciami i odpadkami. Oprowadza nas półnagi olbrzym o kosmatej piersi i wyglądzie rzeźnika, który pełni w niej funkcję kapłana. W przejściach i wąskich korytarzykach leżą ledwo żywi ze zmęczenia ludzie i przyglądają nam się obojętnie zmętniałym wzrokiem. Na wewnętrznym dziedzińcu, obok kaplicy kontemplacyjnej dla wiernych oczyszczonych kąpielą w Gangesie, stoją dwa drewniane uchwyty: zamyka się w nich, jak w jarzmie, wołu i kozę przed ofiarnym ubojem. Jakaś rozczochrana starucha szatkuje tasakiem na pieńku ciepłe jeszcze flaki, rzucając co chwilę parę skrawków czekającej opodal gromadce żebraków. Słońce spaliło już na czarny plaster posokę krwi, otaczającą kozi łeb na ziemi. Nisko krąży stadko kruków, a dwa odważniejsze przysiadają nawet na stopniach kaplicy i wraz z żebrakami czekają na swoją kolej. W tej martwocie upalnego popołudnia, w smrodzie juchy, nadpsutej padliny, ludzkich wydzielin i mułu z pobliskiego Gangesu, przejmujący jest widok młodej kobiety, która siedzi pod drzewem płodności obwieszonym wotami dziękczynnymi i karmi swoje niemowlę piersią wyschniętą na wiór,

naciskając ją z rozpaczą w twarzy jak pusty bukłak. Niedaleko stąd krematorium: swąd palonych ciał i zapach palonego drzewa, dym gryzie w oczy, żar bije od płomieni ognisk, żar cieknie z nieba i ziemię obraca w brunatno-żółtą skorupę. Wracam do hotelu sam. Po drodze...”

Tutaj notatka się urywa. Ale pamiętam, dobrze pamiętam, co stało się po drodze. Na jednej z ulic przyczepił się do mnie hinduski wróżbita, towarzyszył mi krok w krok, namawiał, błagał, zaklinał. Poddałem się w końcu, zesłiśmy na trawnik, posadził mnie naprzeciw siebie, długo czytał jedną i drugą rękę przy świetle latarki, zadał parę pytań. Naraz powiedział o moim życiu coś tak istotnego, uderzającego, że zdębiałem. Po czym wstał, trzykrotnie powtórzył słowo *misfortune* i, nie czekając na zapłatę, znikł w ulicznym tłumie. Był zjawą, przywidzeniem, gorączkowym majakiem w dusznym półmroku kalkuckiego wieczoru? Zdarzały się chwile, że myślałem tak o nim po powrocie do Londynu. Zanim spełniło się wypowiedziane przez niego trzykrotnie słowo.

Początek noweli Musila *Grigia*: „Bywają okresy, w których życie zwalnia wyraźnie swój bieg, jak gdyby się wahało czy iść dalej naprzód, czy też zmienić kierunek; może wtedy właśnie przytrafia się człowiekowi łatwiej nieszczęście”. I może wtedy właśnie wróżba, dla obdarzonych „drugim wzrokiem”, staje się po prostu odczytaniem wypisanego już wyroku losu.

27 października

„Rada Ośmiu, dokładnie zważywszy procesy trzech braci zakonnych i nikczemne zbrodnie przez nich popełnione, zważywszy też wyrok wydany przez komisarzy papieskich, którzy ich dla ukarania oddali trybunałowi świeckiemu, postanawia: każdy ma być powieszony na szubienicy a potem spalony, aby dusze odłączone zostały całkowicie od ciał”.

O świcie 23 maja 1498 roku Plac w Florencji zapełnił się po brzegi tłumem. Dopiero o dziewiątej wprowadzono trzech skazańców, rozdzielanych z habitów, z rękami związanymi do tyłu. Pierwszy szedł Fra Girolamo Savonarola, za nim Fra Silvestro i Fra Domenico. W tłumie rozległy się śmiechy, szydercze okrzyki, obelgi. Savonarola szedł pierwszy, lecz powieszony miał być ostatni: umyślono pomęczyć go przed śmiercią obrazem egzekucji dwóch najmilszych uczniów. Trzy szubienice ustawiono na wysokim podium, obłożonym ze wszystkich stron chrustem i drzewem. Dokoła sterczały ręce z żagwiami, gotowe do podpalenia stosu. Fra Domenico miał twarz rozpromienioną, „zdawało

się (zauważa kronikarz słowami poety) że idzie w tan a nie na śmierć”. Nagle odwrócił się do tłumu i głośno zawołał: „Pamiętajcie że prorocтва Fra Girolamo spełnią się wszystkie, my zaś umieramy niewinnie”. Odsunięto go na bok, aby i on ujrzał umierającego towarzysza nim sam umrze. Na schodki podium wstąpił, podpierany i popychany przez pomocników kata, Fra Silvestro. Przed zaciśnięciem pętli na szyji zdążył wycharzczyć: *In manus tuas, Domine, commendo animam meam*. Savonarola pochylił głowę na piersi i modlił się cicho; nie widział następnej śmierci Fra Domenico. Wreszcie przyszła kolej na niego. Stanąwszy na środkowej szubienicy, objął spojrzeniem tłum: tysiące oczu wlepionych w niego nie tak dawno jeszcze z miłością, wiarą, ufnością, teraz przeszywających go z pogardą i odrazą. Ktoś krzyknął: „Proroku, nadszedł moment dokonania cudu!”. Kat wytrącił mu stołek spod nóg, ciało sprężyło się w drgawkach. Oprawcy zbiegli szybko z podium. Był to znak dla zniecierpliwionych żagwi. Płomienie wystrzeliły w górę i ogarnęły szafot. Wtem gwałtowny podmuch wiatru oddalił je od trzech wisielców i przegiał w stronę tłumu. Cofano się w popłochu z pomrukiem: „Cud, cud!”. Ale podmuch wiatru był krótki, płomienie znowu owinęły szafot. Kronikarz notuje, że ogień poderwał do góry uwolnioną z więzów rękę Savonaroli „w geście błogosławieństwa dla ludu, który palił swego proroka niezdolnego do dokonania cudu”.

Prawdą jest, że natchniony kaznodzieja dominikański spadł z piedestału proroka, reformatora Kościoła, oskarżyciela korupcji i symonii papieskiej, gdy dwa miesiące wcześniej uchylił się od „próby ognia”, podstępnej prowokacji, która miała pokazać czy potrafi dokonać cudu wytrwania na stosie w imię własnej czystości i zadając kłam papieskiej ekskomunice. Gdyby nie to, nie pomogłaby nawet groźba Aleksandra VI Borgii obłożenia Florencji interdyktem, groźba blokady gospodarczej miasta zakonchanego w Savonaroli, dumnego ze swego nauczyciela i przewodnika duchowego. Tkwi w tym pewna nauka dla wszelkich reformatorów: lud oczekuje od nich właściwości taumatycznych, jeśli wskazują mu drogę ręką bez miecza.

28 października

Wywiad z Kuroniem w *La Repubblica*. W paru zdaniach podsumował dobrze sytuację: „W Polsce odbywa się prawdziwa rewolucja, którą da się może porównać z rewolucją 1917 roku. A w rewolucjach wypadki toczą się z dnia na dzień, nie wiadomo

ku czemu się idzie, jaki będzie punkt dojścia... Rząd i partia muszą zrozumieć, że kraj się zmienił, domaga się reform, za nic nie wróci do poprzedniego stanu rzeczy. Jeśli tego nie zrozumieją, konfrontacja okaże się nieunikniona, z niebezpieczeństwem wojny domowej”.

Upieranie się przy słowie „rewolucja” (co sam od dawna robię) jest ważne, nie ma bynajmniej charakteru jałowej sprzeczki o nazwy. Wszystkie kontredanse, kluczenia, gry na zwłokę, kręctwa, uniki, kunktatorstwa władzy biorą się stąd, że nie chce ona „przyjąć do wiadomości” rewolucyjnego przewrotu w Polsce, stara się za wszelką cenę zredukować go do rozmiarów zwykłego, kolejnego, tym razem cięższego kryzysu, który da się jednak w końcu opanować mniej lub więcej „normalnymi” środkami, bez naruszenia podstaw systemu. Odmowie spojrzenia rzeczywistości w oczy towarzyszy stopniowy, nieustanny rozkład partii i państwa. Władza włązi w mundur wojskowy, wypina pierś, usiłuje przybrać marsowe oblicze, kładzie w odwrocie dłoni na szablę, wciąż licząc na odgwożdżenie starego mechanizmu kosztem ustępstw pozornych bądź paliatywnych. Nie jest w stanie pojąć zjawiska bez precedensu: ogromnej, powszechnej, głębokiej rewolucji bez przelewu krwi. Odnosi się niekiedy wrażenie, że świadomie czy bezwiednie zmierza do „weryfikacji”, „sprawdzenia” owej szczególnej, niepojętej dla siebie rewolucji; co prowadzi do stworzenia warunków, w których przewrót dotąd bezkrwawy przeistoczy się w krwawy. Ale wtedy powiernicy „socjalizmu realnego” w Warszawie nie zdążą już nawet wezwać na pomoc jego gwarantów w Moskwie.

31 października

Przy moim pociągu do zwięzłości, przy rosnącej i alergicznej już prawie niechęci do elokwencji a nawet zbytniej swady, nieufny stosunek do sztuki aforyzmów. Czemu? Aforyzmy mają dźwięk czegoś definitywnie i nieodwołalnie rozpoznanego i określonego, a więc czegoś co zawsze każe mi węszyć w pobliżu obecności retoryki. Chyba że, jak w przypadku E. M. Ciorana (którego admirował Stempowski), aforysta zdaje się być pisarzem pośmiertnym; czyli takim, który dawno popełnił psychiczne samobójstwo i z tej perspektywy osądza umarły dlań świat. W jego ostatnim tomiku *Cwiartowanie* najlepiej wyraża to zdanie: „Nie brakuje mi powietrza, nie, lecz nie wiem co z nim robić, nie wiem po co oddychać”. Niezupełnie podzielam opinię Stempowskiego o Cioranie, muszę jednak przyznać że w aforystycznym

stylu rumuńsko-francuskiego pisarza nie słyhać nigdy fałszywej nuty manieryzmu katastroficzo-apokaliptycznego. Podobnie są pisane, i podobnie brzmią, listy pożegnalne rzeczywistych samobójców.

Inny jest przypadek Eliasa Canettiego, tegorocznego laureata nagrody Nobla. Jego aforyzmy w księdze zapisków *Prowincja człowieka* też ton nadaje nieodwołalność, bezapelacyjność sądów, ale z retoryczną emfazą ćwiczeń intelektualnych i literackich, którym brak wewnętrznego pokrycia. Canetti „nienawidzi śmierci” i uważa swoją nienawiść za wystarczający tytuł do występowania w roli nieubłaganego sędziego. Nie lubię w aforyzmach wyroków bez przewodu sądowego, do tego mają prawo tylko dotknięci śmiertelną chorobą nienawiści do życia.



Ładny jest *Ocalony język* Canettiego, pamiętnik z okresu dzieciństwa i wczesnej młodości. Ale laur nowego „noblisty” opiera się na dwóch okazalszych tomach: pierwszym jest studium „polihistora” i socjologa *Masa i władza*, którego nie znam; drugim powieść *Auto da fé*, którą w tych dniach próbowałem przeczytać, dając po stu stronicach za wygraną. Wydawca informuje, że „arcydzieło” wyszło w Wiedniu w roku 1935, miało jedną recenzję, zostało pochwalone (prawdopodobnie w listach do autora) przez Tomasza Manna i Musila, po czym na wiele lat „wpadło jak kamień do głębokiej wody”. Po zeszytowej nagrodzie Nobla nie wypada Polakowi wybrzydzać się na szwedzkich jurorów, niechże więc ten kamień schnie odład spokojnie w słońcu sławy.

3 listopada

Andras Hegedus był premierem rządu węgierskiego w chwili wybuchu powstania w Budapeszcie. W przeddzień inwazji sowieckiej wywieziono go wraz z innymi notablami rządowymi i partyjnymi do Moskwy. Spędził tam dwa lata. Wrócił do Budapesztu jako „marksista krytyczny” i objął dyrekcję Instytutu Socjologii. W roku 1972 usunięto go z partii i z Instytutu, uznawszy widać że przebrał miarę w swoim „marksizmie krytycznym”. Publikuje za granicą, ukończył właśnie studium porównawcze Węgry 1956 - Polska 1980, które ma się wkrótce ukazać we Włoszech. Dziennikarz włoski przeprowadził z nim w Budapeszcie wywiad na tematy polskie. Warto posłuchać obserwatora o takich poglądach i o takim stażu.

Jest optymistą, nie bierze i nigdy nie brał w rachubę sowieckiej interwencji zbrojnej w Polsce, liczy się tylko z „ryzykiem wojny domowej”. Ryzyko zmniejszyło się teraz, gdy osłabiona partia zwarła szeregi pod wodzą Jaruzelskiego, a Wałęsa wygrał zjazd „Solidarności”. W Polsce realizowana jest ideologia „kompromisu historycznego”, ideologia „kierowniczej roli partii w społeczeństwie pluralistycznym”; innymi słowy, budowany jest „trzeci, polski model socjalizmu, różny od sowieckiego i jugosłowiańskiego”. Władza „socjalistyczna” znalazła się w opałach nie na skutek wybuchu rewolucyjnego, lecz zderzywszy się gwałtowniej ze swym starym antagonistą Kościołem (skoro „Solidarność” to przecież „w gruncie rzeczy Kościół”); musi zatem rozładować zaostrzony konflikt za pomocą „kompromisu historycznego”, aż zdoła znowu usadzić się w siodle. Ze „społeczeństwa pluralistycznego” zostaje tu w praktyce nowa, rozszerzona i pogłębiona, forma koegzystencji ustroju z Kościołem. Widmo wojny domowej podtrzymują „elementy radykalne” po obu stronach, w partii i w „Solidarności”.

Wywód dość księżycowy, ale zasługujący na odnotowanie, gdyż analogicznie (podejrzewam) rozumuje w Warszawie wielu dawnych towarzyszy partyjnych Hegedusa. Tymczasem w Polsce, w rok przeszło po rewolucji sierpniowej, istnieją politycznie dwa dylematy. Jeden stoi przed rządzącymi: zachować partię starego typu za cenę „przekształcenia jej w szczególnego rodzaju zbiorowego monarchę konstytucyjnego” (jak to trafnie określił Aleksander Smolar w *Aneksie*), z pozorami tylko władzy, czy puścić ją na mętne i zdradliwe flukty demokracji. Drugi przed rządzonymi: przyjąć założenie Wałęsy że „przeciwnik jest mocny”, wraz z niebezpieczeństwem że nadmierna ustepliwość przeniesie stopniowo konflikty do samej „Solidarności” (o czym marzy władza), czy stanąć na stanowisku jego słabości i pilnować przede wszystkim własnej siły, okopując ogromne zdobycze jednego zaledwie roku. Dużo zdaje się wskazywać na to, że tezę o „mocnym przeciwniku” podziela Kościół.

6 listopada

W dzisiejszych gazetach huczy od depesz i artykułów o rozmowie Jaruzelski - Głomp - Wałęsa: „historyczne spotkanie”, „historyczny zwrot”; i, rzecz jasna, „historyczny kompromis”. W rzeczywistości chodzi tylko o trzymiesięczne zawieszenie broni, zażyrowane przez Kościół. Jeżeli jednak po upływie tego terminu okaże się, że zawieszenie broni nie ruszyło z miejsca konkretnych spraw reformy gospodarczej, samorządu, kontroli społecz-

nej i dostępu do środków masowego przekazu, oraz że pozwoliło znowu władzy zyskać trochę na czasie w wojnie na znużenie, dylemat „Solidarności” odnośnie siły czy słabości przeciwnika wyjaśni się pod jednym względem: w każdym razie nieco silniejszą, niż przed spotkaniem „wielkiej trójki”.

12 listopada

Historia którą usłyszałem dziś od F. mogłaby być tematem do opowiadania. Zdarzyła się przed paru laty w Palermo. W mieście zjawił się niewidomy żebrak, nieznan dotąd, przybyły ponoć z „kontynentu”. Mężczyzna w średnim wieku, postawny, schludnie ubrany, z wizerunkiem jakiegoś świętego na piersiach i napisem *Cieco*. Pod obrazem miał przytroczoną do pasa sakiewkę na datki. Prowadzony przez psa, obstukując ziemię białym kijem, zmieniał często miejsce; widywano go codziennie w innej dzielnicy, głównie pod kościołami. Nie mówił nic poza słowem *Grazie*, gdy do sakiewki wpadała moneta. Którejś jesiennej nocy zastrzelono go i jego psa z przejeżdżającego na pełnym gazie samochodu. Co było powodem zbrodni? Komu się naraził? Kim w ogóle był? Śledztwo utknęło szybko na martwym punkcie. Dopiero po roku zagadka wyjaśniła się częściowo. W swoich wędrówkach wylądował koło nieużywanego od dawna kościoła, naprzeciw domu który służył do schadzek grupie terrorystów. Podejrzewali że jest przebrany za ślepego żebraka agentem policji, obserwowali go z okna przez dwa wieczory. Trzeciego zerwał się porywisty wiatr: widzieli z okna jak pies szarpie się na sznurze, a jego pan stoi nieporuszony. Był to niezbity dla nich dowód ślepoty udawanej: wiadomo że wiatr wprawia ślepców w niepoohamowany popłoch, czują się zagubieni i osaczeni. Policja zrekonstruowała zbrodnię na podstawie zeznań jednego z aresztowanych terrorystów (który, nawiasem mówiąc, dowiedział się przypadkowo wkrótce po zbrodni że zamordowany był rzeczywiście ślepcem; natomiast nie miała wcale tej pewności policja, zaprzeczając równocześnie jakoby był jej agentem lub konfidentem).

Jak takie opowiadanie należałoby zatytułować? *Wiatr? Czy Niewidomy w Palermo?* A może *Pan i pies?*

15 listopada

Isaiah Berlin zamyka swój esej o Sorelu świadectwem Daniela Halévy. W dziesięć lat po śmierci Sorela, czyli w roku 1932,

dyrektor Biblioteki Narodowej w Paryżu przyszedł do Daniela Halévy z „dziwną historią”. Spotkał mianowicie na jakimś przyjęciu ambasadora Włoch faszystowskich, który wśród ubolewań nad opłakanym stanem grobu Sorela zaofiarował w imieniu swego rządu wystawienie pomnika „wybitnemu myślicielowi”. Wkrótce potem ambasador sowiecki w Paryżu zwrócił się do niego z ramienia swego rządu z podobną propozycją. Halévy, po wysłuchaniu „dziwnej historii”, obiecał że przekaże obie oferty rodzinie Sorela. Na odpowiedź czekał długo. Otrzymał wreszcie szorstki i oschły list odmowny, podkreślający z naciskiem że stan grobu Sorela jest prywatną sprawą jego rodziny i nikogo poza nią nie powinien obchodzić. Odetchnął z ulgą.

Nic w tym w zasadzie „dziwnego”, Kołakowski kończy swój rozdział o Sorelu w *Głównych nurtach marksizmu* stwierdzeniem, że „losy jego idei ujawniają zbieżność skrajnych form prawicowego i lewicowego radykalizmu”; więcej — przypomina że autor *Rozważań o przemocy*, mając „nader słabe wyobrażenie o leninowskiej doktrynie, wielbił Lenina jako zwiastuna Wielkiego Zniszczenia i wielbił Mussoliniego z tego samego stanowiska”. Naturalne zatem, że systemy stworzone przez obu „zwiastunów” zapragnęły nagle uczcić zmarłego, wybitnego „wielbiciela”; nie byłoby nawet niespodzianką, gdyby koincydencja w czasie okazała się „ideologiczną” rywalizacją na cmentarzu, skoro ambasador włoski występował jako przedstawiciel rządu „antykomunistycznego”, a ambasador sowiecki jako przedstawiciel rządu „antyfaszystowskiego”. A jednak epizod opowiedziany przez Daniela Halévy ma swoją wymowę. I może nie dlatego tylko, że stanowi tak jaskrawą ilustrację mistyfikacyjnej wykładni „wielkich konfliktów ideologicznych” naszego stulecia.

Konflikt, prawdziwy konflikt, jest wyłącznie jeden: między uznaniem samoistnej wartości człowieka i jej przekreśleniem (obojętne czy z lewa czy z prawa, na czerwono, na brunatno czy na czarno). Hiszpańska wojna domowa uchodzi za poligon zbrojny konfrontacji „ideologicznej”. W roku 1938 wyszły *Wielkie cmentarze* prawicowego Bernanosa, akt oskarżenia przeciw okrucieństwu frankistów. Simone Weil, lewicowa uczestniczka wojny hiszpańskiej, napisała do niego list o analogicznych okrucieństwach republikanów; co ją najbardziej zmroziło, to beztróski ton w jakim jej towarzysze, szanowani przez nią ludzie, opowiadali sobie nawzajem z chichotem przy szklance wina o swoich krwawych wyczynach. Wyciągnęła z tego wnioski, że po obu stronach każdy człowiek zaszeregowany jako wróg stawał się automatycznie i raz na zawsze czymś bezwartościowym, godnym jedynie śmierci. Grozą przejmowała ją, w tej walce pod różnymi sztandarami ideowymi, antyludzka wspólnota walczących.

19 listopada

Z Agrygentu droga prowadzi w dół ku Dolinie Świątyń, potem biegnie wzdłuż morza do odległego o kilka kilometrów Porto Empedocle. Przed wjazdem do Porto Empedocle ślepe odgaęzienie ucieka w bok, w stronę brzegu morskiego, gdzie znajduje się dom w którym urodził się i po śmierci spoczął Pirandello (prochy zamknięte w jego ulubionej amforze greckiej). Dom nad morzem nazwał Pirandello *Villa del Chaos*, przedstawiając dwie końcowe litery w dawnej nazwie *Villa del Caso*. Może bawiło go i zastanawiało tak bliskie pokrewieństwo leksykalne Chaosu i Przypadku, motywów przeplatających się wciąż w jego twórczości.

Na wielkiej i kapryśnej giełdzie literackiej świata Pirandello należy, jeśli nie liczy samych Włoch, do „noblistów” trochę zapomnianych. Niesłusznie. Był pisarzem mądrym — po sycylijsku mądrym, z podskórnym greckim poczuciem tragizmu — i nie przestaje dziś przemawiać żywym głosem do tych, co mają ochotę słuchać go dalej na przekór zmiennym gustom i modom.

„Gdyż życie, ze wszystkimi swoimi beczelnymi absurdami, małymi i dużymi, których jest pełne, posiada drogocenny przywilej nic-sobie-nie robienia z owego arcygłupiego prawdopodobieństwa, któremu sztuka czuje się w obowiązku okazywać posłuszeństwo. Absurdy życia nie muszą wydawać się prawdopodobne, bo są prawdziwe. W przeciwieństwie do absurdów sztuki, które muszą być prawdopodobne, jeśli mają być uznane za prawdziwe. A skoro prawdopodobne, to już nie absurdy. Zdarzenie z życia może być absurdalne; dzieło sztuki, jeśli jest dziełem sztuki, nie”. W posłowie do drugiego wydania *Nieboszczyka Mateusza Pascala* Pirandello drwił tak z krytyków, którzy obruszyli się na „absurdalne nieprawdopodobieństwo” powieści. Jej bohater zostaje w rodzinnym miasteczku pochowany uroczyscie na cmentarzu po znalezieniu przez mieszkańców nierozpoznawalnych zwłok samobójcy-topielca. Z dała od rodzinnych stron i rodzinnych powikłań wpada na pomysł zbudowania sobie innej osobowości: zmienia nazwisko i twarz, usiłuje zniszczyć własną tożsamość i amputować swoją pamięć. Na próżno. Pokonany przez tożsamość i pamięć, cienie które chciał pokonać, porzuca w Rzymie ukochaną i zakochaną w nim dziewczynę i wraca do domu. Samotny (w międzyczasie jego żona wyszła za mąż), lubi odtąd w nudzie prowincjonalnej egzystencji zaglądać na cmentarz i melancholijnie medytować przed nagrobkiem, wynoszącym pod niebiosa jego „szlachetne

serce i otwartą duszę". Uważa się za „nieboszczyka Mateusza Pascala”.

Cóż tu „absurdalnie nieprawdopodobnego”? W roku 1927, w przeszło dwadzieścia lat po ukazaniu się powieści Pirandella, zelektryzował całe Włochy, dzieląc je na dwa obozy, wypadek tak zwanego *smemorato di Collegno*, mężczyzny około pięćdziesiątki dotkniętego całkowitą amnezją (w świeżo wydanej książeczce *Teatr pamięci* Leonardo Sciascia rekonstruuje ten wypadek świetnie). Przychwycono go w Turynie na gorącym uczynku kradzieży i osadzono w zakładzie dla chorych umysłowo w Collegno. Gdy ogłoszono w gazecie jego fotografię z pytaniem „Kto go widział, kto go zna?”, odezwała się z Werony pewna pani, matka dwojga dzieci, żona profesora który zaginął (ale nie wiadomo czy zginął) na froncie w roku 1916. Nie miała wątpliwości: *smemorato di Collegno* był jej cudownie odnalezionym mężem. Także *smemorato* odzyskiwał stopniowo szczątki pamięci w roli profesora oraz męża i ojca przywróconego rodzinie. Był zaś w rzeczywistości, jak wykazały dalsze dochodzenia i procesy w kilku instancjach, drukarzem z zawodu i złodziejaszkiem z natury, który w amnezji szukał przypuszczalnie ucieczki przed odsiedzeniem starych wyroków z zawieszeniem. Na nic się nie zdały dowody i zeznania świadków: „profesor” z uporem twierdził że jest „profesorem”, odwdowiła profesorka broniła jak lwica jego tożsamości z pomocą krewnych i przyjaciół. Rodzina powiększyła się o dwoje dalszych dzieci i wyemigrowała do Argentyny, by uniknąć prawnych i innych chmur na niebie odbudowanego z takim trudem szczęścia.

Ciekawe że w roku 1930 Pirandello wykorzystał ten wypadek w komedii, która była w jakimś sensie postawieniem na głowie „nieboszczyka Mateusza Pascala”. Jej morał tkwił w okrzyku: „Żadne dowody przeciw nie działają, kiedy się chce wierzyć!”. Jest i dla tego okrzyku miejsce u pisarza, który urodził się w *Villa del Caso*, a ziemską wędrówkę zakończył w *Villa del Caos*; który rozmyślał zawsze o krętych ścieżkach ludzkiej tożsamości i pamięci, uśmiechał się ironicznie na widok „prawdziwych” absurdów życia w poszukiwaniu autora zdolnego nadać im cechy „prawdopodobieństwa” w sztuce.

21 listopada

W szkicu Brońskiego o Koestlerze brak kilku choćby zdań o jego najambitniejszej (obok *Ciemności w południe*) powieści *The Age of Longing*. Ukazała się w roku 1951. Była kiczowata, zgoda — kassandryczny *Grand Guignol* a raczej komiks — co

jednak nie oznacza że nie warta uwagi. Bez niej portret Koestlera byłby niepełny. A także portret ex-komunisty na Zachodzie, lub przynajmniej pewnej jego odmiany z lat bezpośrednio wojennych.

Wydana i chyba napisana po Roku 1984 Orwella, też wbiegała w przyszłość. Lecz znacznie zbliższą, do połowy szóstej dekady naszego wieku. Paryż w przededniu potopu, pod naporem wezbranych wód komunizmu zaczynają już trzeszczeć i pękać zmurszałe tamy samoobronne Zachodu. „Wiek tęsknoty” jest trójczłonowy. Paryska śmietanka intelektualna w kompletnym rozkładzie, w zaduchu gnijącego liberalizmu zachodniego, z jedyną dewizą *après nous le déluge*. Na antypodach Wschód w osobie Fiedi Nikitina, attaché kulturalnego ambasady sowieckiej w Paryżu, fanatycznego apostoła „nowej wiary”, którego głównym w służbie dyplomatyczno-kulturalnej zadaniem jest sporządzenie listy paryskich luminarzy-zgniłków przeznaczonych na „rozwałkę” po wkroczeniu zwycięskiej Armii Czerwonej. Po środku „nieme Kassandry”, ludzie szlachetni ale bezsilni, wśród nich *implicite* sam Koestler. Nieme? Ano tak: „Mitologia grecka jest pełna okropności, Grecy jednak zapomnieli wynaleźć najgorszą: Kassandra oniemiała w krytycznej chwili; słyszy ona swój własny krzyk ostrzegawczy, ale słyszy go tylko sama; z jej ust nie dobywa się żaden dźwięk”. Po Paryżu tuż tuż przed potopem pętają się dodatkowo rozmaici emigranci. Na przykład nasz rodak, hrabia Borys, który stracił na zesłaniu w Rosji żonę i córeczkę, i dostaje w obliczu ślepoty Zachodu szczególnego obłędu: domaga się ukrzyżowania Stalina-Antychrysta do góry nogami i jak hinduski joga ćwiczy się całymi dniami w sztuce niewidzialności, by przeniknąć za mury Kremla i jednym celnym strzałem rozluźnić uścisk Szatana na gardle ludzkości. Albo pisarz sowiecki Leontiew, który wybiera w Paryżu wolność i zadreca się bezowocnymi próbami napisania „jedynej uczciwej książki życia”, przywiedziony na skraj rozpacz obrazem Zachodu tak straszliwie niepodobnym do wyidealizowanych marzeń z daleka.

W tym scenariuszu ostatnich dni Pompei musi wszakże tlić się „tęsknota”, skoro taki jest tytuł „mojego wieku” Koestlera. Wyraża ją młoda Amerykanka Hyde, kochanka Fiedi Nikitina: „Komuniści posiadają jednak wiarę, choćby nawet byli w błędzie. Być może wierzą w miraż, ale czy nie lepiej wierzyć w miraż, niż nie wierzyć w nic?”. Sęk w tym że „wyłonienie się nowej religii, nowej lojalności kosmicznej”, musi iść w parze z „doktryną możliwą do przyjęcia dla człowieka XX wieku”. Również jeden z rodowitych zgniłków paryskich wdycha: „Ach, gdybyż zamiast brzoskwiń w puszkach i dział przeciwzołgowych Ameryka mogła nam przysłać jakieś nowe objawienie...”.

Oddawszy co im się należy „nowemu objawieniu”, „nowej wierze”, „nowej religii” i „nowej lojalności kosmicznej”, trudno nie dostrzec że naprawdę znamienna dla Koestlera w tej powieści, i dla wielu ex-komunistów owych lat, jest niemożność całkowitego wydobycia się z urzeczzenia siłą. Zdradza to w *Wieku tęsknoty* śmieszna, niestety bez poczucia śmieszności u autora, metaforyka seksualna potencji i impotencji. Biedna, spragniona „nowej wiary” Hydie „nie miała nigdy kochanka tak prymitywnego i nieuważnego jak Fiedia... Był pierwszym, który dał jej zakosztować smaku absolutnego spełnienia. Jej były, angielski mąż uprawiał miłość jak ptak: dziobnięcie, trzepot skrzydełek, i po wszystkim. Odwrotnie Fiedia: z nim czuła się jak najechana przez pędzący express”. A biedny Leontiew przesiaduje codziennie godzinami w paryskim hotelu i z uczuciem rozpaczliwej niemocy gładzi połyskujący papier welinowy, na którym nie potrafił dotąd napisać dosłownie nic poza własnym nazwiskiem i tytułem zaproponowanym przez amerykańskiego wydawcę; to ciągłe gładzenie kojarzy mu się obsesyjnie z fiaskiem seksualnym chłopięcej, inauguracyjnej wyprawy do burdelu.

Tam, na Wschodzie, jest siła; brutalna, chamska, ale SIŁA; niewołająca umysły w imię „nowej łże-wiary”, ale co w końcu ma jej do przeciwstawienia podgniły, podmywany falami potopu, liberalizm Zachodu prócz najgorszej okropności o jakiej nie śniło się nawet Grekom?

22 listopada

Przypomniał mi się epizod z kongresu P.E.N. Clubów w Amsterdamie w roku 1954. Podczas przyjęcia na ratuszu w Arnhem siedziałem przy jednym stole z Arnoldem Zweigiem i jego żoną, oraz paroma jeszcze osobami. Autor *Sporu o sierżanta Griszę* popisywał się swoim kraso- a ściślej krasnomówstwem, starał się „godnie reprezentować” komunistyczną ojczyznę. Pani Zweig — grubo od niego młodsza — przyglądała mu się i przysłuchiwała w wyraźnym napięciu nerwowym, jak córka wielkiego i zramolałego już trochę ojca, drżąca bez przerwy na myśl, że ten który stał się instytucją powie jakieś nieostrożne słowo, przejęczy się, zapomni kim jest i do kogo się zwraca. Było mi jej szczerze żal. Nagle burmistrz Arnhem poprosił o ciszę, i przed mikrofonem za stołem przedziałnym wyrosła, jak wycięta z żurnalu mód dla starszych panów, elegancka sylwetka Charles Morgana, średniego pisarza angielskiego i prezesa P.E.N. Mówił zgrabnie, utoczone w europejskiej rutynie liberalizmu frazesy, i po kilku minutach wszyscy przestali go słuchać pogrążyw-

szy się na powrót w rozmowie prowadzonej szeptem. Wszyscy z wyjątkiem Zweiga. Przyłożył do ucha zwiniętą w trąbkę dłoń, przymknął oczy i z uśmiechem wzruszenia, głębokiego przejęcia na twarzy, słuchał, słuchał, jak gdyby przenosił się w zamierzchną epokę, kiedy mówił to samo i o ileż lepiej. Pani Zweig zagadnęła go o coś z niepokojem, a on oderwał od ucha trąbkę dłoni i położył palec na ustach, jak człowiek który nie chce być przebudzony z transu. Na sali ratusza w Arnhem może tylko jeden pisarz słuchał wielkich słów, obtańcowywanych gładko przez Morgana, z uwagą i zapartym tchem: członek delegacji NRD Arnold Zweig. Jaką w nim budził tęsknotę nasz mandelsztamowski „wilczy wiek”?

26 listopada

W 1981 „malarzem roku” jest tu Antonello da Messina, dzięki wielkiej wystawie w rodzinnym mieście. O wyjeździe do Messyny nie ma mowy, trzeba się zadowolić przeglądaniem albumów i reprodukcji. Umarł w maju 1479 roku, testament dyktował notariuszowi w lutym: „Ja, mistrz Antonello malarz, chory obłożnie lecz z łaski Boga zdrowy na umyśle... pragnę by moje zwłoki pochowano w klasztorze *Santa Maria del Gesù* w habicie tego zakonu”. Klasztor był franciszkański, zwany potocznie *Il Ritiro*. Cmentarz klasztorny pochłonęła powódź w roku 1863.

Antonello należy do moich ulubionych malarzy. Wspomniałem już o nim kiedyś w dzienniku, podziwiając jego trzy *Ecce Homo*, wzór osławionego „obiektywizmu” sycylijskiego mistrza, wizerunek Chrystusa odartego z boskości i wyłącznie ludzkiego, studium fizycznego bólu i cierpienia bez nadprzyrodzonej aury męczeństwa. Teraz coś podobnego — ba, więcej nawet — widzę w jego trzech *Ukrzyżowaniach* z Bukaresztu, Antwerpii i Londynu. Nazwać te trzy sceny prawie pogodnymi byłoby naturalnie przesadą, ale używam takiego określenia celowo, by powiedzieć jak daleko posunął się Antonello w swojej wizji *zwykłości* Ukrzyżowania. W dwóch pierwszych może to być kwestia zestrojenia tła — Zatoki Messyńskiej — z oddramatyzowaną świadomością twarzą Chrystusa i bardzo konwencjonalnymi figurami kobiet płaczących tak, jak oplakuje się zmarłego nie wychodząc poza smutną rezygnację, spokojną akceptację losu; w trzecim jednak, skomponowanym geometrycznie z siłą emblematu — i gdzie tłem jest chyba wyimaginowana Jerozolima — efekt uzwyklenia męki wydaje się zamierzony, jakby Antonello chciał poprzez Ukrzyżowanie ukazać skrót powszedniej doli człowieczej.

Pasuje do tego motyw obojętności świata w dreźnieńskim Świętym Sebastianie, mniej tajemniczy, mniej zatem olśniewający, niż w *Biczowaniu* Piera. Co Piero zamknął w wielościennym kryształ, Antonello wyraził wprost. Historycy sztuki łączą czasem obu malarzy, ale nie wiem czy istnieje zestawienie Świętego Sebastiana z *Biczowaniem*; albo czy postać śpiącego, na drugim planie obrazu męczennika, przypomniła komuś śpiących żołnierzy w *Zmartwychwstaniu* Piera.

29 listopada

Gruby pakiet zaległych tygodników warszawskich, głównie *Polityki* i *Kultury*, wertowałem dziś pół dnia. Taka końska doza, zaaplikowana jednorazowo, pozwala lepiej uchwycić *trend* w obozie szeroko pojętej władzy w defensywie, blisko jej centrum (jeżeli jeszcze przetrwało) i na pozycjach flankujących. Doświadczenie pouczające, jakiego nie daje lektura z tygodnia na tydzień.

Plus tego *trendu* jest jeden i rzuca się natychmiast w oczy. Partyjny przewrót w październiku 1956 umożliwił pozbycie się gorsetów, pozwolił wykrzyczeć się i wygadać, ale w ramach układu wciąż zamkniętego i instytucjonalnie sztywnego. Społeczna i narodowa rewolucja w sierpniu 1980 rozbiła ów układ tak radykalnie, tak głęboko i na przestrzał go otworzyła, że z powszechnego zac zadzenia wychodzą chcąc nie chcąc, prócz zac zadzonych, także ci co ich przez lata zac zadzali. Nie o zrzuconych gorsetach i wykrzyczeniu się należy obecnie mówić, lecz o grze w otwarte karty w powietrzu oczyszczonym z czadu. Niezależnie od tego jak się w przyszłości potoczą wypadki, niewątpliwy i trwały zapewne postęp oznacza posunięta dość daleko w niektórych rejonach władzy eliminacja różnych tabu, tematów zakazanych czy omijanych, zaszyfrowanych peryfraz, napomknień, aluzji. Mówi się nareszcie ludzkim językiem, dyskutuje niemal bez obsłonek o „narodzinach i zgonie polskiego października”, stawia śmiało pytanie: „Wojna domowa?”. W dyskusji o październiku wytyka się partii opór przeciw instytucjonalizacji zmian („nacisk społeczny był widocznie zbyt słaby”), w okrągłym stole na temat groźby wojny domowej wyznaje się szczerze, że partii trudno przejść od „monopolu władzy” do „partnerstwa”, gdyż nie wiadomo „kiedy rezygnacja z monopolistycznej pozycji przechodzi w stopniowe trwanie władzy”. Oto sedno sprawy, o którym wspominałem w poprzednich zapisach dziennika: po sierpniu, gdy o „nacisku społecznym” da się powiedzieć wszystko z wyjątkiem tego że jest „zbyt słaby”, partia broni się przed uznaniem go za coś więcej niż ciężki kryzys, za powszechną i bezkrwawą rewo-

lucję, w obawie stopniowego ześlizgu od monopolu do faktycznej choć nie nominalnej utraty władzy. Jak więc wyegzorcyzmować widmo wojny domowej, nie przyjmując do wiadomości rewolucyjnego charakteru polskiego sierpnia? Innym widmem, prezentując je jako nieuchronną konsekwencję działania „Solidarności”.

W Prado wisi niewielki obraz Goyi *Panico y Caos*: ogromne i ciemne widmo o ludzkich kształtach ściga przerażony i rozsypany w popłochu tłum. Ten motyw zdaje się być powtarzany jak refren ostrzeżeniem władzy przed „szaleństwami i ekscesami polskiego sierpnia”. Z formułą w podtekście: „Gdy rozum śpi, budzą się upiory”. I z łatwą do odgadnięcia implikacją kto reprezentuje „rozum”, a kto „upiory”. W modzie jest słowo „racjonalizm”, które coraz częściej wypiera słowa „socjalizm” i „komunizm”. W latach stalinizmu Mandelsztam bąknął któregoś dnia do żony po przeczytaniu mowy Stalina o „nowym humanizmie sowieckim”: „Nie wiedzieliśmy, że jesteśmy w łapach humanistów”. Polacy dowiadują się dziś, że byli i są rządzani przez „racjonalistów”.

W parze z „racjonalizmem” idzie bardziej przekonujący atrybut: partia jako coś w rodzaju „syndyka masy upadłości geopolitycznej”. Ten atrybut (określany również jako „patriotyczna misja jedyne gwaranta”) można partii oddać chwilowo na wyłączną własność, nie podejmując z nią „geopolitycznej” konkurencji i nie składając pośpiesznych ofert „współgwarancji”. Każdemu co mu się należy i co do niego należy; nawet tak rewolucyjny rok jest za krótkim okresem w obrotach historii.

3 grudnia

Literatura emigracyjna weszła do kraju. Nie mówiąc już o Miłoszu (który zresztą po Noblu odegrał tu pomocniczą rolę łamacza lodów), nasze książki ukazują się w wydawnictwach „drugiego obiegu”, mniej „trefne” przenikają do programów wydawnictw oficjalnych, twórczość pisarzy emigracyjnych omawia się w tygodnikach i miesięcznikach, niedawno nawet poświęcono jej trzydniową sesję publiczną Instytutu Badań Literackich. Przysłał mi z Warszawy numer paxowskich *Kierunków* z 22 listopada mógłby świadczyć, że cenzura naraz lekko — i komicznie — zeszytniała. W dyskusji o literaturze emigracyjnej nazwiska pisarzy wolno dalej wymieniać bez ograniczeń, ale w wypadku tytułów ich niektórych książek w ruch idą nożyce i po wielokropku otwiera się groźny nawias: (Dz.U. nr 20/1981, poz. 99, art. 2, pkt. 3 i 6). I tak, dla przykładu, autor *Piekła* Conrada Michał Komar ma prawo mówić o mnie i o jednej z moich książek, nie

ma jednak prawa podać jej tytułu *Inny Świat*. Dawniej było na odwrót: pokazano mi kiedyś wydane w Polsce wspomnienia pani Kisterowej z „Roju” i *Roy Publishers*, w których polsko-amerykańska dyrektorsza z dumą obwieszczała że udało jej się wydać książkę anonimowego autora *A World Apart* z przedmową Bertranda Russella... U pani Kisterowej *Inny Świat* został pozbawiony autora, u Michała Komara (bez jego winy) autor został pozbawiony *Innego Świata*. A przecież w międzyczasie drukowano w cenzurowanej prasie krajowej normalne artykuły Wojciecha Karpińskiego, Krzysztofa Dybciaka, Ryszarda K. Przybylskiego. W *Kierunkach* cenzura znowu wierzgnęła i ryknęła, tyle że na inny „manier” i na inną nutę.

„Zdarzenie błahe na pozór, nie warte aż poematu”. Warte, warte, dlatego się nim tutaj zajmuję, nie zważając że dotyczy mnie osobiście. W tej samej dyskusji w *Kierunkach* Jerzy Łojek rozumnie stawia sprawę owego groźnego nawiasu nożycowego cenzury: „Niesłuszne jest podciąganie pod pojęcie 'godzenia w sojusze' np. problemów tragicznej historii Polaków w Związku Radzieckim w czasie ostatniej wojny i rozmaitych dramatycznych aspektów historii stosunków polsko-rosyjskich w tamtym okresie... Wydaje mi się, że nasz Wielki Sąsiad tymi sprawami Polaków znacznie mniej się przejmuję niż nasi decydenci, którzy niekiedy jakby chcieli specjalnie zwracać uwagę Wielkiemu Sąsiadowi, że coś niedobrego w Polsce się dzieje”. Szkopuł w tym (i nie tylko w takich drobiazgach jak opisany), że nasz Wielki Sąsiad ma do czynienia w osobach władców peerelowskich z sąsiadem karłowatym.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Pod anteną

Pod koniec sierpnia 1979 roku, po 27 latach pracy w *Radio Free Europe*, żegnano mnie tradycyjną lampką wina. Ta swego rodzaju stypa mogła się odbyć sześć miesięcy wcześniej, jako że już wtedy dojrzałem do emerytury, ale za obopólną zgodą i ku obopólnej wygodzie — mojej ze względu na finanse, dyrekcji RFE w płońskiej, jak się później okazało, nadziei, że w ciągu owych sześciu miesięcy znajdzie się odpowiednio kwalifikowany kandydat na moje miejsce — przedłużono mi okres pracy do końca sierpnia.

W ciągu poprzednich dziesięciu lat odeszło na emeryturę tylu pracowników RFE, że owe pożegnania spowszedniały, przesiąkły sztafpą, nieodłącznymi rekwizytami której była wpierw składka na prezent i podpisy na pożegnalnej laurce, po czym sama „stypa” z zawsze pochwalnym (*de mortuis...?*) przemówieniem szefa(-ów) i nacechowanym przesadną skromnością podziękowaniem delikwenta. Chciałem uniknąć podobnego przemienienia przez pożegnalną maszynkę i zaraz na początku sierpnia zastrzegłem sobie: „żadna składka na biednego dziadka”, więc niech tam „na górze” nie próbują wypisywać mi laurki. Ci „na górze” to był polski zespół rozgłośni, ten „na antenie”, już bardzo inny od tego, jaki zastałem w 1952 roku, przetrzebiony zgonami i emeryturami i mocno naszpikowany „tymi z PRL-u”, którzy — co tu komu kadzić, ale i nie lekceważąc szlachetnych wyjątków — inne mają podejście do takich imponderabiliów jak ambicja dobrej roboty, obowiązkowość, punktualność i tym podobne przesady. Tak więc nie chciałem być zobowiązany wobec ludzi, których albo mało albo wcale nie znałem, jak i wobec niektórych „starych”, o których wiedziałem, że mi szczególnie przyjaźni nie są.

Chociaż udało mi się uniknąć laurki od tych „z góry”, moja

„góra”, czyli amerykańska dyrekcja działu studiów i analiz (*Research and Analysis Department*), jakiej bezpośrednio podlegałem, orzekła *nothing doing*, czyli szkoda gadać, laurka i prezent już w robocie, nie wymigasz się. Tak więc na mym pożegnaniu przeważało międzynarodowe towarzystwo, co mam udokumentowane na laurce, którą, poza szesnaściorciem przedstawicieli dziesięciu innych narodowości, podpisało dziewięcioro Amerykanów i jedenaścioro Polaków, wśród których siedmioro z mojej sekcji, a więc tych „z dołu”, czyli „spod anteny”, troje z innych — też nie-antenowych działów — i tylko jeden „antenowy”, Tadeusz Chciuk-Celt, którego podpis znalazł się na laurce w wyniku powiązań rodzinnych, jako że jego żona Ewa była moją zastępczynią. Przemówienia pożegnalne odbiegały o tyle od sztampy, że nie ograniczały się do pochwał. Wprawdzie Herbert E. Reed, dyrektor działu, raczej chwalił, podkreślając, że w kwiecie wieku lat 63 zrobiłem magisterium nauk politycznych, jak też rozległy wachlarz mych zainteresowań — osobiście uważam, że to kłeska, bo czy nie lepiej skupić się na jednym przedmiocie? — ale James F. Brown, świeżo podówczas upieczony dyrektor RFE, a uprzednio mój bezpośredni szef, nie szczędząc uznania, nie omieszkął nadmienić, że do pokornych nie należałem („*he wasn't an easy man*”), za co mu jestem szczerze wdzięczny, bo to jednak cenny komplement. Podobnie zresztą cenię sobie pisemną „ostrą naganę”, jaką poczęstowała mnie dyrekcja wiele lat przedtem, również za to, że nie byłem pokorny.

Nie należy więc się dziwić, że w mym pożegnalnym przemówieniu nie było podziękowań, choć Bogiem a prawdą pracę w RFE mile wspominam, dała mi wiele zawodowej satysfakcji, a i na mych szefów narzekać nie mogę, nie zdziwiłbym się natomiast, gdybym się dowiedział, że po mym odejściu odetchnęli z ulgą, pozbywszy się wprawdzie jednego z „najbardziej wartościowych” (mam to na piśmie), ale też równie „trudnych” pracowników.

By pozostać wiernym tradycji i owej o mnie opinii, nie zaniedbałem w swym łabędzim śpiewie przytyku-wymówki na temat linii politycznej stacji. Moja „stypa” miała miejsce w *C. D. Jackson Room*, czyli sali konferencyjnej poświęconej pamięci jednego z założycieli RFE, co mi ułatwiło wspomnienie, iż w czerwcu 1951 roku napisałem do owego Jacksona, podówczas prezesa *National Committee for a Free Europe* w Nowym Jorku, z zapytaniem, czy nie zechciałby skorzystać z mych usług w wojnie psychologicznej przeciw ZSSR, jako że mam pewne doświadczenie w tej dziedzinie. „Jestem przekonany”, mówiłem w 28 lat później, „że gdybym podobną ofertę złożył dziś, zostałaby odrzucona”. Uwagę tę przyjęto typowym anglosaskim *stony silence*,

czyli lodowato, ale wszyscy wiedzieli o co chodzi. Bo w 1979 roku królowała niepodzielnie od wielu już lat *Święta Detenta*, a coś takiego jak wojna psychologiczna przeciw tak pokojowo usposobionej i szanowanej instytucji jak ZSSR, a już broń Boże antykomunizm, było bardzo fe, więc lepiej się do tego — zwłaszcza w RFE — nie przyznawać.

I pomyśleć, że ja w liście do Jacksona... Tak, ale to były inne czasy: późniejszy pomazaniec *Świętej Detenty* Henry A. Kissinger zaledwie raczkował w polityce i to raczej platonicznie. Więc nie odrzucono mej oferty, choć powoływałem się na mą antybolszewicką przeszłość, wpieryw w Biurze Dokumentów, potem w Biurze Studiów 2-go Korpusu, gdzie napisałem (wraz ze Stanisławem Starzewskim) „Sprawiedliwość sowiecką” (Rzym 1945), tudzież — już na własną rękę — *Kolyma — Gold and Forced Labor in the USSR* (Waszyngton 1949). Mało tego, powołałem się na ówczesnego papieża antykomuny Davida J. Dallina, by mógł zaświadczyć o mych kwalifikacjach prawnego i kompetentnego antykomunisty.

No, ale dość tych satyrycznych harców, bo znów się narażę na zarzut uprawiania *elephantine type of sarcasm*, jak to swego czasu określił był mój szef. A ten mój antykomunizm to też nie taki *elephantine*. Różne są komunizmy, jak np. ten kambodzjański i węgierski. Więc siłą rzeczy i antykomunizm ulega odpowiedniej modulacji.

Nie minął miesiąc, gdy powiadomiono mnie, że kopia mej oferty została przesłana do Monachium, gdzie, „jak pan zapewne wie, koncentruje się działalność Komitetu o Wolną Europę”. Pod tekstem widniał podpis: C. D. Jackson.

C. D. to Charles Douglas, ale w RFE mało kto o tym wiedział, mówiło się powszechnie C. D. Jackson, a ponieważ w fonetyce angielskiej brzmi to jak Si-Di, zdarzyło się, że dyrektor Polskiej Rozgłośni rozesłał zawiadomienie o konferencji w „*Sydney Jackson Room*”.

Musiał to być ciekawy człowiek ów Jackson, jeśli w sztabie senatora Josepha R. McCarthy'ego zaliczono go do „niebezpiecznych liberałów”¹ — co chyba zbiegło się w czasie z jego prezurską Komitetu o Wolną Europę — a równocześnie propaganda sowiecka oskarżała go o prowadzenie „dywersyjno-spiegowskiej roboty w krajach demokracji ludowej”². Snadź kariera prawnicza go nie pociągała — tytuł doktora praw uzyskał w 1924 roku — bo imał się i pisarstwa i wydawnictwa (*Time, Inc.*) i intere-

1. *Political Profiles — The Eisenhower Years, Facts on File, Inc.* N.Y. 1977.

2. *Slaviane*, April 1951.

sów, ale od 1940 roku, i chyba do śmierci w 1964 roku, jego głównym zajęciem była wojna psychologiczna, czy jak kto woli propaganda. W lecie 1940, jako założyciel i prezes *Council for American Democracy* kierował zwalczaniem amerykańskiego izolacjonizmu i psychologicznym przygotowaniem społeczeństwa do wojny, po czym był w sztabie wojsk amerykańskich w Algierii jako ekspert od wojny psychologicznej (tam poznał i zyskał przyjaźń Dwight D. Eisenhowera), następnie w tym samym charakterze w Naczelnym Dowództwie Sprzymierzonych Wojsk Ekspedycyjnych w Londynie, a po inwazji we Francji. W 1952 r. przeszedł być prezesem Komitetu o Wolną Europę (ale pozostał w zarządzie), zajął się kampanią wyborczą Eisenhowera, a w styczniu 1953 został mianowany specjalnym doradcą prezydenta do planowania zimnej wojny³. W marcu 1954 zrezygnował z tego stanowiska, co w Europie skomentowano jako przejaw „utruty przez Amerykę wiary w celowość polityki podminowania przeciwnika środkami propagandowymi i psychologicznymi... Wielkie mocarstwa są obecnie zainteresowane odprężeniem na bazie istniejącego stanu rzeczy”⁴.

Inaczej to wyglądało wtedy gdy zaczynałem pracę w RFE. W Stanach miała miejsce wielka publiczna dysputa na temat minusów polityki powstrzymania (*containment*) i plusów polityki wyzwolenia (*liberation*). John Foster Dulles, późniejszy minister spraw zagranicznych, domagał się w czasie kampanii wyborczej Eisenhowera, by Stany Zjednoczone „publicznie ogłosiły, że dążą do wyzwolenia i oczekują, że ono nastąpi”⁵. Sowiety miały być zepchnięte (*rollback*) do granic sprzed drugiej wojny światowej.

Nie mam zamiaru twierdzić, że miałem zastrzeżenia do wartości tych deklaracji i wątpię, czy wśród ówczesnych naszych pożał się Boże przywódców politycznych było wielu w tym względzie sceptyków. Dziś, po latach — ech, nie silmy się na określenie owych lat, każde będzie dobre, a żadne trafne — już bez emocji czyta się, że owa „polityka wyzwolenia została zaplanowana w pierwszym rządzie do wyrugowania demokratów (od władzy — K.Z.) w Stanach Zjednoczonych, a nie Armii Czerwonej ze Wschodniej Europy”⁶.

W ciągu pięciu miesięcy po liście C. D. Jacksona zdążyłem zapomnieć o mej ofercie. Pracowałem podówczas w londyńskiej

City, w maklerskiej firmie Lloydsa; dzięki znajomości języków dostałem się do działu reasekuracji, robota ciekawa, ale oczywiście nie to co publicystyka. Poza pracą zawodową dużo czasu zjadała mi prezesura jednego z kół SPK — przysięgam, byłem bardzo kiepskim prezesem, ale mnie wybierali, bo podobno nie mieli lepszego, a ten kogo by chcieli być już prezesem w innym kole — tudzież, bo tego też próbowałem, robota polityczna w Ruchu Młodych, takiej niewydarzonej efemerydzie dążącej do zjednoczenia powaśnionych stronnictw. Starałem się ponadto nie wychodzić z kręgu mych uprzednich zainteresowań i nawet udało mi się zamieścić w fachowej prasie angielskiej parę niezłych opracowań na tematy sowieckie. Nie nudziłem się więc i miałem prawo zapomnieć o „Wolnej Europie”. Toteż wyraźnie mnie zaskoczył — i to w samą wigilię Bożego Narodzenia — list z nagłówkiem *Radio Free Europe* w Monachium. Jan Nowak, Kierownik Sekcji Polskiej „RADIO FREE EUROPE” — tak dosłownie był podpisany ten formularz powielony na antycznym hektografie — zapraszał mnie do lokalu Związku Dziennikarzy RP w Londynie na dzień 28 grudnia, godz. 11 rano. Termin był niewygodny: normalny dzień pracy. Coś tam jednak w biurze nałgałem i poszedłem. Kim był Nowak, wtedy nie wiedziałem. Z jakiejś notatki w *Dzienniku Polskim* pamiętałem, że został szefem polskiego działu RFE, ale o tym, że to ów „Kurier z Warszawy” wtedy — idąc na rozmowę z nim — pojęcia nie miałem.

Rozmowa nasza trwała krótko. Uparłem się, że interesuje mnie praca badawcza, a nie dziennikarska, nawet jeśli jest to związane z niższym uposażeniem, wobec czego Nowak oświadczył, że to nie jego dział i moje podanie skieruje gdzie należy. Znów parę miesięcy, pomyślałem, ale już parę dni potem telegram za telegramem: a to na próbę głosu — po co, jeśli z mikrofonem nic wspólnego mieć nie chciałem? — a to na następne interview w niedzielę 6 stycznia — był to już rok 1952 — o godz. 11.20 „GRIFFITH-WIGGIN DORCHESTER HOTEL = NOWAK”.

Zjawiłem się punktualnie, portier podzwonił gdzie należy i wskazał mi wygodny fotel w hallu, czyli trzeba poczekać. Wtedy zauważyłem po drugiej stronie, również w fotelu, Kordiana Zamorskiego. Więc on też? Ten mój krewny, nie krewny? Miałem szereg razy okazję go spytać, nigdy nie spytałem. A ileż razy mnie o to pytano? Gdy na oględzinach podchorążackiego narybku — to było w 1936 roku — przyszła na mnie kolej, ryknąłem regulaminowo:

- Rekrut z cenzusem Zamorski.
- Krewny generała?
- Melduję posłusznie, że nie wiem.

3. *Special Assistant to the President for Cold War Planning*.

4. *Frankfurter Allgemeine Zeitung*, 10. 3. 1954.

5. Cytat według: John Spanier, *American Foreign Policy since World War II*, 6-te wydanie, Praeger, Nowy Jork - Waszyngton 1973, str. 102.

6. *Ibid.*, str. 103.

Major przyjrzał mi się dokładniej, chrząknął, przebiegł wzrokiem po swej świcie, ta z kolei przyjrzała mi się tak jakoś nijako, aż i mnie się zrobiło głupio. A potem, na boczku, prywatnie, usłyszałem od starszego (również wiekiem) sierżanta:

— Wycie chytry, Zamorski. „Nie wiem”. Bo jakbyście powiedzieli „tak”, to pomyśleliby: aha, protekcji szuka. I wtedy do was albo mięciutko albo w kość, bo zależy jaki generał. A jakbyście powiedzieli „nie”, to mają was w dupie. A tak to muszą ostrożnie, bo licho wie, krewny, nie krewny.

Teraz patrzyłem na starszego pana z bródką i myślałem, że jednak mam nad nim tę przewagę, że wiem kim on jest, a on nie wie kim ja jestem. Rozmyślenia przerwał pojawienie się Nowaka. Szedł szybko, prawie biegł od windy w stronę generała. Coś mu tam tłumaczył, wyraźnie przeproszał, odprowadził do wyjścia — było oczywiste, że zaszła pomyłka.

Niewiele nowego mogłem powiedzieć panom Griffithowi i Wigginowi⁷; powtórzyłem to co uprzednio powiedziałem Nowakowi. Zadali mi parę raczej zdawkowych pytań na temat tego co robię, jak mi się wiedzie. Ja z kolei wypytałem dokładniej o warunki. Na razie będę mieszkać w hotelu na koszt RFE, wkrótce — kwestia paru miesięcy — będą gotowe mieszkania w nowych blokach, tam też umieści się pracowników radia. Poza tym PX, czyli *Post Exchange*, instytucja prawie dobroczynna nie tylko dla amerykańskich żołnierzy. Korzystali z niej pracownicy amerykańskich instytucji rządowych i afiliowanych za granicą, a więc i RFE — do czasu. W owym Pi-Eksie, czy Pi-Eksach, bo tak się to fonetycznie określało, można było posilić się dosłownie za grosze i kupić tanio, bo bez cła czy akcyzy i bez „narzutu”, wszystko czego dusza pragnęła. Ważne były papierosy, tytoń i alkohol — za bezcen. Było to racjonowane, ale przydział był więcej niż wystarczający. Posiadacze karty PX, a takimi byli wszyscy pracownicy RFE spoza Niemiec, płatni byli w dolarach i mieli prawo korzystać z usług hoteli, restauracji, sklepów i warsztatów naprawczych amerykańskich, a tymi Monachium było naszpikowane, wszak trwała jeszcze okupacja. Kto do pończochy nie chował, pływał jak pączek w maśle.

Zanim jednak zaznałem tych rozkoszy, upłynęło znów pół roku. Co nie znaczy, że nic się w tym czasie nie działo. Pod koniec lutego dowiedziałem się, że interesuje się mną Mr. Harry G. Sperling z RFE w Monachium, o czym zawiadomił mnie Mr. Ronald

7. William E. Griffith, doradca polityczny stacji do 1958 roku włącznie. Potem profesor w Massachusetts Institute of Technology, Cambridge, Mass., USA. Kim był Mr. Wiggin — a może Wiggins — nie udało mi się ustalić. Widziałem go tylko raz, przy owym interview.

D. Jeancon, korespondent RFE w Londynie. (Jakkolwiek w pisowni tego nazwiska brakło *édille*, wymawiać należało pół z angielska, pół z francuska: Dżenson.) Był to młody, sympatyczny dżentelmen, który przez następne trzy miesiące pośredniczył między mną a jego bezpośrednim przełożonym, jakim był ów Mr. Sperling, *European Director of Information*. Przed podjęciem decyzji odnośnie mego zatrudnienia miałem pojechać do Monachium, dać się obejrzyć i samemu zaznajomić się z pracą, jaka mnie czekała. Ale jak się „urwać” z firmy, w której pracowałem? Bądź co bądź najmniej trzy dni. W owe czasy w City pracowało się sumiennie, objazdki nie było. Już dwa razy uprzednio zwolniono mnie wspaniałomyślnie na parę dni bez potrącania tego z zaledwie 2-tygodniowego urlopu, jaki mi przysługiwał: raz w grudniu 1950 do Paryża na proces Dawida Rousseta przeciw *l'Humanité*, gdzie zeznawałem jako świadek i rzeczoznawca zarazem; po raz drugi, w miesiąc potem, do Frankfurtu nad Menem na proces, w tym samym charakterze, b. komunistki niemieckiej Małgorzaty Buber-Neumann przeciw Emilowi Carlebachowi⁸. W obu wypadkach chodziło o zniesławienie przez niepoprawnych stalinistów autorów piszących o sowieckich obozach pracy przymusowej. Moim bezpośrednim szefem w firmie był Eric J. Watson, „równy facet”, którego lubiłem i szanowałem; ponadto imponował mi, bo w czasie wojny służył na niszczycielach. Nałgałem mu — do dziś mam niesmak na wspomnienie tego kłamstwa — że znów mnie chcą widzieć, tym razem w Monachium, jako rzeczoznawcę, on porozmawiał z dyrektorem i w piątek 4 kwietnia byłem w Monachium. Zakwaterowano mnie w hotelu *Drei Loewen* przy Schillerstrasse. Przy kolacji spotkałem Jasia Markowskiego. Zasypał mnie pytaniami „co słychać w Londynie”. On tu, w Monachium, był już od paru tygodni, pełen dobrej myśli i entuzjazmu. Był tu oczywiście i Wiktor Budzyński („ale on w innym hotelu”) i cały sztab dziennikarzy — zespół ten przygotowywał się do otwarcia stacji, co miało nastąpić 3 maja, na razie szła sucha zaprawa. On, Jasio, skomponował już dwie piosenki, obie uznano za bardzo dobre i wypłacono mu niezłe honorarium. Pamiętam, że tego wieczora obzarłem się niemiłosiernie i to „normalną” niemiecką kolacją. Nie należy jednak zapominać, że przyjechałem z wygodniejszej Anglii, jeszcze nie wyzwolonej w pełni z wojennego racjonowania.

W sobotę rano, był to podówczas prawie normalny dzień pracy, tyle że tylko do południa, podjechał pod hotel samochód RFE, by mnie zawieźć na Schoenbergstrasse 9. Była to obszerna

8. W owym czasie polityk heski, komunista, wydawca *Sozialistische Volkszeitung*.

willa, jednopiętrowa z mansardą, w dość dużym ogrodzie, dobrze strzeżona przez wewnętrzną umundurowaną straż — tych policjantów, jak ich nazywano, zauważyłem w hallu trzech — a nocą dodatkowo przez dwa wilczury. Tu właśnie, jak mnie uprzednio poinstruował Mr. Jeancon, urzędować miał Mr. Sperling. Ale nie urzędował; znów był w podróży służbowej. W owym czasie RFE miało już szereg biur terenowych w Europie, nawet w Stambule, więc szef tych biur jeździł na inspekcje, w wyniku których — taki zbieg okoliczności — poważne ilości europejskich dzieł sztuki wędrowały do Stanów. Złośliwi i nie tylko złośliwi twierdzili, że Mr. Sperling jest kolekcjonerem *objets d'art*. Pod jego nieobecność przyjął mnie więc jego zastępca Mr. Nicholas P. Alexander, Amerykanin rosyjskiego pochodzenia, pięknie też po rosyjsku mówiący. Bez długich wstępów wprowadził mnie do obszernego pokoju i zawołał do starszego pana, który się podniósł od biurka: „*Kay, here is Mr. Zamorski*”... Ów Kay, a był nim Kajetan Czarkowski-Golejewski, miał mi wyjaśnić, na czym polega praca polskiej sekcji i jaka ma być moja w niej rola.

Zadaniem działu ewaluacji była ocena materiału (raportów) przesyłanego z biur terenowych. Dział dzielił się na sekcje narodowościowe: polską, czechosłowacką, węgierską itd. Szefem sekcji polskiej, czyli głównym ewaluatorem, był Czarkowski-Golejewski, ja miałem być ewaluatorem, jego zastępcą. Ocena polegała na znajomości stanu faktycznego i konfrontacji z raportami uprzednio otrzymanymi. Ważna, nawet bardzo ważna w tej pracy była pamięć. Niezbędne też było odpowiednie archiwum, jakim zajmował się, względnie powinien był się zajmować pomocniczy personel badawczy, czyli reserczerzy.

Czy jest polski odpowiednik słowa *researcher*? Stanisławski⁹ podaje „badacz”, ale to nie to, już bardziej trafny jest „szperacz”, jak to ujmuje Doroszewski: „ten, kto lubi szperać, robić poszukiwania, zwłaszcza naukowe w bibliotekach, archiwach itp.”¹⁰. Niestety, nie oddaje to „szperania” (francuskie: *recherche*) zawodowego, dla chleba, pozostać więc należy przy spolszczonym (z angielskiego) reserczu i reserczerze¹¹.

W kwietniu 1952 w sekcji polskiej pracowało dwóch ludzi: Czarkowski i właśnie świeżo zatrudniony reserczer Jan Kempka,

9. Jan Stanisławski, *Wielki słownik angielsko-polski*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1968.

10. Witold Doroszewski, red. nac., *Słownik języka polskiego*, PWN, Warszawa 1966.

11. Niech mi wybaczą nieba, że bez upoważnienia wysokich kół naukowych osmielałem się wprowadzić ten nowotwór. Okolicznością łagodzącą ten występek jest fakt, że od lat posługujemy się terminem reserczer i to nie tylko za granicą. A że spolszczyłem pisownię — będzie mi za to wdzięczny składacz i nie tylko on.

późniejszy redaktor miesięcznika *Ameryka*¹². Sama sekcja istniała od maja 1951. Przez cztery miesiące Czarkowski był sam, potem doszła w charakterze reserczera Zofia Zwolińska. W kwietniu, gdy tam przyjechałem, była w Londynie; miesiąc czy dwa przedtem miała jakąś scysję z Alexandrem i albo zrezygnowała albo ją zwolniono. Jakoś tam potem Kay ułagodził Nika, prawdopodobnie przy whisky w Reginie¹³ i Sophie mogła wrócić do pracy. Moim zadaniem, po powrocie do Londynu, było wręczenie jej karty PX (przywileje związane z tym mikroskopijnym dokumentem nie były ograniczone do Niemiec), co uczyniłem przy spotkaniu z nią u Daquise'a¹⁴.

Archiwum, czyli zbiór dokumentów, jakie Czarkowski mi pokazał, było raczej skromne: kartoteka osobowa i rzeczowa, może jakieś 4.000 czy 5.000 kart (w dwa lata później, gdy personel wzrósł do pięciu osób, było tego około 60.000) oraz kilka skoroszytów owych raportów. Zauważyłem, że się specjalnie nie kwapił z wprowadzaniem mnie w detale, wszak byłem obcy i nie było wiadome, czy zostaną zatrudniony. „Przyjedzie pan, wejdzie pan w robotę, zorientuje się pan. Gdy tu przyjechałem, byłem zupełnie zielony, a jak pan widzi, już tu się coś zrobiło. A mnie koniecznie potrzebny jest ktoś do pomocy. Niech pan spojrzy — odsunął szufladę biurka — ile tu tych śmieci. To trzeba zewalutować, przesiać, wydać. Sam nie dam rady”.

Raporty owe potrzebne były stacji — i to bardzo. Dużo tam było śmiecia, ale były też wartościowe informacje, owa *couleur locale*, jakiej — wtedy! — darmo by szukać na łamach prasy krajowej. Zdolny redaktor, posługując się tym kolorytem, stwarzał i powiększał kapitał zaufania do stacji. Istniało oczywiście niebezpieczeństwo podrzucenia nam „świniaka”, czyli informacji świadomie fałszywej. Dlatego raporty musiały przechodzić przez ewaluacyjne sito. „Świniaki” oczywiście zdarzały się, ale nie pamiętam wypadku, byśmy się kiedykolwiek dali oszukać. Czasem — nawet zbyt często, jak na moje wyczucie — byliśmy zbyt ostrożni.

Pamiętam taki wypadek. W pierwszych dniach grudnia 1952 nadszedł — via Londyn — list z kraju. Pisany ręcznie drukowanymi kulfonami, zawiadamiał, że przed paru dniami w fabryce amunicji w Łęgnowie koło Bydgoszczy była eksplozja. Było dużo zabitych; całą noc zwożono rannych do szpitali. „Szmatławce nic

12. Wydawany w Waszyngtonie przez Agencję Informacyjną USA od lutego 1959 i kolportowany w Polsce.

13. Znany hotel, w owym czasie, jak większość porządných hoteli, zarekwirowany przez Amerykanów.

14. Polska restauracja Dakowskiego tuż przy South Kensington Station.

o tym nie piszą". Zasoby archiwalne sekcji były wtedy więcej niż skromne, ale udało nam się ustalić, że list mógł dotyczyć tylko Zakładów Przemysłu Chemicznego „ERG” w Łęgowie. Nie mogliśmy jednak potwierdzić samego faktu eksplozji. Nie mieliśmy też wtedy pewności, czy owa chemia to materiały wybuchowe, jakkolwiek było to bardzo prawdopodobne. Ale między założeniami, nawet bardzo logicznymi, a pewnością ściśle się szeroki pas wątpliwości i te zwyciężyły: stacja nie nadała tej wiadomości, choć pokusa była.

Gdyby to była normalna stacja w normalnym kraju, cała procedura sprowadzałaby się do powtórzenia wiadomości za agencją prasową (z dalekopisu) — bo w normalnym kraju normalna agencja tego rodzaju wiadomość by podała — po czym także normalna radiostacja wysłałaby na miejsce wypadku swego reportera, najlepiej oczywiście Wojciecha Trojanowskiego. Ale wtedy zarówno radiostacja, jak i kraj docelowy nie były normalne — i do dziś nie są — a i kraj, w którym stacja pracowała nie był wtedy jeszcze całkiem normalny. Ponadto i Trojanowskiego jeszcze w Monachium nie było.

Potwierdzenie eksplozji przyszło dopiero po upływie dziesięciu lat. W cyklu pamiętników inżynierów *Polityka* (16. III. 1963) zamieściła fragment pracy konkursowej inż. Jerzego Olszewskiego, opisujący „Wypadek”, jaki się zdarzył 26 listopada 1952 roku, a więc ten, o którym wtedy „szmatławce” nie pisały. Skojarzenie tych dwóch źródeł, *Polityki* z 1963 roku i owego listu via Londyn z 1952, zawdzięczałem jedynie pamięci. Wprawdzie cenzura nie przepuściła ani nazwy fabryki („w N”) ani nazwiska naczelnego inżyniera („C”), inne szczegóły wskazywały, że skojarzenie było prawidłowe: eksplozja nastąpiła o godz. 23.55, zabitych było trzynastu, a ewakuacja kilkudziesięciu rannych do szpitali trwała do godz. 3.30. „O wypadku nie musiałem meldować, wybuch słyszeli w mieście, tam też szyby poleciały”, pisał Olszewski. Potem, gdy już był ministrem, krakowski *Przekrój* (7. 7. 1974) ogłosił wywiad z nim, podając tym razem i Bydgoszcz (N) i rozszyfrowując C jako inżyniera Szczypińskiego. Czy trzeba dodawać, że obaj, i Olszewski i Szczypiński, byli oskarżeni o sabotaż, że UB szukało u nich dolarów, jakie mieli otrzymać za wysadzenie fabryki w powietrze i że — choć dolarów nie znaleziono — obaj poszli do „kicia”. Na trzy latka, zredukowane przez amnestię do półtora roku. A karę odbywali nie w więzieniu, lecz w fabryce materiałów wybuchowych.

Nasuwa się pytanie, czy i jak stacja wykorzystwała owo potwierdzenie faktu, jaki bądź co bądź wstrząsnął (dosłownie!) po-
ważnym miastem. Odpowiedź: dla stacji była to musztarda po

obiedzie, dla mnie, „pod anteną”, satysfakcja, że dzięki pamięci skojarzyłem.

Olszewski popełnił samobójstwo — „zwłoki znaleziono 23. V. 1981 rano na terenie jego działki w miejscowości Skubianka w pobliżu Warszawy”, doniosła *Trybuna Ludu*. Wieść gminna głosi, że jego ostatnie słowa były: „nie strzelajcie!”. Nad prawdopodobieństwem tej wersji nie musiałem się już głowić. A przyznać muszę, że od czasu owego skojarzenia w 1963 roku zafascynował mnie ten człowiek i z zainteresowaniem, nawet z sympatią, śledziłem jego karierę. Jego losy proszą się o film. W tym względzie nie jest on wyjątkiem. Wśród polskich komunistów, niekoniecznie tych przedwojennych, tępionych przez Stalina, również tych młodszych, z partyzantki czy ZMP, trudno znaleźć takiego, którego by oszczędził dramat, często, zbyt często tragedia.

Wybiegłem zbyt daleko do przodu. Wracam do soboty, 5 kwietnia 1952. Przy kolacji w hotelu *Continental* — do dziś pamiętam plastyczną etykietę wina *Nacktarsch* — gwarzyliśmy z Czarkowskim o tym i owym, głównie o Lwowie, Galicji, on też o Wiedniu, tym z czasów jego młodości, i o Franciszku Józefie. Właściwie „obwąchiwałem” się wzajemnie. W pewnym momencie Czarkowski, snadź nieświadom mej podłej proweniencji, wyraził pogląd, że inteligencja, zdolności, talent organizacyjny itp. są atrybutami krwi błękitnej. „Chłopski koń przeskody nie weźmie i wyścigu nie wygra”, zilustrował tezę. „Chyba pan żartuje”, zaoponowałem dość gorąco, nie bacząc, że mówię do człowieka, który sobie tytuł hrabiowski wysoko ceni. Przyjął to spokojnie, uśmiechnął się tylko; zawsze dzentelmen. Dodał mi też wtedy, bym się nie godził na 140 dolarów miesięcznego wynagrodzenia, jakie mi zaproponowano jeszcze w Londynie jako *starting salary*. Doskonale orientował się w warunkach rynku i wyliczył mi, że w stosunku do tego co zarabiałem w Londynie stracę. W poniedziałek rano — Sperling w dalszym ciągu podróżował — wytłumaczyłem Alexandrowi, że praca, owszem, odpowiada mi, ale 140 dolarów to dla mnie nie interes, zaczniemy od 170. Porozmawiał z Czarkowskim i zgodził się. Jeszcze tylko Sperling miał zaaprobować. Stało na tym, że jeśli do 15 kwietnia otrzymam pisemne potwierdzenie zgody na owe 170 dolarów, będę mógł — zgodnie z kontraktem — złożyć w mej firmie miesięczne wypowiedzenie. *No problem*, Sperling wraca w tym tygodniu, więc potwierdzenie będzie przed piętnastym, zapewnił Alexander. Potwierdzenia nie dostałem ani przed ani po 15 kwietnia.

W poniedziałek 28 kwietnia zadzwoniłem do Jeancona. Zdziwił się, a może tylko udał zdziwienie, że dotychczas nie mam

wieści z Monachium. Obiecał wysłać telegram do Sperlinga. W ostatnim dniu kwietnia poradził mi wymówić pracę. Nieporozumienie się wyjaśni, tłumaczył, na pewno wszystko będzie dobrze. Wymówiłem. W dniu 1 maja dostałem list od Sperlinga, datowany 29 kwietnia. Właśnie poprzedniego dnia dostał telegram z londyńskiego biura i nie rozumie o co chodzi. Czy z tego wynika, że jeszcze nie wymówiłem pracy w firmie, w której pracuję?

„Przecież, jak Pan wie, przyjechał Pan do Monachium na nasze żądanie, na interwiew przez Sekcję Ewaluacji Wydziału Informacji i jest mi wiadome, że wszystkie warunki Pańskiego zatrudnienia zostały z Panem wtedy omówione. Ponadto, w lutym tego roku rozmawiał Pan z p. Ronaldem Jeanconem z naszego londyńskiego biura, który wtedy oświadczył Panu, że Pańska początkowa pensja wynosić będzie 140 dolarów miesięcznie”...

Znów zwróciłem się do Jeancona. Chyba nieporozumienie, tłumaczył, wyślę telegram, zadzwonię do Monachium, wyjaśnię, niech się pan nie niepokoi. Po paru dniach zrozumiałem, że to była gra. Stawka: całe 30 dolarów. Przypomniał mi się epizod z mej pracy maklerskiej. Nowojorska filia zawiadamiała z triumfem o zawarciu kontraktu: „Jeśli oni wiedzieli, co podpisali”... W mojej angielskiej centrali przyjęto ten list z niesmakiem. Nie ze względów moralnych, nie. Po prostu takie postępowanie nie leżało w angielskiej tradycji handlowej, w każdym razie nie u Lloydsa. To był kiepski *business*: zysk dziś — a co jutro?

Wymówienia nie cofnąłem. Choć wiele traciłem, opuszczając firmę po dokładnie trzech latach pracy: możliwość wciągnięcia na listę funduszu emerytalnego, opłacanego przez firmę, i roczną, z reguły pokazaną premię od zysków. Poza tym żegnałem się z zespołem niesłychanie przyjaznym, zgranym, w którym intrygant czy krętacz nie miał szans przetrwania, co zapewniało pogodną atmosferę pracy, poważny czynnik wydajności, o czym ludzie pokroju pana Sperlinga pojęcia nie mieli. Ale słowo się rzekło. Wracać z podwiniętym ogonem, tłumaczyć się — nie.

W czerwcu 1952 zacząłem pracę przy Schoenbergstrasse 9. Powitał mnie Mr. Alexander — Mr. Sperling był w podróży służbowej. Pewnego dnia budynek nagle się ożywił: jakieś wrzaski, rozhisteryzowane głosy męskie, o kwintę wyższe kobiece, gwałtowne trzaskanie drzwiami i znów cisza. Czarkowski ani drgnął, spokojnie czytał raporty. Na me pytające spojrzenie wyjaśnił:

— Sperling wrócił. Oni się stale żrą z Alexandrem.

— A te głosy, kobiece?

— Ach, to sekretarki. Niech pan nie zwraca uwagi, przyzwyczaj się pan: *the American way of life*.

W tym miejscu muszę się zastrzec, że moja opinia o amerykańskich obyczajach lub o Amerykanach w ogólności nie jest tak negatywna, jakby wynikało z opisanego incydentu. Wręcz przeciwnie. Z Amerykanami zetknąłem się po raz pierwszy we wczesnych latach czterdziestych nad Kanałem Sueskim (*of all the places!*) i doznałem — wtedy i potem, RFE nie wyłączając — wiele bezinteresownej życzliwości, zrozumienia i efektywnej pomocy. Zdarzają się wśród nich gbury i brutale, jak w każdym innym społeczeństwie, ale los skąpił mi z nimi kontaktów. Nawet — co może wydać się dziwne — ze Sperlingiem nigdy nie rozmawiałem; raz go tylko widziałem z daleka na korytarzu. Z różnych pobudek, ani on ani ja do spotkania nie parliśmy. Zresztą niewiele było okazji, bo w sześć tygodni po moim rozpoczęciu pracy odbyło się jego pożegnanie. W miesiąc potem pożegnał się z nami i Alexander.

Po kilku tygodniach bezkrólewia opróżnione stanowisko *Chief European Evaluator* objął Franz Spelman, dziennikarz z prawdziwego zdarzenia, o europejskiej raczej mentalności i nawykach oraz takiejże angielszczyźnie.

Czy muszę dodawać, że niedługo czekałem na wyrównanie do owych nieszczęśliwych 170 dolarów? I że późniejsze podwyżki następowały dość regularnie, jakkolwiek nie zawsze automatycznie, często trzeba było „przypominać się”.

W pierwszych latach istnienia RFE, kiedy o takich luksusach jak umowa zbiorowa można było tylko marzyć, upominanie się o podwyżkę leżało po prostu w interesie pracownika. Wbrew porzekadłu, że pokorne ciele dwie matki ssie, pracownik, który siedział cicho, stwarzał wrażenie, że jest zadowolony nie tylko z pracy ale i z płacy.

Moje 170 dolarów warte było co najmniej dwakroć tyle, ile wynosił przeciętny dochód miesięczny pracownika niemieckiego w skali krajowej. Dla przejrzystości obrazu powiem, że dolar równał się DM 4,19, a sprzątaczką w RFE zarabiała miesięcznie około 240 marek przy pełnym wymiarze 48 godzin tygodniowo po DM 1,15 za godzinę, czyli jedną trzecią moich zarobków. Mieszkając w hotelu, zdany byłem na posiłki w restauracji, niechby PXowej, co poważnie obciążało budżet. W okólniku wydanym w lutym 1952 przez kierownika Polskiej Sekcji RFE, zawierającym „Wskazówki dla przybywających do Monachium z Wielkiej Brytanii” można było wyczytać, że obiad w PXach kosztuje od 75 centów do 1 dolara, a w restauracji niemieckiej od 3 do 5 marek, czyli praktycznie tyle samo. Dla Amerykanina, płatnego według najwyższej skali, było to tanio, dla mnie drogo. Finansowo upośledzeni w stosunku do nas — arystokracji uchodźczej

z Wielkiej Brytanii — byli uchodźcy czy też wygnańcy, którzy tuż po wojnie znaleźli się na terytorium Niemiec. Do tej kategorii należał np. Kempka — „po prostu dipis” (od *displaced person*), jak mu to swego czasu z gracją wyłożył jeden z kolegów redakcyjnych. Płatny był w walucie niemieckiej i gdy w 1953 roku zarabiał 575 marek, zjechał w sierpniu 1955 (po dwóch podwyżkach!) na 572 marki, po prostu dlatego że skończyła się okupacja i musiał płacić podatki niemieckie w pełnym wymiarze¹⁵. Znowu należy zaznaczyć, że w stosunku do pracowników niemieckich był o tyle uprzywilejowany, że miał mieszkanie słuźbowe.

Lepiej niż pracownicy reserczu płatni byli redaktorzy, reżyserzy czy spikerzy, wiadomo: personel latający, „na antenie”, a my obsługa naziemna, „pod anteną”. Przyjechali wraz z żonami i chyba wszystkie zostały zatrudnione. Etatów nie brakło, choćby dlatego że rasowy przedwojenny dziennikarz polski — a tacy przeważali — godności swej pisaniem na maszynie nie płamił, musiał więc dyktować. Tych kilka wykwalifikowanych maszynistek-sekretarek zatrudnił szef sekcji lub jego zastępca, pozostała więc żona kolegi, rozpaczliwie szukająca wskazującym paluszkiem właściwej czcionki na klawiaturze, na której jakiś złośliwiec porzucił litery bez ładu i składu, zamiast je pięknie według alfabetu ułożyć. To że nie osiągała i nigdy nie osiągnęła przeciętnej szybkości 500 uderzeń na minutę, nikogo nie martwiło — ważne było, że zaokrągląła budżet rodzinny do wielkości pozwalającej na kupno samochodu i odłożenie jakiegoś drobiazgu na czarną godzinę.

Inaczej wyglądało to w maszynowni naszego wydziału. Było to międzynarodowe towarzystwo, początkowo przeważały Niemki, a każda pisała jak szatan. Kaleki patrzące w klawiaturę szans tam nie miały. Na przykład próby kilku po kolei Polek, mimo iż zastosowano do nich taryfę ulgową, skończyły się taktycznym wycofaniem, przy pierwszej okazji i z zachowaniem wszelkich pozorów, do innych działów, matrymonialnego nie wyłączając.

We wrześniu 1952 nasz wydział przeniósł się z Schoenbergstrasse do jednego ze świeżo ukończonych skrzydeł rozległego budynku RFE. W tym samym mniej więcej czasie nastąpiła także przeprowadzka sekcji polskiej, zwanej wtedy dumnie „Głos Wolnej Polski”, z tymczasowego pomieszczenia przy Possartstrasse. Dopiero wtedy i to stopniowo poznałem tych „na antenie”, czyli

15. Według umowy z władzami niemieckimi, pracownicy RFE płatni w dolarach korzystali z ryczałtowej ulgi, wynoszącej mniej więcej jedną trzecią wymierzonego podatku.

pracowników „desku”, od *Polish Desk*, którym to mianem obejmowano redakcję i realizację.

Muszę tu zrobić dygresję dla wyjaśnienia słownictwa, jakim się posługuję z myślą o czytelniku krajowym jak też ze względu na poprawność językową. Otóż zespół polski w RFE — mojej sekcji nie wyłączając — przejął terminologię amerykańską sakumpakum i to co jest redakcją nazwano programem, co nie przeszkodziło właściwemu programowi (muzyczny, rozrywkowy itp.) pozostać programem, a realizację przekształcono w produkcję. Bardziej łaskawie potraktowano reżysera, przezywając go tylko czasem „prodiuserem” (*producer*). O planie audycji nigdy nie słyshałem, wiem natomiast co to jest „skedula” (*schedule*). Akt nie odkładano do teczek, lecz je „fajlowano” (*file*), taśma magnetyczna to „tejp” (*tape*) itp. itd. Najwięcej uciechy mieliśmy z „ewaluacji”, którym to mianem określano nie tylko sekcję ale i jej produkt, czyli raporty. Sekretariat Nowaka przekazywał np. ubolewanie, że „dziś nie przyszła żadna ewaluacja”, co znaczyło, że nie dostali żadnych raportów albo też narzekano, że z ewaluacji nie można się zorientować, co dana ewaluacja jest warta, co znaczyło: ocena raportu nie jest przejrzysta.

Zanim jednak do tego rodzaju kontaktów doszło, między sekcją ewaluacji a „deskami” leżała ziemia niczyja, jakaś *splendid isolation*, narzucona nam nieoficjalnie ale pono dość wyraźnie przez Sperlinga, o czym zaraz na początku mej kariery radiowej powiedziała mi — też półoficjalnie, czyli poufnie — zawsze dobrze poinformowana Zofia Zwolińska. Izolacji tej sprzyjał też fakt, iż początkowo pracowaliśmy w różnych miejscach, jak też i to, że mieszkaliśmy w różnych hotelach. Moje pierwsze zetknięcie z zespołem polskim zawdzięczałem przypadkowi.

Mieszkałem przy Maximilianplatz w *Parkhotel* (dziś na tym miejscu stoi nowoczesny biurowiec *Commerzbank*); po drugiej stronie placu była *Regina*, skąd odjeżdżały wynajęte przez RFE autobusy, rozwożące nas do pracy. Moje śniadanie w pobliskim *American Way Service Club*, mieszczącym się w zarekwirowanym nobliwym *Kuenstlerhaus*, trochę się przeciągnęło, ale zdążyłem jeszcze wskoczyć tylnym wejściem do ostatniego autobusu. Gdy już ruszył, zorientowałem się, że nie mój. Wśród mnóstwa całym mi obcych twarzy dostrzegłem dwie znajome: prof. Wiktora Sukiennickiego i Stanisława Paprockiego¹⁶. Siedzieli blisko siebie i prawie równocześnie powitali mnie, co wzbudziło dość żywe zainteresowanie pozostałych pasażerów, nie obeznanych z mym

16. Dużo i ciepło pisze o nim Janusz Rakowski w „Zetowcy i piśsudczycy”, cf. *Zeszyty Historyczne* nr 54, str. 35; nr 55, str. 14, 24, 63, 67, i nr 56, str. 59, 60, 62.

visage. „Jak pan się tu czuje?” — spytał Sukiennicki. „Świećnie”, odpowiedziałem. W autobus jakby piorun strzelił. Teraz już wszystkie twarze zwróciły się w mą stronę, niektórzy unieśli się ze swych miejsc, by mi się lepiej przyjrzeć. Siedząca tuż za kierowcą pani poderwała się z miejsca, ukazując swą smukłą, może zbyt smukłą figurę w pełnym wymiarze i cisnęła we mnie, przez całą długość autobusu, błyskawicę gniewu. Musiałem strzelić jakieś głupstwo, pomyślałem i, by jakoś wybrnąć z niewyraźnej sytuacji, spytałem z kolei Sukiennickiego: „A pan, panie profesorze, jak pan się czuje?”. „Jak w obozie koncentracyjnym”, odparł ponuro.

Przez ów obóz koncentracyjny należało rozumieć izolację, zarówno narzuconą przez warunki, jak i dobrowolną. Nie należy zapominać, że większość zespołu stanowili byli członkowie AK i że ton nadawał szef, a tego o przyjazne dla Niemców uczucia podejrzewać byłoby trudno.

Z niechęcią do Niemców w moim narodzie powinienem być się już oswoić, zawsze jednak zaskakiwały mnie jej skrajne przejawy. Ot, taki przykład — jeden z wielu podobnych, jakie mógłbym przytoczyć. W grudniu 1946, w ramach ewakuacji 2-go Korpusu z Włoch do Anglii, przejeżdżamy przez Niemcy. Jest pogodny, mroźny poranek, stoimy na jakiejś stacji, Stuttgart to czy Karlsruhe, nie pamiętam, pamiętam zaróżowione buzie dzieciaków stojących przy torze. Rzucam im tabliczkę czy dwie czekolady, nagle chwyta mnie za rękę Staszek Wierzyński (tak, bratanek Kazimierza): „Kazik, co ty robisz?! Niemieckim dzieciom czekoladę?!”.

Przypomniał mi się ten incydent w czerwcu 1952, w Monachium, w autobusie-getcie na kółkach. Owo getto miało też swoje dobre strony. W „Raporcie o pracy Sekcji Polskiej Radia Wolna Europa w Monachium” za okres od 3 maja do 3 listopada 1952 roku¹⁷ podkreślono jako okoliczność dodatnią, sprzyjającą większej efektywności: „prawie kompletną izolację zespołu monachijskiego od wszelkich wpływów rozprasających uwagę”.

Izolacja nie trwała wiecznie; ostatecznie Bawaria, włącznie ze stolicą, ma swe uroki i oprzeć im się trudno. Z czasem doszło nawet — o zgrozo! — do mieszanych małżeństw.

Nie wszystkie ze wspomnianych problemów trapiły wydział, w którym pracowałem. Przede wszystkim, nie było getta; po prostu brakło ku temu warunków: byliśmy zbyt małą grupą, początkowo wszystkiego cztery osoby, nadto stykaliśmy się chyba

17. Stron 19, maszynopis powielany, nie podpisany, ale niewątpliwie autorstwa Jana Nowaka.

codziennie z ludźmi innej narodowości, porozumiewając się głównie po angielsku, często jednak po niemiecku, wiadomo: *allgemeine slawische Sprache*. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek doszło do tarć między poszczególnymi sekcjami narodowościowymi, czy też pracującymi w wydziale Niemcami. To twierdzenie mogę zresztą ze spokojnym sumieniem odnieść do całej stacji.

Nasz nowy bezpośredni szef, Spelman, okazał się człowiekiem kompetentnym, szybko też zyskał sympatię i lojalność podwładnych. W tym samym mniej więcej czasie objął kierownictwo wydziału Leland Stowe znany i ogólnie ceniony dziennikarz, laureat trzech najwyższych nagród dziennikarskich (w tym *Pulitzer Prize*), autor szeregu książek na tematy polityczne, od zarania hitleryzmu (*Nazi oznacza wojnę*) przez wojnę domową w Hiszpanii i drugą „światówkę” do sowieckich „zdobyczy terrorem”¹⁸. Był chyba jednym z najstarszych wiekiem Amerykanów w RFE. Zauważyłem, że ilekroć zabierał głos na konferencjach, słuchano go z nabożną atencją, jak proroka. Nic się w tym stosunku do niego nie zmieniło również i wtedy, gdy padł nań wzrok Wielkiego Inkwizytora. W kwietniu 1953 zjawili się w Europie, z ramienia McCarthy’ego, dwaj młodociani „szpicle na majówce”, jak ich, ku rozkoszy prasy, nazwał pewien wysoki urzędnik amerykański. Jak tajfun szalejący po wszystkich stolich, od Aten po Paryż, wymietli z bibliotek amerykańskich, Głosu Ameryki i tp. instytucji wszystkich domniemanych i nie-domniemanych komunistów, jak też ich dzieła. Nie wiem, czy na ich czarnej liście Stowe figurował jako komunista, krypto-komunista, czy — podobnie jak C.D. Jackson — niebezpieczny liberał, w każdym razie blady strach musiał paść na dyrekcję RFE, bo pozbawiono go — nieoficjalnie, bardzo poufnie, ale faktycznie — kierownictwa wydziału. Ku chwale tejej dyrekcji trzeba podkreślić, że zrobiono to bardzo dyskretnie; nikt z postronnych się nie zorientował, tym bardziej że pozostawiono go w tym samym biurze i przy tym samym biurku. Zbyt był ważny i poważny, by go zwolnić, z drugiej strony niezdrowo było narażać się wszechpotężnemu senatorowi. Domyślam się, nie jestem pewien, że w tak niewygodnej sytuacji znaleziono rozwiązanie precedensowe: posada dobrze płatnego konsultanta. Mógł więc spokojnie studiować materiały do książki na temat Europy Wschodniej, jaką pisał czy zamierzał pisać, o czym wiem, bo sam pomagałem zbierać te materiały jego sekretarce, Elizabeth M. Flum, którą odziedzyczył po Sperlingu.

18. *Conquest by Terror — The Story of Satellite Europe*, Random House, New York 1951, 1952.

Na jakiejś potańcówce radiowej — w owych czasach nie brakło ku temu ochoty, a o okazję nie było trudno — dostrzegł mnie wybijającego hołubce, więc w dedykacji swej książki napisał:

„Memu przyjacielowi Zamorskiemu, który jest prawie tak świetnym ewaluatorem jak tancerzem, życzę, by znalazł jednakże zadowolenie w obu dziedzinach — a ja chciałbym tylko zobaczyć go tańczącego, gdy Polska znów będzie wolna. Wtedy i ja zatańczę jak oszałały. Szczerze życzliwy Leland Stowe. Monachium, 2 lipca 1954”.

Książka ta i wspomnienia tego zacnego człowieka są mi szczególnie drogie.

Wydaje mi się, że Stowe i Spelman dobrze się rozumieli, co emanowało również w dół, do poszczególnych sekcji. Zasługą Spelmana było podniesienie jakości oceny raportów, jak też — w dużej mierze dzięki tej nowej ocenie — wartości samych raportów. W okólniku z 7 stycznia sformułował to jako przejście z pasywnej oceny do aktywnej. Dotychczasowa, pasywna ocena polegała na mechanicznym wyliczeniu tego co w raporcie można potwierdzić (*confirmed*) lub nie (*unconfirmed*), przy czym te słowa należało pisać dużymi literami. Nie pamiętam, czy czytałem to w jakiejś instrukcji, czy też Alexander objaśnił mi ustnie, w raporcie należało rozróżnić cztery elementy: fakty, wydarzenia, warunki i tendencje, co łatwo było spamiętać, bo w języku angielskim to się rymowało: *facts, events, conditions and trends*, i w tej kolejności przeprowadzić ocenę. Niezależnie od tego, czy raport był dobry czy zły, nudny czy zajmujący, jego ocena była zawsze jałowa, mechaniczna: to potwierdzone, to niepotwierdzone i tyle. Życzeniem Spelmana było przejście do aktywnej oceny:

Wprowadzenie w życie tej dyrektywy zajęło wiele czasu. Był to proces długotrwały i żmudny, wzrastały nasze wymagania w stosunku do reporterów w biurach terenowych, niektórzy nie nadający się lub wyraźnie nie chcący dostosować się do tych wymagań musieli z czasem odejść, ale wysiłek opłacił się.

Znów muszę zrobić dygresję dla wyjaśnienia terminów korespondent i reporter. Korespondentem był kierownik biura terenowego, Amerykanin (np. Jeancon w Londynie czy potem Allan A. Michie), który był szefem kilku reporterów, z reguły dziennikarzy różnej narodowości, a więc Polaka (Zbigniew Raciński w Londynie), Węgra, Czecha itd., których zadaniem było wyszukiwać ludzi mogących i chcących coś o danym kraju powiedzieć, następnie sporządzić z takich rozmów względnie wywiadów raporty i oddawać je korespondentowi (z krótkim streszczeniem w języku angielskim, jeśli raport był pisany w języku ojczystym

reportera), a ten dopiero przysyłał je do Monachium. Nie było zadaniem reportera czy korespondenta sprawdzanie wiarygodności uzyskanego materiału — to robił ewaluator.

... „ideał oceny odbiega od jej czysto refleksyjnej właściwości; w efekcie końcowym powinna ona stać się potencjalnym przewodnikiem dla korespondentów. Ocena nie powinna ograniczać się do przekazania korespondentowi krytyki jego raportu; winna raczej dać mu wskazówki udoskonalenia raportów; co zostało pominięte, co należy poprawić. Krótko mówiąc, ocena aktywna jest chyba równoznaczna z konstruktywną krytyką”.

Jego praca i odpowiedzialność uległy poważnej zmianie z chwilą przejścia na ocenę „aktywną”. Do sformułowania oceny, nazywało się to *Evaluation Comment*, nie wystarczało studium treści i jakości raportu, jakkolwiek było to nadal na pierwszym miejscu, należało również mieć na uwadze adresata owej „konstruktywnej krytyki”. W hierarchii odbiorców pierwsze miejsce zajmował oczywiście redaktor rozgłośni. Jemu w pierwszym rzędzie należało powiedzieć, czy to dobry raport czy słaby — złych z zasady nie wypuszczano się — co zasługuje na szczególną uwagę, w jakim stopniu można to wykorzystać w kontekście określonych zagadnień czy sytuacji; co jest pewne, czyli co można bez obawy popełnienia błędu wykorzystać w audycji; a co tylko prawdopodobne, co można wykorzystać z zastrzeżeniem; i wreszcie co nie może być potwierdzone, a więc podaje się tylko do wiadomości redaktora, implikując tym samym ostrzeżenie przed użyciem w eterze. Następnym adresatem był doradca polityczny, na decyzjach którego zaważyć mogły zawarte w raporcie wiadomości. Często też się zdarzało, że dostawaliśmy z jego biura telefony żądające dodatkowych wyjaśnień odnośnie danego raportu, a to czy jego źródło jest miarodajne, a to skąd my wiemy to lub owo itp. Wreszcie trzecim, najbardziej zainteresowanym odbiorcą oceny był reporter, który raport sporządził, jak też korespondent, który dbał o to, by jego biuro przysyłało tylko dobre raporty i zależnie od tego ustosunkowywał się do reportera.

W każdym wypadku, choć z różnych względów, ewaluator musiał, w każdym razie powinien był zdawać sobie sprawę ze stopnia odpowiedzialności za to co się napisało. Dodatkowym utrudnieniem był fakt, że przy tego rodzaju ocenie należało każdemu raportowi poświęcić o wiele więcej czasu niż przy mechanicznym „potwierdzone”, „niepotwierdzone”. Nie należy też zapominać, że ewaluator był odpowiedzialny za bezpieczeństwo źródła raportu. Należało usunąć z tekstu wszystko co mogło naprowadzić na identyfikację źródła, co z kolei obniżało wartość danych — tego rodzaju zabiegi wymagały często skomplikowanej

ekwilibrystyki redakcyjnej. Wszystko to nie ułatwiało życia w *Polish Evaluation Section*.

Wkrótce też okazało się, że od sekcji oczekiwano więcej niż tylko ewaluacji raportów. W połowie stycznia 1953 zjawiała się w Monachium Irena Szymowicz ze Sztokholmu. Nie pamiętam dokładnie szczegółów jej życiorysu, ale wydaje mi się, że już przed wojną wyjechała do ZSSR jako komunistka, że w czasie wojny pracowała tam w jakimś wydawnictwie czy podobnej instytucji. Atutem jej była znajomość szeregu czołowych polskich komunistów, zarówno tych „moskiewskich” jak i „krajowców”. Do Szwecji wyjechała chyba tuż po wojnie jako żona konsula PRL; tam też oboje „odstali”. Nasz oficer bezpieczeństwa ze skóry wyłaził, by się jej nic nie stało — był to czas, gdy agenci sowieccy operowali nie tylko w Berlinie — jeździła więc tylko wozem RFE i zawsze w towarzystwie któregoś z pracowników stacji. Nawet wtedy gdy wychodziła z hotelu na zakupy do miasta czy na przechadzkę trzeba jej było asystować. Rolę „konwojenta” pełniłem na zmianę z Włodzimierzem Sznarbachowskim, który eksploatował panią Irenę w swym programie radiowym; ja miałem za zadanie utrwalić jej wiedzę w naszym archiwum. Taka rzecz jak Mini-Sony wtedy jeszcze znana nie była, więc technika owego utrwalania polegała na notowaniu, co mi zabierało całe przedpołudnie, po południu siadałem do opracowania notatek, a Szymonowicz pracowała w redakcji. Trwało to około trzech tygodni. W tym czasie nauczyłem się wiele, gdyż musiałem przestudiować historię KPP, a i pani Irena na tym skorzystała, gdyż przygotowując się do audycji często gęsto zaglądać musiała do Reguły¹⁹, znała bowiem dokładnie życiorys Jędrzychowskiego czy innego Putramenta, ale o odchyleniu „większościowców” dowiadywała się — jak i ja — dopiero z lektury źródeł dostępnych w RFE.

Dlaczego właśnie mnie wyznaczono na „eksploatatora” wiedzy Ireny Born (pod takim pseudonimem występowała na antenie), nie wiem; wiem natomiast, że to się nie podobało i podobać nie mogło Czarkowskiemu, któremu miałem pomagać w ewaluacji, czyli pozbyciu się zaległości. Notatki, jakie nagromadziłem, starczyłyby na co najmniej dwa miesiące solidnej, seminaryjnej pracy, a raporty z biur terenowych sypały się na biurko Czarkowskiego, więc z ciężkim sercem odłożyłem opracowanie materiału Ireny Born na potem i wziąłem się do ewaluacji. „Potem” okazało się „nigdy”.

Wkrótce znalaziono mi nowe dodatkowe zajęcie. Spelman,

19. Jan Alfred Reguła, *Historja Komunistycznej Partji Polski — W świetle faktów i dokumentów*, wydanie drugie, Warszawa 1934.

niewątpliwie w porozumieniu z Nowakiem, wyznaczył mnie jako łącznika do redakcji, co wymagało obecności na różnych konferencjach redakcyjnych czy *playback*'ach²⁰, oczywiście wtedy gdy mnie zapraszano, a robiono to często. Dlaczego mnie a nie Czarkowskiego? Nie znam podłoża, nigdy o to nie pytałem ani jednego ani drugiego, ale było tajemnicą poliszynela, że Czarkowski i Nowak szczególną do siebie sympatią nie pałali. Byłoby oczywiście nieuczciwie z mej strony w tym tylko dopatrywać się przyczyny dystansu między Czarkowskim a kierownictwem „desku”. Nie chcę wchodzić w szczegóły innej natury, ograniczę się do obserwacji, że Czarkowski, człowiek niewątpliwie inteligentny, nie grzeszył głęboką wiedzą teoretyczną — był za wygodny i, jak na mój smak, za leniwy, z czego chyba zdawał sobie sprawę, więc dystans wytworzył się automatycznie i bez specjalnych sprzeciwów z obu stron. Pamiętam, że na zakończenie jednej z takich konferencji redakcyjnych, na której byliśmy obaj, Czarkowski oświadczył: „Państwo tu się głowicie nad dyktaturą proletariatu, społeczeństwem bezklasowym itp., a ja wam powiem, że rewolucję zrobiła banda opryszków, którzy chcieli tylko grabić i tyle”. Obróciliśmy to w żart, nawet dostał okłaski.

Pod koniec kwietnia 1953 odwiedził stację Franciszek Jarcecki, pilot, który w dniu śmierci Stalina, 5 marca tegoż roku, uciekł na MIG-u na Bornholm. Znowu wyznaczono mnie do asystowania w wywiadach z nim.

Wywiady z ważniejszymi uchodźcami nie były zresztą moim monopolem. Często, może nawet częściej obciążano nimi Czarkowskiego, zwłaszcza gdy trzeba było wyjechać za granicę, do Włoch czy Austrii, co połączone było ze stratą dwóch czy trzech dni, nie licząc czasu na opracowanie potem raportu. Broniliśmy się przed tymi wyjazdami, bo wiedzieliśmy, że po powrocie zastaniemy stertę raportów, ale rzadko udawało nam się z tej wątpliwej przyjemności wymigać.

Co roku też traciłem co najmniej trzy dni na wyjazd do Londynu w celu przedłużenia ważności mego uchodźczego dokumentu podróży (Czarkowski i Zwolińska byli obywatelami brytyjskimi).

W dniach od 9 do 11 kwietnia 1954, od piątku do niedzieli, odbyła się konferencja Polskiej Sekcji RFE, coś w rodzaju rekonstrukcji po dwuletniej działalności. Zawieziono nas autobusami — niektórzy woleli jechać własnym samochodem — nad Chiemsee, największe z jezior bawarskich u podnóża Alp. Na jego po-

20. Termin ten uzyskał pełne prawa obywatelstwa polskiego — cf. Prof. dr Mieczysław Szymczak, redaktor naukowy, *Słownik ortograficzny języka polskiego*, PWN, Warszawa 1976.

ludniowym brzegu, przy autostradzie Monachium - Salzburg, stoi obszerny dom wypoczynkowy, niegdyś dla śmietanki nazistowskiej, po wojnie zarekwirowany na użytek wojsk amerykańskich jako *recreation area*. Tam właśnie odbyły się owe „rekolacje”. Program był bogaty, wspomnę dwa jego *clou*: przejrzysty, mający „ręce i nogi” referat Nowaka i wystąpienie doradcy politycznego stacji, Griffitha. Nie miał on łatwego zadania, bo właśnie w Waszyngtonie nastąpiła wolta: „*liberation policy has been shelved*”, jak nam wyjaśnił czyli wyzwolenie odłożono *ad calendas graecas*, o czym już wiedzieliśmy choćby z zachowania się Ameryki w czerwcu 1953, kiedy to rząd Eisenhowera „zastąpił wyzwolenie paczkami żywnościowymi dla wschodnich berlińczyków”²¹. Jednakże, choć powrócono do tak niedawno krytykowanej polityki powstrzymania, wyzwolenie nie zostało poddane banicji; pozostało, ale z przymiotnikiem: pokojowe, *peaceful liberation*. Nie wiem, jak się na to zapatrują historycy, ale dla mnie zestawienie tych dwóch słów to klasyczny przykład *contradictio in adiecto*. Politycy szacunku dla logiki i semantyki okazywać nie muszą, toteż Eisenhower mógł w swym bożonarodzeniowym posłaniu w 1955 roku oświadczyć:

„Pokojowe wyzwolenie narodów ujarzmionych było, jest i, póki nie zostanie uwieńczone sukcesem, pozostanie ważnym celem polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych”.

W parę lat potem można było wyczytać w poważnym studium o RFE, że „Stany Zjednoczone są zdecydowane odmówić uznania *status quo* w Europie Wschodniej w zamian za obietnicę pokojowego współistnienia”²².

Prof. Holt pisał te słowa na przełomie lat 1956-1957. Ile to lat przed owym helsińskim „Ostatecznym Aktem”? Będąc jednak trzeźwym teoretykiem nauk politycznych, nie pominął wariantu, jaki w owych latach wydawał się — czy tylko optymistom? — nierealny:

„Jeśli amerykańska polityka zagraniczna miałaby kiedykolwiek uznać sowieckie panowanie nad Wschodnią Europą jako słuszne (*legitimate*), RFE albo zaprzestałoby działać albo charakter organizacji uległby poważnej zmianie”²³.

(c.d.n.)

Kazimierz ZAMORSKI

21. Spanier, *op. cit.*, str. 104.

22. Robert T. Holt, *Radio Free Europe*, University of Minnesota Press, Minneapolis 1958, str. 20.

23. *Ibidem*, str. 19.

Wiersze

Josif BRODSKI

WIERSZE O KAMPANII ZIMOWEJ 1980 ROKU

„W dolinie Dagestanu, w upalne południe”
Michał Lermontow

1

Szybkość pocisku w niskiej temperaturze
zależy w znacznym stopniu od własności celu,
od pędu do ogrzania się w muskulaturze
trosu lub w szyi węzlastym splecieniu.
Głazy przypadły do ziemi jak armia
jeszcze jedna. Cień wciska się w gliniaste pola.
Niebo — sypiące się wapno — zagarnia
swym tłem samolot podobny do mola.
Nagle jakby sprężyna rozpruła materac:
wybuch. Jak piana z kufla spływa
z krawędzi leja krew; nim wsiąknie w grunt, zamiera,
pokrywając się błonką stwardniałego szkliwa.

2

Północ, pastuch i siewca, pędzi swoje stado
ku morzu, na Południe, siejąc zimno wokół.
Jasne, mroźne południe w dolinie Czuczmeistanu.
Słoń mechanicznie zadziera w popłochu
trąbę przed czarną, przyczajoną myszą
miny pod śniegiem i charka w niebiosach

grudą, która pod gardło mu podchodzi — z myślą,
 ażeby, jak Mahomet, ruszyć górę z posad.
 Śnieg leży na wierzchołkach; magazyny niebios
 odsypują im co dzień część swoich superat.
 Góry nie drgną. I z tego bezruchu niemego
 ciałom zabitych też się coś udziela.

3

Przeciągłe, smętne pieśni Słowianina
 wieczorem w Azji. W wilgoci i mrozie
 leży pokotem ludzka wieprzowina
 na błotnistej karawan-seraju podłodze.
 Tli się suszony nawóz, dym się ściele,
 zdrętwienie, odór onuc, zapomnianej łaźni.
 Sny jednakowe są, tak jak szynele.
 Więcej nabojów niż wspomnień i kwaśny
 osad w ustach po ciągłych „hura!”. Wieczna chwała
 tym, co spuściwszy oczy, krokiem słabym
 szły w sześćdziesiątych latach do szpitala
 na zabieg, oszczędzając ojczyźnie niesławy.

4

Do czego się sprowadza treść brzęczenia trutnia?
 Do czego — samolotu warkot?
 Życie staje się równie trudno,
 jak domek z kart budować albo
 ze śliskich kulek winogron. Nic nie jest
 stałe (dmuchnięcie jedno — to zagłada):
 rodziny, domki z gliny, prywatne idee.
 Nad ruinami aułu zapadła
 noc. Paskudzące pod siebie mazutem,
 stygnie żelazo i pancerna blacha.
 Nie chcąc utonąć w czyimś bucie zzutym,
 księżyc chowa się w chmury jak w turban Allacha.

5

Bezczynne, do niczych płuc już nie wciągane
 powietrze. Przywieziona, zwalona na kupę
 cisza. Pustka, z minuty każdej na minutę

większa. Gdyby istniało na nich życie, z planet
 rozległyby się brawa gromkie, a co śmielszy
 artylerzysta mógłby wybiec na proscenium.
 Zabójstwo — to naiwna forma śmierci,
 tautologia, papuzia aria, uproszczenie,
 coś, czego dokonuje z reguły, motylka
 życia próbując złapać w celownik, młodzieniec,
 który krew poznał ze słyszenia tylko
 albo ze swych doświadczeń z perforacją dziewic.

6

Naciągnij koc na głowę, wyrzyj sobie dołek
 w sienniku, skul się, słuchaj „uuu” syreny.
 Nowy lodowiec pełźnie przez globus z mozołem —
 lodowiec niewolnictwa, którego moreny
 podważają imperia, bluzeczki, wspomnienia.
 Bęlkocząc, oczy wywalając z orbit,
 każdy z nas w przyszły odcisk muszli się przemienia,
 nie słuchany przez innych, jak jakiś trylobit.
 Zimno ciągnie od okien, szpar w ścianach baraku.
 Przekręć wyłącznik, zwiń się w kłębek. Twój kręgosłup
 korzy się przed wiecznością. To nie pukiel włosów.
 Już nie wstaniesz rano z czworaków.

7

W stratosferze, przez wszystkich zapomniana, suchka
 szczekaniem przez okienko do dzisiaj się trudni.
 „Szarik! Odbiór. Tu mówi Żuczka”.
 Szarik — kulka — jest w dole. A na kuli równik.
 Jak obroza. Pagórki, pola, zbocza, jary
 pokryte śniegiem białym jak biała jest skóra
 policzków. Czerwień wstydu przeszła na sztandary.
 I gdzieś w kurniku zaśnieżonym kura
 znosi jajko w kolorze też nieskazitelny,
 zaskoczona promieniem wstającego słońca.
 Jeżeli co czernieje, to tylko litery.
 Jak ślady cudem ocalałego zająca.

(Przełożył z rosyjskiego Stanisław BARAŃCZAK)

MELODIA BERLIŃSKIEGO MURU

Dla Petera Vierecka

To jest dom, który zburzył Jack.
To jest punkt, skąd na tamten brzeg
chciał przejść Hans (jeden strzał — i szlus).
A to jest mur, który Iwan wzniósł.

Poczucie winy doskwierało mu
widocznie, kiedy wznosił ten mur,
bo zastosował skromny, szary beton
i pół minowych koncepcję dyskretną.

Mur ten a) nudzi, b) straszy ponuro.
Pod nim kolczasty drut, jak włóczka, którą
babunia cerowała skarpetki na pięcie.
Lecz drut nie do robótek: wysokie napięcie.

Za murem flaga na wietrze się miota,
a na niej Cyrkiel w towarzystwie Młota
obwieszcza na tle żółci, czerwieni i czerni
ziszczanie się snów masonerii.

Czujne lornetki Volkspolicji
z wież rozglądają się po okolicy;
i Wschód, i Zachód przedstawiają widok
godny uznania: ni jednego Żyda.

Z tych, którzy razem tu żyli i marli,
jednych na Zachód pchnął pociąg do Marki,
drudzy do Marksa poczuli popęd.
Mur nie pozwoli im zejść się z powrotem.

Przyjdź pod ten mur, jeśli źle ci, gdzie jesteś:
to próbka tego, jak wygląda przestrzeń
kosmiczna, w której życia brak na pewno
i jeśli co ginie — to przedmiot.

Przyjdź pod tę, obojętną na pokój czy wojnę,
zakrzepłą wersję albo-albo, tak spokojnie
przecinającą dzielnice, gdzie w pustce
pustka odbita jak w pękniętym lustrze.

Dzień tu smutny. Po nocach reflektorów światło
przecina duszne powietrze i łatwo
wykazuje, że jeśli ktoś tu krzyknął znów,
to nie z przyczyny złych snów.

Bowiem sny nie są tutaj złe: najwyżej mokre
od krwi kogoś jak ty, kto próbował samotnie
włóczyć się gdzie nie trzeba, po czym w jego głowie
sny zastąpiono ołowiem.

W takich warunkach chyba Czas jedynie
nie boi się popełniać tych samych przewinień,
chodząc tam i z powrotem swoim własnym śladem:
nie strzela się do wahadeł.

Dlatego liczne jeszcze zaświecą księżycy
nad tym miejscem, gdy wkoło będzie trwało życie
par w pościeli, bogaczy zajętych zbytkami,
dziewcząt zajadających się rybą z frytkami.

Przyjdź pod ten mur, wydanie i lepsze i nowsze
murów rzymskich czy chińskich: ich starze trzonowce
zazdroszczą kłom stalowym, które, mierząc w niebo,
błyszcza, świeżo obmyte z krwi twego bliźniego.

Świergot ptaka wdzięczniejszą byłby kołysanką.
Lecz jeśli masz coś przeciwko skrobankom
(lub konowałam, którym słono trzeba płacić),
przyjdź pod ten mur — popatrzeć.

Josif BRODSKI

(Przeład z oryginału angielskiego: Stanisław BARAŃCZAK)

Archiwum polityczne

O kontrrewolucji Ronalda Reagana

Gdy kilka lat temu Nowemu Jorkowi groziło bankructwo, z którego wyciągnął go trochę rząd federalny i trochę banki, obecny burmistrz Edward Koch, syn warszawskiego krawca, powiedział, że z bankructwa mógłby wyratować Nowy Jork on sam, gdyby miał prawo drukowania pieniędzy. Jak wiadomo, takie prawo ma w Ameryce tylko Federalny Bank Rezerw. Gdyby burmistrz Koch mógł emitować pieniądze, wydrukowałby ich tyle, żeby spłacić długi i budżet tego wiecznie chrome miasta byłby zrównoważony. Taka ewentualność nie wchodziła w rachubę, bo Nowy Jork wypuszczał tylko wysoko oprocentowane (jak na owe czasy) obligacje. Po pewnym czasie okazało się, że nie ma środków ani na spłatę pożyczek, ani na regulowanie procentów, a gospodarka Nowego Jorku stała się ogólnonarodowym przykładem jak zasobne miasto można doprowadzić do finansowej ruiny. Tymczasem jego stan był tylko miniaturą tego co się w owych latach odbywało w całym Stanach Zjednoczonych. Z tym, że była to miniatura o znacznie mocniej zaakcentowanych cechach niż te, które występowały w całym kraju. W niej jak w soczewce skupiały się najgorsze cechy marnotrawienia pieniędzy, hołdowania społecznemu pasożytnictwu, mnożenia agencji i komisji, które miały kontrolować inne komisje i agencje. Po co o tym pisać? Po to, żeby na krańcowym przykładzie Nowego Jorku lat sześćdziesiątych i co najmniej połowy lat siedemdziesiątych dotrzeć do mechanizmu, który doprowadził do katastrofalnego stanu finansowego Stanów z jego najbardziej dotkliwą cechą — inflacją. Nowy Jork był zagrożony bankructwem (ponieważ deficytowy budżet równoważył obligacjami, których w pewnym momencie nie mógł spłacić) ale Stany Zjednoczone, prowadząc taką samą politykę w skali całego kraju, zbankruto-

wać nie mogły, bo choć każdorazowego deficytu nie można było zlikwidować drukowaniem pieniędzy to można było zaleczyć innymi sposobami, leżącymi w gestii bogatego państwa jakim są Stany Zjednoczone. Mimo, że na szczęblu federalnym kłopoty finansowe władz wyglądają inaczej niż na szczęblu miejskim czy stanowym, mechanizm borykania się z zadłużeniem wygląda podobnie — ale tylko do pewnego momentu. W wypadku, gdy wydatki przekraczają dochody, rząd w Waszyngtonie nie może kazać Federalnemu Bankowi Rezerw (w skrócie F.B.R.) aby wydrukował odpowiednią ilość gotówki na pokrycie długów, bo- wiem byłaby to prosta droga do zwielokrotnienia inflacji, a FBR nigdy by równie samobójczego polecenia nie wykonał, ponieważ nie jest ani urzędem ani agencją Rządu Stanów; jest niezależny od Rządu. Pozostaje poza jurysdykcją egzekutywy i Kongresu. Jego rolę w przełożeniu na sprawy finansowo-pieniężne można by przyrównać do prerogatyw Sądu Najwyższego Stanów. W normalnych czasach — to jest w takich, gdy budżet jest zrównoważony i Rząd Federalny pokrywa swoje wydatki dochodami, zasadniczą funkcją Banku Rezerw jest pożyczanie pieniędzy bankom i wszelkim instytucjom finansowym prywatnym przy obniżonej stopie procentowej (tzw. *discount rate*). Pożyczanie pieniędzy bankom nie jest wyłącznie zawarowane dla FBR, ponieważ prywatne banki mogą pożyczać pieniądze i od osób prywatnych i od innych banków — także od zagranicznych. W gestii FBR i tylko w jego gestii leży natomiast emisja pieniądza i regulowanie na tej drodze jego obiegu. W normalnych czasach, o których już w Ameryce dawno zapomniano, rząd w Waszyngtonie miał dostateczną ilość dochodów, płynących głównie z podatków, żeby utrzymać biurokrację, szkolnictwo, armię, dawać zasiłki bezrobotnym, a z nadwyżek subsydiować rozmaite projekty bez wypuszczania obligacji czyli rządowych weksli. Ale czasy obecne są wybitnie „nienormalne”. Od szeregu lat rząd USA ma znacznie większe wydatki od dochodów¹, przy czym deficyt, który rósł z każdym rokiem i dochodził do sumy przekraczającej 45 miliardów rocznie, powiększył się wydatnie za kadencji Cartera.

Ponieważ rząd Stanów Zjednoczonych nie znał żadnych cudownych sposobów pokrycia długów, a oszczędzanie i obcinanie wydatków (z wyjątkiem budżetu zbrojeniowego) było politycznie kłopotliwe, zachowywał się jak każdy osobnik tonący w długach. Żeby spłacić jeden dług, zaciągał inne. Odbywało się to w ten sposób, że wystawiał obligacje, które sprzedawał publiczności.

1. W ciągu ostatnich dwudziestu lat dochody wykazały nadwyżkę nad wydatkami tylko raz — w 1969 roku.

Federalny Bank Rezerw, który powinien był emitować pieniądze na pożyczki dla banków prywatnych, które z kolei dawałyby kredyty firmom usługowym lub inwestycyjnym, zmuszony był udzielać pożyczek Rządowi pod zastaw obligacji czyli — jak mówią Pol-Amerykanie — „bondów”. Tak więc, w przeciwieństwie do Nowego Jorku, uzależnionego od banków prywatnych, rządowi federalnemu bankructwo nigdy nie groziło, bo zawsze mógł liczyć na pokrycie wystawionych przez siebie obligacji przez FBR. Miast bankrutować, poprzez rosnące zadłużenie i wypłatę procentów uruchamiał motory inflacji. W ciągu lat zadłużenie Rządu rosło i — jak powiedział prezydent Reagan w mowie wygłoszonej 24 września 1981 za kilka dni miało przekroczyć trylion dolarów — czyli, że w obecnej chwili ów trylionowy próg zadłużenia USA ma już za sobą².

Żeby więc owe rosnące z każdym rokiem zadłużenie zmniejszyć, rząd chce zrównoważyć budżet w 1984 roku³. Temu wszystkiemu nie podobna odmówić zdrowego rozsądku i zresztą wielu oponentów polityki Reagana nie przeczy, że zrównoważenie budżetu jest kluczem do uwolnienia Stanów od inflacji. Nie zgadzają się tylko z nim jak zrównoważyć budżet — czyli czym kosztem — i w tym tkwi polityczna kość niezgody. Ale nawet nie wszyscy godzą się z tym, że sprawa zrównoważenia budżetu jest decydującym czynnikiem w usunięciu inflacji. Powiada się, że inflacja w Stanach i na świecie ma swoje liczne przyczyny i nadwyżka wydatków państwowych nad dochodami jest jedną

2. Oczywiście ów trylion dolarów nie ma w sobie nic tragiczno-magicznego. Z pełną słusznością zwraca się uwagę na następujące okoliczności. Po pierwsze: nie sam dług jest aktualnie dotkliwym obciążeniem Ameryki, ale konieczność płacenia od niego odsetek, które obecnie zwiększają wydatki rządowe o około 95 miliardów rocznie. Gdyby Ameryka nie musiała tych sum wypłacać, prezydent Reagan nie domagałby się w Kongresie dalszych dodatkowych oszczędności. Po drugie: przekroczenie takiego czy innego finansowego kamienia milowego nie ma znaczenia dla ekonomii Stanów. Ważne jest, że zadłużenie rośnie dalej i na trylionie się nie skończy, co pociągnie za sobą niekończące się bieżące zobowiązania. Chodzi o jak najszybsze zrównoważenie budżetu, bo to będzie miało wpływ na zahamowanie inflacji. Po trzecie — zadłużenie Stanów trzeba szacować w relacji do Dochodu Narodowego Brutto (D.N.B.). Przy szacunku w roku 1939, gdy kryzys w Ameryce wciąż jeszcze trwał, zadłużenie skarbu państwa wynosiło ponad 47 miliardów i stanowiło połowę DNB. W końcowym roku wojny — 1945 — zadłużenie osiągnęło 278 miliardów czyli nieco więcej niż ćwierć obecnego, ale stanowiło 130 % DNB. Po zakończeniu wojny wraz ze wzrostem produkcji pokojowej sytuacja uległa stopniowemu poprawieniu. W istocie poprawia się ona stale, lecz zwolna od 1950 roku. Obecny trylion dolarów stanowi nieco ponad 34 % DNB. (Dane z *New York Times* z 30. IX. 1981).

3. Co nie znaczy, że ów przekroczony trylion dolarów zakumulowanego długu będzie się zmniejszał. Nie będzie się tylko zwiększał o sumy nowych obligacji rządowych.

z wielu. Czy najważniejszą? — nie wiadomo. O to kłóć się wysoko wykwalifikowani ekonomiści, spośród których niektórzy powiadają, że można żyć z deficytem (ale jakim?) i nie mieć inflacji⁴. Że inne przyczyny mogą grać tu również rolę, jak np. gwałtowne zwwyżki cen paliwa bliskowschodniego, nie budzi żadnych wątpliwości. Ale inflacja jest na całym świecie i w Stanach Zjednoczonych ponoć wcale nie najstraszniejsza, bo w krajach Trzeciego Świata albo w Izraelu jest z reguły często wysoka — 2 cyfrowa, a gdzie indziej jeszcze wyższa. W Izraelu łatwo tłumaczyć ją zbrojeniami, które pochłaniają ponad 50 % budżetu, ale w innych krajach nawet i takiego tłumaczenia nie ma. Osobiście myślę, że mechanizm inflacji nie jest wcale tak skomplikowany. Jeśli zapomnimy raz na zawsze o złocie — na którego parytecie opierały się niegdyś waluty — to najzwyczajniej w świecie każdy, kto ma trochę zdrowego rozsądku, wie, że suma pieniędzy w obiegu musi być zrównoważona masą towarową na rynku. Ale masą — nie importowaną, ale wyprodukowaną przez własny przemysł i rolnictwo. Jeśli pieniędzy jest więcej niż towaru, wówczas pieniądze tanieją, a towary drożeją. Proste jak kołek w płocie i może nie warto by tego powtarzać. Ale trzeba, bo przecież istnienie tej równowagi pieniężno-towarowej pozostaje w ścisłym związku z produktywnością narodu, liczbą niepracujących, którzy konsumują, ale nie produkują. Ale nie pracować można „z rozmaitych pozycji”. Raz — dlatego, że nie ma pracy i moce produkcyjne są nasycone ludzką siłą roboczą, albo też właścicielom się nie opłaca, bo zamiast zysku mają deficyt (jak to bywa w kapitalizmie, bo w socjalizmie produkuje się nawet deficytowo). Poza tym można nie pracować jeszcze z innych powodów, bo się nie opłaca. A nie opłaca się dlatego, że państwo opiekuńcze daje. Ale istnieje jeszcze wiele innych powodów. Nie pracują ci, którzy nie są zdolni do pracy z powodu chronicznej choroby, upośledzenia lub kalectwa⁵. Wszelako masa

4. Można by, gdyby deficyt był pozycją zamrożoną i gdyby nie trzeba było płacić od niego odsetek. To, co gospodarzo zarzyna zadłużone kraje (zwłaszcza w wypadku zadłużenia zagranicznego), to zobowiązania krótkoterminowe.

5. Ludzi niepracujących z powodu podeszłego wieku nie wymieniam. Ci korzystają w Stanach z emerytur państwowych, które uzupełnione są dość często emeryturami prywatnych przedsiębiorstw. Emerytury nazywają się ubezpieczeniem socjalnym i jeśli by gospodarowano nimi właściwie, nie powinny one obciążać budżetu państwowego, tym mniej przyczyniać się do deficytu, ponieważ pochodzą ze składek płaconych w ciągu wielu lat, częściowo przez ubezpieczonych, a częściowo przez pracodawców. Na nieczęście, funduszem emerytalnym zarządzano bardzo źle, bez myśli o przyszłości. Z tego powodu wypłata emerytur, które są niczym innym jak wiązywaniem się Państwa z zaciągniętych zobowiązań, wejdzie w fazę krytyczną w ciągu niezbyt odległych lat.

tych ludzi, których z jak najbardziej humanitarnych racji utrzymuje albo powinno utrzymywać społeczeństwo, jest zwykle stała z wyjątkiem wojen, które zwiększają liczbę inwalidów. W sumie są to wydatki, które mieszczą się w granicach tolerancji ekonomicznej każdego rozwiniętego kraju i żadną miarą nie można w nich upatrywać źródeł zachwianej równowagi budżetowej. Rozumie się, że niepodobna w naszym rachunku liczyć tylko ludzi produktywnych w znaczeniu wąskomaterialnym. Współczesna rozwinięta cywilizacyjnie społeczność ma bardzo wysoki procent ludzi świadczących najrozmaitszego typu usługi. Do nich należą lekarze, nauczyciele, artyści, pisarze i długi szereg rozmaitych zawodów. Właśnie w społeczeństwach zaawansowanych, sfera tych wydatków rozrasta się w miarę rozwoju społecznego narodu. Skądinąd tak zwane nieproduktywne w znaczeniu wąskomaterialnym zawody nie powinny obciążać budżetu państwa, z wyjątkiem niektórych badań naukowych, lecznictwa, nauczania na szczeblu elementarnym i średnim⁶, ponieważ pokrywają je konsumenci dóbr kulturalnych z własnych dochodów. Jeśli to nie wystarczy, wówczas wkracza państwo lub stan, które nieraz utrzymują pewne instytucje ze względów prestiżowych. Subsydiowanie przedsięwzięć, służących rozwojowi sztuki lub popularyzowaniu kultury nie napotykało na sprzeciw w Stanach tak długo, jak długo rząd federalny nie borykał się z deficytem.

Obniżenie corocznego zadłużenia Ameryki, którego wzrost trwa już od lat, jest operacją złożoną i oczywiście polaryzującą społeczeństwo wedle kryteriów nie tyle politycznych ile światopoglądowych. Na ogół wszyscy godzą się, że droga do zahamowania inflacji wiedzie przez zrównoważenie budżetu. Jest to jednak metoda, którą stosować można rozmaicie. FBR, dzięki regulowaniu obiegu pieniądza, ma w swej gestii niezmierny ważny i czuły instrument, ale jest to coś w rodzaju dźwigni, której naciski uruchamia inne mechanizmy gospodarcze. Ponieważ FBR poza pożyczaniem bankom prywatnym musi obecnie pożyczać rządowi (który przy swoich podatkach i innych źródłach dochodu powinien być być monetarnie samowystarczalny), z natury rzeczy emituje taką masę pieniędzy, że nie równoważy ona masy towarów i usług na rynku, co sprzyja inflacji. Żeby więc ograniczyć ilość gotówki, FBR stara się podrożyć pożyczki udzielane bankom, podnosząc ich oprocentowanie (*discount rate*). Z kolei banki podnoszą *prime rate* czyli stopę procentową. W re-

6. Oczywiście kolosalne obciążenie w takim kraju jak Stany Zjednoczone stanowi armia, zbrojenia i badania związane z rozwojem nowych broni. Kwestia rozmiaru wydatków na zbrojenia należy obecnie w Ameryce do najbardziej kontrowersyjnych i dyskutowana będzie w dalszej części niniejszego artykułu.

zultacie na rynku pieniężnym robi się z gotówką ciasno. Dalszym tego skutkiem jest to, że prywatne banki pożyczają pieniądze od osób prywatnych, w tym od drobnych ciułaczy, wypuszczając obligacje bankowe odpowiednio wysoko oprocentowane, które równoważą kredytorem koszta inflacji. To w dalszym efekcie odciąga drobnych ciułaczy od kupna akcji na giełdzie — do czego w Ameryce wcale nie trzeba być bogatym — czyli, że napływ gotówki z kieszeni drobnych inwestorów (posiadaczy niewielkich ilości akcji) do wielkich firm inwestycyjnych się zmniejsza. Trudności inwestorów i producentów amerykańskich, którzy nie mogą rozwijać gospodarki, wymagającej zastrzyków finansowych przy tak wysoko oprocentowanym kredycie, mogą doprowadzić do zmniejszenia masy towarowo usługowej na rynku, co oczywiście jest zjawiskiem niepomysłnym. W ten sposób polityka FBR, której celem jest, poprzez zmniejszenie obiegu pieniądza, zahamowanie inflacji — przez nadmierne naciskanie jednej dźwigni antyinflacyjnej może spowodować niezamierzony wzrost inflacji.

Równoważenie budżetu jest funkcją z jednej strony podatków, czy innych dochodów skarbu, z drugiej — wydatków. Ponieważ Ameryka jest ciężko opodatkowana i progresja bardzo wysoka, o podniesieniu podatków federalnych się nie myśli. Przeciwnie, rząd Reagana preferował ich zmniejszenie, co wydaje mi się posunięciem błędnym. Trzeba więc w obecnej chwili bardzo drastycznie zmniejszyć rozchody Państwa i na tej drodze zredukować deficyt. Jeśli się z powodzeniem zacznie je zmniejszać, rząd nie będzie musiał na nowo zapożyczać się na pokrycie starych długów. Innymi słowy, deficyt federalny zacznie się stopniowo zmniejszać. Dalszym skutkiem tego będzie to, że Federalny Bank Rezerw nie będzie musiał drukować pieniędzy na wypłatę rządowych obligacji i przy zmniejszonym obiegu pieniądza obniży stopę procentową dla banków. W rezultacie zaciskające się tryby zbyt drogiego kredytu na gospodarce Stanów zaczną się rozluźniać. Na tym tle powstają najważniejsze problemy:

Jak ma wyglądać reforma podatkowa Stanów i czy w ogóle jest ona potrzebna, a jeśli tak — komu należy przykręcić śrubę podatkową, a komu — rozluźnić.

W jakiej dziedzinie ma nastąpić zmniejszenie wydatków — i tu są dwa rozległe obszary, dające pole do oszczędności: zbrojenia i opieka społeczna, do której zaliczam wszelkie wydatki opiekuńcze państwa. Ta kwestia dzieli obecnie społeczeństwo amerykańskie. Odmiennie poglądy na te sprawy odzwierciedlają nie tylko krańcowo przeciwne światopoglądy, ale determinują kierunki, którymi ma kroczyć Ameryka. Dla neo-liberałów, którzy radzi byliby kapitalizm „zsocjaldemokratyzować”, do tego ideału

zbliżało ich „Wielkie Społeczeństwo” (*Great Society*), które z rozmachem i — jak twierdzi Reagan — „bez głowy” tworzył (między innymi prezydentami Stanów) Lyndon Johnson. On to właśnie rozbudowywał funkcje społeczno-opiekuńcze Państwa, łożąc szczerą ręką na niezliczone agencje, projekty, programy, których celem było wciągnąć w sferę opieki Państwa wszystkich potrzebujących. Wraz z nią rosła armia pracowników społecznych i funkcjonariuszy rządowych, których zawodem była opieka i troska nad coraz liczniejszą klientelą potrzebujących. Oczywiście że dość szybkiego tempa rozwoju państwa opiekuńczo-biurokratycznego nie można wyłącznie tłumaczyć dążeniami biurokracji amerykańskiej do pomnożenia swej potęgi. Proces ten musiał mieć przede wszystkim u swych podstaw grunt ideowy. Właściwością amerykańską jest to, że zjawiska tego wraz ze wszystkimi z nim powiązаныmi konsekwencjami, mimo narzucających się symptomów, nie zauważono dość wyraźnie i dalej nie chce się zauważyć. Tu trzeba zwrócić uwagę na *mass media*. W szczególności, jeśli dotyczy to TV. Gazety w Ameryce liczą prawdopodobnie dziesiątki tysięcy tytułów czyli działanie ich jest nieograniczone żadnymi restrykcjami. Przynajmniej teoretycznie, bo oczywiście kluczem oddziaływania jest nie publikowanie, ale czytanie, a ileż gazet można czytać? W każdym mieszkaniu amerykańskim jest przeciętnie jedna gazeta albo nie ma żadnej. U ludzi o nieco bardziej wysubtelniejszych potrzebach informacyjnych mogą być maksymalnie trzy. Natomiast w aparatach TV, do których dochodzą programy największych telewizyjnych korporacji, jest tylko siedem odbieralnych kanałów i około 10 do 14 kablowanych. Innymi słowy, przy obecnej technologii, która rychło może się zmienić i pomnożyć ilość kanałów, najważniejsze korporacje telewizyjne NBC, ABC, CBS, NEW, NET, PIX, XTV zmonopolizowały właściwie całkowicie tę część programów które służą informacji politycznej i urabianiu światopoglądu widzów. Oczywiście porcja przeznaczona na ten cel nie przekracza maksymalnie 10 % czasu telewizyjnego. Zainteresowania polityczne Amerykanów — zwłaszcza tych z dziada pradiada — wzmagają się tylko w momentach napięć międzynarodowych. I tu mamy do czynienia ze zjawiskiem osobliwym. O ile bowiem wachlarz poglądów reprezentowanych przez gazety amerykańskie jest różnorodny, w telewizji występuje znacznie bardziej uderzająca zgodność. Oczywiście nie na sprawy drugorzędne, ale na najbardziej zasadnicze, które dzielą obecnie Amerykę. TV amerykańska jest politycznie bardziej „zmonopolizowana” od telewizji angielskiej, która, choć jest własnością Rządu, więcej dba o przedstawienie różnorodnych poglądów, niż redaktorzy amerykańskich programów. W jednej z najbardziej zapalnych

kwestii — sprawy zagrożenia przez Sowiety — ulubionym kluczem stosowanym przez redaktorów programu jest przedstawienie społeczeństwa sowieckiego jako odbicia amerykańskiego. W sporze czy Zachód jest rzeczywiście zagrożony ekspansją sowiecką, CBS przedstawia nam obawy rosyjskich mężów stanu, których troska o granice jest przecież głęboko umotywowana historią Rosji. Agresywność Sowietów i ich podboje podyktowane są chęcią zdobycia bezpiecznych granic. Byli nawet komentatorzy, którzy bez cienia obłudy zapewniali, że tym właśnie kierowały się Sowiety w inwazji Afganistanu. Generalna idea brzmi: nasze obawy są odbiciem ich własnych. W Moskwie tak samo z lękiem myślą o naszych zbrojeniach, jak my o ich. Dlatego wojna może wybuchnąć na skutek czystego nieporozumienia i z racji przypisywania przeciwnej stronie najzupełniej bezpodstawnie niecnnych zamiarów. CBS nie proponuje wprost i wyraźnie jednostronnego rozbrojenia, zainicjowanego przez Stany, ale idee te podsuwa się widzom dyskretnie. Bo czyż nie byłoby to najlepszym sposobem rozproszenia wojennych podejrzeń?

Tak więc jeden z największych biznesów kapitalistycznych: „sprzedaż antykapitalistycznej propagandy” — jak ją nazywa w swych „Rockford Papers” Leopold Tyrmand — odbywa się w Ameryce jak każda sprzedaż w eleganckim opakowaniu. W istocie jest to raczej reklama wizji tego typu społeczności, którą zaczęli wcielać w życie Kennedy, Lyndon Johnson i ich następcy do czasu wyboru Reagana. Ta wizja uzupełniona być musi Ameryką wolną od ciężaru zbrojeń, która by promieniowała umiłowaniem pokoju na cały świat, rozdzielając przy tym biednym narodom owoce swego dobrobytu w taki mniej więcej sposób, jak to czyniła wobec własnej „biedoty”. A ponieważ świat, w którym Ameryka żyje, na taki luksus nie przyzwalał, więc obraz jego trzeba było „podciągnąć” do upragnionej wizji, niekoniecznie licząc się z faktami.

To co dla każdego pospolitego obserwatora, mieszkającego, a nawet nie mieszkającego, w Stanach było jasne — to fakt, że u schyłku prezydentury Eisenhowera i w pierwszych latach rządów J. F. Kennedy’ego rozpoczął się w Ameryce wielki przełom o charakterze głęboko humanitarnym. Zamanifestował się on początkowo w postawie oświeconych warstw północno-wschodniego Wybrzeża Stanów z jego duchową stolicą Bostonem, póki swymi wpływami nie objął szerokich kręgów narodu. Zmiana w stosunku do czarnej ludności nie była bynajmniej detonatorem przemian, ani sygnałem, „rozbudzającym sumienie narodu”. Od-

7. Por. „CBS versus Defense”. J. Murawchik and John E. Hayenes — *Commentary*. Sierpień 1981.

wrotnie — była ona następstwem ogólnej rewolucji humanitarnej — której hasłem i drogowskazem było nadanie maksymalnej wartości życiu ludzkiemu. Na jej tle nie do pomyślenia był dalszy podział narodu na obywateli dwóch kategorii. Że przemiany te wypadły w okresie niefortunnego wplątania się Stanów w wojnę wietnamską stanowiło raczej nieprzewidziany splot historyczny, który z natury rzeczy musiał zmienić konflikt azjatycki w agonię i klęskę⁸. Z tym wszystkim nie przeceniałbym wagi i doniosłości samego konfliktu. Na tle doniosłości samych przemian wewnątrz kraju wojna ta była tylko epizodem. Ponieważ wagi tych przemian się nie docenia ani nie próbuje się zgłębić ich genealogii, z natury rzeczy drogą kontrastu przecenia się doniosłość „wietnamskiego wstrząsu”.

Z tego powodu, gdy mówię o przemianach, których uchwytym skutkiem jest tworzenie się państwa biurokratycznej demokracji, myślę, że nie można tej sprawy skwitować byle jaką formułką — że ot, Ameryka ze wspaniałego narodu i potężnego państwa zamieniła się w pożałowania godny poligon bezprawia, anarchii, w którym kultywuje się gwałt, terror uliczny i rozwydrzenie obyczajów. Jeśli nawet ten obraz ma, niestety, w sobie więcej niż liczne elementy prawdy, wypada uwzględnić jego nieprostą genealogię. Właśnie teraz, gdy nowy kurs zainicjowany przez Reagana ma przeprowadzić Amerykę poprzez historyczny zakręt i wyciągnąć ją z kryzysu ekonomicznego i impasu międzynarodowego. Wiadomo, że w odpowiedzi na propozycje reform Reagana jego przeciwnicy odpowiadają mu wielogłosowym chórem, w którym najdonioślej brzmią dwa tony. Pierwszy: Reagan każe płacić koszty uzdrowienia ekonomii biednym, oszczędzając bogatych. Drugi zarzut ma charakter historyczno-socjalny: oto „reaganicy” chcą nas pozbawić wszystkich zdobyczy socjalnych, które Ameryka osiągnęła w ciągu ćwierćwiecza”. Czy wszystko

8. Skądinąd wojna wietnamska była wspaniałym tłem, który posłużył bardom amerykańskiej rewolucji humanitarnej do ukazania odrażającego oblicza wojny, jako najstraszliwszego poniżenia człowieka. Jednocześnie nikczemnością i oszustwem było przeciwstawienie jakoby okrutnych amerykańskich żołnierzy ich przeciwnikom — partyzantom Vietcongu i armii Płn. Wietnamskiej, rzekomo szlachetnym bojownikom o wolność i pokój. W wykoślawieniu tej rzeczywistości celowały znów amerykańskie *mass media*. Gdy po inwazji opuszczonego przez Amerykę Płd. Wietnamu i ucieczce setek tysięcy Wietnamczyków na łodziach i łódkach okrucieństwo i tyrania nowych władców nie mogły być nadal gloryfikowane, amerykańskie *mass media*, a zwłaszcza CBS nabrały wody w usta. Nikt ze znakomitych komentatorów, włączając gwiazdora amerykańskiej TV, Waltera Cronkite'a, nie potępił własnych kłamstw, ani nie uznał za wskazane wytłumaczyć się przed telewizjami, że przez lata padał ofiarą mistyfikacji. Niekontrolowane przez nikogo kłamstwo jest dalej monetą obiegową amerykańskich środków masowego przekazu.

to co przyniosło ze sobą *Great Society* jest „zdobyczą socjalną” — powinno być kwestią co najmniej sporną. Dla wielu jednak nie jest. Tak więc, gdy jedni upatrują w minionych latach powołną klęskę i upadek — inni traktują to jako „złote ćwierćwiecze” w dziejach Ameryki. Gdy Reagan głosi, iż zamiarem jego jest wyprowadzenie Ameryki znad brzegu przepaści — jego przeciwnicy obwieszczają, że cofa on koło historii w wiek XIX. Myślę jednak że nie zagubimy się w relatywizmie, który każe nam obydwu stronom przyznać część racji, w zależności od punktu widzenia, jeśli zacytujemy nieodparte fakty.

Zacznijmy od oskarżenia Reagana, iż w walce o zrównoważenie budżetu preferuje bogatych, a nie oszczędza biednych. Obserwacja trafna, tylko zarzut niemądry. Wypada się bowiem zastanowić o jakich biednych chodzi i skąd owe kategorie biednych czerpały dochody. Pod tym względem nieodparte są liczby zacytowane przez Reagana w jego przemówieniu z dn. 24 września 1981 roku. Że są prawdziwe, dowodzi to, że nikt z jego najzjadlejszych krytyków nie próbował ich kwestionować. „W ciągu ostatniego 20-lecia — powiedział Reagan — stworzyliśmy setki programów humanitarnej pomocy. Wiele z tych programów zrodziły gorące serca, ale nie wszystkim towarzyszył rozsądek. Koszty tych programów pomocy były zawrotne. W roku 1955 wydatki na nie pochłonęły 8 miliardów. W 1965 roku ich koszt wyniósł 79 miliardów. W przyszłym roku kosztować będą 188 miliardów” (oczywiście już po skurtyzowaniu ich przez administrację Reagana, w przeciwnym razie wynosiłyby znacznie więcej). Zastanówmy się tylko chwilę nad charakterystycznym skokiem w wydatkach na opiekę społeczną w początkowej dekadzie. 10-letni okres od końcowych lat prezydentury Eisenhowera do objęcia rządów przez Johnsona poprzez lata rządów J.F. Kennedy'ego cechuje ich 900 % wzrost. Czy w owym czasie nastąpił w Ameryce dziewięciokrotny wzrost liczby biednych, wymagających pomocy Państwa? Tego nikt nie twierdzi. A więc ów gwałtowny skok w ciągu jednej dekady był następstwem eksplozji „gorących serc”, które po prostu owych „biedaków” dojrzały, choć biedowali na ziemi amerykańskiej od dawna. Gdy mówi się o opiece nad biednymi, wyłączyć z niej należy Ubezpieczenia Społeczne (emerytury), ponieważ nie były one innowacją lat trzydziestych i nie wprowadziły ich reformy *Great Society*. Wprowadził je Roosevelt przed Drugą Wojną. *Medicare* czyli opieka lekarska dla osób o przekroczonym 65 roku życia weszła w życie w latach sześćdziesiątych, do istniejącego już Funduszu Ubezpieczeń Społecznych (*Social Security*), nie obciążając dodatkowo budżetu Państwa. Wydatki na rozmaite programy opieki społecznej, które od 1955 do 1981 podskoczyły z 5 mld dolarów

do 188 mld — wzrosły 23-krotnie (nie kilkakrotnie, jak nie znając dokładnych danych, podałem w artykule: „Wolność czy Równość”, *Kultura* nr 10/409 z października 1981 r.). Jeśli uwzględnimy stopniową obniżkę wartości pieniądza między 1955 a 1981 r., która przybrała ostre tempo dopiero w ostatnich latach, to wypada, że ów 2-krotny wzrost trzeba zmniejszyć nieco więcej niż o połowę. Ilu podopiecznych liczyła armia biednych w 1955, a ilu w 1981? Jeśli jako kryterium uznamy, że ten jest biedny kto otrzymuje pomoc państwa, stanu lub powiatu w formie *welfare*, bonów żywnościowych, pomocy na komorne czy dziesiątki innych zasiłków w rozmaitych formach, to oczywiście tych biednych w Stanach będzie około 10 razy więcej niż było ich 20 lat temu. Ale obserwacje oparte na takich kryteriach nie ukazują rzeczywistości, a wprowadzają jedynie zamieszanie. W minionych latach nie zaszły żadne wydarzenia, które by tak wydatnie zwiększyły zubożenie ludności w Stanach. Tym niemniej szybki wzrost wydatków na pomoc społeczną spowodował niezwykle powiększenie aparatu opiekuńczego. Jego rozbudowa tworzyła coraz liczniejsze szeregi ludzi, których nazywam biednymi „statutowymi”, ponieważ ich materialnemu położeniu nadało oficjalny status Państwo i jego agendy. Ciężar 150-160, a wreszcie 180 miliardów rocznie na opiekę społeczną (z wyłączeniem emerytur) był zbyt ciężki nawet dla Ameryki — a w dodatku był napełnianiem worka bez dna, bo nowe subwencje na dalsze kategorie „biednych” wymagały nowych mechanizmów rozpraszających. Trzeba więc było na czymś zaoszczędzić. Pęczniące wydatki musiały doprowadzić do inflacji, która zdevaluje zasiłki rządowe zmuszając władze do ich dalszych podwyżek, czyli tworząc idealny cykl błędnego koła. Wypada tu przypomnieć, że tworzenie owego „Wielkiego Społeczeństwa” zbiegło się z potęgującą się agonią wojny wietnamskiej. Wprawdzie nadmieniałem, że nie przywiązuję nadmiernej wagi do wstrząsu jaki w psychice amerykańskiej wywołał konflikt w Wietnamie, ale z czysto finansowego punktu widzenia, jednoczesne wydatki na rozbudowę się opiekę społeczną i na wojnę wzmogły niepomiernie trudności ekonomiczne Ameryki. Pod brzemieniem tego podwójnego ciężaru załamałby się w ciągu kilku tygodni każdy kraj.

Opieka społeczna pochłania obecnie 13 % dochodu narodowego brutto (D.N.B.) przy 6 % za prezydenta Eisenhowera (co nie oznacza dwukrotnego wzrostu w liczbach bezwzględnych, tylko znacznie wyższy, ponieważ DNB od czasów Eisenhowera wzrósł bardzo wydatnie). Machinie rządowej — której oficjalną ideologią stał się nowy amerykański humanitaryzm, mający kształtować profil nowego społeczeństwa — najłatwiej było ograniczyć wydatki federalne przeznaczone na obronność kraju. Nie

było to zresztą pozbawione pewnej logiki. Skoro wojnę wykluczano z góry jako instrument obrony (konflikt wietnamski był wciąż akcją policyjną), to po cóż kolekcjonować nowoczesną broń, by rdzewiała w arsenałach; po cóż szukać dla armii najlepszych, a przynajmniej uzdolnionych ludzi, skoro najłatwiej przyjmować wypędków ze średnich szkół nęconych obietnicą przygody, podróży po świecie i łatwego chleba. Obecnie Pentagon zbiera owoce tej polityki a społeczeństwo z przerażeniem dowiaduje się od komisji senackiej o ilości narkomanów znajdujących się na najnowocześniejszych jednostkach floty Stanów Zjednoczonych i o tym, że personel amerykańskiej marynarki „dorabia” sobie szmugłem narkotyków. Żeby to wszystko zmienić, trzeba było uderzyć po kieszeni „biednych” — co zaktywizowało najbardziej agresywną, najbardziej krzykliwą część opinii publicznej przeciw Reaganowi, przede wszystkim zaś mniejszość murzyńską. Ponadto uzbrojenie Ameryki, a przede wszystkim zmodernizowanie jej sił zbrojnych również uruchomiło te same neo-liberalne siły społeczne, ponieważ *détente* czyli zasłona dymna, „opieka nad biednym człowiekiem” i rozbrojenie Ameryki stanowiły konsekwentnie zwarty syndrom.

◆

Czynnikami, wyznaczającymi równowagę budżetową — uznany przez nas klucz do zwalczania inflacji — są oczywiście wydatki i wpływy. Przy czym co najmniej 90 % wpływów skarbu USA płynie z podatków. Ta właśnie sprawa jest wybitnie konfliktowa, polegająca nie tylko na różnicach światopoglądowych, ale na rozróżnieniach czysto ekonomicznych. Jak wiadomo, Reagan przystąpił do redukcji podatków, które przynoszą minimalną ulgę małym zarabiającym — a znacznie większą bogatym. U podstaw kalkulacji nie chodziło naprawdę o zmniejszenie podatków biednym i średnio zamożnym, ponieważ tego typu ulgi działają tylko jako bodźce konsumpcyjne, przyczyniając się do zmniejszenia masy towarowej na rynku. Jeśli zaś chodzi o bogatych — ściśle tych, u których ulgi podatkowe nie wpływają na wzrost spożycia, ponieważ ich dochody są na tyle duże, że ich maksymalne potrzeby materialne są i tak zaspakajane — miały one pełnić rolę bodźców inwestycyjnych. Oczywiście z punktu widzenia ekonomicznego tj. walki z inflacją, należało zmniejszyć podatki tylko bogatym, a średnio-zamożnych i biednych zostawić bez żadnych ulg. W utrzymaniu równowagi między masą towarową na rynku a obiegiem pieniężnym ważne jest — poza ograniczeniem emisji pieniądza — przejściowe obniżenie konsumpcji do czasu uzyska-

nia trwałą równowagę rynkową. Dlatego, jeśli celowe jest obniżenie podatków, to nie biednym, a bogatym. Politycznie jednak ze zrozumiałych względów było to niemożliwe. I dlatego Reagan wybrał kompromis i obniżył podatki wszystkim. Był to błąd podwójny, ponieważ: 1) nawet niewielkie ulgi podatkowe dla biednych w sumie bardzo zmniejszyły dochody Skarbu. 2) Ulgi w podatkach udzielone zamożnym nie będą prawdopodobnie zrównoważone bodźcami inwestycyjnymi, które by w efekcie zwiększyły masę towarową na rynku i stworzyły nowe stanowiska pracy, a wraz z tym pomnożyły wpływy skarbu. W rezultacie nie przyczyni się to do zmniejszenia deficytu⁹.

Biednych w Ameryce — a pojęcie to jest oczywiście rozciągliwe — jest sporo. Należy ich jednak podzielić co najmniej na dwie grupy. Pierwsza — to pracujący, ale zarabiający mało oraz pewien procent emerytów czyli takich, których głównym, a czasem jedynym źródłem utrzymania jest ubezpieczenie emerytalne wypłacane w całości (ale bardzo dalekie od średniej zarobków) po upływie 65 roku życia. Do nich należy dodać kilkumilionową liczbę ludzi niestarych, ale niezdolnych do pracy. Ci korzystają z podobnych przywilejów jak emeryci. Tu nieamerykańskich czytelników wypada poinformować, że wypłata emerytur jest raz do roku wyrównywana po uwzględnieniu rosnących kosztów utrzymania. W zasadzie bywa ona niska i nieuzupełniona innymi dochodami (jak oszczędności lub pomoc rodziny) z trudem wystarcza na utrzymanie¹⁰. Jeśli chodzi o pracujących i zarabiających mało to trudno tu zdefiniować poziom biedy przy zmieniających cenach rynkowych. Należą do niej pewne kategorie pracowników rolnych, pracujących na plantacjach południowego Za-

9. Obecnie Reagan, nie chcąc wycofać się ze swej polityki redukcji podatków dochodowych, a czując, że w tym wypadku popełnił błąd, który utrudni zrównoważenie budżetu, z pomocą swych doradców myśli o nowych źródłach dochodu dla skarbu. W rachubę wchodzi federalny podatek na alkohole, nie podnoszony od 1955 roku, i podatki federalne na papierosy. Sprzedaż tych ostatnich opodatkowana jest rozmaicie przez poszczególne stany.

10. Mowa tu oczywiście nie o emeryturach specjalnych jak wojskowe, federalne prywatnych korporacji, a choćby takich jakie ofiaruje miasto Nowy Jork, które dzięki niesłychanej szczodrobliwości jednego ze swych burmistrzów, Johna Lindsay'a, wypłaca pracownikom komunikacji miejskiej emerytury równe 100 % zarobkom ostatniego roku zatrudnienia, wliczając w to godziny nadliczbowe. Ten niewiarogodny rabunek, jakiego dopuszczono się na mieszkańcach tego miasta, miał miejsce w czasie rozkwitu „Wielkiego Społeczeństwa” — Lyndona Johnsona — przy czym postanowieniom owej umowy zbiorowej nikt nie ośmielił się cofnąć, ponieważ łatwiej komuś coś dać, choćby to była rzecz najniesprawiedliwsza w świecie — niż wydrzeć.

chodu. W wysokim procencie są to jednak robotnicy migrujący z Meksyku lub przebywający w Stanach Zjednoczonych nielegalnie, co oczywiście utrudnia ich ochronę przed wyzyskiem. Bieda w Ameryce nie należy do legendy. Jest rzeczywistością. Procent jej jednak w porównaniu z liczbą dobrze i średnio zarabiających jest nikły i relatywnie z innymi poziomami „nędzy” budzi pewien sceptycyzm.

Drugą grupę umownie nazywam „statutowymi” biednymi. Nie oznacza to bynajmniej, że nie są oni biednymi wedle kryteriów amerykańskich. Oczywiście — są nimi. „Statutowość” ich wskazuje na społeczno-polityczną genealogię ich biedy. Gdyby Kennedy, a zwłaszcza Lyndon Johnson, nie zainicjowali i nie stworzyli *Great Society* — co zresztą nie było wynikiem ich indywidualnych decyzji, ale następstwem przemian światopoglądowych w elicie umysłowej Ameryki, to ci, którzy stanowią obecnie „statutową biedę” podzieliłoby się na dwie grupy. Jedna zwiększyłaby armię pracy, druga — stałaby się lumpenproletariatem.

W jakim stosunku dokonałby się podział — przewidzieć nie sposób. Natomiast pewne jest, że obraz ekonomiczny Ameryki, a z nią zapewne i świata przedstawiałby się obecnie pomyślniej. Ameryka nie byłaby wobec Sowietów rozbrojona duchowo i materialnie, a Europa Zachodnia nie drżałaby ze strachu przed blokiem wschodnich sąsiadów. Oczywiście w Ameryce mniej ludzi korzystałoby z pomocy państwa bez obowiązku pracy. Jeśli ktoś uznaje to wszystko za historyczny regres, ten ma wszelkie powody gloryfikować zdobycze „Wielkiego Społeczeństwa”, które usiłuje podminować Reagan. Jeśli jednak „Wielkie Społeczeństwo” się sławi, to trzeba je niestety sławić z wieloma niezapląnowanymi skutkami, które tak wypełniają obraz życia w Stanach, że trudno nazwać je ubocznymi. Trzeba wówczas pamiętać o zdewastowanych dzielnicach amerykańskich miast, nad genealogią których zapuszcza się obłudną kurtynę nieoficjalnej cenzury¹¹; o bezprawiach i zbrodniach, nad którymi całe społeczeństwo rozdziera szaty, przymykając jednocześnie oczy, bo są to przecież sprawy drażliwe, wstydlive i w ogóle takie, o których większość Amerykanów boi się głośno mówić. Amerykańska hipokryzja

11. Setki razy pokazuje się telewizjom dzielnicę Nowego Jorku — Południowy Bronx, który wygląda tak jak miasta niemieckie po wielkich bombardowaniach alianckich. Poza Bronxem istnieją rozległe spalone przez ludność murzyńską sektory w Detroit, Chicago, Miami i paru innych wielkich miastach. Choć tyle razy się je pokazuje, bezustannie mówiąc o potrzebie ich rehabilitacji, nikt nie zapyta się publicznie o przyczyny owych dewastacji. Sprawa jest wstydliva — a rzetelna odpowiedź spowodowałaby prawdopodobnie lawinę oskarżeń o rasizm i sympatie dla Ku-Klux-Klanu.

manifestuje się przy okazji tych zjawisk w sposób najbardziej monstrualny.

◆
 Inflacja w obecnych rozmiarach jest klęską całej Ameryki — by nie rzec świata. Oczywiście dotyka ona wszystkich w stopniu nierównym. Więcej — istnieje liczna kategoria ludzi, którzy się na niej bogacą. Do nich należą kupcy, bankierzy, przedstawiciele wolnych zawodów i producenci. A więc bogaci, którzy przerzucają często z dodatkowym zyskiem koszty inflacji na klientów lub konsumentów. Nic nie można poradzić, że poza regulowaniem obiegu pieniądza w istniejącej strukturze kapitalistycznej drugim elementem, obniżającym inflację, jest zmniejszenie parcia na rynek, co można osiągnąć poprzez okresowe zmniejszenie siły nabywczej¹². To zaś najpraktyczniej jest osiągnąć poprzez zmniejszenie konsumpcji niepracujących, ponieważ należą oni do kategorii konsumentów „jałowych”. Zmniejszona konsumpcja niepracujących nie odbija się tak na produkcji jak obniżenie standardu ludzi pracujących. Dlatego cięcia budżetowe Prezydenta wymierzone były przede wszystkim w te fundusze federalne, które szły na utrzymanie biedaków „statutowych”. Nie znaczy to oczywiście, że Reagan chciał ich całkowicie pozbawić owych dochodów — czyli pozostawić na bruku. Taka rzecz była nie do pomyślenia i nie leżała ani w niczyich intencjach, ani w możliwościach, czego najlepszym dowodem jest fakt, że wydatki na te cele wynosić będą w 1982 roku 188 mld. Ale oczywiście dla Reagana i „reaganitów” było to coś więcej niż operacja oszczędnościowa. Była wyzwaniem rzuconym „Great Society” i systemowi obyczajów, który wraz z jego rozwojem i rosnącą potęgą przeorywał Amerykę przez ćwierć wieku, zostawiając ją w takim stanie w jakim ją obecnie widzimy. Gdyby wysterylizować tę sprawę ze wszystkich podtekstów ideowo-humanitarnych, rzecz wyglądałaby nieco inaczej: „Dawaliśmy, póki mogliśmy. Nie dajemy, bo nas więcej na to nie stać, a stoi przed nami obowiązek dozbrojenia Ameryki”. Gdyby Reagan chciał tę sprawę przedstawić w płaszczyźnie czysto ekonomicznej — walki z inflacją, zrównoważenia budżetu i przedstawienia Ameryki z jej roli śmiertelnie przestraszonego adwersarza Sowietów, sprawa i tak nie byłaby prosta, ale przynajmniej nieco prostsza. Ale ani Reagan nie chciał problemu ograniczyć do kwestii ekonomicznych i pozycji międzynarodowej Stanów, ani nie życzyli sobie tego jego oponenti. Bo rzeczywiście nie chodziło tu tylko o miliardy dolarów. Tak

12. Okresowe — bo trwałe oznaczałoby zwalczanie inflacji bezrobociem, co w jakimś stopniu jest i tak nieuniknione.

zdeteterminowanemu problemowi brakowałoby czegoś bardzo żywotnego, co wypełnia barwami emocjonalnymi dzielący Amerykę konflikt. Stany Zjednoczone są głębiej podzielone niż by to ukazywał przedstawiany często schemat, streszczający się w tym na co wydać miliardy dolarów: komu odjąć, a komu dodać i jakie wydatki mają priorytet — czy zbrojenia czy programy nauczania dla zaniedbanych mniejszości. Czy badania naukowe dla rozwijania nowych broni i przywrócenia świetności Ameryki, czy obozy rekreacyjne dla młodocianych recydywistów. Te konflikty są tylko fasadą, za którą zwalczające się obozy mają przed sobą zupełnie odmienną wizję świata. Dla pewnych neo-konserwatystów — zwolenników lub sympatyków celów, w stronę których steruje Reagan — państwo — w wielu swych funkcjach i agendach — stało się w ostatnim 25-leciu jedynie kamuflażem dla rozwijającej się narośli biurokratycznej, która sama dla siebie jest racją swego istnienia. Dla drugich — neo-liberałów — odwrotnie: społeczeństwo, w którym osobiste talenty mają decydować o awansie i powodzeniu jest państwem-monstrum, które z samego założenia jest niesprawiedliwością. Chcą państwa sprawiedliwego — a sprawiedliwość to znaczy równe nagradzanie tych, których los obdarzył zdolnościami, pracowitością i innymi talentami i takich, którym los tych zalet odmówił i którzy w wysiłku przegrywają. Skoro zaś przegrywają nie z własnej „winy” — to państwo winno przejąć na siebie funkcje „niwelatora” — wyrównującego zarówno nabyte jak i przyrodzone niesprawiedliwości.

Poglądy te nie są wypowiedzialne *in extenso*, ale tak właśnie wygląda jądro światopoglądu tych, którzy by pragnęli w kategoriach absolutnych zrównać wszystkich. Nietrudno zauważyć, że przy takim interpretowaniu, a zwłaszcza zastosowaniu „sprawiedliwości” społecznej, sięgającej niemal do pra-genezy człowieka, pojęcie ludzkiej „winy” — przestaje istnieć. Wielu sędziów amerykańskich kieruje się świadomie lub nieświadomie tą właśnie filozofią sprawiedliwości. Dlatego tyłu — w pospolitym rozumieniu — przestępców i zbrodniarzy znajduje się na wolności. Jeśli warunki bytowania nie rozgrzeszają ich w oczach sędziów, uniewinnia ich własne dziedzictwo.

Nie ma żadnych uchwytnych związków, ani w ogóle łączności pomiędzy terrorystami strzelającymi do przedstawicieli świata zachodniego lub ich sprzymierzeńców a „reformistami” systemu, działającymi w amerykańskich *mass mediach*, zasiadającymi w ciążach ustawodawczych lub zajmującymi stanowiska akademickie. Przeciwnie — ci ostatni potępiają surowo terror i to w każdej postaci. Tyle tylko, że nie zawsze sympatyzują z jego ofiarami. Ale to jest kwestia swobody ich poglądów. Zostawiając wszelako na boku sprawę ich sumień, można, jak sądzę, skonstatować

jedno: terrorystów (walczących z „imperializmem zachodnim” i kapitalizmem) oraz lewicowych prominentów świata zachodniego łączy wspólna motywacja ideowa: wymazać z oblicza ziemi grzech kapitalizmu. Tych pierwszych (zwolenników gwałtu) i tych drugich (wrośniętych w kapitalistyczny *establishment*, który chcą zniszczyć drogą erozji) nie ma w Ameryce w sumie więcej niż kilkaset tysięcy. Jedni i drudzy są prawowitymi dziećmi Amerykańskiej Rewolucji. Natomiast rozległa baza społeczna państwa opiekuńczego liczy już chyba co najmniej kilka milionów. Jej skład jest bardzo różnorodny. Ci nie są dziećmi żadnego fermentu i żadnej rewolucji. Politycznie — są bękartami. Jeśli chodzi o ich funkcje społeczne, są pasożytami i w tym duchu należy odczytywać ich super-humanitarne deklaracje. Ponieważ z „troski o człowieka” członkowie „Nowej Klasy” uczynili swoje powołanie, w ich interesie jest by „troska” ta stała się nie tylko maksymalnie dochodową profesją, ale w pewnych sytuacjach — instrumentem władzy i wpływów. Najbardziej reprezentatywny przedstawiciel średnio-niskiego szczebla „Nowej Klasy”, poza działaczem związkowym, to „pracownik społeczny” (*social worker*) — o rozmaitym stopniu kwalifikacji: od 3 miesięcznych kursów — do magisterium z psychologii. Ci „aparatchycy” demokratycznej biurokracji, specjaliści od skołatanej duszy ludzkiej wypełniają listy płac tysięcy agencji stanowych i federalnych. Funkcjonują w zakładach pracy, szpitalach, uczelniach i setkach innych instytucji, gdzie w ciągu 20 lat tworzone dla nich etaty. Poszukiwanie tej właśnie profesji stało się niesłychanie modne od połowy lat sześćdziesiątych. Ludzie ci na ogół hołdują tym politycznym poglądom, które determinują *prosperity* w ich zawodach. Dlatego z zasady (jeśli nie są cynikami) są zaangażowanymi liberałami. Z tej racji są za utrzymywaniem okulawionej demokracji kapitalistycznej, która jest produktem *Great Society*. I w tej podstawowej sprawie różnią się od tych ideowych spadkobierców egalitarnej rewolucji, którzy, nie dbając o konsekwencje, system ten chcą zetrzeć z ziemi. Między nimi a tamtymi nie dochodzi do spięć, zwłaszcza teraz gdy łączy ich wspólny cel — walka z „reakcyjnymi” reformami Reagana. Zresztą, o ile ideowi spadkobiercy Rewolucji Amerykańskiej są świadomi swych celów, „Nowa Klasa” kapitalistycznej Ameryki — jak każda biurokracja — odznacza się ciasnotą widzenia, krótkowzrocznością i absolutnym brakiem imaginacji. Jej umiejętność przewidywania nie sięga dalej niż troska o jej interesy w perspektywie najbliższych kilku lat. „Nowa Klasa” nie ma świadomości swego istnienia jako wyodrębnionego fenomenu społecznego w kapitalistycznej demokracji. Mimo ubóstwa ideowo-politycznego „Nowej Klasy”, w istocie ona — a nie ci, którzy wszczęli ferment

rewolucyjny — stanowi warstwę, która ma możliwość decydowania o przyszłości tego kraju. Ideowcy — jak to się na ogół zdarza — mogli być tylko zapłonem przemian. Kontynuatorami — i to zwykle szybko się opierającymi — bywają inni. Dlatego front walki rozciągać się będzie między warstwą średnią, wywodzącą się z klasy robotniczej — bazy społecznej Reagana, a siłami napędowymi biurokratycznej demokracji.

Okazuje się — co mogłoby być dużym zaskoczeniem dla Miłovana Džilasa — że „Nowa Klasa” nie musi powstawać wyłącznie w miejsce dawnej burżuazji jako biurokracja państwa komunistycznego. Najnowsze dzieje najpotężniejszego kraju kapitalistycznej demokracji pouczyły nas, że „nowa klasa” biurokratyczna może powstać nie zamiast burżuazji, ale *obok niej* i nawet bardzo dobrze przy jej boku prosperować.



Nie sądzę, żeby Biuro Polityczne KPZS miało tu jakikolwiek wpływ lub mogło nadawać kierunek owym przemianom. Sądzę natomiast, że na Kremlu obserwują obydwie zjawiska — terroru i stopniowej erozji systemu — z życzliwym dialektycznym zainteresowaniem. Od czasu śmierci Stalina Politbiuro sowieckie nigdy nie było za bezcelowym rozlewem krwi. Sowiety mają w zanadrzu radykalne środki. Jeśli jednak można kroczyć poprzez historię skrótami i zaoszczędzić światu konfrontacji, Breżniew lub jego następcy chętnie wyjdą naprzeciw. Chodzi tylko o to, żeby naprzeciwko im nie wyszedł Zachód.

J. Tobin, profesor Uniwersytetu w Harvardzie, doradca J. F. Kennedy’ego sprzed 22 laty, laureat nagrody Nobla z ekonomii za rok 1981, nazwał podjęte przez Reagana próby ratowania Ameryki „kontrewolucją”. Opinia ta w ustach Jamesa Tobina nikogo nie zaskakuje. James Carter określił ją mianem „aberracji”. Nie wiadomo czy niełatwe próby administracji waszyngtońskiej uwięzione będą powodzeniem. Między innymi dlatego, że „Nowa klasa” czyni wszystko, aby dzieło nowej administracji maksymalnie utrudnić. Nic dziwnego. Sukces Reagana oznaczałby jej ciężką klęskę, jeśli nie zmierzch. Dla niej obecna walka o uzdrowienie Ameryki może oznaczać „być-albo-nie-być”. Reagan ma rzeczywistych sprzymierzeńców wśród tych którzy dawniej nazywali się klasą robotniczą, a teraz są warstwą średnią. Na nieszczęście, ta właśnie warstwa musi przede wszystkim ponosić ciężary wyprowadzenia Ameryki z katastrofy, w którą wpędziło ją „Wielkie Społeczeństwo” pięciu kolejnych prezydentów.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 26 października 1981 r.

CZY ZMIANA POLITYKI USA WOBEC POLSKI?

W pierwszym tygodniu listopada 1981 roku liczne placówki handlowe Japonii w Londynie (oraz innych krajach Europy zachodniej) zaalarmowane zostały wiadomością, ostrzegającą przed możliwością zmiany polityki USA wobec Polski. Wiadomość ta pochodziła z artykułu zamieszczonego w *Yomiuri Shinbun* (z dnia 3. 11 1981) przez specjalnego korespondenta tego pisma w Waszyngtonie. Przytaczam poniżej, z niektórymi tylko skrótami, przekład tego artykułu:

„Jak wynika z doniesień naszego specjalnego korespondenta z dnia 2 listopada br., Komisja do Stosunków z Zagranicą przy Senacie USA (Senate Foreign Relations Committee) opracowała niedawno sprawozdanie pt. *'Polityka USA wobec sytuacji w Polsce'*, który to referat ma służyć jako podstawa do wypracowania tezy zasadniczej, mianowicie: do jakiego stopnia Polska jest rzeczywiście ważna z punktu widzenia interesów USA, innymi słowy, czy w istocie warta jest dalszego zachodu? Referat ten ostrzega przed dalszym nadmiernym angażowaniem się w sprawy Polski, a na dobrą sprawę sugeruje porzucenie i pozostawienie Polski własnemu losowi. Głównym 'architektem' powyższego sprawozdania jest jeden z pracowników (a raczej pracowniczek) FRC Senatu, niejaka pani Diana Smith; spędziła ona przeszło tydzień w Polsce (pod koniec sierpnia br.) przeprowadzając szereg rozmów z licznymi przedstawicielami kół rządowych i z szeregiem innych wysoko postawionych osobistości, rzekomo celem dokładnego zorientowania się 'z pierwszej ręki' w aktualnej sytuacji politycznej i ekonomicznej kraju, sporządzając na podstawie zebranych materiałów specjalne sprawozdanie (*report*, ok. 10 stron), mające służyć jako podstawa do opracowania 'nowego zarysu' polityki USA wobec Polski. Unikając zręcznie konkretnych konkluzji, referat ten niemniej w bardzo sugestywny sposób poleca gruntowne rozpatrzenie punktów zasadniczych, a mianowicie:

- Określenie granicy dalszego udzielania pomocy gospodarczej Polsce, celem uniknięcia zbytniego 'uwikłania się' w sprawy Polski (jak również z punktu widzenia wątpliwych efektów takiej pomocy);
- Poddanie w wątpliwość 'dążenia do modyfikacji socjalizmu w Polsce (tzn. komunizmu) jako strategii mającej za cel uratowanie Polski z obecnego kryzysu politycznego'.

Opierając się o powyższe dwa punkty jako założenia podstawowe, referat wytycza szereg bardziej konkretnych postulatów jak następuje:

1) Trzeba przyjąć jako pewnik, że Związek Sowiecki jest zdecydowany zniweczyć jakiegokolwiek próby gospodarczego ratowania Polski, a wszystkie dane wskazują na to, że determinacja Związku Sowieckiego w tym kierunku szczególnie wzrosła od marca br. (W obliczu takiej postawy Rosji, podejmowanie jakiegokolwiek dalszych decyzji przez Zachód staje się sprawą niezwykle trudną).

2) Od lata br. wszystkie prace inwestycyjne w Polsce są w stanie kompletnego zawieszenia. Jeżeli chodzi o dotychczasową pomoc gospodarczą dla Polski, to należy poddać w silną wątpliwość efektywność takiej pomocy dla narodu polskiego, w obliczu stałego marnotrawienia tej pomocy przez trwającą nieudolność aparatu władzy.

3) Należy gruntownie zrewidować problem zasadniczy: do jakiego stopnia Polska jest rzeczywiście ważna dla USA i Zachodu, z punktu

widzenia opłacalności ładowania dalszych sum, szczególnie w obliczu pogłębiających się problemów budżetowych w własnych krajach.

4) Kryzys gospodarki polskiej pogłębia się w zawrotnym tempie, należy więc uznać za rzecz najwyższego nierozsądku kontynuowanie pomocy gospodarczej w obliczu braku jasnej polityki ekonomicznej w Polsce.

5) Wiadomości o tzw. pomocy Związku Sowieckiego dla Polski są raczej trudne do sprawdzenia i nie można na nich polegać. Należy przyjąć jako pewnik, że Rosja już powzięła decyzję, wybierając 'tańsze', ekonomiczne, doszczętne zniszczenie Polski zamiast interwencji zbrojnej.

Na zakończenie referat wysuwa tezę, według której państwa zachodnie, raczej niż pogrążyć się w dalszym udzielaniu 'wątpliwej pomocy' gospodarczej, powinny wspólnie opracować strategię zapobiegającą powolnemu zniszczeniu Polski, jako działanie przeciwwstawne obecnej taktyce Związku Sowieckiego. Z punktu widzenia czysto ekonomicznego nawet przystąpienie Polski do MFM (IMF) w danej chwili niewiele już może pomóc.

Jeżeli chodzi o wpływ powyżej omawianego sprawozdania, to oczywiście jest ono na razie tylko wyrazem opiniotwórczym republikańskiego Senatu. Rzecz jednak w tym, że jako potencjalny instrument opiniodawczy referat ten, wystosowany z ramienia Senatu, może wywrzeć poważny wpływ na kierunek polityki obecnej administracji wobec Polski (tym bardziej, że zlecenia te idą w parze z obecną polityką Reagana obniżania pomocy gospodarczej dla zagranicy). Trzeba więc liczyć się bardzo poważnie z możliwością zmiany polityki USA odnośnie udzielania dalszej pomocy Polsce w przyszłości”.

Tyle relacja pisma *Yomiuri Shinbun*. Jeżeli chodzi o zawartość komunikacyjną powyższego artykułu, to można zauważyć, że jest on nie tylko „suchym” komunikatem czy doniesieniem, lecz relacją zawierającą niedwuznaczną implikację: ostrzeżenie przed możliwością globalnej zmiany polityki USA wobec Polski. Ze swej strony wolę powstrzymać się od jakichkolwiek tego rodzaju komentarzy, chociażby dlatego, że nie mam w ręku pełnego tekstu omawianego powyżej referatu (relacja japońska jest tylko streszczeniem). Jeżeli chodzi o wiarygodność relacji, to raczej wykluczam możliwość „wymysłu dziennikarskiego” (z zamiarem wywołania celowego zamieszania na giełdach w Tokio itp.), gdyż chodzi o bardzo poważny dziennik, cieszący się powagą i zaufaniem czytelników, w szczególności jeśli chodzi o relacje i doniesienia z Ameryki. Z drugiej jednak strony nie udało mi się uzyskać żadnych informacji na ten temat z innych dostępnych mi źródeł. Tak czy owak, należy przypuszczać że, jeśli jest ziarno prawdy w powyższej relacji, odpowiednie koła Polonii amerykańskiej będą poinformowane.

Janusz MONDRY

27 listopada 1981

Kraj

Czesław Bobrowski o gospodarce krajowej

NAWET NAJBIEDNIEJSZY KRAJ MOŻE WYTRZYMAĆ
ZŁODZIEJSTWA, ALE NAJBOGATSZY NIE PRZETRZYMA
GŁUPOTY

— Jest Pan przewodniczącym Rady Ekspertów. Jaki Pan ma wpływ na zarządzanie gospodarką, na reformę? Doradza Pan władzom...

— Nie przesadzajmy. Rada Ekspertów to jest mała rzecz, czasowa i bez większego znaczenia. A na temat doradztwa Michał Kalecki na swoim jubileuszu powiedział, „jak każdy teoretyk marzyłem, żeby być doradcą rządu. I byłem — w Polsce, Indii, Izraelu, na Kubie. Ale marzenia mają to do siebie, że się spełniają tylko w połowie. Bo marzyłem jeszcze o tym, żeby być doradcą słuchanym. A ta połowa nie wyszła”. Tak to bywa z doradcami. Choć nie zawsze.

— Był Pan autorem planu trzyletniego. Od roku 1949 do 1956 mieszkał Pan za granicą. Po Październiku wrócił Pan do kraju i został wiceprezesem Rady Ekonomicznej. Wtedy, w 1956, udzielił Pan „Gazecie Krakowskiej” dwóch wypowiedzi na temat reformy. Był Pan wówczas pełnomocnikiem d/s reformy gospodarczej. W 1958 roku znów wyjechał Pan za granicę. Był Pan doradcą w Algierii, wykładał w Paryżu itp. Teraz działa Pan aktywnie w Polskim Towarzystwie Ekonomicznym, w Radzie Ekspertów. Pana związek z gospodarką dzielą trzy cezury obudzenia gospodarki.

— Powiedziałbym nawet bardziej patetycznie — obudzenia nadziei. Kiedy w 1948 roku zostałem spławiony, po rocznym pobycie w Sztokholmie, osiadłem we Francji. Tam czekałem Października. Wróciłem do kraju. Prezesem Rady był Oskar

Lange. Wiceprezesów było kilku, bo chodziło o to, aby reprezentowane były wszelkie orientacje. Ja byłem wiceprezesem urzędującym. Koncepcja Rady była wynikiem zbiorowej twórczości. Nie można powiedzieć, kto miał większy wkład. Wszyscy ci panowie, którzy zasiadali w Prezydium, a nawet ci, którzy w nim nie zasiadali, bo przecież Pajestka na przykład był wtedy młodym debiutantem, tworzyli jeden kierunek myślenia. W atmosferze przyjaznej dyskusji szukaliśmy syntezy. Prawdziwy pluralizm. Bo — język wtedy był inny — byli wśród nas „modelarze”, czyli reformatorzy, mający skłonność do wierzenia w automatyczną skuteczność zmian systemowych. Im przewodzili Brus i Lange. Lange zawsze dobrze czuł się jako teoretyk. Nie zajmował się polityką gospodarczą. Był konstruktorem systemów. Na czele skrzydła bardziej sceptycznego stał Kalecki. Ja jestem przede wszystkim praktykiem więc bliższy mi był Kalecki. Akcentowaliśmy przede wszystkim sprawy polityki gospodarczej. Lipiński już wtedy przestawał wierzyć nie tylko w modele, ale nawet w politykę gospodarczą. Skłaniał się do tego, co dzisiaj u niego wyraźne; w gospodarce liczy się przede wszystkim człowiek. Kluczem do postępu gospodarczego są indywidualne wartości, twórcza pomysłowość, odwaga. A wszyscy razem zgodnie mówiliśmy — uważać! mieć nadzieję i uważać!

— Jak się skończyło, wiemy. Na nic zdały się przestrogi.

— Skończyło się bardzo po prostu. Opracowanie było tylko szkicem, ale z naiwnością zwróciliśmy się o zatwierdzenie szkicu, żeby potem pracować nad całym systemem. Miesiącami nie dostaliśmy żadnej odpowiedzi. A po kilku miesiącach powiedział mi Cyrankiewicz, że projekt Rady nie został ani zatwierdzony ani odrzucony. I to była prawda. Za ten nasz projekt wzięły się komisje partyjno-rządowe, resorty. Projekt był ogólnym schematem, nadawał się więc do różnych interpretacji. Po drodze zniknęła jedność myślenia. Równocześnie rosła fala walki z tzw. rewizjonizmem. Każdy okres ma swoją drętwą mowę. Teraz są ekstremiści, wtedy byli rewizjoniści. Więc mówiono: to pachnie rewizjonizmem. Z naszego projektu wyszły bardzo połowiczne urządzenia. Coś wyszło. Ale niewiele.

— Rada proponowała to, czego i dzisiaj chce reforma...

— Mniej więcej. Ograniczenia planowania centralnego do użytecznego zakresu. Wycofania się z systemu nakazowego. Przewidywała dużą, ale skromniejszą, niż się chce dzisiaj, rolę samorządu. Różnica jest taka, że wtedy rady robotnicze już istniały. I między innymi elementem załamującym kierunek zmian było morderstwo, dokonane na radach pracowniczych. Przekształcenie ich w KSR. Zrobiono to już u progu 1958 roku, czyli nieco później niż w rok po powstaniu pierwszych rad. Jacek Kuroń

twierdzi, że reformy upadły dlatego, iż nie zbudowano na radach robotniczych struktur wyższych. Twierdzi, że była to makiawelistyczna polityka oponentów reformy. Ma prawo tak interpretować, bo był wtedy za młody, by wiedzieć co się dzieje za kulisami.

— *A co się działo?*

— Przeciw budowaniu struktur w oparciu o rady byli wszyscy „postępowi”. Baliśmy się biurokratyzacji samorządu. Kto miał rację, teraz już nieważne. Ale tak nie było jak mówi Kuroń. W gruncie rzeczy zbudowano nad radami struktury nadrzędne w postaci związków zawodowych i partii, których przedstawiciele weszli do KSR. Sprawa sprowadza się do tego, że już u progu 1957 roku stało się jasne, że dla reform gospodarki Gomułka nie ma zrozumienia. Potwierdziło się to jeszcze podczas jego wizyty w Jugosławii, gdzie był przerażony, gdy dowiedział się jak ten system tam funkcjonuje.

— *A wydawało się, że będzie inaczej...*

— Dzięki paru fragmentom jego wystąpienia podczas Październikowego Plenum. Mówił wtedy bardzo rozsądnie, że wielkim błędem było traktowanie przemysłu jako jednego koncernu. Ale — czy mówił to Gomułka, który był jeszcze w opozycji do władzy — jak interpretują niektórzy? Czy też dopóki się nie przyjrzała, te koncepcje wydawały mu się do zaakceptowania? Kiedy się im przyjrzał, nie pozwolił na nic. W każdym razie w tym przemówieniu widać i to, że koncepcji samorządu Gomułka nie rozumiał. Mówił na przykład, że przemysłem, który szczególnie nadaje się do rad pracowniczych jest węgiel. Nie wiem, czy uważał — ale nie podejrzewam go o taki makiewelizm — że tam będą najmniej niebezpieczne, bo tyle jest ograniczeń. W każdym razie bardzo nie chciał generalizacji. Godził się z radami raczej ze względu na autentyczne dążenie dołów. Gomułka miał przy całym swoim temperamentem dyktatorskim bardzo żywy emocjonalnie stosunek do klasy robotniczej.

— *Do grudnia 1970...*

— Nie. To, co się działo po 1968 roku to już jest inny świat, inne warunki. Dla Gomułki pojęcie — klasa robotnicza — miało bardzo bogaty ładunek emocjonalny, nawet uwodzicielski. W 1968 roku Gomułka się przeraził. Uwierzył, że idzie kontrrewolucja. To zabawne, że chyba nie uwierzył w to w 1948 roku gdy chodziło o Jugosławię. W 20 lat później uwierzył. Bał się, że zmiany w Czechosłowacji rozleją się i na nas. Zawikłał się w grę polityczną, znalazł się w konflikcie ze społeczeństwem. Wpłynęły

dalsze elementy. Bał się inflacji i robił ją nie rozumiejąc, że to robi. Ze wspomnień mógłbym napisać zbiór anegdot. Człowiek, który na pewnym etapie miał bardzo duży wpływ na decyzje Gomułki, kiedy w 1957 roku stanęła sprawa bardzo dużej, drażnjącej podwyżki cen wódki powiedział: „Nie można. Klasa robotnicza by nam tego nigdy nie darowała”.

Rok 1968 stworzył dla Gomułki sytuację szczególną. W gruncie rzeczy to ona skazywała go na dyktatorskie działanie, bo stracił oparcie.

W 1956 roku zjawiał się w aureoli. Polacy bardzo lubią zbawicieli. Najwygodniej zdjąć z siebie odpowiedzialność i włożyć ją na jednego człowieka. Stwarzając jeden konflikt za drugim doczekał tego, że został sam, z aparatem. Nie miał do kogo apelować. Z otoczenia zniknęli ludzie o jakiejś niezależności. Cyrankiewicz, który łagodził poczynania Gomułki, stracił jego zaufanie. Najpierw sam stracił zaufanie do Gomułki, a potem Gomułka do niego. A w grudniu 1970 roku był jak sądzę absolutnie przekonany, że to jest kontrrewolucja.

— *Gdyby Gomułka rozumiał konieczność zmian, pozwolił Radzie Ekonomicznej działać, czy uniknęlibyśmy tych wszystkich kryzysów?*

— O tyle trudno powiedzieć, że model był pomyślany jako ewolucyjny. Musiałyby być jeszcze dopracowany, rozwinięty. Miał jedną zaletę. Był bardzo uczciwie stawiany. Na przykład było tam takie sformułowanie, z którego jestem dumny: „Ponieważ nie znaleźliśmy po dzień dzisiejszy lepszego rozwiązania, proponujemy na razie utrzymanie limitowania funduszu płac”. Ja jednak bardzo wiele błędów gospodarczych Gomułki usprawiedliwiam.

— *Czym?*

— Obsesją likwidacji przeludnienia wsi.

— *Doprowadził do jej zupełnego wyludnienia. Zaczął Gomułka, dzieła dokończył Gierek.*

— To była obsesja sprzed wojny. My jesteśmy z Gomułką chyba z tego samego rocznika. Dla naszego pokolenia było jasne, że dramatem Polski są zbędni na wsi. W 1945 roku, wspólnie z Mincem, świadomie prowadziliśmy politykę otwartych drzwi fabrycznych. Nie chcieliśmy mieć bezrobotnych na ulicy. I to wtedy grało, bo ubywało nam 1/3 ludności, a potencjał produkcyjny znacznie się powiększał. Pomimo pewnych nieostrożności propagandowych Minca, który nazwał plan trzyletni planem sytości, ale jakoś ludzie na to nie zwrócili uwagi, udało się przekroczyć obietnice.

Gomułka widział w likwidacji przeludnienia wsi absolutną cnotę i nie zatrzymał się w momencie, gdy już był czas odchodzić od tego. Gomułce wybaczam, bo wszyscy jesteśmy niewolnikami swojej biografii. Tego samego nie mogę darować Gierkowi, bo on nie miał emocjonalnych powodów, żeby dalej chorować na sprawę wyciągania masowo ludzi ze wsi. To już była megalomańska wizja.

— *Gospodarce ostatnich 10 lat przyglądał się Pan z tylnego rzędu.*

— Tak, wyłączyłem się zupełnie. Z jednym wyjątkiem. W 1979 roku zwrócono się do dziesięciu osób, m.in. i do mnie, rzekomo z upoważnienia Gierka, o swobodne krytyczne wypowiedzi na temat perspektyw lat 80. Napisałem wtedy krytyczny memoriał o gospodarce, inflacji, przedstawiłem propozycję. Raport pozostał oczywiście bez echa. Zrobiłem sobie przyjemność: wydrukowałem go w tym roku w *Życiu Gospodarczym* pod tytułem „Raport do kosza”.

— *Solidnie i szeroko mówi się o minionym okresie w raporcie o stanie gospodarki. Jak Pan ocenia model gospodarki Gierka i Jaroszewicza?*

— Model lat 70, to było „spotkanie marzyciela z aktywistą”. To jest podstawową cechą tego okresu. Nie mam na to dowodów, ale podejrzewam, że Gierek był pod wpływem programu francuskiego frontu ludowego z późnych lat 30. Ten program dzisiaj ma jakieś echo w programie rządów Mitterranda. Echo bardzo złagodzone, usiłujące zachować spójność działań. W programie tym wychodzono z założenia, że wraz ze zwiększaniem dochodów ludności, a zatem spożycia, będzie zwiększać się automatycznie produkcja. Teoretycznie to rozumowanie nie jest fałszywe, jeżeli istnieją nie wyzyskane moce produkcyjne i duże rezerwy dewizowe. Bowiem gdy produkcja nie dogania popytu, zwiększa się import i utrzymuje równowagę. Ale w naszym wypadku to rozumowanie zawiodło. Pokusa działania poprzez zwiększanie konsumpcji znalazła wyraz w polityce płacowej pierwszego okresu. Dołączył się element marzycielski, który wylał w sloganie „drugiej Polski”. Gierek myślał, wmówił ludziom, że jesteśmy potencjalnie krajem mlekiem i miodem płynącym. W każdym kraju istnieje tendencja do przeceniania warunków naturalnych. One w Polsce są skromne. Ale nikt nie chce wierzyć, że rolnictwo w Polsce nie ma dobrych warunków klimatyczno-glebowych. Bębniło się tyle o węglu, siarce i miedzi, więc ludzie zupełnie nie biorą pod uwagę tego, że węgiel kiedyś był wydobywany na głębokości 400 a teraz 100 metrów, zaś miedź ma tak niskie wartości, że 50 lat temu by jej nie wydobywano. To prawda — mamy jakieś drugie miejsce w wydobyciu siarki, ale

siarki rodzimej. Na całym świecie lwią część siarki pochodzi z odsiarczania produktów ropy. Okropna rzecz, te ślady propagandy. Mity, utwierdzone przez Gierka, wylały u Wałęsy pod hasłem drugiej Japonii. Panuje powszechna opinia, że jesteśmy potencjalnie bogatym krajem, tylko złodzieje i głupcy zrobili nas biednymi. Nawet najbiedniejszy kraj może wytrzymać złodziejstwo, ale najbogatszy nie przetrzyma głupoty. Opowiadał mi Cyraniewicz, że miał kiedyś taką rozmowę z Gierkiem na Śląsku. Gierek pokazywał mu co robi w mieście, infrastrukturze. Cyraniewicz zauważył, że to wszystko kosztuje straszne pieniądze. Na co Gierek: co znaczą pieniądze, beton zostaje...

I to chyba było podstawą jego działania. Nieprawdą byłoby twierdzić, że tandem Gierek - Jaroszewicz od początku zlekceważył wymogi spójności działań, równowagi. Myślano o WOG-ach, reformie. Bądźmy uczciwi. W pierwszych dwóch latach Gierka i Jaroszewicza nie było ekonomisty, który by się podpisał pod tę strategię przyspieszonego wzrostu. To później zaczęli się wypisywać. Ja nikomu z tego nie robię zarzutu. Bo nikt nie mógł przewidzieć dalszych skażeń. Myślę tylko, że tak jak Gomułce w porównaniu z Kadarem zaszkodziła popularność, tak w wypadku Gierka sukces pierwszych dwóch lat bardzo go zachęcał do śmielszego działania. I myślę, że ten początkowy sukces sprawił, iż potem przyszła pokusa łatwizny, korzystanie z kredytów.

Myśmy z kredytów za czasów Gomułki nie korzystali, także ze względu na jego doktrynalne stanowisko. Ale przede wszystkim dlatego, że ich tak łatwo nie dostawaliśmy. W 1973 roku zmieniła się sytuacja. Wiadomo nafta, koniec złotej koniunktury na Zachodzie, gwałtowne poszukiwanie rynków. Na rynku światowym zjawia się eurodolar. Banki mają pełno pieniędzy. Polska w to wchodzi. Wchodzi w oparciu o koncepcję, że zmodernizowany przemysł w końcu spłaci kredyty. Błąd intelektualny tej koncepcji jest prosty — te same przyczyny, które ułatwiają uzyskanie kredytu, utrudniają jego spłatę: czyli kryzys, zwężanie się rynku. Ponieważ skala przekracza zdolność absorpcyjną Polski i w sensie frontu inwestycyjnego i w sensie asymilacji bardzo nowoczesnych technik produkcyjnych — to, co miało być zrobione w ciągu dwóch, trzech lat, robi się w ciągu pięciu. Zdolność eksportowa powstaje później, przy coraz gorszych warunkach dla eksportu. Jest jeszcze trzecia rzecz: ponieważ rośnie inflacja, olbrzymi popyt krajowy konkuruje z eksportem. Część produkcji, którą można eksportować, zostaje w kraju. Wszystkie centrale handlu zagranicznego skarżą się na brak towaru. Wprawdzie rynki zachodnie stają się mniej pojemne, ale coś jeszcze można by wepchnąć, cóż, kiedy większość towarów idzie na rynek krajowy. Potem ujawnia się dalsza historia: ten za duży program inwestycyjny, licencje itd. jest jeszcze za mały, by mieć logikę. Przykładem jest Huta „Katowice”. Mogła mieć sens, gdyby wyłożono jeszcze ogromną sumę na likwidację innych hut surowcowych i rozbudowę w nich przetwórstwa. Ale

na to już nawet w megalomańskich czasach nie starczyło pie-niędzy. Wszystko wali się dlatego, że ciąg technologiczny nie został doprowadzony do końca. Bo w gospodarce wszystko roz-grywa się na marginalnych decyzjach.

— *Nikt nie mógł, czy nie chciał powstrzymać tej megalomanii?*

— Profesor Bożyk wyprodukował i rozpowszechnił w paruset egzemplarzach raporty jakie składał Gierkowi. Niektóre rzeczy-wście ostrzegają, ale cichym głosem, szeptem. Ministerstwo Fi-nansów nieraz słało ostrzegawcze raporty. Mocniejszym głosem. Ale inne organa rządowe kwestionowały słuszność tych rapor-tów. M.in. często używanym argumentem było to, że przy świa-towej inflacji ciężar zadłużenia spada.

— *Że warto pożyczać...*

— Tak, bo w realnych wielkościach będziemy zwracać mniej. Co znów było prawdziwe przez jakiś czas, a przestawało być w miarę tego, jak stopa procentowa przekraczała stopę inflacji. A potem... zrobił się las informacyjny. To prawda, że nie przy-jmowano do wiadomości głosów ostrzegawczych, a ulegano gło-som optymistycznym. Potrzeba sukcesu jest taka, że właściwie gra się *va banque*. Opowiadał mi znajomy, który był konsultan-tem w KC, że kiedyś powiedziano mu: „Uważajcie, bo I sekretar-z jest w takim stanie nerwowym, że nie można mu mówić gorzkich prawd”. Ten stan nerwowy zjawił się chyba dosyć póź-no. Wielkim przeżyciem musiała być dla tej ekipy konieczność wycofania się w 1976 roku z podwyżki cen. Akurat wtedy po-trzebnej. Ale zaraz po tym Gierek wystąpił z ideą rozszerzenia programu budownictwa mieszkaniowego. Jest dramatycznie i ta propozycja... Jeszcze jedno złudzenie, że można uciec od nie-uchronnego.

Ale niezależnie od modelu, tak zajechać w kredyty zagranicz-ne nie mógł żaden kraj, w którym istniałaby jakaś poważniejsza grupa ludzi, mających kulturę ekonomiczną w zakresie finan-sów międzynarodowych. Twierdzę, że nie ma w Polsce dziesięciu osób, które by miały o tym gruntowną wiedzę. Nie jest to jedy-na przyczyna dlaczego zabrnęliśmy tak głęboko w nadmierne zadłużenie, ale i ona nie jest pozbawiona znaczenia.

— *Podobno nie jesteśmy bardziej zadłużeni, licząc propor-cjonalnie, niż Czechosłowacja, Węgry czy Jugosławia.*

— Proporcjonalnie do czego? Można liczyć w stosunku do ludności, czy dochodu narodowego, ale za jedyny ważki i uży-teczny wskaźnik uważam stosunek obsługi, tzn. spłat i oprocentowania kredytów do wpływów dewizowych. Mówię o wpływach w dewizach wymiennych, bowiem niemal całość naszego za-

dłużenia jest właśnie w tych dewizach. Ten wskaźnik pozwala uwzględniać nie tylko sumę zadłużenia, ale i jego oprocentowa-nie, a jedno i drugie jest u nas niekorzystne, ponieważ w ostat-nich latach dziesięciolecia pożyczaliśmy na prawo i lewo, przy-jmując niekorzystne warunki i terminy. Z drugiej strony kraje, o których Pani wspomniała, mają relatywnie wyższy rozmiar eksportu (Jugosławia nie, ale za to ma wpływy z turystyki i prze-syłek emigranckich). Wreszcie eksport tych krajów do tzw. dru-giego obszaru stanowi w całości ich wywozu większy procent, niż w Polsce. W sumie ciężar zadłużenia jest wyraźnie bardziej dotkliwy w naszym kraju.

— *Czy to zadłużenie nie będzie przeszkodą dla przystąpienia do Międzynarodowego Funduszu Walutowego, czy przystąpienie takie przyniesie nam istotną ulgę w tej sprawie?*

Odłożmy tę sprawę do ewentualnej następnej rozmowy.

Rozmawiała: Anna WCISŁO

Artykuł Czesława Bobrowskiego ukazał się w 234 nrze z 30. 11. 1981 *Gazety Krakowskiej* skąd go przedrukujemy bez wiedzy i zgody zarówno autora jak i redakcji.

Tam, gdzie sięgają cerkwie...

Artykuł Adama Szostkiewicza pod tym tytułem ukazał się w nr 9 (sierpień 1981) NTO, miesięcznika NSZZ „Solidarność”, Region Mazowsze. Moglibyśmy skwitować go krótkim stwierdzeniem, że jest dobrą ilustracją szkicu Jana Józefa Lipskiego *Dwie ojczyzny — dwa patriotyzmy*. Ale chcemy także przypomnieć raz jeszcze sens naszej redakcyjnej noty o „naprawie krzywd” z okazji „sprawy Łemków”: problem poruszony kilka miesięcy temu przez Macieja Kozłowskiego w *Tygodniku Solidarność* a obecnie przez Adama Szostkiewicza w NTO nie jest, jak sądzi wielu Polaków, drugorzędny w procesie ogromnych przemian w Kraju; dla profilu polskiej „rewolucji sierp-niowej” ma on znaczenie pierwszorzędne. Od pokonania wracającej wciąż choroby szowinizmu narodowego zależy nasza przyszłość.

Red.

W Polsce południowo-wschodniej „Solidarność” dopiero za-puszcza korzenie. W województwie przemyskim nie doszło jak dotąd do poważniejszych konfliktów pomiędzy Związkiem a wła-

dzą. Mieliliśmy tu tylko jedną „swoją” akcję strajkową — na znak poparcia dla strajku okupacyjnego w Ustrzykach Dolnych. Przeżywamy te same kłopoty co Związek w skali kraju: lokalne ważne między różnymi ośrodkami działalności związkowej, bałagan organizacyjny wynikający przede wszystkim z braku doświadczenia i zbyt małej aktywności podstawowych ogniw związkowych, przeciążenie pracą tych osób, które bez reszty poświęciły się „Solidarności”, wreszcie — utarczki personalne wśród działaczy związkowych, które zastępują, niestety, polemiki merytoryczne. I na naszym terenie narasta znużenie, bierność i wzajemna nieufność — potęgowane przez spiętrzające się kłopoty dnia codziennego. Władze Związkowi specjalnie nie przeszkadzają, gdyż zajęte są sobą i okopując się na własnych pozycjach, pozwalają okopać się i nam, choć z pewnością gdyby miały większą swobodę manewru, skorzystałyby z niej.

Do tego dochodzą uwarunkowania czysto lokalne, które dały znać o sobie z chwilą wysunięcia przez Prezydium MKZ Przemysłu (18 maja) postulatu zwrócenia drewnianej, bardzo zaniedbanej cerkiewki w Przemyśle przy ul. Przeorskiego ludności wyznania grecko-katolickiego. Postulatowi temu towarzyszyło 12 innych, ale właśnie ten wzbudził największe kontrowersje*.

* Rozpatrując to zagadnienie warto wiedzieć, co zawiera w sobie, co niesie termin „cerkiew unicka”. Cerkwi takich w dawnej Polsce było bardzo wiele, ponieważ ogromna część ludności Rzeczypospolitej trojga narodów była wyznania grecko-katolickiego. Wyznanie to zostało ustanowione pod koniec XVI wieku w wyniku unii Kościoła rzymsko-katolickiego i Kościoła prawosławnego w obrębie państwa polskiego. Historia dążeń do zjednoczenia tych dwóch kościołów liczy wiele wieków. Myśl o potrzebie pojednania Kościoła rzymsko-katolickiego i prawosławnego w Polsce posiadała wielu zwolenników. Zalecali ją publicyści, pisarze i politycy jak Stanisław Orzechowski, Andrzej Frycz Modrzewski czy Jan Zamojski. Popierali ją liczni biskupi prawosławni. Polskie diecezje prawosławne, aż do momentu unii, podlegały jurysdykcji patriarchy z Konstantynopola. Kontakty z nim z racji licznych wojen z Turcją były raczej utrudnione. Ponadto w roku 1589 w Moskwie utworzony został patriarchat „Moskwy i całej Rusi”, roszcujący sobie pretensje do jurysdykcji nad prawosławiem polskim. Biskupi prawosławni chcący zachować samodzielność widzieli w unii korzystne dla siebie rozwiązanie. Na spotkaniu w Brześciu Litewskim w roku 1596 uznali papieża jako głowę Kościoła, zachowując własną liturgię, kalendarz juliański, uzyskując przy tym gwarancję tych samych praw co biskupi łacińscy. Unia była ważnym aktem religijnym, politycznym i kulturalnym. Zbliżyła unitów do kultury Zachodu. Nie utożsamiali się oni ze społecznością katolicką, ale blisko z nią współdziałali. Współdziałanie to zahamowała interwencja rosyjska. Władze carskie po dokonaniu rozbioru Polski już w latach 1794-95 podjęły ostry atak na nią, prowadząc go konsekwentnie przez wiele dziesięcioleci. Cerkwie unickie w naszym kraju są znakiem świąteli polityki Rzeczypospolitej, dążącej do jednoczenia i zbliżania narodów zamieszkujących jej terytorium. Dotyczyło to nie tylko Litwinów, Białorusinów i Rusinów (dzisiejszych Ukraińców), ale i pomniejszych grup etnicznych, jak np. Łemków, którzy mieszkając na Podkarpaciu są także unitami. Cerkiew unicka nie oznaczała w dziejach Polski żywiołu wrogiego. To tylko zabory byli zainteresowani w tym, by wypaczyć jej sens.

W Przemyskiem pamięć o krwawych walkach polsko-ukraińskich w latach zwłaszcza powojennych, a także o roli, jaką Ukraińcy odegrali podczas okupacji radzieckiej lat 1939-1941 — jest żywa i bolesna. Wśród działaczy związkowych na naszym terenie jest wielu naocznych świadków okrucieństwa z tamtych lat. Wielu straciło wtedy swych najbliższych a masakra, jakiej doświadczyli, kładła się ponurym cieniem na ich słowach podczas dyskusji plenarnej MKZ-u.

Co by im ewentualnie odpowiedzieli ich rówieśnicy narodowości ukraińskiej, nie wiemy, bo takiej możliwości nie było. Tak więc zebrani poznali tylko jeden punkt widzenia na historię stosunków polsko-ukraińskich.

Naturalnie odzywały się różne głosy, lecz te odmienne, mniej zaciekrzewione, nie znalazły tak żywego oddźwięku, jak kassandryczne wizje jednego ze związkowców, który stawiając wniosek o cofnięcie postulatu, powoływał się na samego Stalina, który miał oświadczyć, że „Rosja sięga tam, gdzie stoją ruskie cerkwie”; wnioskodawca dawał do zrozumienia, że zwrot cerkwi będzie doskonałym pretekstem do inwazji. Bardziej umiarkowani mówcy sugerowali, by „odczekać te parę lat” i „później dać im tę wolność, ale przede wszystkim okrzepnąć organizacyjnie samemu”. Jedna z pań zapytywała dramatycznie, kto z władz związkowych weźmie na siebie odpowiedzialność za to, co „może się zdarzyć” po zwrocie cerkiewki. Ludzie tak byli poruszeni, a emocje do tego stopnia zapanowały w dyskusji, że nie tylko przytomne uwagi przewodniczącego MKZ, ale i przypomnienie słów Jana Pawła II, który prosił o wsparcie i pomoc dla braci Litwinów i Ukraińców w ich walce o emancypację religijną, przez jednego z obecnych, nie zdały się na nic. Nieszczęśnika natomiast, który w najlepszej wierze je przytoczył, uznano od razu w szeptanej propagandzie za Ukraińca, choć jest on długoletnim i zaangażowanym działaczem katolickim i — czyż trzeba to dodawać — Polakiem. Również życzliwe przyjęcie postulatu przez ks. biskupa Ignacego Tokarczuka szali w tym obłąkańczym sporze przeważać absolutnie nie mogło, a przeciw autorytet ks. ordynariusza diecezji przemyskiej jest ogromny.

W takich warunkach głosy odwołujące się do polskiej cnoty tolerancji czy idei jedności wszystkich chrześcijan przechodziły bez echa, jak gdyby dopatrywano się w nich tylko rytualnych formułek bez praktycznego znaczenia. Walka o postulat miała jeszcze inny aspekt — otóż Prezydium zgłosiło go wojewodzie bez uprzedniej konsultacji z MKZ-em. Miało do tego formalne prawo, gdyż jeszcze w okresie bydgoskiego kryzysu zostało upoważnione do takich działań przez Plenum MKZ-u. Mimo to dopatrywano się w tym grubego przestępstwa wobec ogółu reprezentantów zrzeszonych w MKZ-cie organizacji zakładowych. Pojawiły się natychmiast domniemanie o „spisku”, który część działaczy przydziałnych uknuła z tymi osobami w lokalnym aparacie politycznym, które zdaniem pewnej grupy związkowców działają

na szkodę polskości w regionie, jako że chytrze realizują plan zagarnięcia przez Ukraińców całej władzy na naszym terenie. W kontekście takiej hipotezy, dla przeciwników postulatu fakt, że wojewoda bez większych ceregieli go zaakceptował, stał się jednym z dowodów teorii spiskowej, podobnie zresztą jak i to, że zgłoszono ów nieszczyśny postulat w dwa dni po uchwaleniu votum nieufności wobec I-go Sekretarza KW Drewniowskiego przez uczestników Miejskiej Konferencji PZPR w Przemyśle — z inspiracji partyjnej „frakcji ukraińskiej”, jak wieść gminna głosiła.

O ile można zrozumieć oburzenie na Prezydium za to, że nie uzgodniło wszystkich postulatów z Plenum MKZ-u przed ich zgłoszeniem władzom, o tyle urządzenie polowania na czarownicę w oparciu o powyższą teorię spiskową prowadzi do nikąd.

Końcowym efektem tragikomicznej momentami „debaty” (ci koledzy, którym marzy się polemika w stylu parlamentu brytyjskiego, gdzie w braku lepszych argumentów posłowie rzekomo leją się po mordzie, byli wreszcie zadowoleni, że „coś się w Związku dzieje”) nad wnioskiem o cofnięcie postulatu było odroczenie głosowania w tej sprawie do następnego posiedzenia MKZ-u.

Co będzie dalej, nie wiadomo. Jedno jest pewne: nienawiść rodzi nienawiść a zapatrzenie w przeszłość nie otwiera perspektyw przyszłości. Dla wielu z nas staje się też jasne, że cerkiewny postulat wzbudza najgorsze namiętności — nie wzięliśmy tego pod uwagę w wystarczającym stopniu! — wobec których nadrzędny interes Związku w naszym regionie schodzi na plan dalszy. Przez interes ten rozumiem niedopuszczenie do dalszych, głębszych podziałów i dalszego spadku prestiżu MKZ-u. Fakt to z pewnością deprymujący.

Kontrowersja wokół cerkiewki wpłynęła nawet na stanowisko działaczy związkowych wobec innego, zdawałoby się bezdyskusyjnego postulatu: chodzi o wydanie przez władze decyzji o lokalizacji pomnika Orląt Przemyskich, który z funduszu społecznego ma zostać w Przemyśle odbudowany. W atmosferze rozjątrzenia i zatrważającej nieufności zaczęto kwestionować i ten, „czysto polski” projekt. Argument: za dużo już „tej polityki”, za dużo pseudodziałaczy, efekciarstwa, za mało „czysto związkowej” roboty. Trzeba było dopiero kilku przytomnych głosów, które przypomniały bohaterstwo walczącej i ginącej za niepodległą Polskę młodzieży, by wątpliwości zostały rozwiane a społeczny komitet odbudowy pomnika pod patronatem Związku — powołany. Pomnik prezentować się będzie okazale: na granitowym cokole obelisk, u szczytu którego przysiadł orzeł o rozwartych skrzydłach, pod obeliskiem młodzieniec z karabinem w ręce. Przed wojną u stóp pomnika odbywały się uroczystości obchodów rocznicy Powstań 1830 i 1863 roku.

Postulat domagający się zaprzestania dewastacji i otoczenia

opieką dużego cmentarza żydowskiego przy ul. Słowackiego w Przemyśle nie wzbudził już tak wielkich emocji i nie wywołał upiora szowinizmu.

Cmentarz zajmuje rozległy, pejzażowo urozmaicony teren i dzieli się na dwie części — niewielką, tuż przy murze wzdłuż ulicy, zadbaną, gdzie wciąż jeszcze przybywa świeżych mogił — oraz pozostałą, gdzie dziki busz pochłonał już groby. Ta część jest szczególnie malownicza pod jesień i byłaby doskonałą scenerią dla filmów Rasa. Przedzierając się przez gęste zarośla, natrafiamy na chylące się ku ziemi nagrobki z wrytymi lwami, koronami, ptakami lub też rozwartymi dłońmi kapłana, pokryte hebrajskimi napisami. Zdarzają się też nagrobki polsko- i niemieckojęzyczne. W części zadbanej — wolnej naturalnie od potopu traw i krzewów — znajduje się nagrobek ku czci Libermanna, przywódcy PPS, którego prochy spoczywają na cmentarzu Highgate w Londynie. W obu częściach cmentarza nie brak nagrobków upamiętniających całe pomordowane przez hitlerowców rodziny. Cmentarz żydowski przylega do równie wielkiego nekropolu katolickiego. Rozdziela je od siebie podmokła dolina wypełniona latem bujną roślinnością. Obecnie ten właśnie teren zamieniono w plac jakiejś budowy — pojawiły się tam spychacze i barak, ziemię odarto z trawy i zrównano, oddziela ją od cmentarza żydowskiego metalowa siatka, świeżo wzniesiona. Tak więc bardzo specyficzny urok tego miejsca został zniszczony, chyba bezpowrotnie.

Ponieważ wojewoda oświadczył, że nie ma państwowych pieniędzy na cmentarze niekomunalne, Prezydium MKZ postanowiło wystąpić do Ministra Kultury o uznanie obiektu za dobro kultury, nad którym należy roztoczyć opiekę.

Przybliżywszy Czytelnikowi działania — i warunki, w jakich są one podejmowane — przemyskiego MKZ-u, które można by określić mianem społeczno-kulturalnych, zastanawiam się, czy taki program kulturalny wychodzi naprzeciw oczekiwaniom lokalnej społeczności. I chyba — wyjąwszy pomnik — nie. Smuci mnie to tak samo, jak smuci mnie podejrzenie, że gdyby zaproponować naszym związkowcom program zgoła inny — oparty np. o zasadę pewnego ryzyka, w imię którego komisje zakładowe czy MKZ dają środki na realizację jakichś „szaleńszych” pomysłów ludziom, którzy się z takimi pomysłami zgłaszają, proponując eksperyment teatralny, muzyczny czy plastyczny realizowany wspólnie z chętnymi spośród załogi albo dla niej — w większości zareagowałiby podobnie: z obojętnością lub wrogo.

Trzeba jeszcze wielu wysiłków, aby upowszechnić zaczęta się postawa otwartości, nastawienie na dialog. Wciąż jeszcze trzymamy się kurczowo utartych kolein myślenia, wartościowania i działania. Brak nam odwagi — i mądrości — ryzyka. Ale to już całkiem inny temat.

Adam SZOSTKIEWICZ

Jak wygląda współczesna architektura polska? (dok.)

VI. Wnętrza kościelne wczoraj i dziś

Przeprowadzona w latach 1889-1891 restauracja kościoła Mariackiego w Krakowie stała się wydarzeniem, które miało w pewnym sensie znaczenie przełomowe w historii nowoczesnej sztuki kościelnej w Polsce.

Był to okres kiedy nasz mistrz Matejko był u szczytu swojej sławy. Z niewiadomych przyczyn nie został on zaproszony do komitetu, który miał zająć się tym wielkim dziełem. Faktem tym poczuł się urażony, bo uważał — może słusznie — że prace te nie mogą odbywać się bez jego udziału. Wniósł więc ofertę wykonania bezpłatnie polichromii wnętrza. Pierwszą reakcją komitetu było zakłopotanie. Proponowane przez Matejkę bogactwo barw i dekoracji, jakie miałyby pokryć mury kościoła, wzbudziło zastrzeżenia a nawet przerażenie niektórych członków komitetu, a przede wszystkim przewodniczącego, Pawła Popiela. Uważał on, że prostota i harmonia linii, „jakie cechują to wnętrze nie wymagają żadnych upiększeń ani uzupełnień, a wszelkie dodatkowe dekoracje zniekształciłyby surowe piękno tej architektury”. Było to stanowisko człowieka, który zdawał sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką wziął na siebie, i starał się zdecydować o tych sprawach niezależnie od wszelkich wpływów ubocznych. Pogląd jego był zresztą zgodny z zasadami, jakie już wówczas były stosowane przy odnawianiu zabytków w zachodniej Europie.

Autorytet Matejki i naciski opinii publicznej okazały się jednak silniejsze niż opinie komitetu i ostatecznie przeważały szalę na rzecz proponowanej polichromii.

Sam Matejko i jego projekt reprezentowały tu ducha czasu i nastroje, jakie panowały wtedy we wszystkich dziedzinach sztuki i w całym stylu życia. „Styl wiktoriański”, *Die Verzierungs-wut* (szał zdobienia) — nazwy były różne, ale wyrażały tę samą mentalność. Każda niepokryta ornamentem płaszczyzna traktowana była jako arkusz czystego papieru listowego, który czeka na zapisanie. Surowy urok prostych form i monumental-

ny wyraz wielkich pustych płaszczyzn muru nie znajdował żadnego oddźwięku u współczesnych — nie docierały po prostu do ich świadomości. Miał on być w pełni zrozumiany dopiero znacznie później — po pierwszej wojnie światowej.

Matejko, choć rozmiłowany w gotyku, ulegał w tej sprawie panującym nastrojom. Wielka świątynia o ascetycznych formach zapraszała po prostu do tego, by na jej wielkich płaszczyznach wnętrza dać upust swojej wyobraźni artystycznej. Ale był on także znawcą epoki, jaką reprezentował ten kościół. Sprawdziło to, że większość zastosowanych przez niego form zdobniczych była utrzymana w duchu tej architektury. Dotyczy to np. postaci aniołów z banderolami i napisami, które zdobią prezbiterium i które w swoim formalnym ujęciu przypominają malarstwo prerafaelitów. Gotycki charakter mają też fryzy z tarcz herbowych. Trudno natomiast pogodzić się ze sposobem potraktowania sklepienia. Panujący wówczas w sztuce *horror vacui* nie dopuszczał pozostawienia pustych pól między żebrami sklepienia. Nie mogło być luk w kompozycji dekoracyjnej. Musiała ona pokrywać całe wnętrze. Cóż więc naturalniejszego jak pokazać gwieździste niebo nad głowami modlących się? Ale ten nazbyt łatwy i z folkloru zaczerpnięty motyw nie godzi się z powagą monumentalnej świątyni ani z duchem gotyku. Dzisiaj razi on może bardziej jeszcze niż wówczas, gdyż został zwulgaryzowany we wnętrzach nie mających nic wspólnego z architekturą sakralną.

Niezrozumiały jest także pomysł malowania cegieł na ścianach nawy głównej (ponad arkadami), imitacji tego, co znajduje się pod tynkiem i co mogło być odsłonięte i pokazane w formie niesfałszowanej, oryginalnej cegły gotyckiej.

Kiedy jestem w kościele Mariackim, staram sobie w duchu odtworzyć to wnętrze w jego pierwotnej surowej formie. Widzę strzelisty łuk tęczy a w głębi ołtarz Wita Stwosza, wysmukłe żebra i łuki i barwny akcent na końcu prezbiterium w formie pionowych pasm mieniących się przyćmionymi światłami kolorowych średniowiecznych witraży. Wszystkie elementy architektury gotyckiej uwydatniają się i rysują wyraźnie na tle neutralnego piaskowego koloru murów — żadnych zakłóceń tej harmonii przez obce ornamentacje i wzorki. Przyznaję rację Pawłowi Popielowi i jego komitetowi.

Przy polichromowaniu kościoła Mariackiego pomagali Matejce Mehoffer i Wyspiański. Obaj byli w dziedzinie sztuki witrażowej artystami najwyższej klasy. Wyspiański nie tylko jako dramaturg, ale także jako malarz i grafik pozostawił dzieła o nieprzemijającej wartości, ale jego indywidualność była zbyt silna, by poddać się dyscyplinie potrzebnej przy konserwacji

i restauracji zabytków. Typowym przykładem był incydent w sprawie polichromii kościoła Św. Krzyża w Krakowie. Gdy architekt Stryjeński zaproponował mu skopiowanie i uzupełnienie średniowiecznych polichromii odkrytych na sklepieniu tego kościoła, Wyspiański uzależnił swoją zgodę od powierzenia mu wykonania polichromii całego wnętrza. W rezultacie do umowy nie doszło.

We wczesnym okresie swojej działalności artystycznej bywał Wyspiański kilkakrotnie we Francji, gdzie ze szczególnym zainteresowaniem badał zabytki sztuki średniowiecznej i wykonał liczne szkice zwiedzanych obiektów. Mimo to, kiedy powierzono mu dekorowanie kościoła Franciszkanów w Krakowie, dał się całkowicie ponieść fantazji, poddając się przy tym panującej wówczas modzie secesji. Naturalistycznie ujęte motywy kwiatowe: bratki, słoneczniki, lilie a także pawie oka i bogactwo wzorów jakie pokrywają ściany bazyliki nie mają w sobie nic z ducha gotyku. Tworzą wielobarwną kanwę, w której gubią się i zatracają elementy gotyckiej architektury, a także jego własne wspinałe witraże.

Ani Matejko ani Wyspiański nie stworzyli własnej szkoły malarskiej i niewielu próbowało kontynuować ich rodzaj twórczości. Rzecz dziwna, że obaj znaleźli najwięcej naśladowców na tym właśnie najbardziej kontrowersyjnym odcinku ich działalności, jakim była dekoracja wnętrz kościelnych.

.....

A teraz spójrzmy na sprawę wnętrz kościelnych pod kątem widzenia historycznym.

Najstarsze zabytki tego budownictwa z okresu romańszczyzny są u nas bardzo nieliczne i raczej fragmentaryczne. Nie reprezentują więc jakiegoś określonego typu architektury kościelnej. Taki model o ogólnych charakterystykach zarysował się dopiero w okresie gotyku. Ornamentyka jest tu bardzo powściągliwa. We wnętrzach wielkich świątyń dominantę w nawie głównej stanowią profilowane filary, najczęściej z kamienia, przechodzące w górnych partiach w żebrowanie sklepienia. W mniejszych kościołach sklepienia wspierały się na ścianach zewnętrznych wzmocnionych skarpami, a wewnątrz wsparte były na kroksztynach. Polichromia o ile występowała, to w formie niewielkich grup figuralnych i wątej ornamentacji, delikatnie rysujących się na tle dużych pustych płaszczyzn ścian. Asceza tych form ma swoisty urok i stanowi istotny czynnik w nastroju skupienia i modlitwy, jaki tu panuje.

Renesans był w architekturze kościelnej okresem względnego

zastoju. Życie kulturalne miało w tym czasie charakter laicki i nie sprzyjało rozwojowi budownictwa sakralnego. Wielki wyżył dopiero po soborze trydenckim. Była to połowa XVI wieku i początek baroku, który dopiero w następnym stuleciu osiągnął pełnię rozwoju. Żywa aktywność w budownictwie sprawiła, że kościół barokowy stał się w Europie zjawiskiem charakterystycznym zarówno w miastach, jak i w krajobrazie wiejskim. Wieża kościelna z jej mniej lub bardziej ozdobnym baniastym hełmem krytym zieleniejącą blachą miedzianą jest do dziś dnia typowym widokiem w wielu krajach naszego kontynentu.

Wnętrze kościelne ulega gruntownemu przeobrażeniu. Asceza średniowiecza zastępuje pompatyczna ozdobność. Pojawiają się barwne marmury, złocenia, sztukaterie, figury świętych w teatralnych pozach, pulchne aniołki itd. Malarstwo ściennie w technice *al fresco* koncentruje się głównie na sklepieniach i plafonach, gdzie wśród obłoków rozgrywiają się różne sceny zaczerpnięte ze Starego i Nowego Testamentu. Wszystko to, choć pod względem formy i nastroju całkiem inne od gotyku, ma swój określony styl i charakter i jako takie weszło w skład naszej tradycji i dorobku kulturalnego.

W dwudziestym stuleciu architektura sakralna uległa ogromnej ewolucji. Od pseudogotyku i innych pseudo-stylów historycznych do dzisiejszych śmiałych form architektonicznego monolitu wykazuje niekiedy ledwo wyczuwalne reminiscencje historyczne. W takim ujęciu najtrudniejszym problemem staje się nadanie bryle architektonicznej charakteru kościelnego i stworzenie wnętrza o odpowiednim nastroju. Koncepcja zasadnicza obejmować musi wszystkie elementy, jakie wchodzi tu w grę, a więc także ewentualne rzeźby i efekty kolorystyczne jak polichromie i mozaiki. Wszystkie one składają się na to, by osiągnąć przewidziany efekt wizualny i psychologiczny, muszą więc w tym celu być starannie skoordynowane i zgrane.

.....

Precedensy, jakie w dziedzinie dekoracji wnętrz kościelnych pozostawili po sobie dwaj wybitni nasi mistrzowie pędzla i barwy zaważyły ciężko na dalszym rozwoju tej sztuki u nas. Ich autoritet działał fascynująco na publiczność i tłumiąc na obiektywną krytykę. W niektórych kościołach uartało się przekonanie, że restauracja względnie budowa nowego kościoła nie jest kompletna, dopóki wnętrze nie zostało pokryte polichromią. Ma to być ostatni i niezbędny akt w robotach budowlanych, coś w rodzaju pomalowania mieszkania na „ulubione kolory” lokatora. Niestety ten ostatni akord zamienia się często w nieznośny dy-

sonans. Przybierając formę mniej lub bardziej udanej swobodnej kompozycji kolorystycznej, opartej zwykle na motywach zaczerpniętych z folkloru, razi swoją obcością i brakiem harmonii z otoczeniem. Takie beztróskie uproszczenie zagadnienia doprowadziło do zeszpecenia niejednego cennego wnętrza zabytkowego i nie wróży nic dobrego dla współczesnej architektury kościelnej.

VII. O problemach komunikacyjnych starego Krakowa

Sprawa godzenia konserwacji historycznych ośrodków miejskich z potrzebami, jakie stwarza życie współczesne stanowi na naszym kontynencie jeden z najtrudniejszych do rozwiązania problemów urbanistycznych. W niektórych wypadkach zabytkowe zespoły jedynie cudem ocalały wśród burz dziejowych, jakie przeciągały nad tą częścią świata. Częściej jeszcze fragmenty ich usuwane były bezceremonialnie, bo nie odpowiadały chwilowym potrzebom lub kaprysom ludzi decydujących o tych sprawach.

Dzisiaj staramy się godzić przeszłość z teraźniejszością. Procesy takie wymagają niekiedy śmiałości i kosztownych pociągnięć. Myślę jednak, że lepiej jest uświadamiać sobie zawczasu ich konieczność niż stosować strusią politykę wedle tradycyjnej u nas maksymy „jakoś to będzie”. Roboty takie wymagają niekiedy długich i starannych studiów na papierze, nim realizacja ich zostanie rozpoczęta.

Przykładem może tu posłużyć Wiedeń, gdzie po takich przygotowaniach rozpoczęto budowę sieci kolei podziemnej, która na głębokości od 20 do 25 metrów przecinać ma stare zabytkowe śródmieście, nie naruszając w najmniejszym stopniu cennych zabytkowych obiektów tej dzielnicy. Dzisiaj już jedna z wykonanych linii przebiega w bezpośrednim sąsiedztwie romańskogotyckiej katedry Św. Stefana. Jej budowa nie tylko świątyni tej nie przyniosła żadnej szkody, ale pozwoliła jeszcze dokonać interesującego odkrycia archeologicznego w postaci romańskiej kaplicy, odkopanej głęboko pod ziemią.

W roku 1977 napisałem artykuł, którego wyjątki przytaczam poniżej: „Konserwacja zabytków nie może ograniczać się jedynie do poszczególnych budynków. Pod to określenie podpadają także całe ich zespoły, a nawet miasta. Proces ten nie polega więc jedynie na zachowaniu względnie restauracji oryginalnych form obiektów architektury, lecz także na przywróceniu całym kompleksom ich właściwej atmosfery — tej atmosfery, którą dzisiaj zakłóca inwazja obcych jej agresywnych elementów współczesności. Pierwsze miejsce wśród nich zajmuje zmotoryzowany ruch kołowy.

Jest to sprawa szczególnie kłopotliwa, bo będąc w niektórych częściach miasta czynnikiem niepożądanym, staje się w dzisiejszych czasach coraz bardziej nierozłącznym składnikiem życia. Niepohamowany rozwój motoryzacji stał się zjawiskiem nieodwracalnym i będzie coraz bardziej ciężył na wszystkich rozwiązaniach urbanistycznych. Wzmagające się bez końca zapotrzebowanie na tereny parkingowe rozsadza po prostu staromiejską strukturę.

W wypadku Krakowa i wielu innych miast europejskich ich partie zabytkowe pozostały żywymi ośrodkami. W niektórych, jak np. w Warszawie, historyczny rozwój poszedł w innym kierunku. Stare miasto zostało na uboczu bieżącego nurtu i stało się obiektem niemal muzealnym. Inaczej jest w Krakowie. Grupa dwóch rynków, Głównego i Małego, oraz ich bezpośrednie otoczenie pozostały ośrodkiem zespołu miejskiego. Dodatkowym obciążeniem staje się na tym obszarze element turystyczny, szczególnie w sezonie letnim. W okresie tym napływ samochodów wzmagają się do tego stopnia, że wszelkie mniej lub bardziej możliwe płaszczyzny parkingowe zapełniają się po brzegi. Nastrój tego miejsca rozwiewa się i ginie w turystyczno-handlowym zgiełku. Jedyne cichą zatoką pozostaje zaułek pomiędzy Kościołem Mariackim i Św. Barbary, odizolowany od ruchu wielkomiejskiego.

Przywrócenie całemu temu zespołowi jego właściwej atmosfery byłoby możliwe jedynie przez całkowite usunięcie stąd ruchu kołowego wraz z parkingami i ewentualne przeniesienie ich na niższy poziom”.

Artykuł powyższy nie został opublikowany, bo uważano, że w chwili, gdy z brakami finansowymi boryka się sprawa odnowy i rewaloryzacji starówki krakowskiej, nie czas zajmować się sprawą, która z tych samych względów materialnych nie ma widoków na realizację w najbliższym czasie.

Minęły zaledwie dwa lata od napisania powyższego artykułu, a zawarty w nim zasadniczy postulat został częściowo spełniony. Z Rynku usunięto ruch kołowy, a jednocześnie na peryferiach śródmieścia zamieniono kilka niezabudowanych terenów w parkingi. Stanowi to paliatyw, który miejmy nadzieję pozwoli odsunąć na pewien czas bardziej radykalne decyzje. Ale zajrzyjmy co dzieje się obecnie na starym mieście, które wieńcem otacza Rynek. Gęsta masa zabudowy poprzecinana jest wąskimi uliczkami. Niektóre z nich zostały już także wyłączone z ruchu kołowego, ale ciągle jeszcze pozostaje niezadawalająco załatwiona sprawa dojazdów do poszczególnych domów mieszkalnych. Na innych tłoczą się zaparkowane samochody wyrzucone z Rynku.

Ruch kołowy przeciska się po wąskich pasach jednokierunkowych, a pieszy po jeszcze węższych skrawkach trotuarów. Warunki te będą się z czasem pogarszały, w miarę jak rośnie motoryzacja kraju.

Tymczasem Rynek zdawałoby się odzyskał już w pewnej mierze swą historyczną godność i powagę. Godność i powagę? Samochody zostały stąd wprawdzie usunięte, ale ich miejsce zajęła wzmoczona inwazja krzykliwych reklam — niektóre, olbrzymich rozmiarów, kłóca się z miejscową architekturą, inne naśladują pseudofolklor. Dziwne zjawisko: zniknął on bez śladu z wsi podkrakowskiej, która stanowi właściwe jego środowisko i gdzie był atrakcyjnym motywem naszego krajobrazu, przeniósł się natomiast w ramy sędziwych murów starego Rynku, gdzie stanowi element obcy, nie harmonizujący z otoczeniem.

W czasie jakiejś imprezy na rynku Krakowa, kiedy płachtą w „gustowne wzorki” pokryto wieżę ratuszową od bruku aż do tarczy zegarowej („żeby było ładniej”), a głośniki rykiem wypełniały cały plac, cudzoziemski turysta podszedł do mnie i zapytał, co się tutaj dzieje? Odpowiedziałem, że jest to jedna z imprez sezonowych, jakie się tu od czasu do czasu odbywają, na co usłyszałem odpowiedź: „Zachowujecie się w waszym cennym ośrodku zabytkowym jak słonie w składzie porcelany”. Po czym szybko odszedł.

Tak więc Rynek ciągle jeszcze nie stanowi oazy, w której w atmosferze jaką stwarza otaczająca architektura można by odpocząć od wielkomiejskiego zgiełku i załatwić drobne sprawunki w skali „dawnych, dobrych czasów”. Oprócz obcych naleciałości ciągle jeszcze straszą tu elementy niedawnej przeszłości: bezużyteczne dziś szerokie jezdnie asfaltowe i pasy parkingowe. Ogromna, zabrukowana, a częściowo asfaltowana przestrzeń zmieniła się w kamienne pustkowie, któremu brak tych elementów, które wniósł w nasze czasy rozwój nauki o zabudowie miast i higienie życia zbiorowego. Elementami tymi są przede wszystkim zieleń i woda.

Można by jednak argumentować, że Rynek był zawsze placem targowym i że tę tradycję należałoby zachować. Czasu jednak cofnąć nie można. Tym, czym przedtem był plac targowy, tym obecnie jest supermarket, a roli tej ani Rynek ani Sukiennice spełniać nie mogą. Należy przy tym pamiętać, że dawniejszy Rynek był znacznie mniejszy od obecnego. Stał tu ratusz, a do Sukiennic przylegały obszerne przybudówki, później zastąpione przez obecne podcienia. Tradycję handlową spełniają tu kramy w Sukiennicach, targowisko kwiatów i sklepy wzdłuż czterech ścian placu.

Obecnie rodzą się nowe problemy. Warunki współczesnego życia coraz natarczywiej domagają się ich rozwiązania. Dotyczy to w szczególności ruchu samochodowego, parkingów i ewentualnie komunikacji miejskiej. Nie może to być przeprowadzone kosztem tych walorów historycznych, zdrowotnych i krajobrazowych, które stanowią dorobek dawnych generacji, jak Planty, Planty Dietlowskie itp. Myślę więc, że w tym procesie nie obejdzie się bez przeniesienia niektórych uciążliwych a koniecznych urządzeń na niższe, podziemne poziomy.

Obecnie jednak, po pierwszym kroku jaki uczyniono na Rynku, następnym musi być jego właściwe zagospodarowanie, a więc ożywienie go zielenią tam, gdzie obecnie ciągną się martwe pasy asfaltu, a ewentualnie wodą w formie lustra tam, gdzie może ona podnieść monumentalność i urok istniejącej architektury — a więc wzdłuż partii zachodniego podcienia Sukiennic.

Nawiasem wspomnę tu, że lustro wody jako element architektury nie jest niczym nowym. Stosowane było w różnych prestiżowych obiektach takich jak zespół pałacowo-parkowy Wersalu, w nowszych czasach na monumentalnej esplanadzie prowadzącej do pomnika Lincolna w Waszyngtonie, a także przez Le Corbusiera przed gmachem sądu w Chandigarh (Indie).

Zastanawiałem się nad tym, czy warto w ogóle poruszać w naszej obecnej rzeczywistości sprawy na razie tak nierealne jak opisana powyżej propozycja dwupoziomowego rozwiązania komunikacji na Rynku Krakowskim, ale jeśli wyjść z takiego założenia, to należałoby zawiesić w naszym kraju wszelkie planowanie urbanistyczne, bo zmierza ono przecież z zasady do rozwiązań optymalnych; nawet jeśli w danej chwili wydają się niewykonalne, to jednak służą jako drogowskaz w procesie rozwoju miasta.

W tym kontekście przypomniły mi się nie tak dawne czasy, kiedy przed ostatnią wojną światową kierowałem pracami Biura Planu Regionalnego Polskiego Zagłębia Górniczno-Hutniczego. W naszych planach, szczególnie tych dotyczących komunikacji regionalnej, co chwila występował jak nieznośna zawałidroga wcinający się głęboko w obszar Polski język obejmujący Bytom i jego okolice, a należący wówczas do Niemiec. Uniemożliwił on wszelkie racjonalne rozwiązanie sieci drogowej na sąsiednich terenach regionu. Zaledwie kilka lat później wysiłek włożony w omijanie tej zatoki okazał się niepotrzebny. W owych czasach jednak liczenie na zmianę granic państwowych wyglądało zupełnie nierealnie.

Myślę więc, że podobnie potoczyć się może sprawa przebudowy Rynku Krakowskiego. To co dzisiaj przedstawia się jako futurystyczna wizja, może przy zmianie sytuacji ekonomicznej okazać się realną koniecznością.

Tymczasem jednak warunki komunikacyjne na obszarze krakowskiego śródmieścia będą się stale pogarszać. Trzeba więc dążyć do rozwiązań, które byłyby tanie w realizacji i czasowo łagodzą narastające trudności, a w przyszłości też okazały się pozytywne. Myślę, że znaleźć je można w poszukiwaniach, jakie czynią obecnie na zachodzie architekci krajobrazu, tzw. pejzażyści, konserwatorzy zabytków i ludzie zajmujący się ochroną przyrody. Nie chodzi tu o żaden sensacyjny wynalazek, lecz o środek transportu, który zdawałoby się wyszedł już z mody a obecnie wraca w sferę aktualności. Chodzi po prostu o rower. Dzisiaj, kiedy jedni marzą o samochodzie a inni go przeklinają, odkryto w tym prostym pojeździe wiele zalet. Wygląda na to, że dzięki temu pocziwemu i myszką już trącącemu pojazdowi można będzie rozwiązać wiele problemów dręczących współczesnego zurbanizowanego człowieka. Rower jest lekki, nie wymaga szerokiego pasa, parkowanie wielu takich wehikułów da się dokonywać na minimalnej przestrzeni, porusza się cicho i nie zanieczyszcza atmosfery. Wszystko to są zalety, które uwydatniają się szczególnie w porównaniu z samochodem, i w gęsto zabudowanych zabytkowych dzielnicach śródmiejskich. W niektórych krajach zachodnich, gdzie motoryzacja doszła do szczytu, rower zdecydowanie wraca do łask: rowerzyści stanowią dzisiaj około 35 % ruchu kołowego w Niemczech Zachodnich, a blisko 40 % w Holandii i Szwecji. W RFN produkcja samochodów zmalała w roku 1980 o 15 %, a popyt na rowery wciąż wzrasta.

Sieć dróg samochodowych jest w niektórych częściach tego kraju tak gęsta, że ludność, a szczególnie przedstawiciele organizacji ochrony środowiska protestują przeciw dalszemu jej zagęszczaniu, bo niektóre rodzaje zwierzyny zanikają, nie znajdując spokojnych obszarów, na których mogłyby żyć i rozmnażać się.

Jednak w kraju tak zmotoryzowanym propaganda roweru jako środka komunikacji codziennej natrafiała początkowo na trudności. Rozpoczęto więc w roku 1980 poszukiwania miasta średniej wielkości (od 40 do 100.000 mieszkańców), które zgodziłoby się na zaadaptowanie swojej sieci komunikacyjnej do potrzeb ruchu rowerowego. Ku zdziwieniu organizatorów zgłosiło się 131 miast, z których wybrano na razie dwa. Dla tych dwóch miast opracowuje się obecnie odpowiednie plany. Mają one stać się modelami w tym zakresie. Przewidują one niektóre ulice

przeznaczone wyłącznie dla rowerzystów i pieszych, inne, w których tory rowerowe prowadzić mają wzdłuż jezdni samochodowych, bezpieczne skrzyżowania, ośrodki, gdzie rowery będą mogły być ustawiane bez ryzyka kradzieży i inne, gdzie stać będą do dyspozycji publiczności trzykołowe riksze dla przewozu ludzi i pakunków. Wygląda na to, że sędziwy i niemal już zabytkowy wehikuł jakim jest „bicyklet” się odradza.

Bez wielkich i kosztownych inwestycji podziemnych pozwoliłby on na pewien czas osiągnąć w starym krakowskim śródmieściu większą przelotowość zabytkowych uliczek, usunąć stąd szkodliwe spaliny, przywrócić ciszę i wreszcie usunąć czyhające za każdym rogiem niebezpieczeństwo gwałtownego zderzenia.

VIII. Zakopane dzisiaj i jutro

Lecieliśmy samolotem z Rzymu do Warszawy. Po pewnym czasie, kiedy stewardessy likwidowały już pozostałości po rytualnym posiłku, rozległa się z głośnika informacja: „Zbliżamy się do granicy Polski. Na prawo zobaczą państwo grupę górską — to Tatry”. Grupa zarysowywała się coraz wyraźniej. Błyszczała w słońcu jaskrawą bielą śniegu na tle szafiru pogodnego nieba. Wyrastała jako niewielki poszarpany zespół skał z łagodnie pofalowanego otoczenia. Z wysokości 9.000 metrów wyglądała jak mała wysepka stromych turni i wierchów, wyłaniających się z lekko wzburzonego morza. Pomyślałem: „na tej wyspece, której powierzchnia wynosi 750 km², naszą własność stanowi zaledwie 150 km², a więc jedna piąta obszaru”.

Takie naoczne stwierdzenie ilustruje najdobitniej dysproporcję między tym wysokogórskim skrawkiem, jaki posiadamy, a rolą jaką on odegrał w życiu naszego społeczeństwa. Od ponad stu lat jest on źródłem natchnienia artystów-malarzy, poetów, powieściopisarzy i muzyków.

Zakopane — centrum tego regionu — było nie tylko jednym z najważniejszych w kraju ośrodków sportu, turystyki i klimatycznego lecznictwa, ale także życia kulturalnego. Już w okresie międzywojennym otrzymało Zakopane status miasta, a jego popularność stale wzrastała. Ilość osób, jakie w 1977 roku przebywały tu przejściowo, oceniona była na 3,5 miliona, co przewyższa więcej niż dwukrotnie liczbę mieszkańców Warszawy i stanowi w polskich warunkach chyba rekord w tej dziedzinie.

Równoległe z tym rozwojem postępuje ekspansja budowlana. Zniknął stąd już bezpowrotnie nastrój cichego, pełnego wspo-

mnień uzdrowiska, które stanowiło centrum podhalańskiego folkloru i gdzie widywało się wielu sławnych ludzi. Pamiętam z mojego dzieciństwa poważną zamyśloną postać Żeromskiego, który mieszkał tu przez kilka lat. Widywałem Kazimierza Tetmajera — smutnego marzyciela, o przyjeździe Wojciecha Kossaka dowiadywałem się, gdy na Krupówkach rozlegało się przeraźliwe wycie syreny, którą miał wmontowaną w swoim samochodzie zamiast klaksonu. Konie płoszyły się na ulicy, a przerażeni górale usiłowali uspokoić je, zasłaniając im oczy workami od owsa. Przebywało tu też wielu innych artystów i naukowców, których wymienianie zajęłoby zbyt dużo miejsca.

We wczesnym okresie powojennym starano się jeszcze nawiązywać w zabudowie do dawnych tradycji i charakteru regionu. W tym czasie powstał tu Dom Turysty PTTK, utrzymany w takim stylu. Sylwetka budynku o wysokim dachu krytym gontem ciekawie rysuje się na tle górskiego łąka, a różne szczegóły w drzewie wykonane są z pietyzmem i znanstwem rzemiosła.

Niestety późniejszy rozwój miasta potoczył się innymi torami. W okresie kiedy na szerokim świecie podnosiły się już coraz silniejsze protesty przeciw surowemu funkcjonalizmowi w architekturze i corbusierowskiemu kultowi maszyny, w Zakopanem nastąpiła inwazja płaskodachowego modernizmu. Znikać zaczęły indywidualne cechy regionalne w budownictwie na rzecz międzynarodowego szablonu. Miasto zmieniało swoje oblicze. Stawało się coraz bardziej banalne i zatłoczone.

Mimo tego dynamicznego rozwoju ocalała jednak w samym centrum tak zwana „Równia Krupowa”, wielka niezabudowana przestrzeń, skąd rozciąga się panoramiczny widok na pasmo Tatr polskich z położoną pośrodku grupą Świnicy i Granatów. Obecnie rośnie tu trawa, ale nie jest to ani łąka górską w prawdziwym tego słowa znaczeniu, ani pole, ani park miejski. Stanowi obszar o nieokreślonym przeznaczeniu użytkowym. Słuszna więc była decyzja powzięta w 1973 roku, żeby rozpisać konkurs urbanistyczny na zdefiniowanie zagospodarowania tego terenu. Tak! Ale czy właściwe było jej przeprowadzenie? Czy wyznaczony cel został osiągnięty?

Aby na to odpowiedzieć, trzeba sobie przede wszystkim uświadomić jeden zasadniczy fakt: Zakopane zawdzięcza swój niezwykle urok w pierwszym rzędzie walorom krajobrazowym. Przedtem odgrywały w tym rolę także względy klimatyczne, ale teraz bardzo zmalały wobec zanieczyszczenia powietrza spalinami samochodowymi, a w zimie także dymami z kominów. Kozuch smogu jaki pojawia się w tym czasie nad miastem i bywa widoczny z Gubałówki świadczy o tym dobitnie. Krajobrazowemu

czynnikowi powinny więc być podporządkowane wszystkie inne zagadnienia rozwojowe, a także zabudowa. Domy można wznośić, zmieniać lub nawet burzyć, ale z górami nie da się tego uczynić. Można by więc sądzić, że warunki konkursowe skoncentrują uwagę projektujących przede wszystkim na ten naczelny cel. Niestety tak nie było. Zawierały one duży program inwestycji budowlanych, których projektowanie musiało być bardzo pracochłonne, i skierowały wysiłek architektów na sprawy drugorzędne. W rezultacie nie przyznano pierwszej nagrody, sprawa więc zagospodarowania „Równi” pozostaje w zasadzie otwarta.

Spśród proponowanych w konkursie rozwiązań najbardziej przekonywujące wydawałoby się potraktowanie terenu jako jednorodnej całości o charakterze łąki czy polany górskiej. Tak właśnie zostało to ujęte w pracy odznaczonej drugą nagrodą. Odpowiadałoby to charakterowi środowiska, a widok scenarii górskiej pozostałby niezakłócony. Nasuwają się jednak przy tym pewne trudności praktyczne. Urok takiej polany polega na soczystej świeżości zieleni, nietkniętej niemal stopą ludzką, i na jej leśnym otoczeniu. Podczas gdy ten drugi warunek byłby w pewnej mierze możliwy do spełnienia, pierwszy jest praktycznie nie do osiągnięcia w otoczeniu miejskim. Z chwilą bowiem, gdyby swobodne przechadzanie się publiczności po takiej łące było zakazane lub ograniczone, co byłoby konieczne dla jej konserwacji, straciłaby ona swój charakter łąki, a stałaby się miejskim zieleńcem.

Tak więc zagadnienie nie jest łatwe do rozwiązania; wyłaniają się jednak możliwości, które wymagałyby wprawdzie pewnego nakładu finansowego, ale mogłyby spełnić podwójny cel: zapewnić „Równi Krupowej” na zawsze jej nietykalność dla celów budowlanych i podkreślić piękno roztaczającego się stąd widoku górskiego. Polegałoby to na stworzeniu tu krajobrazu tatrzańskiego w miniaturze. Centralnym motywem byłoby sztuczne jezioro, które zajmowałoby większość terenu. Na jego obwodzie ciągnąłby się pas zieleni o charakterze flory tatrzańskiej. Smreki i limby wyrastałyby pomiędzy nawiezionymi granitowymi głazami i przeglądałyby się w lustrze wody, gdzie indziej porastałaby kosodrzewina i inne rośliny w ich właściwym środowisku górskim. Wśród tego wieńca zieleni wiłaby się ścieżka, której dostępność mogłaby być ograniczona, a roślinność strzeżona, jak to się normalnie robi w parkach botanicznych. Poziom ulicy Kościuszki zostałyby na niewielkim odcinku podniesiony i przebiegałaby ona wiaduktem ponad zalewem.

Alternatywą mogłoby być ograniczenie jeziora do południowej części równi między ulicami Kościuszki i Witkiewicza. Stro-

na północna do ul. Nowotarskiej mogłaby stanowić park botaniczny, o florze typowej dla tego regionu. Przez środek tego parku przepływałby potok górski, wypływający z jeziora — a więc typowy motyw tatrzańskiego krajobrazu.

W ten sposób Zakopane zostałyby niejako wciągnięte w obręb swojego górskiego zaplecza.

Stanisław PIOTROWSKI

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 343 — MARIA JANUSZKIEWICZ

KAZACHSTAN

Polacy w Kazachstanie w czasie wojny 1939-1945 i później aż do repatriacji do Polski. — Resztki zesłańców polskich z Ukrainy z lat trzydziestych.

Str. 200.

Cena F. 55,00.



TOM 344 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT PIĘĆDZIESIĄTY ÓSMY

Zawiera m.in. opracowania: Marii Trojanowskiej — *Pomocnicza Służba Kobiet PSZbr. na terenie ZSSR*; Leonidasa A. B. Kliszewicza — *Baza w Sztokholmie*; St. Korbońskiego — *Polskie Państwo Podziemne jako zjawisko socjologiczne*. RECENZJE. OKRUCHY HISTORII. LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240.

Cena F. 45,00.

Sprawy i troski

Akcja pomocy dla Polski (III)

AUSTRALIA

W Melbourne został utworzony Ogólnoaustralijski Komitet Pomocy dla Polski. Przewodnictwo objął znany australijski prawnik, przewodniczący Instytutu dla Spraw Wielokulturowych, Frank Galballi, a patronat — premier Australii Malcolm Fraser. 22 listopada 1981 roku nastąpiło oficjalne otwarcie akcji zbiórkowej. Premier Fraser wręczył przewodniczącemu Komitetu czek na milion dolarów australijskich. Należy podkreślić, że rząd australijski po udzieleniu już Polsce kredytu 40 mln dolarów na zakup wełny i skór, rozważa obecnie możliwości przyznania dalszych kredytów i zwiększenia kwoty imigracyjnej dla polskich uchodźców, którzy przebywają w obozie w Austrii.

FRANCJA

Secours Catholique wysłała na Święta do Polski 25 ciężarówek, z których każda zawierać będzie 20 t żywności. Wartość tego transportu wynosi 5 mln franków. Ciężarówki te mają dotrzeć do 25 miast w Polsce, tj. do ośrodków pomocy społecznej 27 diecezji. Ostatnia ciężarówka ma przybyć na miejsce 23 grudnia 1981 roku.

HOLANDIA

W Holandii działa w chwili obecnej 140 komitetów pomocy Polsce, współpracujących z Holenderskim Czerwonym Krzyżem i z biskupem Dominem z Katowic, który koordynuje akcję charytatywną w Polsce. Największa z holenderskich akcji, „Paczka od serca”, dała w wyniku zbiórki 9 mln guldenów. 13 grudnia 1981 roku wyruszył do Polski konwój 120 ciężarówek z 200 tysiącami paczek świątecznych (głównie żywność).

NORWEGIA

Do dotychczasowej kwoty kor. norw. 4,55 mln (ok. 1 mln \$) wyasygnowanych przez norweskie MSZ, doszło 27 listopada 1981 dalszych 13 mln (2,3 mln \$), na które rząd norweski wyraził zgodę. Z tej ostatniej kwoty

5 mln zostanie oddane do dyspozycji Norweskiego Czerwonego Krzyża, a pozostałe 6 mln rozdzielone między inne organizacje humanitarne, organizujące pomoc i przesyłki żywności i lekarstw do Polski. Jeśli chodzi o uprzednią sumę 4,55 mln koron, rozdzielona ona została jak następuje:

1. Norweski Czerwony Krzyż otrzymał 0,5 mln koron. (Z innych źródeł zebrał 0,7 mln. Za sumę tę wysyłał przez całe lato i jesień żywność i leki na adres PCK. Przesyłki te przeznaczone były dla szpitali i ludzi starych). Dalsza pomoc przewidziana.

2. Organizacja Pomocy Kościoła Państwowego (*Kirkens Nodhjelp*) otrzymała od MSZ 1 mln koron. Za sumę tę wysyłano do Polski żywność ciężarówkami, oddanymi do dyspozycji Kościoła przez prywatne firmy. Każdy transport obejmuje ok. 20 t konserw mięsnych, oleju, margaryny, mleka w proszku, zup w proszku, mydła i proszku do prania. Transporty będą płynąć przez całą zimę. Ich odbiorcami są Polska Rada Ekumeniczna, Komisja Charytatywna Episkopatu i Ministerstwo Zdrowia. Pierwsze transporty skierowane zostały do Szczecina.

3. Norweska Narodowa Komisja Pomocy (*Norsk Folkehjelp*), humanitarna organizacja Centralnego Związku Zawodowego LO oraz innych organizacji robotniczych otrzymała od MSZ 1 mln koron. (Z innych źródeł zebrała 0,5 mln). Wysyła na ręce „Solidarności” odzież dziecięcą, witaminy, mleko dla niemowląt. Pierwszy transport skierowany został do Gdańska. Dalsze są przewidziane.

4. Norweska filia organizacji CARE otrzymała od MSZ 1 mln koron i ma otrzymać dalsze fundusze. Wysyła paczki dla dzieci i starców.

5. Organizacja „Ratuj Dzieci” (*Redd Barna*) otrzymała od MSZ 1 mln koron. Organizuje we współpracy ze szwedzką filią tej samej organizacji transporty ze Szwecji ciężarówkami. W październiku wysłano konserwy mięsne, mleko w proszku, mydło, proszki do prania itp. *Redd Barna* kieruje swoje przesyłki na adres Towarzystwa Przyjaciół Dzieci w Warszawie oraz „Solidarności”. Organizacja oblicza, że pomocą swą obejmuje miesięcznie 12.000 rodzin, liczących ok. 60.000 dzieci.

6. Katolicka „Caritas” otrzymała od MSZ 50.000 koron. Suma ta przeznaczona jest na wysyłki paczek do Polski.

7. Centralny Norweski Związek Zawodowy LO (*Landsorganisasjonen i Norge*) podpisał z „Solidarnością” umowę o współpracy; na jej podstawie pomoc LO kierowana będzie na dzieci i inwalidów. Poza tym LO dostarczył „Solidarności” pewną ilość maszyn drukarskich. Rozwija się współpraca organizacyjna i informacyjna między oboma związkami. Doszło już do wymiany kilku delegacji, a przewidziane są 2-tygodniowe pobyty stypendialne w Norwegii 10 przedstawicieli „Solidarności”.

8. Z inicjatywy norweskich związków zawodowych powstała organizacja *Solidaritet Norge-Polen*, która wysłała większą ilość sprzętu drukarskiego i biurowego do rozmaitych oddziałów „Solidarności” w Polsce.

9. Poza tym pomoc dla Polski organizują rozmaite władze komunalne, terenowe oddziały związków zawodowych (pod hasłem „Godzina pracy dla Polski”) prywatne firmy (wysyłka tranu i preparatów witaminowych) oraz Polacy osiadli w Norwegii.

10. Kobieca Liga Obrony Pokoju (*Kvinner for Fred*) organizuje publiczną zbiórkę na paczki świąteczne (głównie kawa i czekolada).

11. Zrzeszenie Młodych Katolików w Norwegii rozpoczęło przedświąteczną zbiórkę na zakup lekarstw dla polskich dzieci. W akcji bierze udział

30 organizacji młodzieżowych, a kieruje nią 18-letnia Polka z Oslo, Agnieszka Stawińska.

12. Norweskie Ministerstwo Rolnictwa przygotowuje wraz z rozmaitymi organizacjami rolników wysłanie do Polski na wiosnę 1982 roku 1.000 krów cielnych. Pieniądze na ten cel pochodzą z funduszy państwowych.

13. Rząd norweski postanowił udzielić zezwolenia na stały pobyt w Szwecji 25 rodzinom głuchoniemych. Z wyjątkiem jednej rodziny Rumunów, grupa składa się z Polaków, uchodźców oczekujących dotychczas w Austrii na wizy imigracyjne. Po kilkumiesięcznym pobycie w ośrodku opieki nad głuchoniemymi w Aal ludziom tym zostanie zapewniona praca i mieszkania w różnych miejscowościach Norwegii. Grupa ma przybyć do Norwegii w styczniu 1982.

WSPÓLNY RYNEK

Reprezentanci dziesięciu krajów Europejskiego Wspólnego Rynku uchwalili wysłanie do Polski 8.000 ton mięsa w formie daru.

OBIETNICE WYBORCZE

W czasie wyborów prezydenckich we Francji Partia Socjalistyczna wydała ulotkę szeroko kolportowaną w ośrodkach polskich we Francji. Podajemy jej tekst:

„O PRZYJAŹŃ POLSKO-FRANCUSKĄ

Przyjaźń między Polską i Francją jest faktem. Ale często Francuzi polskiego pochodzenia, którzy odczuwają tę przyjaźń ze szczególną intensywnością, mogą być rozczarowani naszą względną obojętnością.

Jako pracownicy we Francji, wnieśli oni decydujący udział do naszej gospodarki. Jako obywatele, zafiarowali oni Francji bogactwo swych tradycji, swej kultury, swego życia.

Skoło się widzi w jakim stanie pozostawiona jest przez władze Biblioteka Polska w Paryżu, kto nie odczuje pewnego wstydu za nasz kraj? Będąca skarbcem kultury polskiej, Biblioteka utworzona przez pierwszych emigrantów, którzy wokół Szopena z mocą proklamowali swe uczucia narodowe w obliczu podziału ich kraju przez mocarstwa zaborcze, winna ona rozporządzać środkami zapewniającymi jej niezależność. Winny być zapewnione środki finansowe dla jej działania.

Socjaliści walczyli zawsze o zachowanie i rozwój różnych tożsamości kulturalnych, które tworzą bogactwo naszego kraju. Dlatego też uważamy, że należy zapewnić naukę języka polskiego w naszych szkołach, ażeby ci, którzy utrzymują z krajem swego pochodzenia tę szczególną więź jaką jest język, mogli zachować jego znajomość. W obliczu świata naród polski daje dzisiaj przykład swej odwagi, swej siły i swej jedności w dążeniu do wolności i sprawiedliwości. Któż może nie żałować zniesienia audycji w języku polskim Radio France Internationale przeznaczonych dla Polski? W imię jakiej słabości czy ugodowości zniesiono te audycje?

Była to bezpośrednia konsekwencja reformy ORTF, jeden z pierwszych gestów Giscarda i jego pierwszego rządu utworzonego w roku 1974 pod

przewodnictwem Chiraca. Tak, Polonia francuska może liczyć na socjalistów, solidarnych z pracownikami polskimi, których walka łączy się z naszą, z walką François Mitterranda o sprawiedliwość, równość, demokrację i pokój, przy zachowaniu, niepodległości i wolności ludów.

Lionel Jospin
Pierwszy Sekretarz Partii
Socjalistycznej”.

Francuska prasa rządowa podkreśla z naciskiem, że wszystkie obietnice wyborcze są czy będą realizowane. A więc czekamy.

FELIKS MANTEL

WACHLARZ WSPOMNIENI

Brandys Kazimierz: „To pasjonująca i piękna książka”.

Kisielewski Stefan: „Tragedia pokolenia opisana dyskretnie z jakąś filozoficzną, pobłażliwą łagodnością”.

Rawicz Piotr: „Pejzaże — pejzaże i pejzaże ludzkie są przeniknięte lekką, rzekłbym, 'mimowolną' i tym bardziej autentyczną poezją”.

Rhode Gotthold: „Jestem książką wprost zachwycony”.

Terlecki Tymon: „Dziękuję za bezcenny 'Wachlarz wspomnie'”.

Wyd. KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU
123, Bd St-Germain, 75006 Paris

Str. 250.

Cena: F. 48,00.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Wszystko, co sowieckie gazety i czasopisma pisały przez miniony miesiąc o Polsce można streścić w zdaniu, którym wyślanik *Literaturnoj Gazety* zatytułował swoją korespondencję z Warszawy: „Solidarność? Nie! — Kontrewolucja!”. Korespondencje TASS-a, artykuły, przedruki z nielicznych „prawdziwie socjalistycznych” polskich gazet zawierają wariacje na jeden i ten sam temat: siły kontrrewolucji szykują w Polsce przewrót i przejęcie władzy; są jeszcze i zdrowe siły, ale żyją w strachu przed „polskimi hunwejbunami” i „faszystowskimi grupami wprowadzającymi porządk” — według słów wyślanika *Literaturnoj Gazety*. Zdaje się, że to on pierwszy miał zaszczyt użyć nowego hasła sowieckiej propagandy: „Solidarność korzysta w swej walce z doświadczeń junty chilijskiej”. 9 grudnia *Krasnaja Zwiezda*, organ ministerstwa obrony ZSSR, kategorycznie zapewnia: „Solidarność” niewątpliwie posługuje się doświadczeniami chilijskich kontrrewolucjonistów, którzy liczyli na to, że im większe będzie powszechne niezadowolenie, tym łatwiej je będzie wykorzystać w walce przeciw władzy ludowej”.

Stanisław Jerzy Lec uprzedzał: nie opowiadajcie snów, freudyści mogą dojść do władzy. Czytając relacje sowieckich dziennikarzy o Polsce, nawet nie-freudyści pojmą bezbłędnie, że kremlofskim hasłem na dziś są „doświadczenia junty chilijskiej”; z tym hasłem na ustach Kreml będzie czekał, aż sytuacja gospodarcza w Polsce na tyle się pogorszy (przykładając się jak można do jej pogorszenia), że powrót do sytuacji sprzed sierpnia 1980 wyda się Polakom powrotem do raj. Korespondent *Literaturnoj Gazety* zaczyna swoją opowieść o podróży na trasie Warszawa-Gdańsk-Katowice-Bydgoszcz od wspomnień o swoim pobycie w Polsce „w lepszych dla niej czasach... Z grupą polskich przyjaciół szliśmy w stronę dworca po jasno oświetlonej ulicy Marszałkowskiej, którą właściwie należałoby nazwać prospektem, pełnej wesołych, radosnych ludzi. Migały błyszczące ognie neo-

nowych reklam, między ciche przytulne kawiarenki wciskały się ładnie ułożone wystawy sklepów i hałaśliwe bary, z których dobiegała muzyka...". To było kiedyś. A dziś: „...Znów Marszałkowska. Smutno świecą nocne latarnie, twarze są chmurne, zmęczone, w sklepach kolejki, a towary wydają na kartki”.

Korespondent głównego organu inteligencji sowieckiej mógłby dodać, że wtedy była wiosna, a teraz — z winy „Solidarności” — późna jesień... Sens jego korespondencji jest prosty: „grając na błędach poprzedniego kierownictwa”, głosząc „pseudodemokratyczne hasła”, prowodyrzy „Solidarności” zdołali „przyciągnąć wielu robotników polskich”; teraz wszyscy robotnicy zrozumieli już — albo bardzo prędko rozumieją — że z wiosną koniecznie trzeba powrócić do Partii. Korespondencja kończy się pogrózką: „Czara cierpliwości się przepętniła. Limit pobłażliwości, wybaczenia przestępczych działań awanturników politycznych i wrogów Polski ludowej został wyczerpany. Niechaj wiedzą o tym ci, którzy z klęski gospodarczej zrobili oręż w walce o obalenie ustroju”.

Taktyka Moskwy na dziś to zniszczenie polskiej gospodarki. To jest jej oręż w walce przeciw „Solidarności”. Ale i wykorzystanie wewnętrznych tarć w kierownictwie „Solidarności”: sowieccy obywatele, którzy czytają tylko sowiecką prasę, wkrótce będą lepiej znali nazwiska „prowodyrów Solidarności” niż nazwiska członków własnego Politbiura, nie mówiąc już o tym ile zarabiają, jak są ubrani i co myślą.

Sowiecki dziennikarz zwiedzający Polskę odkrył tam rzeczywistość chmurne, zmęczone twarze i kolejki w sklepach. Gdyby mógł równie swobodnie jeździć po własnym sowieckim kraju i potrafił pisać prawdę o tym, co widzi, obraz byłby znacznie straszniejszy. Zaświadczył o tym osobiście towarzysz Breżniew. 16 listopada wystąpił on na plenum KC KPZS z przemówieniem o sytuacji w kraju i perspektywach nadchodzącej pięciolatki. Zaczął od żywności, oświadczając: „Problem żywności jest zarówno w planie gospodarczym jak i w planie politycznym centralnym problemem całej pięciolatki”. W 65-ym roku władzy sowieckiej, u progu jedenastej pięciolatki, I sekretarz KC KPZS przyznaje, że i w przyszłości, tzn. w latach 1981-1985, „istnieć będą przerwy w dostawach mięsa, przetworów mlecznych, tkanin bawełnianych i szeregu innych towarów”. Zważywszy, że w Związku sowieckim nie ma „Solidarności”, winę za przyszłe niedostatk i „przerwy w dostawach” Breżniew przypisuje głównie klimatowi: „Ogromne szkody w rolnictwie, a co za tym idzie w całej gospodarce, powoduje już trzeci rok z rzędu susza”. Ale i Breżniew wie, że takie tłumaczenie przestało zadowalać nawet sowieckich obywateli. Robi więc nieoczekiwane odkrycie: „Zresztą, wieloletnie doświadczenie wskazuje, że niesprzyjająca rolnictwu pogoda zdarza się u nas niemalże co rok”. W związku z tym proponuje mądre posunięcie: „Należy szczególnie umiejętnie dostosowywać pracę w rolnictwie do przeciwności klimatycznych”.

Tysiące lat temu ludzie nauczyli się pracować na roli i dostosowywać tę pracę do „przeciwności klimatycznych”. Sowieccy kołchoźnicy czekali z tym do 1981 roku, do wskazówek I sekretarza KC KPZS. Breżniew posuwa się jeszcze dalej. Zwraca uwagę na niedostatki w „stylu pracy rolniczej i myślenia gospodarczego, w metodach propagandy i systemie zarządzania”, podkreślając, że „zmieniają się one nie dość energicznie”.

Zatroskanie Breżniewa wobec „problemu żywności” wywołuje fakt, że tegoroczne zbiory będą niższe niż najbardziej pesymistyczne przepowiednie zachodnich ekspertów: najprawdopodobniej poniżej 170 mln ton. W każdym razie ani Breżniew na posiedzeniu KC, ani przewodniczący Gosplanu N. Bajbakow na posiedzeniu Rady Najwyższej nie podali żadnej cyfry. Plan na następną pięciolatkę przewiduje coroczne zbiory w wysokości 239 mln ton. Najwyższe zbiory w ZSSR przypadły na rok 1978 i wyniosły 237,5 mln ton. Biorąc pod uwagę tegoroczną katastrofę, sowieckie kołchozy i sowchozy muszą — chcąc wyrobić średnią na pięciolatkę — zbierać corocznie 255 mln ton. Pojmując nonsensowność takiego planu, Breżniew z góry uprzedza, że nie będzie dość żywności.

Uprzedził, czyli zrobił swoje. I sekretarzem wybrano go 17 lat temu, po obaleniu Chruszczowa, oskarżonego m.in. o klęskę sowieckiego rolnictwa. Uprzedziwszy o nadchodzących trudnościach, Breżniew zrzucił z siebie odpowiedzialność i obarczył nią kilku ministrów i sowiecki lud pracujący. W końcu swojego przemówienia L. I. Breżniew „podkreślił prostą myśl: ...Trzeba lepiej pracować”.

Ta genialna w swej lakoniczności i głębi myśl świadczy najlepiej o wybitnych literackich i filozoficznych uzdolnieniach I sekretarza. Trzeba przyznać, że jeśli urodzaj nie dopisał w rolnictwie, to urodzaj na książki L. I. Breżniewa był w roku 1981 doskonały. W listopadzie na przykład do „znanej w całym świecie trylogii” L. I. Breżniewa (według słów ukraińskiego pisarza w rytmie fabrycznej syreny). „Wspomnienia”, skromne opowiadanie o dzieciństwie i młodości wodza, opublikowane zostały najpierw w *Nowym Mirie* nr 11/1981, potem w 8-milionowym nakładzie w tygodniku *Tydzień*, a wreszcie (oszałamiająca operatywność!) w wydaniu książkowym. Równocześnie wyszła w masowym nakładzie książka także skromnie zatytułowana „Leonid Iljicz Breżniew. Krótki rys biograficzny. Wydanie trzecie uzupełnione”.

Nie warto byłoby tyle mówić o literackiej działalności wodza, gdyby nie fakt, że nie ma dziś artykułu ani przemówienia, w których by nie cytowano mądrych aforyzmów Breżniewa. Określanie sowieckiego ustroju jako logokracji stało się truizmem. Prasa sowiecka co dzień cytuje Breżniewa i dostarcza zabawnych przykładów ilustrujących tę tezę.

Równo dwa lata temu, w grudniu 1979 roku, armia sowiecka wtargnęła do Afganistanu. Sowiecka prasa dawno już przestała się tym zajmować. Jedynym ważnym materiałem poświęconym

Afganistanowi w listopadzie 1981 było oświadczenie o opublikowaniu w języku dari „krótkiej biografii L. I. Breżniewa” z przedmową (również w języku dari) I sekretarza KC afgańskiej kompartii, przewodniczącego Rady Rewolucyjnej Babraka Karmala. Problem afgański można uważać za zamknięty. Tym właśnie należy chyba tłumaczyć fakt, że ogłaszając przemówienie, jakie kanclerz RFN Schmidt wygłosił na cześć Breżniewa w czasie obiadu z nim, cenzura sowiecka wykreśliła zeń wszystkie uwagi dotyczące sowieckich rakiet SS-20, które naruszają równowagę wojskową w Europie. Problem żywności, któremu Breżniew poświęcił kilka słów w swej mowie na plenum KC, został natomiast ostatecznie rozwiązany w komunikacie TASS-a z 19 listopada. TASS oznajmił obywatelom sowieckim, że „system zaopatrzenia w żywność ujawnia wyraźne objawy kryzysu, niektóre towary są coraz trudniej dostępne”. TASS informował w ten sposób obywateli sowieckich nie o sytuacji w ZSSR, a o sytuacji w USA. Właśnie tam, zdaniem Telegraficznej Agencji Związku Sowieckiego, „ograniczenie produkcji rolnej stworzyło groźbę skrajnych niedoborów żywności”. „Szczególnie niepokojące jest to na północno-wschodnich obszarach USA”. Czytając tę informację, członkowie sowieckiej westchnie z ulgą — u nas krucho, ale Polacy i Amerykanie po prostu głodują!

Godnym uwagi przykładem wpływu „sowieckiego słowa” jest walka z „amerykańską bombą neutronową” i amerykańskimi raketami, które mają zostać rozmieszczone w Zachodniej Europie, walka, która ogarnia cały świat, a szczególnie właśnie Zachodnią Europę. Oczywiście, tu i ówdzie mówi się, że ruch pacyfistyczny rozwija się za pieniądze Moskwy. Kongres USA obliczył np., że „pacyfizm” kosztuje Związek Sowiecki ok. 63 milionów dolarów rocznie (*Le Point* z 9. XI. 1981). W Danii aresztowano nawet na trzy dni pisarza-pacyfistę Arne Herloev-Petersena, utrzymującego od lat bliskie kontakty z KGB; aresztowano go po wydaleniu z Kopenhagi sowieckiego dyplomaty — zwolennika ruchu pacyfistycznego. Ale sowieccy agitatorzy i propagandyści zapalczywie negują i wyśmiewają samą myśl o „moskiewskich srebrenikach”.

Nie ulega jednak kwestii, że dziwnym zbiegiem okoliczności ruch pacyfistyczny w Europie Zachodniej zaczął nabierać rozmachu po moskiewskim spotkaniu przedstawicieli 67 centralnych organów prasowych komunistycznych partii świata. Program zajęć określono jako ocenę roli prasy w „walce o pokój i odprężenie”. 24 listopada 1981 przedstawiciele „bratnich partii” zebraли się ponownie w Pradze; tym razem było 90 delegacji. Oceniano pracę czasopisma *Problemy pokoju i socjalizmu*. Działalność ruchu pacyfistycznego podsumował i zadania następnego etapu wytyczył sekretarz KC KPZS B. N. Ponomarew, który już pół wieku zajmuje się rozbijaniem Zachodu.

Sekretarz KC zaproponował, jako najważniejsze zadanie nowego etapu, walkę z „nieprawidłowymi” koncepcjami „identycznej odpowiedzialności USA i ZSSR za zaostrzenie sytuacji mię-

dzynarodowej”. Dla Związku Sowieckiego, objaśnił sekretarz KC, pogodzić się z teorią „identycznej odpowiedzialności” znaczy powtórzyć „smutnej pamięci politykę ugody”. Należy zatem koniecznie zwalić całą odpowiedzialność na Stany Zjednoczone, jedynie amerykańskie bomby atomowe uznać za szkodliwe, zaś sowieckie bomby i rakiety traktować jako oręż pokoju. Na nowym etapie sekretarz KC KPZS niezachwianie liczy na „jeden z ważniejszych składników współczesnych sił miłujących pokój, jakim są socjaliści i socjaldemokraci”.

Kampania pacyfizmu jest niewątpliwym sukcesem Związku Sowieckiego. Nie jedynym wszakże. W listopadzie podpisano, po długich pertraktacjach dotyczących wyłącznie kwestii finansowo-handlowych, największą w dziejach stosunków sowiecko-zachodnich umowę o budowie gazociągu Uriengoj-Użgorod, który zostanie przedłużony na Europę Zachodnią i zwiąże ją jak pępowiną ze Związkiem Sowieckim. Umowa ta, której koszt dla samych firm zachodniemieckich ocenia się na 4,55 miliardów dolarów, podpisana została z RFN; umowę na cenę przyszłego gazu podpisano również z Francją. 30 listopada rozpoczęły się w Genewie sowiecko-amerykańskie rozmowy na temat rozbrojenia.

Powtórzyło się to, co z nieubłaganą monotonią powtarza się od czasów Jałty: po mniejszej lub większej przerwie, spowodowanej kolejnym agresywnym posunięciem ZSSR, wznawia się „politykę ugody”, jak słusznie zauważył B. Ponomarew. Tym razem — po Afganistanie — przerwa trwała dwa lata. Parowy walec „odprężenia” znowu ruszył naprzód.

Andriej Sacharow rzucił wyzwanie parowemu walcowi, najpotężniejszemu państwu świata: ogłosiwszy głodówkę, zażądał od państwa sowieckiego zgody na wyjazd 26-letniej Lizy Aleksiejewej, żony jego przyrodniego syna, żyjącego w Stanach Zjednoczonych. Jeśli świat nie zostanie całkowicie zsovietyzowany, przyszli historycy będą się dziwić, że taki powód skłonił laureata nagrody Nobla do pójścia na śmierć. W dniu, w którym to piszę, chory na serce Andriej Sacharow głoduje 15-ty dzień. 4 grudnia rządowa gazeta *Izwestia*, która zachłystywała się rozpaczą, kiedy głodowali irlandzcy żołnierze IRA, zarzuca akademikowi Sacharowowi, że „z rodzinnego problemu robi kosmiczny kryzys”. Do dzisiejszego dnia władze sowieckie odmawiają Lizie Aleksiejewej paszportu, a Andriej Sacharow nie ustępuje. „Sprawa Sacharowa” może służyć za model postępowania Moskwy, kiedy rzuca się jej niespodziewane wyzwanie. To Andriej Sacharow wybrał moment starcia — chwilę, kiedy Breżniew był w Bonn i zaczynały się rokowania ze Stanami Zjednoczonymi. Ustąpić Sacharowowi w tej chwili byłoby w oczach sowieckich przywódców oznaką słabości, której przed Amerykanami nie chcą okazać. Kierownictwo sowieckie ma nadzieję, że sprawa się przeciągnie — i Sacharow umrze. Wiedzą doskonale, że oburzenie opinii świata wygaśnie bardzo szybko, jak to już nieraz bywało. Jeśli organizm akademika Sacharowa okaże się silny, znajdzie

się proste wyjście: Lizę Aleksiejewą wysłać się z kraju dojrzałego socjalizmu do kapitalistycznego piekła¹.



O tym, jak podejmuje się tego typu decyzje na Kremlu, jak żyją obywatele sowieccy, czym i dlaczego, dowiedzieć się można z nowej powieści Wasyla Aksjonowa „Wyspa Krym”. Według słów autora powieść została skończona w Moskwie w listopadzie 1979 roku, równo rok przed pozbawieniem Aksjonowa obywatelstwa sowieckiego po jego wyjeździe do Stanów Zjednoczonych. Trudno się nie zgodzić z władzami sowieckimi: powieść w pełni zasługuje na pozbawienie obywatelstwa sowieckiego — akt, który należy uważać za najwyższą nagrodę literacką naszych czasów. Jak wiadomo, nagrodę Nobla przyznawano niekiedy niezasłużenie; pozbawienie obywatelstwa sowieckiego zawsze jest wskaźnikiem bezbłędny!

Wasylj Aksjonow wychodzi z nieco fantastycznego założenia: 20 stycznia 1920 roku, kiedy Armia Czerwona runęła przez wąski, zamknięty Zalew Czongarski na Krym, ostatni przyczółek białych, lekko podpity oficer angielski służący na angielskim liniowcu „Liverpool” wydał rozkaz strzelania w lód na zalewie. Krótko mówiąc zatrzymano natarcie czerwonych, biali okopali się na Krymie, bolszewicy machnęli ręką. W ten sposób zaczęły istnieć obok siebie dwie Rosje: biała na Krymie i czerwona na pozostałym obszarze imperium.

Założenie absolutnie realne: istnieją dwa państwa chińskie, dwa państwa koreańskie, dwa państwa niemieckie (Berlin Zachodni bardzo przypomina półwysep krymski z powieści Aksjonowa), istniały dwa państwa wietnamskie, mogłyby istnieć i dwie Rosje. Ich dalsza historia także jest absolutnie możliwa: w jednej (na półwyspie) panuje dobrobyt, demokracja, więź z całym światem, a w drugiej (macierzy) — zwykły socjalizm. Również dalszy przebieg wydarzeń jest realny i logiczny: nie mogąc znieść dobrobytu, demokracji i wolności, inteligencja krymska, co lepsi jej przedstawiciele, zżerani metafizycznym bólem, organizują Związek Wspólnego Losu (ZWL) i rozpoczynają walkę o przyłączenie Krymu do Związku Sowieckiego, o powrót Półwyspu Krymskiego i jego mieszkańców na łono ich historycznej ojczyzny.

Najzarliwsze stronicie powieści to opis sowieckiej nomenklatury: od „średniego szczebla” do „portretów”, jak się nazywa członków Politbiura. Przy lekturze „Wyspy Krym” mimo woli nasuwa się porównanie z „Przepastnymi wyżynami” Zinowiewa. Ustępując Zinowiewowi jeśli chodzi o głębię filozoficzną, Aksjonow przerasta go mistrzostwem literackim, umiejętnością pokazania psychiki swych bohaterów. Podobieństwo między tymi niepodobnymi, a niekiedy diametralnie różnymi pisarzami polega na ich doskonałej znajomości zamkniętego świata nomenklatury,

1. Liza Aleksiejewa pasztor otrzymała i jest już w USA. (Red.)

korytarzy i kuluarów władzy sowieckiej. Jest to w literaturze sowieckiej nowe zjawisko — jej wielcy przedstawiciele nie byli blisko władzy. Wielcy pisarze sowieccy — Zamiatin, Zoszczenko, Bułgakow, Płatonow, Mandelsztam, Pasternak, Achmatowa — byli ofiarami władzy i widzieli ją zawsze od dołu. Władza im była obca i oni władzy byli obcy. Potem stopniowo władza wybierała sobie szczególnie jej oddanych pisarzy i wyznaczała im miejsce na górze. Proces wchodzenia w nomenklaturę rozpoczął Gorki po swoim powrocie do ZSSR.

W latach 60-tych, w okresie „odwilży”, związki między inteligencją a władzą zadzierzgnęły się mocniej. Część inteligencji zrzuca z siebie skórę inteligencji i idzie do aparatu, ale nierzadko zachowuje więzy przyjaźni z kolegami szkolnymi, przyjaciółmi z dzieciństwa. Na przeważającą większość inteligencji związki z władzą podziały jak instrument niszczycielski. Dla jednostek, które potrafiły się uwolnić od narkotycznej rozkoszy współudziału w rządzie dusz, związek ten stanowi najcenniejsze źródło wiedzy. Wasylj Aksjonow, podobnie jak Aleksander Zinowiew, zna tych, o których pisze, i mówi o nich prawdę. W łaźni fińskiej, w której zbierają się przywódcy narodu aby się wypocić, wypić sobie i pogadać z młodziutkimi łaźniami, jeden z bohaterów książki, któremu bielmo zaczyna spadać z oczu, dochodzi do wniosku, że ma przed sobą gangsterów, dokładnie takich, jakich pokazują w amerykańskich filmach.

Straszny i dlatego prawdziwy finał powieści to dzieło mafii. Związek Wspólnego Losu dopiął swego: w prawdziwie wolnych wyborach syci jadła i wolności mieszkańcy Krymu głosują za przyłączeniem do macierzy i połączeniem się ze Związkiem Sowieckim. Moskwa długo czeka, przywódcy długo moczą się w łaźni, obmyślają co robić. Wreszcie podejmują decyzję: potężna armia sowiecka — samoloty, helikoptery, czołgi i okręty — rusza na Krym, który tylko marzy o połączeniu. Sowieccy wodzowie zdobywają go siłą, mordując w pierwszym rzędzie tych wszystkich, którzy długo i uparcie walczyli o powrót do ojczyzny.

„Wyspa Krym” to nie tylko doskonała powieść. To książka pouczająca.

Adam KRUCZEK

9 grudnia 1981

Kronika niemiecka

Prawo administracyjne i funkcjonowanie aparatu państwowego Polski i NRD tak brzmi tytuł pracy zbiorowej wydanej przez *Polską Akademię Nauk (Instytut Państwa i Prawa, Ossolineum, Wrocław 1981, str. 260)*. ■ We

Frankfurcie n/Menem *Dresdner Bank* ogłosił, że osiągnięto porozumienie w sprawie moratorium i zrefinansowania należnych 450 bankom zachodnim i japońskim, przypadających na ostatnie trzy kwartały 1981 rat długów Polski w ogólnej kwocie ok. 2,4 mld dolarów, ale pod warunkiem, że zostaną zapłacone odsetki (ok. 500 mln dolarów). ■ Na scenie *Teatru Niemieckiego* w Getyndze odbyła się niedawno premiera nowej polskiej przeróbki sztuki Dostojewskiego *Raskolnikow* w reżyserii Adama Hanuszkiewicza i Zygmunta Hübnera. ■ Mała bawarska miejscowość Neubiberg przeprowadziła w listopadzie zbiórkę na rzecz ludności polskiej pod hasłem *Neubiberg pomaga Polsce*; organizatorzy zbiórki wydali do mieszkańców miasteczka odezwę w której czytamy m.in.: „Cierpienia tych ludzi nie mogą być nam obojętne. Dlatego postanawiamy przyjść im z pomocą. Objęliśmy patronat nad przedmieściem Poznania, Antoninkiem, a przy wyborze tej właśnie miejscowości był nam pomocny ks. dr Mierzwiński z Warszawy, który już po raz piąty z rzędu pełnił w tym roku zastępczo w czasie urlopu w sierpniu funkcję naszego proboszcza. (...)”. Apel podpisali burmistrz Neubiberg Josef Schneider i proboszcz parafii ks. Siegfried Bleichner. ■ *Frank'sche Eisenwerke AG* (Dillenburg) budują we Wrocławiu zakłady produkcji plastrów medycznych o wartości 8 mln marek. ■ Na zaproszenie kilku organizacji katolickich przebywał w listopadzie w Republice Federalnej Władysław Bartoszewski, sekretarz polskiego *PEN-Clubu* i wykładowca na *KUL-u*. Wygłosił w Stuttgarcie i Kolonii odczyty na temat aktualnej sytuacji w Polsce; ponadto w Stuttgarcie wystąpił na konferencji prasowej, podczas której podkreślił olbrzymie znaczenie zachodnioniemieckiej pomocy żywnościowej dla Polski („prasa oficjalna o tej pomocy nie pisze”). Bartoszewski udzielił również wywiadów polskiej sekcji rozgłośni *Deutschlandfunk* i dziennikom *Kölnener Stadt-Anzeiger* i *Süddeutsche Zeitung*. ■ W mieście Soest (Westfalia) odbył się *III Międzynarodowy Plener Rzeźbiarski* z udziałem trzech rzeźbiarzy z RFN i Janiny Jeleńskiej-Papp z Krakowa. Prace Jeleńskiej-Papp zostały wyróżnione w 1980 roku podczas wystawy krakowskiej plastyki w Darmstadt. ■ Zachodnioniemiecka firma *Boehringer Ingelheim* przekazała na ręce ministra zdrowia PRL Tadeusza Szlachowskiego 50 tys. marek jako dar przeznaczony na zakup leków. Jedna z największych firm farmaceutycznych na świecie pozostaje w stosunkach handlowych z Polską od lat przedwojennych; patronuje także *Dniom Polskim* urządzanym w Ingelheim. ■ *Ministerstwo Sprawiedliwości* PRL wydało *Zbiór przepisów prawnych ogłoszonych w Federalnym Dzienniku Ustaw Republiki Federalnej Niemiec dotyczących Polski i innych krajów socjalistycznych (Informacja wewnętrzna nr 75)*. Zebrał i opracował Roman Jasica, Warszawa 1981, str. 574, nakład 400 egzemplarzy. ■ Józef Kuśmierk, publicysta *Solidarności*, w otwartym liście skierowanym do Leonida Zamiatina m.in.: „Nasza granica zachodnia jest wynikiem drugiej wojny światowej, której celem było ograniczenie potęgi Niemiec, jako źródła niepokoju w Europie. Dziś Niemcy Zachodnie nie mogą sięgnąć ani po Szczecin, ani po Wrocław, ani po Gdańsk, nie tylko dlatego, że rozdziela nas NRD. Nie dopuści do tego kwatery główna Paktu Atlantyckiego w Brukseli, która nie przewiduje w swoich planach ustawienia amerykańskich katiusz *vis-à-vis* Brześcia nad Bugiem. Na przyłączenie Pomorza czy Śląska do NRD nie pozwolą wam, Rosjanom, wasze własne układy. (...) Nie liczcie, Towarzyszu Zamiatin, że po polskiej stronie Bugu znajdują się wyłącznie politycy zawdzięczający swoją świadomość polityczną krymskim korepetycjom”. (*AS* nr 46, 19-25. 10. 1981). ■ Ambasada RFN w Warszawie spodziewa się, że do końca 1981 roku wyda 460 tys. wiz dla polskich podróżnych (1980 r. — 283.781); do 30. 9. 1981 udzielono wiz: na podróży turystyczne — 141.859, na odwiedzinach krewnych — 78.258, na wyjazdy prywatne 47.285, na przejazdy tranzytem — 59.842. ■ Papież Jan

Paweł II mianował kardynała Josepha Ratzingera z Monachium szefem tytkańskiej *Kongregacji d/s Doktryny Wiary*. ■ Uczniowie szkół w Lesznie otrzymali paczki żywnościowe ze Stuttgartu o wartości 220 tys. marek. Akcja została zorganizowana przez dziennik *Stuttgarter Zeitung* i *Niemiecki Czerwony Krzyż* (Badenia-Wirtembergia). ■ Delegacja prorezymskiego *Związku Polaków „Zgoda”* z gromady w Bremie przekazała poznańskiej *Klinice nr 2* sprzęt medyczny oraz leki wartości 120 tys. marek. ■ Niemiecki oddział *Caritasu* wysłał już do Polski 1.900 ton żywności o wartości ok. 8 mln marek. ■ Autor o nazwisku Jo Muttergę wydał w *Coöperative Ouvrière de Presse et d'Éditions* książkę w języku niemieckim pt. *Wohin steuert Polen? (Dokąd zmierza Polska?)*. Wydrukowana w Luxemburgu publikacja jest wyraźną kompilacją materiałów zamieszczonych w ostatnich miesiącach na łamach *Żołnierza Wolności, Rzeczywistości, Trybuny Ludu, Prawdy, Izwiestii i Rudeho Prava*. W sumie paszkwił na ruch odnowy w Polsce, opracowany przez aparat propagandy któregoś z krajów bloku wschodniego. ■ Erwin Kruk pisze na łamach *Tygodnika Solidarność*, że w pierwszych latach po drugiej wojnie światowej mieszkało w Polsce 80 tys. Mazurów; „Do Mazurów nie docierały kartki na żywność, pomijano ich przy rozdziale darów UNRRA. (...) W ciągu 11 lat Polski Ludowej jedynie 12 Mazurów miało wyższe wykształcenie (z tego czterech zdobyło je przed wojną), a zaledwie 50-60 uzyskało wykształcenie na poziomie szkoły średniej. (...) Kwestią do dziś nie wyjaśnioną pozostaje sprawa antagonizowania społeczeństwa i firmowania wyjazdów do RFN. Listy sporządzały różne wtajemniczone osoby, a podpisywali je także niektórzy przedstawiciele ludności rodzimej. Zezwolenia na wyjazd otrzymywali zazwyczaj ci, którzy mieli zasobne gospodarstwa lub mieszkania nadające się na dache. (...) Choć rzadko, to jednak oznacza się miejscowych słowem „szwab” lub narysowaną swastyką na domowych drzwiach. (...) Dyskutowano, jak ułatwić wyjazd miejscowemu rolnikowi, gdyż jego budynek pasuje na potrzebny obiekt użyteczności publicznej. (...) Obecnie w podzielonym na kilka województw regionie zostało niespełna 6 tysięcy Mazurów. (...) Propagandowe wyjaśnienia zatem, iż trwanie polskiej ludności rodzimej, szczególnie na rzecz RFN — nie tylko zresztą z Mazur, ale i z innych regionów ziem odzyskanych — podcykowane zostało jedynie względami ekonomicznymi, jest jawnym nadużyciem argumentacji. (...) W latach sześćdziesiątych dodatkowym impulsem do wyniszczenia Mazurów stała się umowa między rządami RFN a PRL o tzw. akcji łączenia rodzin, którą z iście humanitarnym podejściem łączono z rozliczeniami finansowymi. Czyż ci, którzy składali podpisy pod umową, nie uznali *de facto*, że społeczności lokalne na ziemiach odzyskanych to osoby pochodzenia niemieckiego?”. ■ W biuletynie *Wiadomości Dnia (NSZZ „Solidarność” Regionu Mazowsze)* znajdujemy notatkę zatytułowaną *Konsul obnażony*. Treść następująca: *Hotel „Orbis-Forum”, NSZZ „Solidarność”, Komisja Zakładowa*, Warszawa (pieczęć okrągła), 15. 10. 1981. W nocy z 13 na 14 października br. pijany v-ce konsul NRD przebywając nago w hallu recepcyjnym Hotelu „Orbis-Forum” pobił jedną z pracownic recepcji. Pracownica w wyniku pobicia trafiła do szpitala. Podejrzewa się pęknięcie śledziony. (—) Z-ca Przewodniczącego *Komisji Zakładowej* — Janina Kapisz. ■ Prezydent RFN, Carl Carstens, pozbawił prawa noszenia *Krzyża Zasługi* 77-letnią Josefingę Jürgens za jej wypowiedzi noszące antysemicki charakter. ■ Według obliczeń *Auswärtiges Amt* w Bonn, w październiku 1981 roku ok. 80 tys. obywateli PRL podejmowało nielegalnie pracę na terenie RFN. ■ *Dom na granicy* Sławomira Mroźka i *Stołecznik* Kima Mieszkowa — to dwie sztuki, z którymi krakowska *Groteska* występowała w Norymberdze. ■ Centrale handlu zagarnicznego *Polmot* oraz *Transportmaschinen* zawarły w Berlinie Wschodnim kontrakt na dostawę do Polski jeszcze w 1981 roku 3.622 samochodów osobowych produkcji NRD; Polska

sprowadzi również z Niemiec Wschodnich kosmetyki o wartości ok. 4 mln rubli. ■ Z danych opublikowanych ostatnio przez federalne ministerstwo gospodarki w Bonn wynika, że w ostatnim okresie gwałtownie spada pozycja Polski jako partnera handlowego RFN. W 1980 roku pod względem wysokości obrotów handlowych Polska znajdowała się w pierwszej trójce partnerów RFN spośród KDL-ów — wraz z Sowietami i NRD. Obecne analizy przewidują, że PRL spadła na piąte miejsce po Chinach i Węgrzech. ■ *Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia* w Krakowie koncertowała w Norymbardze, Wiesbaden, Fürth, Osnabrück i Witten. Program koncertów (dyrygent — Antoni Witt, pianista — Piotr Paleczny) był zmienny — repertuar obejmował trzy dzieła polskie: *Anaklasis* Pendereckiego, oba *Koncerty* fortepianowe Chopina oraz dwa dzieła obce: *I Symfonia* Brahmsa i *V Szostakowicza*. ■ *Towarzystwo im. Janusza Korczaka* w Giessen zebralo i przekazało dwóm sierocińcom w Polsce produkty żywnościowe o łącznej wartości 16 tys. marek. ■ Polscy restauratorzy będą pracowali bezinteresownie nad odnowieniem zabytkowej baszty zamkowej w Düsseldorfie, usytuowanej tuż nad brzegiem Renu. ■ RFN wyeksportowała do Związku Sowietckiego w 1981 roku produkty rolnicze o łącznej wartości 1 mld marek. W porównaniu z 1980 r. eksport do tego kraju zwiększył się o 50 %. ■ Miesięcznik *Osteuropa* (nr 11/1981) zamieścił pierwszą część obszernej dokumentacji dotyczącej zmian społeczno-politycznych w Polsce na przełomie lat 1980/81. Wybór, tłumaczenie i wstęp — Georg W. Strobel. ■ Latem 1981 roku wschodnioniemieccy studenci zostali zmuszeni przez swoje władze do przerwania studiów na *Uniwersytecie Wrocławskim* i powrotu do NRD. W związku z tym pracownicy, doktoranci i studenci *Instytutu Fizyki Teoretycznej Uniwersytetu Wrocławskiego* wystosowali list otwarty (podpisały 53 osoby) do *Instytutu Fizyki* w Lipsku, w którym czytamy m.in.: „Odwołanie naszych młodszych kolegów z NRD odczuliśmy jak policzek. Takie kroki budzą złe wspomnienia i nie sprzyjają pokonywaniu nieufności, która niesie z sobą wciąż jeszcze istnieje. Uważamy, że wszyscy Niemcy i wszyscy Polacy muszą uczynić wszystko by przekonać się nawzajem, że niedawna jeszcze przeszłość nigdy się już nie powtórzy”. ■ Skandal bez precedensu: dopiero 14 września 1981 roku Sejm wydał zarządzenie, mocą którego reaktywowano pracę urzędu pełnomocnika ministra zdrowia i opieki społecznej. Zadaniem pełnomocnika będzie rozpatrzenie wniosków ofiar pseudomedycznych eksperymentów w hitlerowskich obozach. Przed prawie 10 laty, w 1972 roku, w wyniku pertraktacji została podpisana porozumienie między *Ministerstwem Zdrowia i Opieki Społecznej PRL* a *Federalnym Ministerstwem Gospodarki i Finansów RFN*, w wyniku którego strona polska otrzymała 100 mln marek zachodnioniemieckich tytułem pomocy finansowej dla obywateli polskich, którzy jako więźniowie obozów koncentracyjnych ponieśli szkody na zdrowiu z powodu dokonywanych na nich eksperymentów pseudomedycznych. Ponadto PRL otrzymała 3 mln marek na pokrycie kosztów związanych z podziałem tej kwoty. Według informacji prasy reżymowej posłowie „postulowali m.in. dokładne ustalenie sumy, która dotychczas nie została rozdysponowana (ok. 40 mln marek) i przeznaczenie tej kwoty dla tych ofiar”. Okazuje się, że w samym PCK jest ok. 5 tys. wniosków osób, które ubiegały się o odszkodowanie w latach ubiegłych; 3 tys. wniosków złożonych w innych instytucjach. Biuro pełnomocnika otrzymało też ok. 500 nowych wniosków. Dlaczego przez 10 lat wstrzymywano wypłaty otrzymanych z RFN pieniędzy? Ile ofiar pseudomedycznych eksperymentów zmarło w tym okresie nie doczekawszy się odszkodowań? Co się stało z olbrzymią kwotą 1,3 mld marek otrzymaną z Republiki Federalnej, przeznaczoną na odszkodowania i renty dla osób wywiezionych na przymusowe roboty? ■ *Niemiecki Czerwony Krzyż* wysłał do Polski w 1981 roku 28 tys. ton różnych produktów (żywność, odżywki dla dzieci,

lekarstwa, proszki do prania). ■ *Personel Opery Kolońskiej* zebrał 16 tys. marek, które zostały przekazane na konto *Niemieckiego Czerwonego Krzyża* z przeznaczeniem na zakup żywności dla polskich sierocińców. ■ *Hilfe und Solidarität (Pomoc i Solidarność)*, prywatna organizacja z siedzibą we Frankfurcie n/Menem wysłała łódzkiej „Solidarności” różne produkty do podziątku o wartości 100 tys. marek. Również *Izba Lekarska* w Kolonii zakupiła i dostarczyła do PRL lekarstwa na sumę 100 tys. marek. ■ *Hilfe für Kinder in Polen (Pomoc dzieciom w Polsce)* to nazwa akcji prowadzonej we Frankfurcie n/Menem przez dr Krystynę Graef-Cieślak i tamtejsze *Gesellschaft für Menschenrechte (Towarzystwo Obrony Praw Człowieka)*. Transportami żywności, środków higienicznych i lekarstw (dotychczasowa wartość — 360 tys. marek) zajmuje się *Maltańska Służba Pomocy*. Apel dr Graef-Cieślak został szeroko poparty przez prasę frankfurcką. ■ Poczta niemiecka podała, że w październiku 1981 roku prywatni nadawcy z terenu RFN wysłali do Polski ponad 280 tys. paczek; nadanie 10 kg paczki kosztuje w RFN 15,50 DM; 40 % tej opłaty otrzymuje poczta polska. ■ Niemiecka centrala związków zawodowych *DGB* przekazuje na rzecz „Solidarności” 100 tys. marek. *Krajowa Komisja* ustali sposób wykorzystania tych pieniędzy. *DGB* pomoże w organizacji systemu telewizji kasetowej. Studio radiowe (w poprzedniej *Kronice niemieckiej* popętniem nieścisłość; pisałem o sfinansowaniu przez *DGB* radiostacji, chodzi tymczasem o studio automatycznie powielające kasyety dla radiowców związkowych) czeka już na odprawę celną. W porozumieniu z *NOW-ą* wydawnictwo *DGB* pomoże „Solidarności” wydać cenne pozycje klasyki i literatury dziecięcej. Związkowcy niemieccy deklarują chęć dalszej pomocy, żądają tylko — i szluznie — gwarancji, że pomoc ta nie będzie zmarnowana czy pochłonięta przez rozbudowaną machinę biurokracji. Postanowiono ponadto zorganizować wspólne sympozjum naukowe nt. *Jak uzdrowić polską gospodarkę?* i konferencję dot. samorządu pracowniczego. Minister spraw zagranicznych PRL, Józef Czyrek określił pomoc *DGB* udzielaną „Solidarności”, jako akt „mieszania się w wewnętrzne sprawy Polski”. ■ Dzięki pomocy *Izby Rolnej i Uniwersytetu im. Christiana Albrechta* w Kilonii od 1971 roku ponad 300 Polaków studiowało na tamtejszej uczelni lub odbywało praktyki z zakresu rolnictwa w Szlezewiku-Holsztynie. ■ W wydawnictwie *Klett-Cotta* w Stuttgarcie ukazała się zbiorowa praca pt. *Ostmitteleuropa (Środkowo-wschodnia Europa)*, poświęcona 65-leciu urodzin prof. Gottholda Rhode, znanego historyka niemieckiego, autora m.in. *Kleine Geschichte Polens*, organizatora polsko-niemieckich sympozjów w Lindenfels. Praca zawiera liczne polonica: Gerard Labuda — *Wyprawa ruskiego księcia Włodzimierza przeciwko Lachom w 981 r.*; Gerda Leber-Hagenau — *Rafael Chyliński: święty z Łodzi*; Annemarie Slupski — *Polak w niemieckich przystwiciach*; Hermann Weber — *Koło przyjaciół Kościuszki w Solurze*; Richard Breyer — *Józef Longin Sowiński. Polski generał z pruskim Pour le mérite*; Gerhard Funke — *Recepcja filozofii Hegla w pracach Augusta hr. Cieszkowskiego*; Helmut Neubach — *Polscy duchowni w niemieckim Reichstagu 1871-1918*; Christoph Klessmann — *Wojna polsko-sockowiecka w 1920 r. jako problem europejski*; George W. Strobel — *Bolesław Strzelewicz. Polski agitator w niemieckim ruchu robotniczym*; Bernard Michel — *Polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych i służba dyplomatyczna w latach 1918-1939*; Alexander Uschakov — *Odrodzenie Polski jako model dla Niemiec*; Władysław Markiewicz — *O co chodzi robotnikom?* (praca W. Markiewicza ukazała się wcześniej w warszawskiej *Kulturze, Polnische Perspektiven, Osteuropa* i w innych pismach — przyp. A.J.Ch.). W wartościowym dziele uderza brak opracowań polskich historyków emigracyjnych; zaledwie kilka figuruje na *tabula gratulatoria*.

Kronika litewska

Według relacji korespondentów zagranicznych odwiedzających Wilno, panuje tam wielkie zainteresowanie rozwojem wypadków w Polsce. Stosunek do Polaków jest raczej przychylny, z odrobiną zazdrości. Kontakty z Polską są od roku bardzo utrudnione. Dotyczy to zwłaszcza turystyki i poczty. Rekruci z rodzin utrzymujących stosunki z Polską są odnotowywani jako mniej godni zaufania. W urzędowej *Tiesa* ukazał się artykuł o tym, jak to związki zawodowe na Litwie lepiej troszczą się o swych członków niż niezależne związki w Polsce.

Obszerny artykuł Litwina o sytuacji w Wilnie podaje, że w ponad półmilionowym mieście jest już 44 % Litwinów i 17 % Polaków, w znacznej części przybyłych tu z Białorusi. Wielu z nich mówi między sobą po rosyjsku, toteż na ulicach miasta słyszy się bardzo mało języka polskiego. (Przypomnijmy, że już przed wojną T. Katelbach donosił z Kowna, iż najlicniejsza jest tam grupa tzw. „cichych Polaków”).

Litwini w Wilnie stanowią liczną warstwę biurokracji i mało jest wśród nich robotników. W tej warstwie najlicniejsi są Polacy i Białorusini. Rosjanie są reprezentowani we wszystkich warstwach, z najwyższą włącznie. Poziom życia „nomenklatury” jest znacznie wyższy niż ogółu. Korespondent podaje, że prawie wszyscy Litwini są praktykującymi katolikami. Na lakoniczną wiadomość o zamachu na papieża po krótkich modłach wszyscy rzucili się do radioodbiorników, szukając bliższych informacji z zagranicznych rozgłośni. Następnego dnia odprawiono uroczyste nabożeństwa we wszystkich kościołach na Litwie z licznym udziałem wiernych.

Korespondent przypomina, że po deportacjach polskich księży w czasie wojny i repatriacji wielu, z arcybiskupem Jabłrzykowskim na czele, obecnie w Wilnie zamieszkuje dwóch starych polskich księży. Opisywany przez Miłosza w „Rodzinnej Europie” ks. Chomiński (raczej Chomiński?), b. kapelan w gimnazjum im. Zygmunta Augusta, liczy sobie już 93 lata. Przy kościele św. Rocha jest ks. Bekisz w wieku lat 90. W parafii św. Rafała jest kilku polskich księży, którzy ukończyli powojenne seminarium w Kownie. Obecnie w tym seminarium na stu kleryków jest większy odsetek Polaków, niż by to wypadało z procentu polskiej ludności, wynoszącej na Litwie 7,3 %. Polacy się skarżyli na nieprzychylny stosunek do nich hierarchii litewskiej. Ale przeciw wyznaczanie księży do poszczególnych parafii zależne jest od świeckich władz komunistycznych, kończy korespondent.

Stan zaopatrzenia na Litwie bardzo się ostatnio pogorszył, ale widocznie na tamtejsze stosunki nie jest najgorszy, skoro z Rygi jeżdżą ludzie po zakupy żywności do Szawel na Żmudzi.

W czasie manewrów zwiększone garnizony były rozmieszczane w sposób nie rzucający się w oczy, czasem nawet biwakowały w lasach.

Ruch dysydencki najżywszy jest w Wilnie oraz na Żmudzi. Cytowane były zajścia w Telszach (uczniowie), Cytowianach i Szydłowie, litewskiej Częstochowie, gdzie doroczne uroczystości 8 września bywają powodem represji. Były też wiadomości o wojowniczych Pacunelkach na Łaudzie. Wśród liczej prasy podziemnej czołowe miejsce zajmuje *Kronika Kościoła katolickiego na Litwie*, której ukazało się już około 50 numerów. Świecy tzw. wolnościowcy wypowiadają się na łamach *Aušry*, *Alma Mater* i in. *Kronika* nie zajmuje się polityką, a rejestruje fakty prześladowania Kościoła. *Aušra* ma kierunek patriotyczny, antyrosyjski, antysowiecki, ale nie antyklerykalny.

Można by rzec zbliżony do „lewicy laickiej” według recepty Michnika. Ruchy oporu mają różny charakter w zależności od kraju.

W Estonii np. chodzi z jednej strony o opór cywilizacyjny (kraj ten od dawna nie miał analfabetów, za to dużo inteligentów z uniwersytetu w Dorpacie), a z drugiej strony o ochronę środowiska, bowiem są tam dwie wielkie elektrownie i ma zostać zbudowana trzecia, ogromna, w oparciu o pokłady łupków bitumicznych, zawierających 45 % szlaku, co powoduje zanieczyszczenie ziemi i powietrza.

Na Litwie odbywają się liczne procesy dysydenatów. W celu ich obrony prasa emigracyjna je rozgłasza, podając nazwiska, wyroki i przykłady niepraworządności. Jednak odnosi to mały skutek, wyroki kilku lat katorgi i zsyłki wciąż zapadają; może bez rozgłosu byłyby one jeszcze sroższe. Ostatnio 29 kongresmanów wysłało do Breżniewa list w sprawie wileńskiego geologa Skuodisa. Urodził się on w Ameryce (jako B. Scott), co upoważnia do uznawania go za obywatela amerykańskiego. Prof. Skuodis jest autorem książki „Duchowe ludobójstwo”. Urywki z jego mowy obrończej: aby naród zniszczyć, trzeba zacząć od pozbawienia go historii i pamiątek. Rosjanie powiadają, że „Wilno byłoby wspaniałym miastem, gdyby w nim było mniej Litwinów”. Unika się już nazwy Litwa, zastępując ją określeniami: Bursztynowy Kraj, kraje bałtyckie i in.

Były członek litewskiego komitetu „Helsinki” Eitanas Finkelsteinas, przedstawiciel ludności żydowskiej w tym Komitecie, od wielu lat oczekuje na prawo wyjazdu do Izraela. Sprawa jego była poruszana przez amerykańskiego senatora. Komitet „Helsinki” istnieje, ale wciąż zmienia się jego skład, wobec ciągłych aresztów jego członków. V. Petkus został wspólnie z innymi sowieckimi dysydentami wysunięty do Pokojowej Nagrody Nobla. Młoda katolicka działaczka Saduaitė, której dzieje były często opisywane na Zachodzie, powróciła już po katordze i zsyłce na Litwę. Nadal płyną do niej listy tysięcy jej sympatyków, ale zarządzeniem władz ani jej ani jej bratu nie jest dostarczana poczta z zagranicy. Podana przez rozgłoszenie zagraniczne i *Kulturę* wiadomość o napadach i morderstwach kilku księży na Litwie w Telszach, Malatach, Łuknikach, Kołotowie i in. odniosła ten skutek, że te przemilczane wypadki zostały jednak omówione w prasie krajowej, w formie usprawiedliwiającej bezczynność władz. Litewska emigracyjna agencja ELTA podaje czterostronicową listę dokumentów wydanych przez komitet „Helsinki”, zawierającą prócz deklaracji również kilkadziesiąt nazwisk prześladowanych. O rozmiarach terroru świadczy książka Avrahama Shifrina: na Litwie jest 11 obozów koncentracyjnych i 7 więzień, z czego w Wilnie 4 więzienia i trzy obozy. Ponad dwa tysiące więźniarek pracuje w szwalni w Poniewiezu. Jest to obóz dla kobiet i dzieci. Na przedmieściu Kowna w Prowieniszkach pracuje 3 tys. więźniów w fabryce mebli, a półtora tysiąca w Szawlach w fabryce materiałów budowlanych. W Janowie przy budowie wielkiej fabryki chemicznej jest zatrudnionych 5 tysięcy łagierników. W Wilnie zakład karny mieści się przy zarządzie KGB, inne na Rossie, Łukiszkach, koło Ostrej Bramy. Są specjalne zakłady dla młodych przestępców, szpital psychiatryczny, gdzie są umieszczani również dysydenci. Jest też więzienie przejściowe i laboratorium naukowe obsługiwane przez 1.300 więźniów. Zatrudnieni tam pracują do zupełnego wyczerpania. Laboratorium wyposażone jest w najnowocześniejszy sprzęt amerykański, niemiecki i japoński.

Wszystkim tym zarządza litewski wiceminister spraw wewnętrznych, rosyjski pułkownik Poruchanow. KGB, mniej liczne na prowincji, jest głównie skoncentrowane w Wilnie; personel jego liczy ok. tysiąc osób. Wszystkie wyższe stanowiska, często mniej eksponowane, zajmują Rosjanie, którzy w ogóle obsadzają swym personelem przemysł zbrojeniowy, komunikację, zwłaszcza kolejową, porty i rybołówstwo morskie. Kłajpeda ma

już 40 % Rosjan i jak tak dalej pójdzie, będzie mogła zostać włączona do okręgu kaliningradzkiego, z którym jest historycznie związana, jako część byłych Prus Wschodnich.

W Wilnie zbudowano ostatnio wieżę nadawczą stacji telewizyjnych i radiowych. Wysokość łącznie z anteną wynosi 326 metrów. Nadawane są dwa programy telewizyjne krajowe i dwa moskiewskie. Zasięg telewizji 100 km. Poza tym wykańczana jest trzecia stacja radiowa zagłuszająca. Te stacje pochłaniają dużo prądu, którego brak w kraju, gdyż atomowa elektrownia w Ignalinie nieprędko ruszy. W rafinerii ropy w Możejkach już zaczął się rozruch jakiejś sekcji. Zespoły polskie, które przeprowadzały rurociąg z Uralu na odcinku białorusko-łotewsko-litewskim, miały mało kontaktów z ludnością, bo rozpowszechniono wieści, że są to zesłani kryminaliści, wobec których należy mieć się na baczności. A było to jeszcze przed polską zaraziłą „odnową”. Obecnie granica jest prawie zamknięta.

EMIGRACJA

Pomiędzy różnymi ośrodkami emigracji politycznej nie braknie zazwyczaj konfliktów, jednak „Naczelny Komitet Wyzwolenia Litwy” (VLIK) nadal jest uznawany, i to również przez przedzierających się na Zachód dysydentów. Litwini amerykańscy w większości popierają republikanów, toteż paru z nich uzyskało stanowiska w nowej administracji. Izba Reprezentantów i Senat parokrotnie wypowiedziały się z sympatią o Litwie. W rocznicę zagarnięcia Litwy przemawiał w izbie Derwiński. Mec. Mazewski wszczął akcję w sprawie Skuodisa, który jest wnukiem zesłanego na Syberię powstańca 1863 roku, gdy to walczone „za naszą i waszą wolność”. Rada Bałtów prowadzi akcję propagandową i polityczną i podobno uzyskała, że w atlasach amerykańskich kraje bałtyckie będą figurowały jako odrębne państwa, a nie jako część Związku Sowieckiego. Aktywni są również Bałtowie w Kanadzie i Australii, gdzie w czasie konferencji państw wspólnoty, niegdyś brytyjskiej, w Melbourne, jej uczestnicy otrzymali memoriał o potrzebie przeprowadzenia dalszego etapu dekolonizacji — ostatniego imperium kolonialnego, Związku Sowieckiego. Memoriał był dobrze dostosowany do mentalności większości 41 delegacji i dziennikarzy, łącznie około paru tysięcy przybyłych gości.

W czerwcu odbyły się wielkie demonstracje prolitewskie w Bonn. Żona dysydenta Gajauskasa apelowała do prezydenta Mitteranda o interwencję w sprawie uwolnienia jej męża. W Watykanie przybyły z Wilna na zjazd biskupów arcybiskup Povilonis został przyjęty przez papieża na dłuższej prywatnej audiencji w Castel Gandolfo. Spodziewano się oficjalnej nominacji na kardynałów arcybiskupa Steponavičiusa i Marcinkusa, który został ostatnio arcybiskupem i zajął w kurii wysokie stanowisko szefa pontyfikalnej komisji państwa watykańskiego, i właściwie jego administratora. Wyrósł on w Chicago i mówi płynnie po polsku. Siły mu nie braknie; w czasie podróży na Filipiny uderzeniem pięści obalił zamachowca i ocalił życie Pawła VI. Forsowana jest sprawa beatyfikacji b. arcybiskupa wileńskiego Matulaitisa-Matulewicza.

Periodyczna konferencja Instytutu Bałtytyki w Sztokholmie tym razem nie była bojkotowana przez Sowiety, gdyż przybyło na nią również kilku prelegentów z Litwy i Rosji. Odgrywająca wybitną rolę w studiach bałtyckich profesor archeologii na uniwersytecie w Kalifornii p. Gimbutiene objęła cykl wykładów na uniwersytecie wileńskim i przeprowadza badania na Syberii, co jest krytykowane w kołach emigracyjnych.

Na festiwalu w Cannes został wyróżniony film produkcji litewsko-sowieckiej pt. „Fakt”. Ilustruje on terror niemiecki na Litwie. Litewska

opera w Chicago dała trzy przedstawienia włoskiej opery z ub. wieku pt. „I Lituani” z libretto zaczerpniętym z „Konrada Wallenroda”. Dalsze przedstawienie odbyło się w Kanadzie. Występuje w niej m.in. polsko-amerykański śpiewak Stefan Wicik, ale podobno jego litewska wymowa nieco szwankuje.

Na polach grunwaldzkich istnieje muzeum, posiadające też litewski dział etnograficzny. Odbyła się tam uroczystość z udziałem wycieczek i delegacji stowarzyszeń litewskich z Warszawy, Sejna, Wrocławia i Gdańska. Polski periodyk *Poezja* poświęca numer z kwietnia 1980 literaturze litewskiej. Wśród wymienionych poetów pominięci są tak wybitni, jak Brazdžionis i Radauskas, przebywający na emigracji. Zwraca natomiast uwagę duża liczba tłumaczy: niemal każdy wiersz jest tłumaczony przez kogo innego. W Polsce literatura litewska nie jest popularna, jako zbyt proreżymowa. Na Litwie istnieje natomiast zainteresowanie literaturą polską, ale nie jest popierane. Najżywsza wymiana kulturalna jest z Węgrami.

W Ameryce ukazał się 12-ty numer kwartalnika *Patriotas*, wydawanego w trzech językach: litewskim, polskim i angielskim. Wydawcą jest ks. Saudargas. Głosi on potrzebę polsko-litewskiego zbliżenia i rozpoczęcia dialogu. Litwini piszą, że nieznany im. ks. Saudargas nikogo nie reprezentuje. W prasie litewskiej ukazują się przychylnie artykuły o Miłoszu i Papieżu, ale sympatii do narodu polskiego nie można się w niej doszukać. Artykuły i wiadomości dotyczące Litwy z *Kultury* są często cytowane. Informacje i oceny sytuacji w Polsce zaczerpnięte są z prasy zagranicznej, przeważnie bez własnych komentarzy. Odnotować można zgodne polsko-litewskie wystąpienia w sprawie filmu „The Unknown War”, kłamliwie przedstawiającego okres „wyzwalania”.

Jak podaje ostatnio otrzymany nr 49 *Kroniki Kościoła katolickiego na Litwie*, do sekretarza litewskiej partii komunistycznej, rady ministrów i biskupów litewskich wysłano oświadczenie z podpisami około 10 tysięcy wiernych w sprawie seminarium duchownego w Kownie. Sygnatariusze domagają się: 1) aby władze państwowe nie odrzucały kandydatów do seminarium, 2) aby biskupi mogli wyznaczać profesorów i kierowników seminarium, 3) aby zabroniono organom władz szantażowania kleryków i zmuszania ich do postępowania niezgodnego z ich sumieniem. Seminarium jest faktycznie pod zarządem pełnomocnika dla spraw religii Anilionisa. W ub. roku na jego rozkaz został usunięty z uczelni kleryk czwartego roku Aloizy Volski (nazwisko podane w polskim brzmieniu) i uprzednio siedmiu innych. Wśród nich jest Giedraitis, co jest litewskim odpowiednikiem Giedroycia.

Na Zachód dotarł samizdatowy dokument estoński, przypominający wywózkę sowiecką z krajów bałtyckich w czerwcu 1941. Dokument nosi datę maj-czerwiec 1981. Liczbę estońskich ofiar wywózki oblicza się na 60.000. W roku 1944 uciekło z Estonii 70.000 osób. Masowe deportacje miały miejsce w roku 1949.

Z okazji 40-ej rocznicy pierwszej deportacji z krajów bałtyckich ukazał się w Sztokholmie apel podpisany przez przedstawicieli krajów wschodnioeuropejskich. Wśród sygnatariuszy H. Malinowski, prezes Polskiej Rady Uchodźczej w Szwecji.

Inżynier Sergiej Sołdatow, jeden z przywódców estońskiego ruchu demokratycznego, został zwolniony z łagru mordwijskiego po odsiedzeniu sześciu

letniego wyroku. Pozwolono mu wyjechać na Zachód, osiedlił się w RFN. Architekt Viktor Niitsoo został skazany w Tallinie na dwa lata więzienia i dwa lata zesłania za działalność opozycyjną.

◆
Ksiądz Bronius Laurinavicius, członek litewskiej Grupy Helsińskiej, zginął w Wilnie najechany przez ciężarówkę podczas przechodzenia ulicy. Litewski Ośrodek Informacyjny w Ameryce podaje: „został zabity”. Ksiądz Laurinavicius był wielokrotnie atakowany za swoją działalność.

E. ŻAGIELL

Widziane inaczej

Zniewolony umysł

Canberra, 3 grudnia 1981.

W południowoaustralijskim mieście Adelaide spotykam na ulicy (!) znajomego z Krakowa, który to znajomy trzyma w ręku numer *Życia Warszawy* z 15 listopada. W palącym jak piec południowym słońcu siadam na ulicznej ławce i zaczynam czytać wywiad Janusza Stefanowicza z wicepremierem Mieczysławem Rakowskim. Obaj panowie „wywiadowcy” to niemal jeden umysł, zaprawiony w niby filuternej szermierce słownej, a przy tym obaj pilnują się gorliwie, aby co chwila, niezależnie od ekwilibrystyki semantycznej, pokazać swą stałą troskę o losy narodu, podkreślić, że flirtują ze sobą „w chwili osobiwej”, kiedy to nie pora na żarty. Tak, jeden to umysł ci dwaj panowie ze specyficznego warszawskiego *high-life'u*, lecz jakże to zniewolony ten umysł! I jakże dziwaczna wydaje się owa słowna żonglerka, obserwowana z perspektywy jednego z najtrzęsiej-szych krajów świata!

Zniewolony umysł obraca się pomiędzy kilku aksjomatami, a raczej pozornymi aksjomatami, bo nie wiadomo dobrze, czy formułowanie ich ma cele „pedagogiczne” wobec społeczeństwa, czy cele taktyczne wobec Sąsiada ze Wschodu (duże litery, bo i kraj to jest duży), czy też obaj Panowie siebie nawzajem umacniają w konieczności stawiania problemów na głowie, ewentualnie na łebku od szpilki. A oto owe niby aksjomaty: a) wszyscy w Polsce poza „ekstremistami rozmaitej maści” są za socjalizmem i utrzymaniem go w Polsce (owa maść, pseudoobrazowy potworek językowy, ulubiony niegdyś przez Gomułkę, stała się dzisiaj znowu popularną figurą retoryczną wszelkich propagandystów-akrobatów); b) wszyscy w Polsce są za utrzymaniem „kierowniczej roli partii”, wszyscy bowiem wiedzą, że bez tego skończy się państwowy, narodowy a może i wręcz biologiczny byt Polaków; c) wobec czego wszyscy rozumni ludzie są za porozu-

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 340 — MACIEJ BROŃSKI

TEKSTY I PRETEKSTY

Zbiór esejów
z dziedziny literatury i kultury.

Str. 272.

Cena F. 75,00.

◆
TOM 342 — JÓZEF CZAPSKI

TUMULT I WIDMA

Szkice, wspomnienia, opowiadania
Część I — Z PIERWSZYCH LAT PARYŻA.
Część II — TUMULT I WIDMA.
Część III — LUDZIE I KSIĄŻKI.

Str. 352.

Cena F. 85,00.

mieniem czyli jakimś nieokreślonym bliżej Frontem Porozumienia Narodowego, mającego nas doprowadzić do „odrodzenia przewodniej roli partii, którą prawdziwie mogą uznać tylko siły, mające poczucie niezależności, własnej odrębności oraz autentyczności ideowej w polu socjalizmu jako ustroju Polski”. (Pan Rakowski widzi na przykład taką siłę w... ZSL-u, „partii opierającej się na ponad stuletniej tradycji postępowego ruchu ludowego”).

W palącym słońcu południowej Australii, gdzie nie ma się głowy na rozszczepianie włosa na czworo, czy też na zasiedlanie łąbka od szpilki grupą aniołów, cały ten wywiad i słowna szermierka toczona przez obu Panów wyglądają jak absurdalne kosały-opały, zaś częstowanie nimi wygłodzonego i rozwścieczonego społeczeństwa dowodzi absolutnego braku rozeznania psychologicznego. Porozumujmy bowiem w sposób najprostszy — mój mistrz profesor Tatarkiewicz bardzo sobie cenił zdrowy rozsądek jako antidotum na wszelkie zniewolenie umysłu. A więc:

a) Skoro ustrój, nazywany przez pp. Stefanowicza i Rakowskiego socjalizmem, doprowadził Polskę do nieznanego w naszych dziejach rozkładu gospodarczego (pod tym względem obaj Panowie nie szczędzą nam kolorów najczarniejszych), to skądże przypuszczenie, że Polacy chcą nadal ten system zachować? Spora w tym doza lekceważenia w stosunku do Polaków: wprawdzie Marszałek Piłsudski wyznał kiedyś, że zastanawia się, czy Polacy nie są przypadkiem „narodem idiotów”, ale ja nie podzielam tego pesymistycznego przypuszczenia, zwłaszcza wobec Polaków, wycwanionych na wszystkie boki przez 35 lat życia i zarobkowania w Polsce Ludowej. Oczywiście Polacy nie wiedzą dokładnie, jak pozbyć się błędnego ustroju i czym go na poczekaniu zastąpić, ale tego i najtężsi filozofowie jeszcze nie wiedzą — po 35 latach urzędniczego totalizmu rzecz jest arcytrudna. Co nie dowodzi, że nadal ideałem Polaków jest miniona „nasza mała stabilizacja” (świetny termin, choć ukuty przez poetę, a nie przez ekonomistę czy socjologa).

Być może zresztą, że upieranie się pp. Stefanowicza i Rakowskiego przy socjalizmie ma charakter słowno-taktyczny, wynika z ostrożności. Chcą po prostu ocalić słowo „socjalizm”, lecz napędzić je inną treścią. Mogę to ostatecznie zrozumieć, sam kiedyś w Sejmie proponowałem żartobliwie założenie „klubu zwolenników likwidacji socjalizmu bez zmiany nazwy”, względnie „klubu zwolenników likwidacji socjalizmu bez zmiany nazwy i za zgodą Związku Radzieckiego”. Dziś jednak, uważam, nie czas jest na takie żarty. Obecnie, chcąc obudzić chęć do pracy i produkcji w nieszczęsnym społeczeństwie, trzeba zacząć od stwierdzenia, że ustrój oparty na upaństwowieniu całej gospodarki, na skasowaniu praw oraz konfliktów rynkowych, na zniesieniu obiektywnej wartości pieniądza i zastąpieniu go centralnym interwencjonizmem oraz planowaniem był błędem historii. Dla przemysłu naszego poszukać trzeba osobowych właścicieli — rzecz oczywiście nie będzie łatwa, bo któż go przejąć zechce? Trzeba też

zacząć współpracę z zagranicznym kapitałem, bo w nowoczesnym świecie nie ma miejsca na gospodarkę autarkiczną. Ale musi to być współpraca oparta na zasadach ekonomiczno-rynkowych, nie zaś przyjmowanie absurdalnych prezentów — tamte długi należy anulować. W tym zaś celu trzeba zaprzestać sztucznego narkotyzowania się słowem „socjalizm”. A także (tu moja skromna uwaga pod adresem opozycji) trzeba zaprzestać analogicznego narkotyzowania się obchodami, rocznicami, wspominkami, chorągiewkami, pomnikami oraz rozważaniami nad dwuizbowym parlamentem czy tytułem prezydenta, zaś wziąć się do przebudowy ustroju własnościowo-produkcyjnego: bez takiej zmiany „bazy” żadna odnowa się w Polsce nie ostoi.

b) Przypuszczenie, że Polacy, po wszystkim co się stało, chcą utrzymać kierowniczą rolę partii, również zakrawa na obraźliwe imputowanie im, że są narodem idiotów. Skoro mafijne, tajne, dyktanckie i apodyktyczne rządy *quasi* elitarnej, zamkniętej grupy skompromitowały się totalnie, doprowadzając Polskę do bezprzykładnej klapy w każdej niemal dziedzinie (może w muzyce nie, moje gratulacje!), to dlaczego Polacy mieliby być zwolennikami utrzymania tej formy rządów!? PP. Rakowski i Stefanowicz dają do zrozumienia, że z ostrożności, bo wszyscy Polacy rzekomo wiedzą, że wraz ze skasowaniem rządów jednej partii skończy się nasz byt państwowy i narodowy. Ośmielam się twierdzić, że co młodsi Polacy wcale tego nie wiedzą, na dobitkę ja, choć stary, też wcale tego nie jestem pewien. Co to bowiem znaczy „koniec bytu narodowego”? Że Rosjanie wejdą i wymordują wszystkich, tak jak Hitler Żydów?! Ileż w tym z kolei obraźliwej pogardy dla wieloletniego sojusznika i gwaranta naszych granic zachodnich! Panowie, na Boga, to sam Stalin, choć wywiózł półtora miliona ludzi z dawnych naszych Ziemi Wschodnich, nie wymordował, mimo ewentualnej chęci, wszystkich na pniu, lecz nawet wypuścił kilkaset tysięcy ludzi, najpierw z Anderssem, potem z Berlingiem! Wszakże Stalina dawno już nie ma. Nie poniżajmy więc tak z góry Wielkiego Brata i Sąsiada, lecz zacznijmy tłumaczyć mu nasze konieczności ustrojowe, gospodarcze i psychologiczne. Tłumaczyć oczywiście nie tylko za pośrednictwem jednej, skrachowanej lecz kurczowo trzymającej się władzy partii.

c) PP. Rakowski i Stefanowicz mówią dużo o ogólnonarodowym porozumieniu, nie wyszczególniają jednak kto i z kim właściwie ma się porozumiewać, a absurdalny przykład z marionetkowym przez długie lata ZSL-em nie usposabia zachęcająco. P. Rakowski niezbyt entuzjastycznie wyraża się o koncepcji porozumienia tzw. Wielkiej Trójki, to znaczy Partii, Kościoła i „Solidarności”. W tej materii gotów jestem z nim się zgodzić, choć z odmiennych powodów. Nie uważam na przykład, żeby Kościół w dzisiejszej sytuacji miał upodabniać się do siły czy partii politycznej — prawda, przez długie lata był w Polsce jedyną oficjalnie dopuszczoną konkurencją światopoglądową i organizacyjną, Prymas spełniał rolę *interrex*a, lecz przecież czasy się zmieniały.

Nie uważam również, aby p. Wałęsa był właściwym i miarodajnym ekspertem w dziele przebudowy naszego ustroju. Za dużo ma tendencji egalitarystycznych i opiekuńczo-planistycznych, co nie będzie współbrzmieć z epoką ostrej konkurencji i indywidualnej inicjatywy gospodarczej, jaką postuluje. Bowiem Lech Wałęsa, wie o tym czy nie wie, jest jeszcze duchowym dzieckiem minionego ustroju...

No a o Partii to już mówiłem...

Kto więc, spytacie, i z kim ma się porozumiewać? Ano, nowe siły społeczne i produkcyjne, które winny się zrodzić z naszej rewolucji. („Związek wolnych producentów” — jeśli ktoś lubi jeszcze Engelsa). A jeżeli się nie zrodzą, jeżeli to są tylko moje marzenia? Wówczas — nie wierzę w sukces Odnowy.

Takie oto myśli snułem sobie nad brzegiem Południowego Oceanu, w najtrzęsawiejszym i najpraktyczniejszym kraju świata, pobudzony do tego dziwną ekwilibrystyką dobrze mi znanych panów Rakowskiego i Stefanowicza. Tak to wygląda z daleka.

A z bliska? Zobaczymy — jak powiedział ślepy.

KISIEL

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOMASZ STALIŃSKI
(STEFAN KISIELEWSKI)

Ś L E D Z T W O

Pierwsza polska powieść o wypadkach gdańskich 1970

Str. 224.

Cena F. 25,00.

Straty kultury polskiej

Pamięci nauczyciela

Tadeusz Kotarbiński zmarł w Warszawie 3 października 1981 roku w wieku lat 95 i pół. Przez ostatnie lata, powalony niemocą fizyczną, kruchy i ledwo zdolny ręką ruszyć, nie był już cieleśnie obecny w życiu polskim. Niezmierny jego trud naznaczył trwale życie duchowe nas wszystkich, zarówno uczniów bezpośrednich, jak całą polską społeczność myślącą.

Był tym, czym być chciał: nauczycielem, albo raczej: wciele niem nauczycielstwa doskonałego. Dług nigdy nie dający się zapomnieć zaciągnęli u niego nie tylko ci, co podzielali jego filozoficzną orientację, ale i ci, co całkiem byli od niej odlegli. Nauczycielem nieskazitelnym, jak wiemy, nie jest bowiem ten, kto zostawia wielu doktrynalnie mu wiernych adeptów czy apostołów, ale ten, kto potrafi, po sokratejsku, ożywić w uczniach wolę prawdy i uruchomić ich własne zasoby wewnętrzne, by chcieli się prawdy dokopywać bez samozaślepienia i bez znużenia.

Na trzech dziedzinach skupiał się głównie wysiłek tego życia bezprzykładnie czynnego. Jedną była filozofia w znaczeniu ścisłym, a więc teoria istnienia, logika i teoria wiedzy; drugą — etyka niezależna; trzecią — teoria porządnej roboty. Ta ostatnia może bodaj uchodzić za najbardziej uogólniającą formę jego myśli, jako że myślenie porządne jest poszczególnym przypadkiem porządnej roboty, a logika taka, jaką uprawiał, była głównie techniką sprawnej myśli; również teoria istnienia może być ujęta jako zbiór reguł, które sens i zasadność wszystkich naszych pomysłów pozwalają wypróbować przez sprowadzanie ich do pewnej określonej logicznie formy. Teoria ta jest pewną wersją radykalnego nominalizmu (przez Kotarbińskiego „reizm” zwaną albo „reizmem pansomatystycznym”). Żąda ona, między innymi, by przypisywać sensowność tylko takim wypowiedziom, które potrafimy bez zmiany znaczenia zredukować do wypowiedzi o rzeczach, przy czym zakłada się, że słowo „istnieć”

w sensie pierwotnym i właściwym odnosi się tylko do rzeczy. Zasada ta nie jest bynajmniej niekłopotliwa, kiedy zastanawiamy się nad tym, w jaki sposób w języku reistycznym opisać doznania wewnętrzne albo jak zredukować do takiego języka, na przykład, wypowiedzi o dziełach literackich lub o obiektach matematycznych. Kotarbiński cierpliwie i dokładnie z kłopotami takimi starał się uporać. Nie chodziło mu o to, byśmy faktycznie takim językiem zawsze mówili, byłaby to bowiem mowa ogromnie ociężała i zbytecznie zawiła, ale byśmy reguły tego języka traktowali jako probierz, do którego zawsze odwołać się można, gdy chcemy jakiś sens wątpliwy rozjaśnić albo wręcz wykazać, że to, o czym mówimy, jest w ogólności sensowne. Była więc w tej teorii pasja nauczycielska: miała ona przymuszać ludzi do tego, by czujnie nadzorowali znaczenie własnych słów, walczyli nieustannie z niechlujstwem myślowym, z gadaniną nieodpowiedzialną, z lenistwem umysłowym, by od siebie i innych domagali się jasności. Wszystko to łatwo ogólnikowo powiedzieć, ale niełatwo wcale praktykować; nie wiadomo też z góry, czy kryteria i restrykcje języka reistycznego nie zmuszają nas do rezygnacji z rozmaitych pytań, od których uwolnić się niepodobna. Sam Kotarbiński był świadom, że różne kolizje mogą tu zachodzić; zanotował to między innymi w jednym ze swoich zgrabnych i mądrych wierszyków (z pamięci cytuję):

*Do jasnych dążąc głębi, nie mógł trafić w sedno
Sledź pewien, obdarzony naturą wybredną;
Dokądkolwiek się zwrócił, wszystko nadaremno:
Tu jasno, ale płytko, tam głębia, lecz ciemno.*

Wypada dodać jednakowoż, że dla Kotarbińskiego samego „reizm” nie był tylko regułą metodyczną czy pedagogicznym zabiegami, ale pewną teorią bytu, która — przy założeniu, że „rzecz” to tyle, co ciało — miała jednoznacznie materialistyczne konsekwencje (choćby pojęcie „materii” było tam nie tylko zbyteczne, ale wręcz niesensowne, jako że niepodobna dobrze „materii” w języku reistycznym zdefiniować). W rzeczy samej, cały świat pojęć i symboli religijnych był mu jednoznacznie nieprzyjacielski, zarówno z tej racji, że metafizycznie nie do przyjęcia, jak i dlatego, że wymagał rezygnacji z rygorów racjonalistycznych, ujarzmiął rozum autorytetem nie znoszącym kontroli i zgoła nie dał się wystawić w języku rozumiałym („a więc wino jest krwią?”, „a więc troje są jednym?”, pytał katolickich dyskutantów i domagał się jednoznacznej odpowiedzi). Wychowany w chrześcijańskiej tradycji, odrzucił całkowicie jej metafizyczną (ale nie moralną) treść: z goryczą, ale w przeświadczeniu, że trzeba przyjąć do wiadomości świat, jakim rozum nieomylnie go widzi. Zapisał to w innym wierszyku:

*I pożegnałem wśród skowytu
Jako fantazję nierzetelną*

*Boga i święty ołtarz bytu
I własną duszę nieśmiertelną.*

Stosunek do świata miał więc Kotarbiński intelektualistyczny, co nie znaczy wszelako, by wierzył, że wszystkie sprawy ludzkie dają się rozstrzygnąć wedle kryteriów empirycznych, wtedy bowiem pytania o dobro i zło nie miałyby sensu. Ale dla Kotarbińskiego „etyka niezależna” — niezależna zarówno od objawienia, jak od jakichkolwiek doktryn socjologicznych czy politycznych — była przedmiotem ustawicznej troski filozoficznej i nauczycielskiej. To także była sprawa „porządnej roboty”, zakładała bowiem po platońsku, jak się zdaje, że myślenie porządne i porządne życie w parze idą, że sprawności umysłowe i moralna prawność nie tylko wspierają się wzajem, ale nawet, że każda jest drugiej niezbędnym warunkiem. Co jest godziwe albo niegodziwe, tego udowodnić, w ścisłym sensie, nie sposób, ale można zdać się bezpiecznie na „oczywistość serca”, która podpowiada, co trzeba. Z pism Kotarbińskiego na tematy moralne wyłania się, jako motyw główny, obraz „spolegliwego opiekuna” (słowo „spolegliwy”, z gwary śląskiej przejęte, wprowadził Kotarbiński do ogólnopolskiego języka jako przybliżony odpowiednik niemieckiego *zuverlässig*, angielskiego *reliable*, rosyjskiego *nadiożnyj*). Przykazania moralne streszczają się w postawie człowieka, na którego mogą niezawodnie liczyć w potrzebie i w nieszczęściu wszyscy ci, którzy, choćby wskutek przypadków biograficznych, mają prawo lojalności jego się spodziewać, wszyscy bliscy, przyjaźnieni, towarzysze broni, rodzina, koledzy. Etyka „spolegliwego opiekuna” nie wyklucza udziału w walce, nawet krwawej, nie wyklucza także stosowania forteli w starciach, wyklucza jednak okrucieństwo, ucieczkę od odpowiedzialności, marazm, wyzyskiwanie słabych; pozwala na więcej kompromisów, aniżeli kantowska i o tyle do naszego świata lepiej przystaje, ale nie pozwala na świństwo; a co jest świństwem, niech nikt nie udaje, że nie wie.

Teoria porządnej roboty, którą Kotarbiński przez lat kilkadziesiąt — od pierwszej swojej książki „Szkice praktyczne”, w 1913 roku wydanej — wypracowywał, jest próbą skatalogowania pojęć i zhierarchizowania zasad, które dają się stosować do wszystkich rodzajów ludzkiego działania i pozwalają w sposób generalny określić reguły sprawności. Są bowiem cechy praktycznego działania celowego, które obowiązują równie dobrze w szyciu butów, jak w organizacji fabryki, w grze w szachy, w strategii wojskowej, we wnioskowaniu logicznym. Tak uogólnione reguły miała teoria dobrej roboty czy prakseologia (przez Kotarbińskiego ukuty termin) badać i opisywać. Dworowano sobie niekiedy z tej dyscypliny, powiadając, że Kotarbiński z mozołem i w mowie zawiłej stara się udowodnić, iż nie należy wbić gwoździa w ścianę zegarkiem albo że się opłaca stracić pięć groszy, jeśli dzięki temu zyska się pięćdziesiąt. Była to jednak kpina wybitnie krzywdząca: nie było bowiem ambicją Kotar-

bińskiego w tych rozważaniach podawanie szczegółowych przepisów dla określonych dziedzin techniki, ale wypracowanie systematycznego zasobu abstrakcyjnych kategorii, które chwytają to, co wspólne w działaniach sprawnych i niesprawnych; wszakże wiele ważnych osiągnięć teoretycznych powstało w wyniku takich właśnie poszukiwań pojęć wybitnie uogólniających (wiączając, na przykład, algebrę Boole'a). Prakseologia zajmowała się tym co skuteczne lub nieskuteczne, nie zaś tym, co dobre albo złe, nie może przeto również być zarzutem przeciwko niej, że nie czyni różnicy między sprawnością inżyniera a sprawnością włamywacza; również chemia organiczna może być pomocna zarówno lekarzowi, jak trucicielowi, co nie jest wszakże rozsądną obiekcją przeciwko studiom chemicznym.

Precyzja i drobiazgowość, tak znamienne dla pracy Kotarbińskiego, pochodziły, jak się zdaje, z dwóch źródeł: z tradycji obyczajowej polskiego pozytywizmu oraz ze studiów lingwistycznych. Nim został, u progu Polski niepodległej, po pierwszej wojnie światowej, profesorem filozofii, pracował długo jako nauczyciel gimnazjalny greki i łaciny i filologiczną ścisłość, wyniesioną z długiego obcowania z literaturą antyczną, przechował na zawsze. Był też znakomitym tłumaczem i redaktorem; jednym z wielu jego przyczynków do naszej kultury było przewodnictwo Komitetu Biblioteki Klasyków Filozofii, gdzie inicjował i z nadzwyczajną skrupulatnością nadzorował polskie przekłady wielkich europejskich myślicieli.

Dokładność oraz gotowość do rozważania wszystkich obiekcji i wszystkich stron każdej kwestii sprawiają, że pisma jego, choć nigdy nie nudne, a często literacko znakomite, bywają uciążliwe w lekturze; wiele jest pism bardziej ponętnych czytelniczo i lżej strawnych, ale z tworzywa o ileż krócejtrwałego sporządzonych.

Nie był ani działaczem politycznym ani myślicielem politycznym, jednakże tam, gdzie konflikty polityczne zbiegały się wyraźnie z moralnymi, głos jego był słyszalny i jednoznaczny. W latach 30-tych, w walce z obskurantyzmem, antysemityzmem i fanatycznym klerykalizmem, należał do czołowych postaci polskiego oświecenia; demonstracyjnie wykładał, jak pamiętają starsi, po stronie ławkowego „getta” na uniwersytecie. Pono wydało nań wyrok śmierci faszystowskie podziemie polskie w czasie okupacji.

Zarazem jednak był człowiekiem kompromisu. Szukał porozumienia, gdzie tylko to było możliwe, wierzył, że racjonalne myślenie może, na przekór szaleństwu i niegodziwości, odwoływać się do jakichś wspólnych cech ludzkiej natury i w końcu, choćby z największym trudem, zwyciężyć. Gotowość do kompromisu nie była jednak nigdy rezygnacją z zasad: raczej próbą szukania takich wyjść, które redukują konflikt do jego rdzennej zawartości, usuwając napięcia i skłócenia powstające w wyniku samej obecności sytuacji konfliktowej, a nie z jej treści. Pełnił w PRL rozmaite funkcje publiczne: był m.in. rektorem Uniwersytetu Łódzkiego, prezesem Polskiej Akademii Nauk, przewodni-

czącym Polskiego Towarzystwa Filozoficznego, przewodniczącym rady naukowej Instytutu Filozofii. Wszystkie te funkcje zmuszały go, oczywiście, do udziału w różnych sytuacjach konfliktowych, nie tylko natury politycznej; racjonalna przenikliwość i gotowość do kompromisu bez ustępstw w zasadach wymuszały, choćby niechętny, szacunek dla niego również u tych, którym bardzo ciążyła jego czujna obecność. Stąd dwuznaczny do niego stosunek władz PRL: był postacią dla nich niewygodną i irytującą, ale jego moralny i intelektualny autorytet był tak znaczny, że oddawano mu okazjonalnie honory i nie śmiano wprost potępiać. W latach stalinowskich odmówił podpisu, przez władze żadanego, pod dokumentem w sprawie skazania Rosenbergów, powiadając, że gotów byłby podpisać tylko wtedy, gdyby mógł również publicznie protestować przeciwko więzieniu politycznych „przestępców” w Polsce. Podpisał natomiast sławny list 34 z marca 1964 roku. W czasie pogromu kulturalnego w 1968 roku stanowisko jego było jednoznaczne i wyrażane tak publicznie, jak to było możliwe; na potop święstwa, który z partyjnego Ciemnogrodu wypłynął, reagował w sposób, w którym na kompromisy miejsca już nie było (ustąpił m.in. z przewodnictwa Komitetu Klasyków Filozofii, którego sekretarz, Irena Krońska, została usunięta na mocy paragrafu aryjskiego). Powtarzano mi jego słowa przed paru laty wypowiedziane: „Zwiertem się w niewoli, ale nigdy nie przypuszczałem, że umrę w niewoli”.

Kotarbiński miał żywiołową skłonność do szukania w ludziach cech dobrych, a skłonność ta, jak się zdaje, nasilała się z wiekiem. Nieraz, w otoczeniu akademickim, słyszało się pewne niezadowolenie na widok nadmiernej jakoby pobłażliwości starszaka, gdy, na przykład, oceniał prace innych osób, a we wszystkich starał się coś dobrego wyszukać, nawet gdy produkt w całości był jawnie lichy. Był w tym nawet niezwykle talent: cokolwiek mu do oceny podrzucano (a bardzo wielu korzystało z jego uczynności), nieomylnie wydobywał jakąś, najmniejszą choćby, zaletę ocenianego wytworu. Jest to talent rzadki, a bardzo w życiu akademickim potrzebny.

Nie znał prawie odpoczynku i programowo chciał być aktywny bez ustanku: uważał, na przykład, że zwykłe rozmowy między ludźmi są po to, by się rozmówcy wzajemnie uczyli i gotów był uczyć się u wszystkich. Rezultatem była niewiarygodna prawie masa wiedzy zakumulowanej w tym mózgu, zawsze z zamiłowaniem do detali; znał się nie tylko na logice, grece i historii filozofii, ale także na ptakach, drzewach i na poezji.

Był Polakiem w znaczeniu bardzo dokładnym. Chociaż żyty dobrze przez lektury z innymi kulturami i językami, Polskę bardzo rzadko opuszczał i nigdy na długo. Być może uważał, jak wielu filozofów, że od podróży mało się mądrzeje, że „*coelum non animus mutant qui trans mare currunt*”. Skrytykował się w nim jakby to wszystko, co w dziejach Polaków najlepsze: rycerskość, odwaga, wielkoduszność, nieobecność mściwości i

małostkowości, przywiązanie do kultury narodowej bez szowinizmu i megalomanii.

Pamiętam dość dobrze wykłady i seminaria Kotarbińskiego, na które od końca 1945 roku uczęszczałem. Byłem także przez dwa lata, jeszcze jako student, asystentem w jego zakładzie. Czytałem chyba wszystkie, albo prawie wszystkie jego publikacje. Koledzy moi zgodziliby się na pewno z tym, że nie spotkali wielu ludzi, z którymi kontakt był w ich życiu źródłem równego wzbogacenia — i to pod tyloma względami — jak to, jakie z obcowania z tym niezwykłym człowiekiem wynieśli.

Nie wiem, jak to jest, kiedy człowiek dożywa wieku, w którym nie tylko wszyscy jego rówieśnicy, ale i prawie wszyscy uczniowie dawni wyprzedzili go w drodze ku śmierci; po tym, jak odeszli od nas, w ostatnich latach, Maria Ossowska, Mieczysław Wallis, Edward Poznański, jedynymi bodaj, którzy z pierwszego pokolenia uczniów pozostali przy życiu są Janina Kotarbińska i Alfred Tarski. Wielu ubyło także z następnych szeregów uczniowskich. Kiedy się myśli o Kotarbińskim i kilku jeszcze ludziach z jego generacji, wyrwa się z duszy banalne i wytarte: Nie masz już takich, czemu? Byłoby to złudzenie tylko, jakiego każde pokolenie doświadcza, kiedy widzi, jak jego autorytety w cień przechodzą? Oby.

Leszek KOŁAKOWSKI

Chicago, 4 listopada 1981

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 333 — PAWEŁ ZAREMBA

HISTORIA DWUDZIESTOLECIA

(1918 - 1939)
(w 2-ch tomach)

Do druku przygotował Marek Łatyński

Tom I-szy str. 240.

Tom II-gi str. 432.

Cena I/II F. 170,00.

„Historię” można nabywać tylko w całości.

Ci, co odeszli

Pamięci Andrzeja

Śmierć przyjaciół zawsze nas poraża, zawsze jest nieoczekiwana, bezsensowna. Nawet jeśli długa choroba, której strasznej nazwy boimy się wypowiadać, zapowiadała nieodwracalny koniec. Słowo „śmierć” szczególnie źle przylega do oblicza Andrzeja Stypułkowskiego. Wysoki, silny, młody, pełen radości życia, do słownie wypełniał przestrzeń swoją osobą i swoim śmiechem.

Andrzej był człowiekiem lekkim — nie lekkomyślnym, ale lekkim — w stosunkach z ludźmi, w przyjacielskim obcowaniu, w kontaktach roboczych. Cecha ta, wespół z wrodzoną subtelnością i życzliwością, okazała się niezastąpionej wagi w dziele, któremu poświęcił życie, w wydawaniu książek po polsku i po rosyjsku.

Poznałem Andrzeja wkrótce po przyjeździe na Zachód. Poznałem też jego przyjazną i miłą rodzinę, i natychmiast się z nim zaprzyjaźniłem. Nie opowiadał o swoim dzieciństwie i młodości, a ja nie pytałem: znałem książkę jego ojca, Zbigniewa Stypułkowskiego. Jak wielu Polaków, miał on porachunki z władzą sowiecką. Andrzej jednak należał do tych Polaków, dla których — jestem o tym głęboko przekonany — przygotowane jest specjalne miejsce w Królestwie Niebieskim. Są to ci, którzy nie stawiają znaku równości między tym co rosyjskie a tym co sowieckie; ci, którzy rozumieją słuszność słów Bułata Okudźawy: „Dawno już, Polacy, związał nas wspólny los...”.

Andrzej okazał się idealnym wydawcą rękopisów rosyjskich autorów, dla których nie było miejsca w wydawnictwach sowieckich, bo bezbłędnie potrafił wyłuskiwać rękopisy nacechowane talentem, ciekawe i ważne; potrafił też, nie obrażając autorów, odrzucać rękopisy które nie pasowały do jego wydawnictwa. Andrzej okazał się idealnym wydawcą rosyjskich książek, bo był Polakiem który rozumiał historię i naszą epokę.

Nieodwracalność śmierci zaczynamy pojmować dopiero wtedy, kiedy na zawsze odchodzą bliscy. Na pocieszenie zostaje pamięć. Andrzej zostawił dobre wspomnienie po sobie u wszystkich, którzy go znali. Ale zostawił też wydane przez siebie książki. Tyśiące czytelników, którzy nigdy nie słyszeli jego nazwiska, będą mu przez długie lata wdzięczni: odkrył im prawdę, której by bez jego pomocy nie poznali.

Słaba to pociecha dla tych, którzy Andrzeja znali i kochali, ale jedyna, jaka nam pozostaje.

Michał HELLER

OD REDAKCJI

Nie byliśmy w stanie zamieścić w bieżącym numerze *Kultury* szczegółowych informacji o puczu gen. Jaruzelskiego. Jak wszyscy nasi Czytelnicy wiedzą, brak jest jak dotąd ścisłych i prawdziwych informacji. Jesteśmy zalani falą plotek, których nie można sprawdzić, nie mówiąc już o dezinformacji uprawianej przez puczystów i Bezpiekę. Ponadto nie mogliśmy nadmiernie opóźnić ukazania się numeru. W związku z wydarzeniami przystępujemy do opracowania tomu dokumentów, dotyczących zamachu stanu, represji, listy ofiar, sytuacji gospodarczej, etc. Dołożymy wszelkich starań, aby ten tom mógł ukazać się jak najwcześniej.

Jednocześnie chcemy prosić naszych Czytelników i naszych przedstawicieli o zrozumienie i cierpliwość. Nasz zespół jest mały — pięć osób. Wydarzenia w Polsce zabierają nam cały czas. Od rana do późnej nocy telefony, wizyty dziennikarzy, dostarczanie informacji i materiałów prasie, radiostacjom, telewizjom, organizowanie apelów, protestów, i pomocy, a przecież bieżąca praca redakcyjna i wydawnicza nie może ulec przerwie. Dobija nas koniec roku kiedy trzeba przygotowywać bilans, robić najróżniejsze deklaracje dla władz francuskich, itp. itd. W tej sytuacji powstają ogromne zaległości w korespondencji, wystawianiu faktur i załatwianiu mniej pilnych spraw. Mamy nadzieję, że może niedługo uda nam się wrócić do mniej więcej normalnej pracy.

REDAKTOR

Doroczne Nagrody «Kultury»

NAGRODA PUBLICYSTYCZNA IM. JULIUSZA
MIEROSZEWSKIEGO:

SOCJUSZ

Pochwałę Socjusza, laureata nagrody publicystycznej im. Juliusza Mieroszewskiego, trzeba z konieczności ograniczyć, skoro chodzi o publicystę krajowego używającego pseudonimu; trzeba ją ograniczyć tylko do tekstów podpisanych Socjusz i tylko do cech umysłowości jakie się w nich ujawniają.

W ciągu ostatnich lat *Kultura* pozyskała szereg nowych i doskonałych piór publicystycznych z kraju, ale w ich korespondencjach i artykułach przeważał na ogół (ku naszemu zresztą zadowoleniu) wysiłek śledzenia sytuacji w Polsce z dnia na dzień, na żywo i na gorąco. Socjusz wzbogacił podobny wysiłek o dodatkowy wymiar, bardzo dla nas ważny: widzenia sytuacji w Polsce w szerszej perspektywie przeszłości i przyszłości, oraz podjęcia wychowawczych zadań publicystyki. Jego artykuł z roku 1977 *Polityczne działania i programy* zaczynał się od stwierdzenia, że „rozbudzenie, którego jesteśmy świadkami, a zwłaszcza wyłonienie się programów na przyszłość, odnawiają i umacniają polskie tradycje niepodległościowe i demokratyczne, tępiące przez reżym od lat przeszło trzydziestu”, wyrażał dalej wątpliwość „czy w chwili obecnej jesteśmy przygotowani do wykorzystania okazji wolności i samorządności, gdyby się nadarzyła”, aby zakończyć postulatem pracy nad „polityczną reedukacją”, która „nie będzie łatwa, widowiskowa, ani krótka, wbrew kuszącemu optymizmowi niektórych”. W rok później jego artykuł *Ile jest dróg?* zawierał dwie istotne uwagi: „Musimy pamiętać, że chociaż szczególne położenie geopolityczne narzuca nam patrzeć na świat w kate-

goriach sztywnych i trwałych, współczesna rzeczywistość polityczna i ekonomiczna jest niebywale płynna”; „musimy mieć świadomość, że wiara w Polskę niepodległą i demokratyczną nie jest wiarą w cuda”. Na krótko przed Polskim Sierpniem, w artykule *Polskie kwadratury koła*, przypominał, że „bez nacisków nie osiągniemy niczego”. Dokładnie w rok po Polskim Sierpniu, w artykule *Teoria i polska jedyność*, pisał o postawie pragmatycznej która winna „iść w parze z nieustanną pamięcią o podstawowych ideałach i wartościach”, dodając, że jego rozważania o przyszłości nie są „wyrazem wiary, że wszystko będzie dobrze”, lecz „wyrazem przekonania, że trzeba iść naprzód, bo lepszej drogi nie ma”.

Wybraliśmy kilka punktów orientacyjnych publicystyki Socjusza, zdając sobie oczywiście sprawę, że jest to prezentacja ułamkowa, skondensowana do maksimum. Nawet jednak w tych uwagach wyrwanych z kontekstu (z kontekstu klarownej, rzeczowej, dobrze przemyślanej argumentacji i wnikliwej obserwacji) widać publicystę trzeźwego a zarazem twardego w obronie imponderabiliów, ostrożnego i rozważnego w sądach ale nie ulegającego nigdy łatwiznie sceptycyzmu, świadomego limitów naszego położenia geopolitycznego i jednocześnie jego płynności we współczesnym świecie, świadomego wreszcie że po trzydziestu przeszło latach panowania komunizmu nie może nie być długi i trudny proces wychowania politycznego społeczeństwa, proces w którym niezależna publicystyka polska ma do odegrania pierwszorzędną rolę. Pod wieloma względami Socjusz bliski jest publicyście, którego imię upamiętnia nagroda publicystyczna *Kultury*.

NAGRODY LITERACKIE IM. ZYGMUNTA HERTZA:

K. A. JELEŃSKI

„Należę do wielkiego zespołu piszących, a nie do garstki pisarzy” — powiedział o sobie Konstanty Aleksander Jeleński. Ujmujące swoją skromnością, to twierdzenie nie odpowiada prawdzie. Jeleński należy do garstki pisarzy, jest pisarzem nieprzeciętnym, naturalnie jeśli o powołaniu pisarza decyduje waga dorobku pisarskiego, a nie jego objętość; a że decyduje właśnie i tylko waga, nie ma wątpliwości. Nie jest tu istotne że znamy

Jeleńskiego jako pisarza odzywającego się rzadko, chwytającego za pióro wtedy jedynie, gdy go coś pasjonuje, zachwyca, bawi, oburza lub prowokuje; wolelibyśmy oczywiście by zdarzało się to częściej, ale przy wyznaczeniu rangi pisarskiej kryterium obfitości i częstości nie ma zasadniczego znaczenia. Także Jerzy Stempowski rzadko i na ogół z oporami zajmował się „czernieniem papieru”, a przecież nieliczne książki jakie zostały po jego dość długim życiu wchodzą dziś do kanonu współczesnej literatury polskiej. Jedno o Jeleńskim można powiedzieć z pewnością, choć jest to pewność w trybie warunkowym: gdyby jego wrażliwości literackiej, słuchowi poetyckiemu, znanstwu sztuki, wielkiej inteligencji i wiedzy, znakomitej orientacji w literaturach Zachodu i malarstwie światowym towarzyszyło większe upodobanie do „czernienia papieru”, mielibyśmy w nim najwybitniejszego dziś polskiego krytyka literackiego i malarskiego. Niech wystarczą dwa przykłady w dziedzinie literatury: to on, w dużej mierze, utworował Gombrowiczowi drogę do sukcesu światowego; to jego szkice o Miłoszu wybijają się zdecydowanie z mniej lub więcej ciekawego zalewu „miłoszologii”. W dziedzinie krytyki malarskiej należy wymienić obszerne czy drobniejsze prace o Leonor Fini, Hansie Bellmerze, Lebensteinie, Czapskim, Leprim.

Odzywając się stosunkowo rzadko, Jeleński łatwiej może zdołał się uchronić przed niebezpieczeństwem skostnienia w rutynie pisarskiej, potrafił zachować prawie zawsze w tym co pisze świeżość, wdzięk i oryginalność urodzonego eseisty. Jednym ze źródeł swobodnego stylu eseistycznego Jeleńskiego jest umiejętność wplatania do wywodu odprysków własnej autobiografii: bądź intelektualnej, bądź tej „rzeczywistej” zbudowanej z doświadczeń, zdarzeń, przygód, przyjaźni, perypetii życia. Zbliży go to do Stempowskiego. I nie było zapewne rzeczą przypadku, że w sympozjone na cześć Hostowca w *Kulturze* najbardziej wzruszył honorowanego głos Jeleńskiego.

W *laudatio* z okazji tegorocznej nagrody literackiej im. Zygmunta Hertza nie wolno pominąć dwóch jeszcze Jeleńskich: antologisty i tłumacza. Pierwszy jest autorem *Anthologie de la Poésie Polonaise*, której drugie wydanie (rozszerzone i doprowadzone do roku 1980) wyszło właśnie w *L'Age d'Homme*; redaktorem i przedmówcą pracy zbiorowej *History and Hope*; oraz autorem *L'Ottobre Polacco*, włoskiego wyboru publicystyki i literatury „polskiego Października”, który dziś jeszcze po ćwierćwieczu blisko od roku wydania stanowi we Włoszech jedno z ważniejszych źródeł wiedzy o powojennej Polsce. Drugi przetłumaczył na francuski (wraz z Geneviève Serreau) trzy sztuki Gombrowicza i *Trans-Atlantyk*, a obecnie pracuje nad tłumaczeniem na francuski zbiorowego wydania wierszy Miłosza.

W pierwszej połowie 1982 roku wydamy w „Bibliotece *Kultury*” tom szkiców i artykułów Jeleńskiego *Zbieg okoliczności*. Tom ten ukazał się w końcu 1981 roku w pozacenzuralnym wydawnictwie krakowskim KOS w układzie i opracowaniu, na podstawie roczników *Kultury*, Piotra Kłoczowskiego. Wydanie paryskie (wzbogacone o kilka szkiców) ukaże się po krajowym.

JÓZEF ŁOBODOWSKI

Poeta, powieściopisarz, tłumacz, publicysta. U Łobodowskiego te cztery ciągle nici jego pisarstwa są tak ściśle ze sobą powiązane, że bardzo trudno je rozłączyć i skoncentrować się wyłącznie na jego dorobku literackim, odsuwając na bok publicystykę. Tak było i przed wojną, z tą jedynie różnicą, że nie przemówił jeszcze wówczas powieściopisarz. Ale Łobodowski — w chwili wybuchu wojny trzydziestoletni autor dwóch nagrodzonych przez Polską Akademię Literatury tomów wierszy *Demonom nocy* i *Rozmowa z Ojczyzną*, publicysta rozumiejący (zresztą dzięki własnym doświadczeniom) wagę problematyki komunistycznej, rosyjskiej i ukraińskiej, tłumacz poetów rosyjskich — był już indywidualnością mocną, jednorodną, w pełni uformowaną; pisarzem, którego pióro przechodziło z największą naturalnością od jednego rejestru do drugiego. Po wojnie, na emigracji, ta naturalność pogłębiała się nieustannie. Jak oddzielić na przykład *Złotą Hramotę* Łobodowskiego, tom własnych wierszy i przekładów z poezji ukraińskiej, od bogatej publicystyki na tematy ukraińskie, która pozwala go dziś nazwać jednym z najlepszych polskich znawców przedmiotu?

Oddzielić jednak trzeba, skoro tego wymaga zasada literackiej nagrody *Kultury*. Łobodowski jest poetą i powieściopisarzem płodnym, co na ogół oznacza: nierównym. W jego twórczości poetyckiej można rozróżnić kilka „faz” i odpowiadających im stylów. Najpiękniejsze wiersze Łobodowskiego pochodzą z „fazy” ukraińskiej, nawiązując do tradycji pre- i romantycznej. „Faza” arabsko-hiszpańska jest może przeciążona nadmierną skłonnością ornamentacyjną, choć i w niej pojawiają się niekiedy fragmenty o wielkim uroku. Oryginalnej twórczości poetyckiej Łobodowskiego towarzyszy wiernie praca tłumacza poezji rosyjskiej, ukraińskiej i hiszpańskiej; pracaw yteżona i, szczególnie w wypadku poezji ukraińskiej, odkrywca. Dwa cykle powieściowe Łobodowskiego wywołały u niektórych krytyków odruch niewiary w jego możliwości narracyjne, natomiast cieszyły się

dużą popularnością wśród czytelników. Zapewne, wiele w obu cyklach pośpiechu, brulionowego niewykończenia, ale zawierają masę żywego i ciekawego materiału.

Łobodowski, którego nazwisko nawet należało do najbardziej tępionych przez cenzurę PRL, wrócił do kraju na fali Polskiego Sierpnia. Wrócił zwłaszcza do swego Lublina, gdzie poświęcono jego poezji kilka wieczorów recytacyjnych. W roku 1937 Tymon Terlecki zatytułował swój artykuł o tomikach Łobodowskiego *Poezje Cezarego Baryki*. Może na lubelskich wieczorach, odtwarzając drogę pisarską Łobodowskiego, pamiętano o tym tytule.

NAGRODA PRZYJAŹNI:

ZYGMUNT KALLENBACH

Zygmunt Kallenbach pochodzi z rodziny szwajcarskiej, osiedlonej w Polsce w XVIII wieku; urodził się w Fryburgu w 1901 roku, jako syn profesora Józefa Kallenbacha, znanego historyka literatury polskiej.

Studia prawnicze ukończył na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, ochotniczą służbę wojskową odbył w latach 1918-1920; brał udział w powstaniu górnośląskim.

Od 1918 roku uczestniczył w ruchu „ZET-u”, działał społecznie w pracowniczym ruchu zawodowym, w którym stopniowo doszedł do stanowiska Wiceprezesa Unii Związków Zawodowych Pracowników Umysłowych; z tego tytułu brał aktywny udział w pracach samorządowych Warszawy podczas prezydentury Stefana Starzyńskiego.

Zawodowo pracował w Państwowym Banku Rolnym, gdzie początkowo, od roku 1926, kierował w Warszawie biurem ekonomicznym za prezesury prof. Franciszka Bujaka; w roku 1939 objął stanowisko dyrektora oddziału P.B.R. w Krakowie.

We wrześniu 1939 przedostał się do Rumunii a następnie do Szwajcarii, gdzie bierze aktywny udział w życiu emigracyjnym, jako wieloletni prezes „Polonii” genewskiej, prezes sekcji szwajcarskiej Polskiej YMCA, a od roku 1964 prezes Fundacji im. Kościelskich w Genewie.

Na tych stanowiskach zdziałał już bardzo wiele dla literatury i nauki polskiej w kraju, czy to w formie przyznawania nagród

literackich, czy też wysyłki zachodnich książek naukowych dla uniwersytetów i pracowników nauki w Polsce.

Głównie opiekuje się młodymi pisarzami i wielu z nich pomógł w trudnym starcie.

W pracy nad podtrzymaniem kontaktów z literaturą i nauką polską w kraju drogi Zygmunta Kallenbach i *Kultury* często się zbiegają. Mieliliśmy zawsze i mamy w nim dalej wypróbowanego przyjaciela, któremu dziś naszą roczną Nagrodą Przyjaźni chcemy podziękować za ogromny, cierpliwy i rozumny trud.

— NOWOŚCI WYDAWNICZE —

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 324 — HENRYK GRYNBERG

ŻYCIE CODZIENNE I ARTYSTYCZNE

Powieść

Str. 180.

Cena F. 50,00.

TOM 335 — KAZIMIERZ BRANDYS

MIESIĄCE

(1978 - 1979)

Zapisy pamiętnikarskie o charakterze osobistym na tle wydarzeń kulturalno-politycznych.

Str. 256.

Cena F. 75,00.

Kronika kulturalna

Zeznania zdezorientowanych czytelników

(WNIOSKI Z ANKIETY „KSIĄŻKA POLSKA NA EMIGRACJI”, *KULTURA* NR 5/404)

Sierpień 1980 zastał krajowy rynek wydawniczy w stanie chaosu. Wyraźnie rysował się podział na „paszę objętościową”, strawną dla cenzury, i wydawnictwa „opozycyjne”, które z kolei rozpadały się na „odchudzane” przez skreślenia według zaleceń z ul. Mysiej i powielane cichcem „poza cenzurą” z opóźnieniami wywołanymi konfiskatami sprzętu i przetrzymywaniem „winowajców” w aresztach. Trzecią kategorię stanowiły książki ogłaszane przez zesdesperowanych autorów w wolnym świecie.

Ten stan rzeczy ulega zasadniczej zmianie w wyniku wydarzeń na Wybrzeżu i powstania „Solidarności”. Tempo zmian jest jednak bardzo powolne, jak słabo bijący puls. „Drugi obieg” mógł się ujawnić, ale zaspokoić może minimalny procent potrzeb krajowych. Na emigrację docierają pojedyncze egzemplarze, raczej oglądane na wystawach bibliotecznych niż czytane. To, co dzieje się obecnie, zarówno w wydawnictwach państwowych jak i oficynach do niedawna podziemnych lub nowo tworzonych da się roboczo określić jako *próby przewycięzania chaosu*. Oceniając je pamiętać trzeba, że w grę wchodzi także brak papieru i defekty maszyn drukarskich.

Ten stan rzeczy odbija się niepomysłnie na czytelnictwie na emigracji. I może dlatego Redakcja *Kultury* wystąpiła ze śmiałą inicjatywą sondażu opinii w postaci ankiety ogłoszonej w nrze 5/404 (z maja 1981) pt. „Książka polska na emigracji”. Nie jest to pierwsza impreza tego typu. Wyprzedził ją mój artykuł pt. „Czytelnik polski w Wielkiej Brytanii” (*Kultura* nr 9/71,

1953). Pisałam w nim o głodzie słowa polskiego i konieczności wzmożenia emigracyjnej produkcji wydawniczej wobec słabej użyteczności książek w małych ilościach dopływających z Kraju. „Wielorakim formom rozrywek kulturalnych, które stoją otworem przed obywatelem krajów anglosaskich — pisałam wówczas — my przeciwstawić możemy to tylko: książki, czasopisma, strzępy audycji radiowych”. W wypożyczalniach do zaczytanych egzemplarzy książek Gołubiewa i Dąbrowskiej dokładaliśmy „nowości” typu świeżo przedrukowanych powieści Kraszewskiego. Symbolem ówczesnej sytuacji są dla mnie sztuczne książki formowane z oprawianych wycinków z *Kultury* albo powieści odcinkowych z *Dziennika Polskiego*. Wielką troską było zaspakajanie potrzeb młodzieży — by nie odchodziła od polskości. Obserwaliśmy „żywiłowy proces tworzenia się nowej inteligencji”.

Ta ostatnia obserwacja okazała się słuszna. W roku 1960 tj. w siedem lat po wspomnianym wyżej artykule, wbrew przewidywaniom pesymistów po książkę polską sięgać zaczęły coraz liczniejsze ręce i np. w Bibliotece Polskiej w Londynie ilość wypożyczeń utrzymywała się przez długie lata na poziomie 55.000 do 60.000 rocznie. Równoległą działalność prowadziła istniejąca do dziś Centrala Bibliotek Ruchomych. Księgozbiory wypożyczalni opierały się w wysokim stopniu na wydawnictwach emigracyjnych, gdyż wzrost dopływu książek krajowych datuje się dopiero z okresu „odwilży”.

Janina Zabielska doliczyła się w latach 1950-tych następujących firm wydawniczych emigracyjnych (w rozdziale „Instytucje i firmy wydawnicze” w t. II „Literatury polskiej na obczyźnie, 1940, 1960”): „Orbis”, Alma BOOK Co. (Aleks. Mazzucato), Gryf Publ. Ltd., Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas”, Wydawnictwo Polskie Tern (Rybitwa/T. Rybotycki), B. Świader-ski, artystyczne oficyny drukarskie Gliwy i Oficyny Poetów i Malarzy (Cz. Bednarczyk). Pisała także o tym, że w Paryżu rozbudowywał swą działalność Instytut Literacki i rozpoczynała wydawanie książek „Libella”. Piękne karty miały instytucje społeczne np. Polska YMCA i Światpol.

W roku 1960 pisać mogłam o wznowionym „odwilży” zainteresowaniu książką polską (zarówno emigracyjną jak i krajową). I w tym właśnie okresie z inicjatywy Redakcji *Kultury* Biblioteka Polska w Londynie przeprowadziła sondaż upodobań czytelnicznych na podstawie 4.547 wypożyczeń w lutym tego roku. Wyniki tej akcji zostały zanalizowane w artykule Marii Danilewiczowej i Zofii Wilczyńskiej pt. „Miłosz *contra* Kraszewski”, ogłoszonym w nrze 7-8/153-154 *Kultury* w roku 1960. W Bibliotece zarejestrowanych było wówczas 3.500 czytelników, w tym 65 % mężczyzn. Co czwarta wypożyczona książka polska

szła do rąk czytelników „młodych” (poniżej 35 roku życia). Aczkolwiek artykuł opierał się na obserwacjach z terenu Londynu, wnioski z podanych w nim cyfr okazują się pożytecznym materiałem do porównań.

Dalszym ciągiem badań londyńskich była analogiczna akcja przeprowadzona w cztery lata później przez Krystynę Mochlińską i Zofię Wilczyńską w styczniu 1964 w tejże Bibliotece. Ogólna liczba wypożyczeń wzrosła do 5.513. Na półkach pojawiły się pierwsze tomy „serii Polskiej Fundacji Kulturalnej”. Poczytność współczesnych pisarzy krajowych wzrosła o 50 %. Wśród „klastyków”, jak poprzednio, na pierwsze miejsce wysuwał się Kraszewski, bijąc wyczytanego już wcześniej Sienkiewicza.

W roku 1967 Redakcja *Kultury* podjęła próbę zbadania różnych aspektów czytelnictwa na emigracji. Z 17 krajów osiedlenia otrzymano odpowiedzi od 185 osób. Opracował je Stanisław Zarzewski w artykule pt. „Czytelnictwo na emigracji w 1967 r.”, ogłoszonym w formie sprawozdania z ankiety w nrze 3/258 i 4/259 w roku 1969. Jest to data ostatniego znanego mi obszerniejszego opracowania. Ukazują się jednak sporadycznie narzekania na „Kryzys czytelnictwa na emigracji” (tytuł artykułu E. Duszcy w londyńskim *Dzienniku Polskim* z 7. X. 1981) a wymownym świadectwem trudności nadal aktualnych jest zamilknięcie *Wiadomości* i Oficyny Poetów. W dziale wydawnictw książkowych występuje wyraźne osłabienie działalności kilku ważnych placówek wydawniczych, choć równocześnie odnotować można powstanie nowych firm wydawniczych np. „Odnowy” i „Kontry” oraz bohaterskie próby ożywienia sennych odbiorców książki polskiej podjęte w Toronto przez Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie z inicjatywy Adama i Jadwigi Tomaszewskich, przy udziale Wacława Iwaniuka.

Za wcześnie na próby odpowiedzi na pytanie, czy obecny kryzys jest zjawiskiem przejściowym czy długotrwałym — a nawet: Czy jest to kryzys czytelnictwa czy też błędnych koncepcji wydawniczych, braku reklamy i wadliwych form dystrybucji książek? Ankieta nie daje na pytania te jasnej odpowiedzi choćby dlatego, że nadesłano na nią zawstydzająco mało odpowiedzi. Gdyby nie przeświadczenie, że ów nikły respons nie odzwierciedla istotnego stanu rzeczy, należałoby skwitować ją w jednym zdaniu, jako imprezę nieudaną. Fakt, że odpowiedzi nadeszły z 17 krajów i że marginesem jej jest kilka odpowiedzi czytelników książek emigracyjnych przebywających w Europie Zachodniej skłania do próby przyjrzenia się bliżej wynikom ankiety. Dla ułatwienia porównania z opracowaniem Stanisława Zarzewskiego z roku 1969, stosuję te same podziały.

Uczestnicy ankiety

1. Według krajów osiedlenia:

(U w a g a : w nawiasach podają dane Zarzewskiego)

Kraj	ilość odpowiedzi
Afryka Południowa	3 (1)
Anglia	10 (66)
Austria	1 (1)
Australia	20 (17)
Belgia	1 (2)
Dania	2 —
Francja	4 (14)
Izrael	1 (2)
Kanada	12 (19)
Niemcy Zachodnie	5 (5)
Norwegia	2 —
Szwajcaria	5 (2)
Szwecja	4 (2)
USA	24 (43)
Włochy	1 (3)
Z niezidentyfikowanych krajów	5
O g ó ł e m :	100 (177 + odpowiedzi z Argentyny, Libanu, Wenezueli i Zambii)

100 odpowiedzi na obecną ankietę rozkłada się na 15 krajów. Uwzględniono ponadto w analizie gustów czytelnicych 8 odpowiedzi na równoległą ankietę *Kultury* dotyczącą czytelników z Kraju.

Dane Zarzewskiego obejmują znacznie wyższą ilość odpowiedzi. Porównania wypadają szczególnie jaskrawo na niekorzyść Anglii. W sprzeczności z dużym zainteresowaniem *Kulturą* w Szwecji stoi nikła ilość odpowiedzi. W Kanadzie, Australii i USA przyszły z pomocą lokalne pisma, przedrukowując pytania ankiety i zajmując się odesłaniem odpowiedzi do Francji.

Fakt, że ankietę została ogłoszona w okresie urlopów nie sprzyjał jej wypełnianiu. Odwracały od niej także uwagę wydarzenia krajowe absorbujące ogół Polaków poza krajem oraz akcje pomocy państwowej.

2. Według płci

W ankiecie wzięło udział 75 mężczyzn i 25 kobiet, co pokrywa się niemal dokładnie z cyframi Zarzewskiego (126 i 34).

3. Według wieku

Wiek respondentów waha się w granicach od 20 do 85 lat:

poniżej 30 lat	6
30 do 65 lat	52
powyżej 65 lat	42

W stosunku do danych Zarzewskiego oznacza to proporcjonalny wzrost w grupie respondentów w wieku średnim. Jest możliwe, że część respondentów z roku 1969 przesunęła się do wyższej grupy a część nie dożyła obecnej ankiety. Zastanawia nikły udział respondentów poniżej 30 lat, gdyż są oni z reguły „żarłocznymi” czytelnikami *Kultury*.

4. Według zawodu

Przyjęto tu podział na trzy grupy:

Wykształcenie humanistyczne	29
Wykształcenie techniczne	32
Emeryci bez określonego zawodu, zawody nieokreślone	39

Rubryka dotycząca zawodu pozostawała często bez odpowiedzi a podane informacje mogły w niektórych wypadkach odnosić się równie dobrze do zawodu przedwojennego jak obecnego. Wyraźnie występuje zwyżka odpowiedzi od inżynierów i techników z najnowszej emigracji zarobkowej do Australii.

5. Według wykształcenia

Przyjmując interpretację Zarzewskiego:

Wykształcenie średnie	27	respondentów
Wykształcenie wyższe	66	„
Wykształcenie nieznanne	7	„

6. Według znajomości języków obcych

Znakomita większość respondentów zna angielski (87), ponad połowa (53) niemiecki, 48 francuski, 42 rosyjski. Poniżej 10 zna włoski, ukraiński i hiszpański, najwyżej 2-4 znają hisz-

pański, portugalski, szwedzki, holenderski, duński, norweski, afrikaans, po jednym — hebrajski i białoruski. Tylko 14 osób zna poza polskim jeden język obcy. 32 — znają dwa, 29 — trzy, 20 — cztery, 5 — pięć, 6 — dwa i jeden poliglota chlubi się znajomością dziewięciu języków.

W warunkach emigracyjnych pierwszy język obcy — to język kraju osiedlenia. Z 87 respondentów znających angielski co najmniej 66 mieszka w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Anglii i Australii. Większość znających niemiecki — sądząc z informacji o dacie opuszczenia kraju — to „dipisi” z obozów niemieckich i internowani ze Szwajcarii. Znajomość języków skandynawskich — to niemal data znacząca początek emigracji. Rosyjski znają respondenci z najwyższej grupy wieku — i „goście Związku Sowieckiego”, którzy „bawili” tam w latach wojennych. Francuski znany jest 42 % respondentów, z których zaledwie 5 mieszka we Francji i Belgii. Nikłe cyfry znających hiszpański i portugalski wiążą się z brakiem odpowiedzi na ankietę z Argentyny i Brazylii. Dla kilku tłumaczy i dziennikarzy znajomość języków obcych jest koniecznością zawodową.

7. Według języka czytanych książek

68 respondentów czyta więcej po polsku, w tym trzech *tylko* po polsku. Dziewięciu odpowiedziało — *fifty-fifty* a 23 czyta więcej w językach obcych niż po polsku. W grupie czytających więcej po polsku są jednak osoby, które lekturę podręczników zawodowych wyłączają z informacji o „czytanych” książkach; inni tłumaczą duży procent lektur obcojęzycznych charakterem pracy.

8. Według podziału na książki emigracyjne (czy raczej wydane poza krajem) i wydawnictwa krajowe

Czyta więcej emigracyjnych	76
Emigr./krajowe („co dostępne”)	22
Wyłącznie krajowe	2

9. Według wzrostu lub zmniejszenia zainteresowania książką polską

Zainteresowanie większe (zwłaszcza ostatnio) ..	40
Bez zmian („zawsze czytałem(am) dużo”)	38
Mniejsze	11

Jedenaście osób nie odpowiedziało na ten (5) paragraf kwestionariusza ankiety.

10. Zainteresowania

1. Polityka, sprawy wojskowe, ekonomiczne i społeczne	73
2. Polska literatura pamiętnikarska	81
3. Historia	67
4. Filozofia	21
5. Religia	13
6. Nauki ścisłe	17
7. Literatura:	
powieści	46
poezja	30
eseistyka literacka	30

Sześć osób określiło zainteresowania swoje jako „ogólne” („wszystko, co wpadnie w ręce, byle po polsku”).

11. Co wywołuje zainteresowanie książką?

Recenzje (także radiowe)	70
Wszelkie formy ogłoszeń, katalogów, prospektów, spisy nadesłanych nowości	46
Rozmowy ze znajomymi i porady bibliotekarzy	31
Nagrody przyznane pisarzom	19
Nazwisko autora	8
Autopsja (możność przejrzania egzemplarza)	7

Tu potrzeba komentarzy. Większość respondentów opiera swój wybór na recenzjach — i upomina się o systematyczne recenzowanie nowości emigracyjnych i krajowych, a w ich braku o krótkie informacje o nowych książkach. Uważa się, że jest ich zbyt mało zarówno w prasie jak i w polskich audycjach radiowych. Ten sam zarzut, w odniesieniu do prasy, dotyczy ogłoszeń, katalogów księgarskich i ich rozprowadzania. „Spisy nadesłanych książek”, jako podstawa zamówień, są formą zawodną, zwłaszcza w odniesieniu do książek wydanych przez autorów lub firmy i instytucje nieznanne czytelnikowi. Odpowiedzi na dalszy punkt ankiety (dotyczący kiermaszów) wskazują na znaczenie możliwości przejrzania książki przed zakupem. W wypożyczalniach ceni się wolny dostęp do półek.

12. Sposób zaopatrywania się

za pośrednictwem księgarń	58
od wydawców	41
drogą wypożyczeń	36
przez otrzymywane dary	17

Opinie o funkcjonowaniu księgarń są na ogół pochlebne. W związku z zakupami poza krajem osiedlenia często powtarzają się skargi na trudności dewizowe i, co zresztą dotyczy wszystkich form zakupów, na wysokie ceny książek emigracyjnych. Skarżą się na nie zwłaszcza nowi emigranci i osoby o niskich zarobkach chcące wysłać książki do Kraju.

13. Pogląd na subskrypcje

58 % respondentów ocenia subskrypcje pozytywnie a zaledwie kilka osób zgłasza zażalenia z powodu niedotrzymania terminów. Z tego zapewne względu respondenci wykazują większe zainteresowanie subskrypcjami ogłaszanymi przez znane firmy, instytucje społeczne, organizacje kombatanckie itp., niż osoby prywatne (z autorami włącznie).

14. Motywy decyzji zakupu książki

Zaufanie do wydawcy	51
Tematyka książki	11
Osoba autora	10

15. Pogląd na Kluby Książki Polskiej i kiermasze

60 % respondentów popiera akcję zakładania Klubów Książki Polskiej a 68 % mile widzi kiermasze; mieszkający daleko od skupisk polskich żałują, że ta forma propagandy książki polskiej nie jest do pomysłenia w ich zasięgu. Kluby pojmowane są dwojako — jako rodzaj spółdzielni wydawniczej lub placówki ułatwiającej selekcję i zakup książek. Wielokrotnie wspomniane są „serie” Polskiej Fundacji Kulturalnej i biblioteczeki „Veritasu”. Poza ankietą doszły do piszącej te słowa dezyderaty wyprzedzały książki po cenach niżonych i ulotek reklamowych wkładanych do czasopism lub rozdawanych na imprezach polskich.

16. Pogląd na wieczory autorskie

48 % respondentów opowiada się za wieczorami autorskimi, jedenastu — przeciw. Ale nawet zwolennicy wieczorów wypowiadają często pogląd, że — choć interesuje ich osoba autora — stosunkowo rzadko nabywają książki. Zachodzi tu wyraźna różnica między krajami europejskimi i Stanami Zjednoczonymi, gdzie ta forma propagandy książki jest bardzo popularna i walnie przyczynia się do sukcesu autora. Jak kiermasze wymagają one jednak umiejętnej organizacji, której przykładem są imprezy

szwajcarskie, kontynuowane po zgonie inicjatora śp. Kazimierza Vincenza przez p. Halszkę Poniatowską-Vincenzową.

17. Pogląd na powieści odcinkowe

50 % respondentów opowiada się za drukiem powieści (lub większych fragmentów) w odcinkach pism, zgłaszając jednak zastrzeżenia co do kryteriów wyboru. Parokrotnie padły oskarżenia wydawców o dobieranie powieści pod kątem unikania płacenia honorariów autorskich tzn. publikowanie utworów pisarzy dawno zmarłych. Jako przykład negatywny kilkakrotnie wymieniano „Trędowatą”. Z aprobatą spotkał się natomiast przedruk „Ziemi obiecanej” Reymonta ze względu na zbieżność z wyświetlaniem filmu krajowego opartego na tej powieści. 15 głosów sprzeciwu podawało te i inne powody niechęci do tej formy popularyzacji.

18. Kwestia zaufania do wydawców

Jest rzeczą oczywistą, że w ankiecie organizowanej przez *Kulturę* wydawnictwa Instytutu Literackiego wysuwają się na pierwsze miejsce. Był to pogląd 58 % uczestników. Na drugim miejscu uplasowała się Polska Fundacja Kulturalna, na trzecim i czwartym *ex aequo* „Veritas” i Oficyna Poetów. Wymieniono ponadto firmy: „Gryf”, „Orbis”, „Libella”, „Odnowa”, Ed. du Dialogue i L'Age d'Homme (Lausanne). Wydawców krajowych reprezentował w ankiecie: PIW, Wydawnictwo Literackie, Osolineum, „Znak” i „Pax”. Trzech respondentów wymieniło wydawnictwa „poza cenzurą”: NOW-a i „Spotkania”, oraz przedruki tekstów krajowych, które ukazały się staraniem „Pomostu” w USA.

19. Wydawnictwa „poza cenzurą”

Tu można mówić o zainteresowaniu ogólnym, z tym jednak zastrzeżeniem, że zasięg ich jest ograniczony. 29 % respondentów twierdzi, że zainteresowanie ich wzrasta, 14 % — że maleje ze względu na przewagę materiałów informacyjnych o znaczeniu lokalnym. Tym tłumaczy się, że tylko 20 % opowiada się za pełnymi przedrukami kolejnych numerów pism „poza cenzurą”, a większość (51 %) woli dobrze zestawione i szybko publikowane antologie. Mocno podkreślany jest problem dezaktualizacji tekstów w związku z tempem wydarzeń politycznych.

20. Polskie książki w bibliotekach publicznych

47 % respondentów wyraża pogląd, że — gdzie tylko to jest

możliwe — należy domagać się od bibliotek krajów osiedlenia zakupu i udostępniania książek w języku polskim a także książek w innych językach dotyczących spraw polskich. Niemal z reguły towarzyszy temu zalecenie, by nie ograniczać się do wysunięcia dezyderatu, ale dopilnować, by lokalni użytkownicy biblioteki istotnie z książek tych korzystali. Jeśli książka polska, specjalnie zakupiona, nie jest wypożyczana — biblioteki zniechęcają się i rezygnują z dalszych prób.

21. Przekazywanie książek emigracyjnych do Kraju w formie darów indywidualnych

67 % respondentów korzysta z każdej nadarzającej się sposobności, by kierować do Kraju egzemplarze książek emigracyjnych w formie daru. Rekordzistą jest respondent, który wysłał 200 książek. Dwie osoby sporządzają fotokopie z własnych egzemplarzy, co kalkuluje się im taniej od zakupu i umożliwia udostępnienie książek wyczerpanych lub interesujących adresata fragmentów czy utworów. Powstrzymujący się od wysyłek tłumaczają to przykrymi doświadczeniami z konfiskatami i kradzieżami wysyłanych darów.

Wskaźniki poczytności autorów

W odpowiedziach na pytanie (§ 11) o ulubionych autorów a) emigracyjnych b) krajowych wyniki są najtrudniejsze do zreferowania na skutek ogromnego rozstrzelenia zainteresowań, stopnia dostępności egzemplarzy i ułamkowych informacji o produkcji wydawniczej zarówno emigracji jak i kraju. Wypadło przeto ograniczyć się do podania wyniku obliczeń cyfrowych, pozostawiając do komentarzy bardziej charakterystyczne wypowiedzi indywidualne.

Podział na pisarzy emigracyjnych i krajowych nasuwał wiele problemów. Wielu czołowych pisarzy publikuje poza krajem a czterech należy do pierwszej dziesiątki, której dane podaję niżej:

Na pierwszym miejscu jest, oczywiście, Miłosz „jako taki”, a więc poeta i prozaik traktowany łącznie; otrzymał 47 głosów. Po nim —

2) Kisiel (bardziej ceniony jako powieściopisarz, niż felietonista)	41
3) Józef Mackiewicz	33
4) Gustaw Herling-Grudziński	26
5) Kazimierz Brandys	25

6) Józef Łobodowski	20
Tadeusz Nowakowski	20
7) Witold Gombrowicz	18
8) Tadeusz Konwicki	17
Jan Nowak, pseud. i.e. Zdzisław Jeziorański	17
9) Stanisław Barańczak	13
10) Zofia Romanowiczowa	12
11) Józef Garliński	10
Henryk Grynberg	10
Marek Hłasko	10

Większość respondentów podawała kilka nazwisk, mieszając pisarzy emigracyjnych z krajowymi, zwłaszcza drukującymi poza cenzurą. Ogółem wymieniono 224 nazwiska — od Mickiewicza po Andermana i Bierezina. Z 26 cytowanych w odpowiedziach poetów na pierwsze miejsce wybił się Barańczak, pozostawiając w tyle Wierzyńskiego (9 głosów!), Słonimskiego (6) i Iwaniuka (5). Mroźek otrzymał 5 głosów.

„Klasyków” wymieniano oszczędnie, co zapewne tłumaczy się tym, że podświadomie zamykano się w kręgu pisarzy działających współcześnie. O szybkości przemijania świadczą pojedyncze głosy, którymi obdarzono np. Marię Dąbrowską czy Zygmunta Nowakowskiego.

Odnosi się wrażenie, że wielu respondentów wymieniało nie tylko pisarzy „ulubionych”, ale także autorów posiadanych książek. Tu znów o posiadaniu książki decydował często przypadek — albo cena (sic!) książki i możliwość jej obejrzenia przed zakupem.

PISARZE „ULUBIENI”

O dezorientacji czytelników świadczą następujące przykłady zestawień „ulubionych” autorów w odpowiedziach tych samych osób:

1) Czytelnik z Australii: *pisarze emigracyjni*: Józef Łobodowski, Teodor Parnicki, Leszek Kołakowski, Tadeusz Nowakowski, Sergiusz Piasecki, Wacław Solski, Józef Mackiewicz, Witold Gombrowicz, Marek Hłasko, Danuta Mostwin, Władysław Pobóg-Malinowski, Melchior Wańkowicz, Czesław Straszewicz; *pisarze krajowi*: Jan (sic!) Lem, Stefan Kisielewski, Jan (sic!) Rembek, Sławomir Mroźek, Antoni Gołubiew, Tadeusz Breza, Igor Newerly, Bogusław Sujkowski, Maria Dąbrowska, Pola Gojawiczyńska, Jerzy Andrzejewski, Leopold Tyrmand.

(Respondent oświadczył, że wybiera się na wieczory autorskie Tadeusza Nowakowskiego i Stefana Kisielewskiego).

2) Czytelnik z Tasmanii: „Czytałem regularnie wszystkie wydawnictwa Polskiej Fundacji Kulturalnej, ostatnio starałem się czytać Tadeusza Nowakowskiego i prozę Miłosza, poza tym nie mam ulubionych pisarzy — raczej, co wpadło w rękę”.

3) Inny czytelnik z Australii: *pisarze ulubieni*: „wszyscy piszący o Litwie: Józef Mackiewicz, Czesław Miłosz, jak też Gombrowicz, Surynowa, Mostwin. Z krajowych: Kisiel, Andrzejewski, Jasienica”.

4) Czytelnik z Kanady: *pisarze emigracyjni*: Tymon Terlecki, Zofia Romanowiczowa, Wiktor Trościanko, Wyczółkowska („Gringa”), Czesław Miłosz, ks. Jerzy Mirewicz; *krajowi*: Stanisław M. Saliński, Jerzy Łojek, obaj Brandysowie, Hanna Muszyńska-Hoffmanowa, Julian Wołoszynowski.

5) Inny czytelnik z Kanady: *ulubieni pisarze emigracyjni*: „Krzeczunowicz i ci, co piszą w 'Kwartalniku Kresowym'. Ci to mają odwagę cywilną!” *krajowi*: „nie mam ulubionego, ale kilku jest dobrych. Często najlepsza liryka używana jest do piosenek płytowych”.

6) Czytelnik z USA: *pisarze ulubieni*: „Garliński, Józef Mackiewicz, Janina Kowalska, ks. prałat Meysztowicz, Florian Czarnyszewicz, Magdalena Dubanowiczowa, Beata Obertyńska, Alicja Iwańska, Marian Kukiel, Tadeusz Nowakowski, Pawlikowski J., Romanowiczowa, kard. Wyszyński”.

7) Inny czytelnik z USA: *autorzy emigracyjni*: „Stanisław Swianiewicz, J. K. Zawodny, P. Wandycz, H. Glass, ks. Bełch, S. Korboński, Z. Stypułkowski, K. Wierzyński, T. Bielecki, Jan Nowak, W. Jędrzejewicz, W. Wasiutyński, Józef Mackiewicz, Oskar Halecki, Edward Raczyński, B. Leitgeber, T. Piszczkowski, Czesław Miłosz, B. M. Maciejowski”; *autorzy krajowi*: „J. Krzyżanowski, A. Micewski, J. Dobraczyński, Olgierd Terlecki, A. Słonimski, S. Kisielewski, J. Iwaskiewicz, M[arek] Drodowski”.

8) Czytelniczka z Kraju, chwilowo w Ameryce: — wyjątek z dłuższej odpowiedzi: „... dotarły do mnie dwie książki a to 'Pierwsze iskry miłości' z 'Kalendarza Polskiego' (...) druga z gazety *Gwiazdy Polarnej*. Z felietonu E. Duszy o poezji Barbary Toporskiej zdecydowałam, że muszę mieć ten tomik poezji. Napisałam do *Gwiazdy Polarnej* z prośbą o adres autorki. Dziś mam już wzniosłą poezję P. Barbary, załączam dowód”. „Nadmieniam że dałam do druku swoje wierszyki, na własny koszt”.

9) Czytelniczka z USA, urodzona w Ameryce, 29 lat. „Jeszcze nie wyrobiony gust”.

10) Czytelnik z Danii: „Gombrowicz, Miłosz, Sołżenicyn, Breza, Tatarkiewicz, Brandys, Bunsch i cała plejada innych np. Sienkiewicz, Słowacki itd.”.

Jeden z czytelników wyznał otwarcie: „Jestem eklektykiem”. Określa to stanowisko większości.

GŁOSY O SUBSKRYPCJACH

Z odpowiedzi czytelników wynika, że forma subskrypcji jest bardziej atrakcyjna niżby się na pozór mogło wydawać. Przykłady motywacji:

1) ... „sukces subskrypcji jest miernikiem wartości książki”.

2) ... „bardzo często wydanie książki zależy od wyników subskrypcji”.

3) „chyba celowe. Dużo dobrych książek chyba nie zostałyby wydanych w innym wypadku”.

4) „Sam co pewien czas zamawiam książki w subskrypcji. Uważam że jest to jedna z najlepszych dróg docierania do czytelnika-nabywcy”.

5) Stosunek „jak najbardziej pozytywny”.

6) „Daje wyniki. Zachęta osobista, druk nazwisk płatników (snobizm?)”.

7) ... „to bardzo ciężka i pracochłonna robota”.

8) (Respondent z Kanady) ... „największą trudnością jest dotarcie do potencjalnych czytelników, zwłaszcza w ośrodkach małego rozwiniętego życia polonijnego. (...) Zakładając, że książka wydana w przedpłacie jest książką dobrą, uważam, że pożądane wyniki są następujące: 1) na emigracji ukazała się jeszcze jedna wartościowa książka, 2) dotarła do pewnej, choć ograniczonej liczby czytelników, 3) autor nie był zmuszony do całkowitego jej finansowania”. „Zdobycie 300-400 przedpłat zapewnia pokrycie 75 % kosztów. Dlatego (subskrypcje) są celowe”.

Są jednak i głosy krytyczne:

9) „Nie wierzę w subskrypcje. Poza tym uważam je za upokarzające dla autora. Taka forma zebrania”.

10) „Drogą subskrypcji zamówiłem i zapłaciłem z góry dwie

książki, jednak nie otrzymałem żadnej, dlatego może nie uznaję tej drogi nabywania książek”.

Trudności z zakupem książek

- 1) „Więcej czytam książek polskich wydanych na emigracji, niż w kraju. Byłoby odwrotnie, gdyby nie trudności spowodowane małym nakładem. Zanim się dowiem o jakiejś książce i zawiadomię rodzinę, żeby mi ją przysłali — to już jest niemożliwe ją znaleźć” (głos z Kanady).
- 2) „Kupuję — póki mnie stać. Przejście 'na emeryturę' oznacza dziś dla przeciętnego inteligenta niemożność nabywania książek” (j.w.).
- 3) „Praktycznie jedyną drogą, by dotrzeć do polskiej książki jest zamówienie jej u wydawcy lub w księgarni”. „Może w końcu w Brukseli będzie można kupić książkę bliższą sercu bez jeżdżenia do Paryża” (*re* projekty organizowania Klubów Książki i kiermaszów).
- 4) „Jak najbardziej celowe jest urządzenie kiermaszów książki. Wprost niezrozumiałe jest dla mnie dlaczego w Johannesburgu dotychczas *nic* nie zrobili w tym kierunku (...) obecnie ktoś pół-oficjalnie sprzedaje przy kościele książki wydane przez PFK i chyba to mu dobrze idzie, ale jest to kropla w morzu aktualnego zapotrzebowania i możliwości” (z Południowej Afryki).
- 5) „W Izraelu, a zwłaszcza w Jerozolimie, trudno zorientować się co wychodzi. (...) „Gdy książka, o której słyszałam bardzo mnie interesuje starałam się ją kupić. Czasem udało się sprowadzić przez Meyera w Jerozolimie względnie przez Neusteina w Tel Awiwie, co też było zawodne”.
- 6) „Do wybranej książki emigracyjnej docieram wyłącznie kupując ją u wydawcy. Jest to forma jeszcze dotychczas dla mnie manipulacyjnie kłopotliwa i finansowo uciążliwa” (głos z Niemiec Zachodnich).
- 7) „Brak księgarni gdzie książkę można obejrzeć jest największą przeszkodą w jej znalezieniu i kupieniu”. (Głos z Niemiec Zachodnich).
- 8) „Przyjaciele pożyczają lub dają po przeczytaniu. W ciągu ostatniego dziesięciolecia nie byłabym mogła sobie pozwolić na kupno książki polskiej lub na prenumeratę. Żyję w warunkach więcej niż skromnych i jeśli coś zbiorę to idzie do Kraju” (56 lat, wykształcenie wyższe, „nieprzydatne zresztą, bo gospodyni domowa” — we Francji).

PLAN KLUBU WYDAWNICZEGO SŁOWA POLSKIEGO

Respondent z Anglii mieszkający „na prowincji” formułuje plan Klubu Książki Polskiej j.n.: „Wydaje mi się że należy zbierać na fundusz wydawniczy i udzielać pomocy wydawcom w formie bezzwrotnej lub zwrotnej, by umożliwić druk jak największej ilości książek. Tak samo mamy sporo książek wyczerpanych a bardzo wartościowych i koniecznych. Choćby wydana w Paryżu Encyklopedia w latach 50-tych. Potrzebuje bardzo uzupełnienia zaszłych zmian i większego nakładu. Wydać z uzupełnieniem Polskie Siły Zbrojne w II Wojnie Światowej. Wydać w dużym większym nakładzie Pawła Zaremby Historię dwudziestolecia i obniżyć jej cenę i wiele, wiele innych. Za mało jest książek na temat zbrodni sowieckich. Jak wyobrażam sobie taki klub? — to powinien być nowy. Nie podporządkowany żadnej istniejącej organizacji społecznej, politycznej czy wojskowej. Kierownikami takiego Klubu powinni być ludzie odpowiedzialni. Ich praca powinna być honorowa. Członkami Klubu powinni być wszyscy Polacy znajdujący się na obczyźnie. Składka członkowska nie powinna być wysoka. Zarząd Klubu powinien być wysoko odpowiedzialny i nikt nie powinien mieć wpływu lub nacisku na decyzje Zarządu Klubu jakim wydawcom i w jakiej formie zostanie udzielona pomoc. Powinna być kontrola członków. Zagadnienie duże tylko myśl w skrócie”.

STOSUNEK DO WYDAWNICTW „POZA CENZURĄ”

- 1) ... Jestem trochę rozczarowany; wydawało mi się, że te rzeczy, które cenzura w Kraju zatrzymuje stoją na wyższym poziomie artystycznym. Należy raczej dawać antologie” (Australia).
- 2) „Do Australii te wydawnictwa prawie nie docierają”.
- 3) „Osobiście uważam że zalew wydawnictw tego typu wpłynął ujemnie na rynek emigracyjnego czytelnictwa. Szereg wartościowych prac emigracyjnych nie może się ukazać ze względu na konkurencję wydawnictw „pozacenzuralnych” ogólnie biorąc o wiele za drogie. (...) Zainteresowanie utworami nieliterackimi

spada co jest zrozumiałe ze względu na dezaktualizację poruszanych spraw. Antologie". (Głos z Kanady).

5) „Obecnie jest moda na 'Solidarność'; wszystko co z nią związane „ludzie” (także nie — 'inteligenci') kupują bez większego namysłu...” (Głos z Kanady).

6) „(Zainteresowanie) rośnie. Uważam, że ciągle wiemy o wszystkim, co dzieje się w Polsce za mało”. (Głos z USA).

7) „(Zainteresowanie) rośnie. Osobiście uważam, że wydanie kolejne pełnych numerów (w języku polskim) szczególnie najważniejszych pism jak 'Zapis' jest bardziej celowe. Przydałyby się także wybory antologiczne w języku angielskim (jak np. w 'Survey'). (33-letni czytelnik z USA, urodzony w Niemczech).

8) „Jeżeli naprawdę chcemy pomóc ludziom w Polsce, to musimy względnie dokładnie wiedzieć, co się tam dzieje”. (Głos z USA).

9) „Nie czytam książek „pozacenzuralnych” z powodu braku ich radykalizmu [sic!]. Sprawy, wątki, ludzie, przez takich autorów opisywane są zbyt dobrze dla mnie znane. Polecam je natomiast dla Polaków w Kraju i rodakom pod zaborem rosyjskim (dla tych ostatnich w szczególności polskie książki prócz ugodowo-czerwonych”). (24-letni czytelnik z USA. Na emigracji od 1976 roku).

10) „Sądzę, że został osiągnięty pewien pułap zainteresowania. Jeśli mam się bawić w prognozy, to wydaje mi się, że o ile sytuacja w Polsce ustabilizuje się bez pomocy sąsiadów, to rola tych 'przedruków' zawęży się. Wybory antologiczne o wybranej tematyce budziłyby we mnie zdecydowanie większe zainteresowanie”. (Czytelnik z Danii).

11) „... należałoby wydawać antologie tematyczne jak np. wypadki sierpniowe, kisieliana, gospodarka, literatura, poezja”. (Czytelnik ze Szwajcarii).

12) „Bez wdawania się w dyskusje uważam, że są to wydawnictwa z pierwszej ręki, zważywszy ładunek emocjonalny i dostęp do wydarzeń krajowych”. (Czytelnik z Belgii).

13) „Za dużo tego wszystkiego. Wolałbym wybory antologiczne” (Czytelnik z Pretorii).

14) „Zainteresowanie moje maleje w miarę jak prasa krajowa staje się bardziej interesująca. Artykuły w *Kulturze* i *Polityce* są nieraz dogłębnniejsze niż to, co czytałem w prasie obiegu pozacenzurowego”. (Czytelnik z Południowej Afryki).

Konkluzje

Wobec słabego responsu czytelników ankieta dała mniej, niż można się było spodziewać. Zawiedli prenumeratorzy z Wielkiej Brytanii, Francji, Ameryki Łacińskiej itd. Wyniki dadzą się określić jako sondaże opinii emigracyjnej w tym stopniu reprezentacyjne, jak *interviews* uliczne telewizji i prasy angielskiej czy amerykańskiej. Ogólne wnioski są pesymistyczne, gdyż z odpowiedzi wynika jasno, iż istnieje poważny problem potencjalnych nabywców książek, odciętych od księgarni i bibliotek i zmuszonych do opierania się przy wyborze książek do zakupu na przypadkowych źródłach informacji. Stale podkreślana jest rola recenzji i potrzeba rozbudowy działów informacji książkowych w prasie emigracyjnej.

Chwila jest po temu szczególnie sposobna, gdyż na horyzoncie emigracyjnym pojawia się nowa fala przybyszów z Kraju, opuszczających PRL w poszukiwaniu pracy. W wielotysięcznych rzeszach tych nowych a raczej najnowszych emigrantów występuje wysoki procent inteligencji zawodowej, której przedstawiciele, jak świadczą niektóre odpowiedzi z Australii i Kanady są gorliwymi odbiorcami książki i czasopism emigracyjnych. W odpowiedziach z Australii mówi się o 7.000 już tam przybyłych i spodziewanych wielu dalszych. Oznacza to ogromne możliwości ożywienia życia kulturalnego i odmłodzenia kadr działaczy społecznych i kulturalnych.

W odpowiedziach na ankietę pojawiały się wielokrotnie pochlebne a nawet entuzjastyczne oceny działalności Instytutu Literackiego i wpływu *Kultury* na czytelników. Redakcja zajmuje postawę, iż wypowiedzi tego typu nie należy ogłaszać. Ograniczam się przeto do ogólnego podziękowania za słowa uznania i zachęty.

Nie mogę się jednak powstrzymać od przytoczenia wypowiedzi socjologa krajowego, który uważa, iż „do końca lat 70-tych, tj. do powstania i rozwoju niezależnej prasy i wydawnictw w Kraju, Instytut Literacki był najważniejszą instytucją nie tylko polskiej kultury, ale życia polskiego w ogóle. Przyszli historycy ocenią jego rolę w przetrwaniu ducha polskiego w świadomości inteligencji polskiej w Kraju. Moim zdaniem bez *Kultury* paryskiej nie jest pewne, czy osiągnęlibyśmy w 80/81 to, co osiągnęliśmy. Teraz oczywiście wszystko się zmieniło i Instytut Literacki stanie przed bardzo poważnym problemem określenia się na nowo”.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Udało mi się nie zostać poetą...

(WYWIAD Z JACKIEM BIEREZINEM)

Jan Dołęga: — Jesteś redaktorem naczelnym kwartalnika literackiego Puls. Jak i kiedy powstał Puls? Skąd nazwa pisma?

Jacek Bierezin: — Pomysł stworzenia niezależnego pisma literackiego przesładował mnie od dawna, od początku lat siedemdziesiątych, ale w ówczesnych warunkach było to nierealne. Przede wszystkim pismo takie nie miałoby autorów, a jego redaktorzy po pierwszych numerach znaleźliby się prawdopodobnie na sali sądowej w charakterze oskarżonych o rozpowszechnianie fałszywych informacji mogących przynieść poważną szkodę żywotnym interesom PRL.

Srodowisko pisarskie nie było tak zdeterminowane jak później, nie przełamało jeszcze pewnych lęków i słabości. Moje pokolenie literackie było wówczas w natarciu, istniało oficjalnie i odnosiło sukcesy, cenzura nie była jeszcze tak bezwzględna; sporo wierszy, opowiadań, artykułów mogło się ukazywać w prasie oficjalnej, szczególnie w *Studencie*, który w latach 1971-1972 miał swój bardzo dobry okres. O atmosferze tamtych lat świadczy na przykład fakt, że kiedy w 1974 roku podjąłem decyzję wydania skonfiskowanego przez cenzurę tomu wierszy „Wam” w Instytucie Literackim w Paryżu, to Adam Michnik widział mnie już na ławie oskarżonych, a większość znajomych pisarzy uważała, że robię głupstwo skazując się na zakaz druku w kraju.

Wydawanie *Pulsu* stało się możliwe po powstaniu KOR-u, a potem — Niezależnej Oficyny Wydawniczej. Istniał już wtedy *Zapis*, którego pierwszy numer ukazał się na początku 1977 roku. Był on — w mojej ocenie — rodzajem almanachu tekstów odrzuconych przez cenzurę. *Zapis* powstał przeciw cenzurze i nie był redagowany jak pismo. Ta metafora zawarta była już w tytule. *Zapis* równało się „zapis cenzorski”.

Taka formuła pisma nie całkiem mi odpowiadała. Uważałem ją za zbyt mało ekspansywną, za kompromisową. Uważałem, że pismo niezależne powinno w ogóle pomijać fakt istnienia cenzury, powinno być redagowane tak jakby jej nie było, i że materiały powinny w zasadzie powstawać dla tego pisma, a nie trafiać do niego po odrzuceniu ich przez cenzurę.

Do powstania *Pulsu* przyczyniło się także odrzucenie przez *Zapis* poematów Zdzisława Jaskuły i fragmentów powieści Witka Sułkowskiego „Dysiek”. Zrozumiałem wówczas, że różnice leżą też w rodzaju proponowanej literatury, w artystycznej wizji świata. *Zapis* był za zwięzłością, klarownością, wypróbowanymi środkami wyrazu artystycznego, a my byliśmy raczej za eksperymentem, groteską, ekspresją, za literaturą bardziej wybuchową, rozchwianą, rozwichrzoną, oddającą chaos, bałagan i niespójność świata.

Okazało się, że jedno niezależne pismo literackie w Polsce nie może stać się miejscem spotkania różnych poetyk i różnych pokoleń. Myślę, że późniejsza konkurencja między *Zapiskiem* i *Pulsem* wyszła obydwu pismom na dobre, choć nadal różnią się one tonem i sposobem redagowania.

W maju lub czerwcu 1977 roku zaproponowałem kolegom stworzenie nowego pisma literackiego. Spotkaliśmy się w piątkę: Ewa Sułkowska-Bierezin, której zawdzięczamy wiele pomysłów, Tomek Filipczak, wówczas student filologii polskiej, współpracownik KOR-u, Zdzisiek Jaskuła, który nie wszedł do redakcji chcąc pozostać niezależnym nawet od niezależnego pisma, Witek Sułkowski, poeta i publicysta, współpracownik KOR-u, i ja.

W latach siedemdziesiątych udało mi się nie zostać poetą. Byłem sygnatariuszem listu pięćdziesięciu dziewięciu w sprawie zmian w Konstytucji i później wielu innych. Byłem bliskim współpracownikiem KOR-u, a później Komitetu Samoobrony Społecznej KOR, jeździłem jako obserwator na procesy robotników i procesy działaczy opozycji demokratycznej, przepisywałem i kolportowałem „Komunikaty” KOR-u, *Biuletyn Informacyjny*, *Robotnika*, rozdawałem ulotki, byłem inwigilowany, zatrzymywany, przesłuchiwany, rewidowany i raz pobity przez policję. Uważałem, że napisać jeszcze jeden wiersz dla ludzkości to naprawdę zbyt mało. Myślę, że to samo czuł Witek Sułkowski.

Chcieliśmy stworzyć pismo żywe, reagujące na wydarzenia współczesne, pokazujące moralne dylematy czasu teraźniejszego, lekceważyliśmy nieprzemijalność i ponadczasowość. Słowem, chcieliśmy stworzyć pismo, które — wbrew podtytułowi — nie byłoby pismem tylko literackim. Stąd wzięła się jedna z propozycji tytułu — „Czas teraźniejszy”. W końcu zwyciężyła nazwa „Puls”. Nie pamiętam już, kto z nas był jej autorem. W każdym razie natchnieniem zacerpnęliśmy z zakończenia jednego z wierszy Zdzisława Jaskuły:

*Puls czasu był gwałtowny
Serce czasu przed trzecim zawatem*

Na początku września mieliśmy już maszynopis pierwszego numeru. Pozostawały sprawy organizacyjne i finansowe. *Zapis* miał bogatego mecenasa — „Index on Censorship”, pismo Amnesty International. My zwróciliśmy się o pomoc do Rady Funduszu Komitetu Samoobrony Społecznej KOR. Po zapoznaniu się z naszymi materiałami Jan Józef Lipski, członek Rady, bez namysłu został rzecznikiem naszej sprawy. W ten sposób uzyskaliśmy poparcie finansowe KSS KOR. Pierwszy numer *Pulsu* ukazał się w październiku 1977 roku nakładem Niezależnej Oficyny Wydawniczej.

Jan Dołęga: — Czy mógłbyś scharakteryzować osoby skupione wokół kwartalnika Puls, opowiedzieć o ich politycznych i literackich rodowodach, o ich zainteresowaniach?

Jacek Bierezin: — We wstępie do pierwszego numeru stwierdzaliśmy, że *Puls* nie jest pismem pokoleniowym. Otóż, sytuacja wygląda w ten sposób, że *Puls* nie jest i nie chce być pismem pokoleniowym, jeśli chodzi o autorów. Wszelkie pisma literackie młodych — nawet pomijając fakt, że nie jesteśmy już młodzi — okazywały się nieporozumieniem. Nie ma literatury starej i młodej, jest literatura dobra i zła.

Natomiast *Puls* jest pismem pokoleniowym, jeśli chodzi o członków redakcji i ich upodobania. Jest pismem „pokolenia 1968”. Rok 1968 był dla nas egzaminem dojrzałości, który zdaliśmy na trójkę, bo inaczej nie mogliśmy go zdać. Ale najlepsi z tego pokolenia przeżyli parę lat w ciągu tego roku, w którym kagankiem oświaty były płonące gazety. Po latach większość z nich znalazła się w środowisku KSS KOR, bądź w samym Komitecie. Nie słyszałem natomiast, aby ktoś z nas przystąpił do nacjonalistycznej Konfederacji Polski Niepodległej, której przywódca Leszek Moczulski pisywał wówczas w tygodniku *Stolica* paszkwile na Mrożka i ruch studencki oraz sekundował moczarcowcom w wywoływaniu duchów antysemickich.

Przykro mi, że mówię to dzisiaj, kiedy przeciwko Moczulskiemu toczy się proces. Być może nie powinienem tego mówić wcale. Jestem oczywiście przeciwny zamykaniu ludzi za przekonania, choćby najdalej różniły się od moich, i razem z tysiącami innych podpisałem apel o uwolnienie Moczulskiego. Jednakże niezdrowa jest sytuacja, w której nie można podjąć polemiki z poglądami przeciwników ideowych, a także sytuacja, w której już sam pobyt w więzieniu kreuje ludzi na bohaterów narodowych, niezależnie od tego czy są głupcami i mitomanami, czy też nie.

Jan Dołęga: — Rozumiem, że jest to dla ciebie dygresja istotna, miałeś jednak mówić o pokoleniu, o ludziach skupionych wokół *Pulsu*, o ich politycznych i literackich rodowodach...

Jacek Bierezin: — Przecież mówiąc o Moczulskim mówię o politycznych rodowodach. To, co on reprezentuje, jest dla nas antyrodowodem. Ale dobrze, wracam do tematu zasadniczego.

Pokolenie 68 stworzyło „nową falę” w poezji i nieco później w prozie. W poezji: Barańczak, Krynicki, Zagajewski, Lipska, Jaskuła, Sułkowski, Szaruga, Karasek, Stabro, kabaret „Salon Niezależnych”. W prozie: Anderman, Komolka, Łoziński, Zagajewski.

Nasz rodowód literacki był ściśle związany z rodowodem politycznym. „Nowa fala” zwróciła się i odniosła do konkretnej rzeczywistości, rzeczywistości „tu i teraz”, rzeczywistości socjalistycznych *slums’ów*, totalitarnych metod sprawowania władzy, wszechogarniającego kłamstwa i obłudy propagandy rządowej, prasy, radia i telewizji, rzeczywistości stworzonej przez skorumpowaną, butną i cyniczną władzę komunistyczną.

„Nowa fala” stworzyła literaturę interwencyjną, ekspresjonistyczną, w tradycji literackiej odwołała się do wzorców romantycznych, wybrała etykę przeciw estetyce, bo tak wówczas antynomicznie rysował nam się ten wybór; naczelnym kryterium wartościującym, kryterium sprawdzalności tekstu, stało się kryterium prawdy. Był to pewien ekstremalizm, ale ekstremalizm, który stanowił wyraz buntu pozaliterackiego, buntu politycznego i społecznego.

To również dzięki „nowej fali” — wierzę — dokonała się przemiana świadomości, która umożliwiła dzisiejsze zmiany w Polsce. Większość przywódców „Solidarności” to rówieśnicy „nowej fali”.

Jan Dołęga: — Czy mógłbyś przedstawić obecny skład kolegium redakcyjnego, a także stałych współpracowników redakcji?

Jacek Bierezin: — Kolegium redakcyjne: Janusz Anderman, uczestnik marca 68 w Krakowie, prozaik i były reportażysta *Studenta*, autor powieści „Zabawa w głuchy telefon” i „Gra na zwłokę”. Za tę ostatnią otrzymał w tym roku Nagrodę Kościelskich; Jan Chodakowski — architekt mieszkający w Londynie, szef edycji zachodniej *Pulsu*; Tomek Filipczak — polonista, współpracownik KOR-u, działacz „Solidarności”, redaktor łódzkiego pisma związkowego *Solidarność z Gdańskiem*; Bartosz

Pietrzak — fotograf, filozof i inżynier, współpracownik KOR-u, działacz „Solidarności”; Witold Sułkowski — uczestnik marca 68 w Łodzi, poeta, prozaik i publicysta, autor wydanego w Instytucie Literackim w Paryżu tomu „Szkółka zdobywców”, współpracownik KOR-u, redaktor Agencji Prasowej „Solidarności”, redaktor *Solidarności z Gdańskiem*; Leszek Szaruga — uczestnik marca 68 w Warszawie, poeta, prozaik i krytyk, autor m.in. opowiadania „Pułko” i tomu esejów „Własnymi słowami”, współpracownik KOR-u, redaktor Agencji Prasowej „Solidarność”.

Stali współpracownicy: Stanisław Barańczak — uczestnik marca 68 w Poznaniu, poeta, prozaik, publicysta, tłumacz, członek KOR-u, obecnie profesor slawistyki w Harvardzie; Lech Dymarski — poeta i prozaik, autor tomu „Za zgodą autora”, członek Krajowej Komisji Porozumiewawczej „Solidarność”; Antoni Pawlak — poeta i prozaik, autor tomu „Czynny całą dobę” i opowiadania „Książeczka wojskowa”, współpracownik KOR-u, pracownik Komisji Kultury „Solidarność” regionu Mazowsze; Bolesław Sulik — pisarz i scenarzysta mieszkający w Londynie, autor filmu o 1970 roku w Szczecinie, autor filmów „Na samym dnie” i „Smuga cienia”; Ewa Sułkowska-Bierezin — inżynier, uczestniczka marca 68 w Łodzi, współpracownik KOR-u, członek Komisji Rewizyjnej „Solidarności” w Łodzi; Tadeusz Walendowski, uczestnik marca 68 w Łodzi, socjolog i reżyser, drugi reżyser filmu „Przepraszam, czy tu biją?”.

Jan Dołęga: — Wiele Was łączy na płaszczyźnie światopoglądowej i politycznej. Jeżeli — jak sam się wyraziłeś — wasz rodowód polityczny jest ściśle związany z literackim, to czy pismo ma jakiś program artystyczny, estetyczny, literacki?

Jacek Bierezin: — Epoka programów skończyła się bezpowrotnie. Wszelkie programy są dziś anachroniczne. Ogłosić dziś jakikolwiek program literacki — to znaczy świadomie ograniczyć się i okaleczyć, skazać się na jednostronność, jednowymiarowość, odebrać sobie wiele możliwości. Programy literackie np. futurystów, awangardy krakowskiej, pisma *Zwrotnica* nadają się już tylko do historyczno-literackiego lamusa. Pisarzy łączyć dziś mogą imponderabilia, ale nie spotkają się oni na gruncie teoretyczno-literackim.

Jan Dołęga: — Jak powstaje poszczególny numer pisma?

Jacek Bierezin: — Od strony technicznej wygląda to następująco.

Po zamknięciu numeru na posiedzeniu kolegium redakcyjnego następuje opracowanie redakcyjne, merytoryczne i korekta „brudnopisu”. Potem maszynopisy i rękopisy wędrują do maszynistki, która przepisuje je „na czysto”. Później następuje druga korekta i maszynopis idzie do przepisania na matryce. Korektę matrycy robi przeważnie wydawnictwo, ponieważ chodzi o to, żeby matryce po przepisaniu nie krążyły już „po mieście”. Stąd — nieunikniona — spora ilość błędów w numerze. Czytelnicy i autorzy często nie zdają sobie sprawy z tego, że w okresach wzmoczonej inwigilacji bardzo trudno jest porozumieć się z własnym wydawnictwem, którego pracownicy muszą zachowywać maksymalną ostrożność. Po wydrukowaniu i zszytciu numeru (w udostępnionym na ten cel mieszkaniu, piwnicy, pracowni, domku na działce) nakład rozwozi się partiami (często w nocy) do wielu punktów (mieszkań, piwnic), skąd kolporterzy z różnych miast odbierają zamówione ilości egzemplarzy.

Egzemplarzy jest, oczywiście, zawsze za mało. Łódź dostaje na przykład około 500-600 egzemplarzy, a kolporterzy są w stanie rozprościć — jak twierdzą — parę tysięcy. Z naszych obliczeń wynika, że żeby zaspokoić popyt, pismo musiałoby się ukazywać w nakładzie około 50.000 egzemplarzy. Znaczący problem twierdzą, że w tych ciekawych czasach, w jakich przyszło nam żyć, „poszłaby” każda ilość. Zgadza się to z moimi obserwacjami. Takiego głodu książki i prasy niezależnej jak w tej chwili w Polsce nie ma na całym świecie. Jest to po prostu fenomen na miarę epoki. Przykładem może być książka Jana Nowaka „Kurier z Warszawy”, której trzy kolejne wydania zniknęły dosłownie w ciągu jednego dnia, a kłopoty z jej zdobyciem mieli nawet ludzie bezpośrednio związani z niezależnymi wydawnictwami, na przykład ja.

Jan Dołęga: — Czy „komponuje się” każdy numer, czy materiał jest w sumie przypadkowy?

Jacek Bierezin: — Gdybyśmy nie mieli koncepcji pisma nie warto byłoby go wydawać, a skoro mamy koncepcję pisma, musimy mieć również koncepcję każdego pojedynczego numeru. Staramy się „zbierać” i zamawiać materiały do dwóch, trzech numerów naprzód. Przed zamknięciem każdego numeru robimy kilka posiedzeń roboczych zespołu redakcyjnego, na które każdy przychodzi z własnymi pomysłami. Po wielu starciach, burzach i kompromisach kolejny numer staje się faktem.

Po tym, co powiedziałem, chcę jednak uczciwie dodać, że nie jestem do końca zadowolony z żadnego z dotychczas wydanych

numerów. Nie udało nam się zrobić żadnego numeru monograficznego, nie udało nam się w pełni żadna z dyskusji, jakie planowaliśmy na łamach pisma. Wynika to częściowo z faktu, że pismo ma największe kłopoty z autorami w przypadku, gdy chodzi o teksty zamówione. Znaczna część autorów funkcjonuje jeszcze — czy również — w obiegu oficjalnym. Zainicjowanie jakiejś zasadniczej dyskusji rozciągniętej na parę kolejnych numerów jest bardzo trudnym przedsięwzięciem. Można liczyć praktycznie na tych autorów czy tych fachowców, którzy funkcjonują już w obiegu nieoficjalnym, a ci z kolei rozrywani są przez różne pisma. Wszystko to sprawia, że mając nawet dobrą koncepcję numeru jesteśmy po prostu ograniczeni posiadanym materiałem.

Jan Dołęga: — A inne trudności?

Jacek Bierezin: — Funkcjonowanie pisma niezależnego jest w ogóle dość trudne. Przede wszystkim skazane jest ono na pewną nieregularność, którą my uczciwie zapowiadamy w podtytule. Przyczyny są różne, na przykład konfiskata maszynopisów, mastry gotowego numeru, opóźnienia w przepisywaniu numeru, zepsucie się powielacza, wykrycie przez policję maszyny drukarskiej, tak zwane „gorące okresy”, w których wszystkie niezależne drukarnie nastawiają się na aktualne druki ulotne, wobec czego plan wydawniczy automatycznie ulega zmianom i tak dalej...

Redaktor naczelny — zawsze to powtarzam — prowadzący, czy w ogóle redaktor pisma niezależnego jest autorem, redaktorem zabiegającym o teksty i odbywającym dziesiątki rozmów z szacownymi autorami (a wiadomo, że pisarze są chimeryczni, o czym wie redaktor-pisarz), jest własną sekretarką, gońcem, korektorem, maszynistką, przewoźnikiem, kolporterem, nierzadko składaczem i drukarzem własnego pisma. Ponadto jest obiektem inwigilacji, podgryzań, plotek i pretensji z różnych stron. Wszystko to pochłania mnóstwo czasu i energii, nawet jeśli redaguje się tylko kwartalnik. Oczywiście zdarzają się redaktorzy-szczęściarze, którzy i w tej nienormalnej sytuacji obiegu nieoficjalnego pozostają jedynie autorami. Szczerze im tego zazdroszczę.

Jan Dołęga: — Niedługo po powstaniu pisma powstała także „Biblioteka Pulsu”. Dlaczego ją powołałicie? Jakie książki się już ukazały i jakie zamierzacie wydać?

Jacek Bierezin: — W „Bibliotece Pulsu” chcielibyśmy wydawać książki, które uważamy za ważne, a które nie znalazły się w planach wydawnictw niezależnych. Myślę, że stanowi ona dobry

przegląd upodobań redakcji, naszych gustów artystycznych i preferencji. W „Bibliotece Pulsu” ukazały się dotychczas: Wieniedikta Jerofiejewa „Moskwa-Pietuszki”, Piotra Wierzbickiego „Gnidzi Parnas”, Mariana Brandysa „Moje przygody z historią”, Zyty Oryszyn „Czarna iluminacja”, Horsta Bienka „Cela”. Wszystkie te pozycje ukazały się nakładem Niezależnej Oficyny Wydawniczej. W przygotowaniu, w wydawnictwie „Krag” znajdują się: pierwsza powieść o Sierpniu 1980, „Moc truchleje” Janusza Głowackiego, sztuka „Ambasador” Sławomira Mrożka oraz „Opowiadania Kołymskie” Wałama Szalamowa. W przyszłości zamierzamy wydać „Walczyk na pożegnanie” Milana Kundery, „Przepasne wyżyny” Aleksandra Zinowiewa, opowiadania Janusza Andermana i wybór wierszy Zdzisława Jaskuły.

Jan Dołęga: — W jakiej mierze obecna „pluralizacja” życia kulturalnego w Polsce zmieni koleje losu wydawnictw nieoficjalnych?

Jacek Bierezin: — Trudno mi powiedzieć. Nic nie zapowiada aby pisma i wydawnictwa niezależne przestały być potrzebne. Wprost przeciwnie. W wydawnictwach oficjalnych przestało się już ukazywać cokolwiek interesującego. Jedyny temat, który potrafią poruszać publicznie przedstawiciele tych wydawnictw, to brak papieru. Jeśli nie zostanie powołane nowe wydawnictwo oficjalne, które lansowałoby nową politykę wydawniczą zbliżoną do polityki wydawniczej NOW-iej czy „Kregu”, to sytuacja pozostanie bez zmian.

Podobnie rzecz się ma z pismami. W każdym razie *Puls*, a także, o ile wiem, *Krytyka* i *Zapis* nie zamierzają zabiegać o legalizację, co oznaczałoby poddanie się cenzurze.

Jan Dołęga: — Czy w związku z wejściem w życie od 1 października ustawy o cenzurze przewidujecie jakieś nowe represje?

Jacek Bierezin: — Tak, ale nikt z nas nie jest w stanie przewidzieć jakie. Najprawdopodobniej zacznie się od grywn za samo niepoddanie się cenzurze.

Jan Dołęga: — Czy w przeszłości Puls miał kłopoty z milicją?

Jacek Bierezin: — *Puls* miał zawsze duże powodzenie u policji. Paru funkcjonariuszy-ubeków wyznało mi nawet, że bardzo lubią to pismo. Być może dlatego szósty raz właśnie nie dostałem paszportu. W każdym razie konfiskowane były matryce trzech nu-

merów i 1.500 egzemplarzy numeru 9/10 w lutym 1981 roku. Odbyło się także kilka rewizji u członków redakcji. Nie mówię już o inwigilacji, bo to drobiazg.

Jan Dołęga: — Jak przedstawia się sytuacja finansowa pisma?

Jacek Bierezin: — W tej chwili kryzysowo, to znaczy bardzo źle. Korzystaliśmy dotychczas z pomocy Rady Funduszu KSS KOR. Nie wiadomo jak będzie wyglądała ta pomoc w związku z zakończeniem działalności KOR-u. *Puls* nie ma własnego sprzętu poligraficznego. Wydawcą pisma była Niezależna Oficyna Wydawnicza, a od numeru 11/12 jest nim wydawnictwo „Krağ”. *Puls* otrzymuje od wydawcy około 400-500 egzemplarzy numeru, po rozprowadzeniu których uzyskujemy sumę około 40.000 złotych. *Puls* nie płaci honorariów autorom, publikacja w piśmie jest sprawą honorową. Opłacane są natomiast zamówione tłumaczenia oraz wszystkie czynności techniczne związane z przygotowaniem numeru. Pochłaniają one około 30.000 złotych, co dla oficjalnego pisma literackiego o tylko dwukrotnie lub trzykrotnie większym nakładzie jest sumą śmiesznie małą. Nie mówię tu o kosztach druku, bo te ponosi wydawnictwo.

W sytuacji ekonomicznej, jaka obecnie istnieje finanse stały się dla nas ogromnym problemem. Przeciętna pensja miesięczna zaczyna starzczać na chleb, obiady i papierosy. Wszystko drożeje o 300-400 procent, a na przykład maszynistki też przecież muszą jadać. Drożej więc wszystkie usługi, a nam dochodzi jeszcze konieczność dofinansowywania „Biblioteki *Pulsu*”.

Jan Dołęga: — Czy twoją wypowiedź należy rozumieć również jako apel o poparcie finansowe dla Pulsu i „Biblioteki Pulsu”?

Jacek Bierezin: — Tak. Rozumiem, że sprawą najważniejszą jest dzisiaj „Solidarność” i wszelkie poparcie jej udzielane. Ale wszyscy, którym droga jest sprawa rozwoju kultury polskiej muszą pamiętać o niesłuchanie trudnej sytuacji tych niezależnych czasopism i wydawnictw, którym „Solidarność” może pomóc w małym stopniu, mimo, że prawie wszyscy jesteśmy jej członkami.

Jan Dołęga: — Dlaczego Puls powołał do życia zagraniczne przedstawicielstwo?

Jacek Bierezin: — Przede wszystkim dlatego, żeby znieść wszelkie podziały. Nie uznajemy podziałów na literaturę oficjalną i

nieoficjalną, krajową i emigracyjną. Literatura polska jest jedna i będzie jedna wbrew wszelkim, sztucznie tworzonym podziałom. Do kraju dociera zbyt mało w stosunku do zapotrzebowania książek Instytutu Literackiego, egzemplarzy *Kultury* czy *Aneksu*. Dlatego przedrukujemy książki Instytutu Literackiego i wybrane materiały z roczników *Kultury* i *Aneksu*. Na emigracji ukazują się z kolei zachodnie edycje pism krajowych, np. *Spotkań*, *Krytyki*, *Res Publici*.

W ten sposób mimo granicy, która nas dzieli, i którą nie zawsze łatwo przekroczyć (mnie nie udało się nigdy), jesteśmy mniej więcej „na bieżąco”, co jest niesłuchanie ważne dla zachowania ciągłości kultury. „Puls Publications”, który powołaliśmy, wydał dotychczas drugi i trzeci numer pisma, album fotograficzny „Gdańsk — Sierpień 80” z komentarzami w języku angielskim, oraz książkę Mariana Brandysa „Moje przygody z historią”. W przygotowaniu numer 9/10 *Pulsu* i powieść Janusza Głowackiego o sierpniu 1980 „Moc truchleje”.

Chcielibyśmy, aby wszystkie numery *Pulsu* i wszystkie pozycje „Biblioteki *Pulsu*” ukazywały się w Londynie równocześnie z wydaniem krajowym, aby pewna ich część trafiała do kraju, i aby „Puls Publications” mógł w przyszłości pomóc *Pulsowi* krajowemu. Dlatego powtarzam apel do Czytelników na emigracji, by pamiętali o nowych inicjatywach i popierali je finansowo.

Jan Dołęga: — Jaki jest wasz stosunek do emigracji i piśmiennictwa emigracyjnego?

Jacek Bierezin: — Ci, którzy czytają regularnie *Puls*, doskonale to wiedzą. W każdym numerze znaleźć można autorów tworzących na emigracji, artykuły o nich, recenzje z ich książek, a także omówienia zawartości czasopism emigracyjnych.

Nie wiem i nie potrafię sobie wyobrazić jak wyglądałaby współczesna kultura i literatura polska bez Instytutu Literackiego i miesięcznika *Kultura*. Moje pokolenie wychowywało się na książkach Instytutu Literackiego, one pomagały mi zdobywać świadomość historyczną, polityczną i kulturalną. Taką samą rolę spełniały i spełniają emigracyjne pisma, przede wszystkim *Kultura* i *Aneks*, a także książki ukazujące się nakładem domów wydawniczych „Odnova”, „Polonia Book Fund” i „PFK”.

Apeluję gorąco do twórców emigracyjnych, aby w imię jedności i niepodzielności polskiej literatury i kultury współpracowali z *Pulsem*.

Jan Dołęga: — Od zeszłego roku redakcja przyznaje nagrodę

„Puls roku” za najwybitniejsze dzieło kultury polskiej ostatniego roku, ostatnich lat. W ubiegłym roku nagrodę otrzymał Marian Brandys za cykl historyczny „Koniec świata szwoleżerów”. Czy jest już laureat roku 1981?

Jacek Bierezin: — Tak. Jury redakcji na posiedzeniu w dniu 17 września 1981 roku postanowiło przyznać nagrodę „Puls roku” Janowi Nowakowi za książkę „Kurier z Warszawy”. Jest to książka niezwykła, a dla naszego pokolenia bezcenna. Pozwól, że korzystając z naszej rozmowy prześlę panu Janowi Nowakowi podziękowania za nią i wyrazy szacunku od nas wszystkich — niezależnie od telegramu, którym zawiadomiliśmy go o nagrodzie.

Jan Dołęga: — Myślę, że nagrody Pulsu świadczą także o was. Dziękuję ci za rozmowę — odbywaną przez wiele granic. Myślę, że kiedyś jednak porozmawiamy osobiście. Na razie życzę tobie i wam wszystkim wytrwałości w waszych niełatwych dążeniach. Pulsowi niech się powodzi jak najlepiej. Czekam zawsze z niecierpliwością na każdy następny numer.

Polcul Foundation

NIEZALEŻNA FUNDACJA POPIERANIA KULTURY POLSKIEJ

1. Podstawy

Fundacja założona została w Sydney, Australia 1 listopada 1980 roku i zarejestrowana została jako „company limited by guarantee” pod nazwą:

POLCUL FOUNDATION LIMITED

pod No. 265495-19.

Dyrektorami Fundacji są: J. Boniecki — Rose Bay, N.S.W.; K. Nadolski — Rose Bay, N.S.W.; J. Pakulski — Taroona, Tas.

2. Cele

Celem Fundacji jest wyróżnianie indywidualnych osób w Polsce czynnie zaangażowanych w rozwoju niezależnej kultury polskiej (w dziedzinie nauki, literatury, sztuki czy innej) lub w ruchu praw człowieka i obywatela (niezależnych związków zawodowych, niezależnych związków chłopskich lub innych).

Jednocześnie, dla zaakcentowania przyjaźni i współpracy, wyróżniane będą z krajów sąsiadujących z Polską lub związanych z nią wspólnym losem, osoby szczególnie zasłużone dla rozwoju niezależnej kultury polskiej.

3. Członkostwo

Niezależnie od założycieli Fundacji, członkami jej mogą zostać osoby indywidualne oraz grupy (organizacje, instytucje). Składki członkowskie wynoszą rocznie:

- dla członków indywidualnych — \$ 25,00;
- dla grup (organizacji itp.) — \$ 100,00.

4. Dochody

Dochody Fundacji składają się z:

- (a) odsetków od zainwestowanego kapitału,
- (b) ze składek członkowskich,
- (c) z ewentualnych darów czy zapisów.

Wpłaty na rzecz Fundacji mogą być dokonywane czekiem przesłanym na adres Fundacji lub też przekazem na konto No. 751989 w Bank of New South Wales, Rose Bay, 2029, Australia.

5. Rozdział funduszy — wyróżnienia

O wyróżnieniach Fundacji decyduje jury, kierując się następującymi zasadami:

- (a) jednorazowe świadczenie wynosić może:
 - minimum: \$ 500,00,
 - maksimum: \$ 1000,00;

- (b) suma dochodów Fundacji w danym roku musi być w pełni rozdysponowana;
- (c) 10 % dochodów Fundacji w danym roku winno być przeznaczone dla osób z krajów sąsiadujących z Polską lub związanych z nią wspólnym losem;
- (d) dochody Fundacji rozdzielane są raz do roku.

W lipcu 1981 roku Fundacja dokonała rozdziału funduszy przeznaczonych na rok 1981. Wyróżniono 32 osoby: Mirosław Chojecki, Adam Michnik, Konrad Bieliński, Seweryn Blumsztajn, Grzegorz Boguta, Anka Kowalska, Ewa Milewicz, Joanna Szczęśna, Janusz Szpotański, Jan Walc, Jacek Bartyzel, Janusz Bazydło, Marek Chimiak, Lech Dymarski, Adolf Juzwenko, Henryk Karkoszka, Jan Komolka, Jerzy Łojek, Stanisław Malkowski, Paweł Miklasz, Wiesław Parchimowicz, Zbiegniew Podgórzec, Mirosław Rybicki, Wojciech Samoliński, Jan Waszkiewicz, Piotr Wierzbicki, Ludwik Wiśniewski, Kazimierz Wójcicki, Krzysztof Wyszowski, Maciej Zięba, Barbara Toruńczyk.

Spoza Polski wyróżnienia przypadły dla:

Jiří Lederer — Czechosłowacja i Tomas Venclova — Litwa.
Ogółem rozdzielono \$ 20.000,00.

Wyróżnienia na rok 1982 przyznane zostaną w pierwszych miesiącach roku.

6. Jury

W skład jury Fundacji wchodzi:

Stanisław Barańczak — Boston, USA; Jerzy Boniecki — Sydney, Australia; Jerzy Giedroyc — Maisons-Laffitte, Francja; Gustaw Herling-Grudziński — Neapol, Włochy; Leszek Kołakowski — Oxford, Wielka Brytania; Jan Nowak — Waszyngton, USA; Jan Pakulski — Hobart, Australia; Eugeniusz Smolar — Londyn, Wielka Brytania; Bolesław Sulik — Londyn, Wielka Brytania; Jakub Świącicki — Sztokholm, Szwecja.

7. Zgłaszanie kandydatów

Kandydatury do wyróżnień Fundacji mogą nadsyłać osoby indywidualne lub instytucje z kraju, a także członkowie jury. Wszystkie kandydatury powinny zawierać krótkie uzasadnienie.

Zgłoszenia kandydatów przysyłać można do któregośkolwiek z członków jury, lub wprost na adres Fundacji.

8. Adres Fundacji

POLCUL FOUNDATION
P.O. Box 193,
Rose Bay, N.S.W. 2029
Australia.

Książki

Dwa profetyczne płomienie

Nie mam pojęcia jak dalece Georg Büchner znany jest czytelnikom polskim. Kilka lat temu pewien gorliwy intelektualista mówił mi z entuzjazmem o postaci Woyzecka, ale miał na myśli operę Albana Berga. Z dalszej rozmowy okazało się, że nic nie wiedział o pierwowzorze, *Woyzecku* Büchnera, fragmentarycznej sztuce, a raczej sekwencji krótkich scen o pulsującym dialogu.

Miałem to szczęście, że mogłem zobaczyć dobre przedstawienie „Śmierci Dantona” (*Dantons Tod*) we wiedeńskim Burgtheater, zdaje się w 1967 roku. Było to dla mnie szczególnie przeżycie: znalazłem wtedy jeszcze jedno dobitne potwierdzenie, że geniusz profetyczny zwykle nawiedza twórców w młodym wieku. Büchner był dwudziestodwuletnim młodzieńcem, kiedy „Śmierć Dantona” wyszła z druku. Umarł zresztą w dwa lata później (1837 r.), zarażony tyfusem. „Danton” wybuchł z niego jak płomień w 1835 roku: *annus mirabilis*, ten sam który dał literaturze polskiej równie fascynujący i profetyczny dramat równie młodego autora, *Nieboską komedię* Zygmunta Krasińskiego.

Idąc po przedstawieniu zaśnierzonym Wiedniem w stronę ulubionej kawiarni, gdzie o późnej godzinie mędrzy lokalni grali w szachy (*Sind Sie vielleicht ein Schachspieler?* — zapytał mnie raz kelner, przynosząc herbatę), rozmyślałem nad zbieżnościami w literaturze, tymi najdziwniejszymi, kiedy talent, wizja i fakt historyczny zbiegają się w jednym pomysle, a obok, prawie jednocześnie, wyrasta podobny pomysł w innym języku. Literaturoznawstwo porównawcze — a wierzę, że ten rodzaj dyscypliny ma rację bytu — nie polega na zestawianiu wpływów przy wtórce uczonych przypisków, ale na tajemnicy samego aktu tworzenia i na owej symbiozie elementów, które przechodzą analogiczne przemiany, aby ukształtować się w pokrewnym zjawisku u dwu odmiennych pisarzy w tym samym okresie czasu. Płomień, który takie zjawisko powoduje, jest silniejszy od talentu i literackiej

techniki. Tak to było z Büchnerem i Krasińskim. U obu oryginalność talentu była biologicznie związana z szybkim dojrzewaniem, u obu wielkie wstrząsy polityczne, które poprzedziły ich przyjście na świat (Krasiński urodził się w 1812, Büchner w rok później) zdeterminowały w dużej mierze ich wrażliwość na katastrofizm losu ludzkiego (końcowe klęski Napoleona) — stąd skłonność do szukania gigantycznych syntez w wizji szerszej niż czas jednego życia, bo każdy czas który przeżywamy jest zwięzony do współczesności.

Rewolucyjne niepokoje w rodzinnym Hessen (Büchner był produktem kraju rozczłonkowanego na małe państewka) wystrzyły jego zmysł historyczny, ale nie była to jakaś historiozofia uproszczeń, podobnie jak nie ma jej u Krasińskiego, mimo pozorów schematu teza - antyteza. To co wynosi Büchnerową wizję czasu ponad wszelki schematyzm to dramat charakteru oraz paradoks, który dramat taki zawiera w sobie jak bombę zegarową. „Śmierć Dantona”, podobnie jak triumf i śmierć Pankracego, wskazuje na niszczycielskie siły napędowe wewnątrz mechanizmu władzy: rewolucja tuczy się na swoich ofiarach, a kiedy ich zabraknie, pożera własne dzieci. Danton Büchnera jest niewątpliwie postacią wyrosłą z demonicznej filozofii *Sturm-und-Drang* — zasadą życia jest cierpienie — dlatego każdy bohater musi przejść poprzez ból, a jego działalność, choćby najbardziej nasycona wolą, nie zmienia pasywności wobec sił które się krystalizują w cierpieniu. Ta zresztą interpretacja tragizmu trwa w literaturze niemieckiej, od „Marii Stuart” Schillera i „Götza von Berlichingen” Goethego do „Marii Magdaleny” Hebbła i wczesnych sztuk Hauptmanna. Ulubiony filozof poetów i muzyków, Schopenhauer, dał temu widzeniu rzeczywistości najlepszą interpretację, w stylu który nic nie stracił na świeżości.

Büchner dlatego fascynuje krytyków, że w swoim bardzo krótkim życiu potrafił zredukować refleksję do kilku punktów świetlnych, które daje wizja, aby przebić ową norwidowską ciemność jaka opasowuje ziemię. Stąd realizm oceny faktów we wizjonerstwie Büchnera, tak jak istnieje on w dramacie Krasińskiego. Zarówno pasywność hrabiego Henryka, który nie umie kochać, jak i nerwowa aktywność Pankracego, który umie nienawidzić, otrzymują śmiertelną ranę od losu (historia jak magnes przyciąga iluzje) — ten sam znak równania dla obu *sub specie aeternitatis*, pod ognistym znakiem na niebie. Krasiński ujrzał tę prawdę, gdy był zagrożony ślepotą — prorocy widzą okiem wewnętrznym — Büchner przejrzał syndrom rewolucji aż do ironii, którą śmierć jej autentycznych bohaterów ujawnia. Niewątpliwie wpłynęły na kształt wizji obu poetów wydarzenia im współczesne: rewolucje lipcowa i listopadowa, polityczne konflikty w Hessen, wypadki w Lyonie z 1831 roku (rzemieślnik, który mówi w *Nieboskiej* o jedwabiu, nie jest, rzecz jasna, Polakiem), ale to co dziś nas interesuje to realizm konkluzji, który wyszedł z pozornie romantycznej formuły dramatu.

Krasińskiego tępił tępacy socrealizmu, nie rozumiejąc, że on właśnie połączył w swojej młodzieńczej interpretacji polityki zarówno pasję historii jak i histrionizm tych, którym się wydaje, że kierują losami ludzkości. W liście z Rzymu do Delfiny Potockiej pisał o histeryzującym Mickiewicz, że ujrzał w nim nagle Pankracego. Był to trzeźwy osąd zjawiska, gdy człowiek wywołuje zmyry historii z własnej zakłóconej osobowości. Dziś może lepiej rozumiemy paranoiczne gesty wieszcz, skoro już opadł trochę dym kadzideł jego egzegetów. Kto jak kto ale Krasiński znał doskonale arogancję własnej grupy społecznej i choć nie umiał rozwiązać konfliktu z despotycznym ojcem, miał odwagę patrzeć w głąb swoich mrocznych paradoksów. Büchner wydał druk ulotny, *Der Hessische Landbote* (w Darmstadt w lipcu 1834 roku), w którym atakował hipokryzję tych, którzy trzymali w rękach władzę opartą na wyzysku („Życie chłopów to jeden długi dzień roboczy”, pisał). Po takim wystąpieniu musiał uciekać z Hessen do Strassburga. Mimo krótkiego i burzliwego życia potrafił ukończyć studia, zdobył doktorat i habilitował się na docenta anatomii porównawczej na uniwersytecie w Zurychu. Zarazek tyfusu położył kres jego aktywności.

Ostatnie słowa, które wypowiedział w obecności narzeczonej, potwierdziły jego przekonanie, że człowiek umiera nie przeżywszy dosyć bólu, w sensie duchowego potencjału jaki posiada. Była to jakby końcowa iluminacja, podobna w istocie najgłębszej do owego dojrzewania w kierunku śmierci, o którym wiele lat potem mówił Rilke. Zrozumienie ważności, jeśli nawet nie tajemnicy cierpienia, czyni z Büchnera wizjonera odczytującego jakby z przeszłości dramat naszych czasów. Jego szkic o dramaturgu Lenzu, przyjacielu Goethego z okresu *Sturm-und-Drang*, który popadł w obłęd, daje pojęcie o rozpiętości psychologicznej wnikliwości Büchnera. Analityk Dantona, człowieka czynu, jest tu psychiatrą patrzącym na dramat człowieka wyobraźni. Gdy po raz pierwszy czytałem ten dwudziestostronicowy tekst, niby-pamiętnik, niby-nowelę, odczuwałem dotykającą niemal bliskość prawdziwego geniuszu, tak jak to czuję słuchając czwartej symfonii i *Fantasiestücke* Schumanna, czy też gdy patrzę na obrazy van Gogha. Chodzi mi o to specyficzne wrażenie obecności. Niech ci co dalej odnoszą się z uprzedzeniem do literatury niemieckiej przeczytają jako próbę Büchnerowego „Lenza” — jest to według mnie jeden z najbardziej odkrywczych w literaturze europejskiej opisów stanu lękowego na pograniczu samobójstwa. Rzuca poeta ten psycho-portret na tło wszechobecnego piękna istnienia, w którym ból jest zawsze obecny, zarysowany ostro jak kontur widnokregu.

Tak duże zrozumienie drugiego artysty wskazuje na inne zbieżności. Wydaje mi się, że dramat Lenza „Die Soldaten” (1776) jest bliski niepokojącej atmosferze „Woyzecka”.

Czy pisarz porażony wizją musi przejść przez chrzest ognia? Jeśli tak, to samobójstwo jest dla niego apokaliptyczną pokusą. Stąd pewnie wynika spalanie się tego rodzaju talentów. Nie

grozi to nigdy urzędnikom literatury. Ofiarę całopalenia składają ludzie geniuszu na ołtarzu swojego czasu. Stąd także szybkość z jaką notują dramat całego życia przenikający ich krótkie istnienie. Büchner napisał „Śmierć Dantona” w ciągu pięciu tygodni; Krasiński naszkicował koncepcję *Nieboskiej* z taką samą pasją poety-skażająca, który stoi pod gilotyną czasu. O chwilkę, zostań choćby na chwilę, pisał w jednym ze swych najlepszych erotyków, poświęconych Delfinie.

Dla kogoś, kto lubi chodzić po skrytych lub bocznych ścieżkach literatury, (wybrukowane trakty są dla wieszczów i urzędników) daty mają inną wymowę. Niewątpliwie zafascynuje go zestaw dat odnoszących się do twórczości oraz sławy pośmiertnej Büchnera i Krasińskiego.

„Dantons Tod” i „Nieboska komedia” ukazały się w 1835 roku. Pierwsze przedstawienia tych genialnych dramatów nastąpiły po śmierci ich autorów, i znów w tym samym roku: 1902 („Nieboska” w Krakowie, w reżyserii J. Kotarbińskiego i A. Walewskiego), a więc trzeba było blisko siedemdziesięciu lat, aby ich wizję przyjąć mogła przyszłość pośmiertna. *Habent sua fata ... data*. Ten sam wiedeński Burgtheater, w którym w latach sześćdziesiątych widziałem *Dantona*, wystawił na trzy lata przed ostatnią wojną „Nieboską” Krasińskiego.

Georg Büchner należy do pisarzy uratowanych z niepamięci. Chwała Bogu, nie odstraszy nikogo jak Walter Scott czy Victor Hugo ilością tomów. Pełne wydanie Büchnera liczy jakieś 170 stron. Ale profil jego geniuszu jest w nich tak wyraźny, jak w najlepszym poemacie polskiego romantyzmu, „Marii” Malczewskiego. Szczęśliwy poeta, który legitymuje się wobec następnych pokoleń niepokazaną ilością utworów.

Albo jednym jedynym arcydziełem.

Jerzy PIETRKIEWICZ

Pan Kornel

1. Pan Kornel był wcieleniem taktu, powściągliwości i serdecznego dystansu. Przypominał bohaterów Hemingwaya, tych starszych, milkliwych, mówiących zawsze krótko i do rzeczy. I nigdy niepoznanych do końca. Udzielał się, ale jakby częściowo, z nieobrażającą nikogo rezerwą. A przecież był otoczony grupą ludzi najgłębiej mu oddanych. Nigdy nie słyszałam o nim złego słowa. Nie pamiętam, aby ktokolwiek pisał o jego książkach bez respektu. Osobiście zdarzało mi się, że usiłowałam go

namówić w recenzjach do większej osobistości stylu, do odświeżenia bodaj — jeśli nie zerwania — jednej z siedmiu zasłon. I zawsze czułam wtedy, że popełniam nietakt. Pan Kornel nie miał ochoty się zmienić. Był zawsze taki sam. Prosty i otwarty w obejściu, w stylu bycia. Cały na zewnątrz i równie cały w środku. Taki sam w kontaktach osobistych i pozornie — ale z jakim uporem! — taki sam w tym co pisał.

Urodził się w roku 1913 w Tarnopolu, studiował biologię w Krakowie, debiutował w roku 1947 tomem opowiadań *Krajobraz niewzruszony*. W roku 1948 otrzymał nagrodę literacką Krakowa. Wydał ponad dwadzieścia książek.

W roku 1955 został odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi. Komuś kto nie zna całej jego twórczości, a szczególnie tego, co pisał w okresie stalinowskim, rok nagrody może wydać się podejrzanym. Pan Kornel „popełnił” dwutomową powieść pod tytułem *Nauka o ziemi ojczystej* (książkę patriotyczną, ale nie polityczną), której pierwszy tom, *Księżyc nad Nidą* ukazał się w roku 1950, a drugi, *Błękitny zeszyt*, dopiero w pięć lat później. Jeśli haracz splećający ideologii jest w niej zauważalny, to tylko w nadmiernej retoryczności stylu, nie w treści. I jakże jest nikły i nieszkodliwy w porównaniu z tym, co w tym czasie pisali — i splećali — inni. Z drugiej powieści, *Niepokój młodego serca*, zakrojonej na dwa tomy, ukazał się tylko tom pierwszy, *Ulica Gołębia*, także w roku 1955. Były to wspomnienia z lat studenckich w Krakowie; stonowany ale i tak oszałamiający obraz swobody i rozmachu życia politycznego w sanacyjnej Polsce.

W latach trzydziestych pan Kornel należał do Niezależnego Związku Młodzieży Socjalistycznej i MOPR-u, przyjaźnił się z malarzami krakowskiej awangardy (komunistami i socjalistami), był związany z teatrem Cricot, wznowionym jeszcze przed Październikiem przez Tadeusza Kantora. *Ulica Gołębia* otrzymała w roku 1956 znakomite recenzje, nawet od krytyków, którzy nikomu wtedy nie pobrażali. Ale wcześniej, w roku 1954, kiedy kult bohatera pozytywnego osiągnął apogeum, pan Kornel wydał *Profile moich przyjaciół*, książkę należąca do zdecydowanie do gatunku „zgniłego psychologizmu”, apolityczny unikat, zbiór delikatnych, jakby obrysowanych piórkiem portretów, stylistycznie pokrewnych *Charakterom* Nałkowskiej.

Mówiąc inaczej, pan Kornel nigdy nikomu nie czapkował i zdumiewające, że zawsze, przynajmniej na pozór, uchodziło mu to bezkarnie. Pod koniec lat sześćdziesiątych był jedynym pisarzem, który w swoich opowiadaniach ośmieszał antysemityzm i demaskował „kombatantów-patriotów”; w jednym z opowiadań nazwał ich „cynicznymi bykami”. Działo się to — przypominam — w okresie, gdy cała Polska śpiewała ulubioną piosenkę generała Moczara: *Dziś do Ciebie przyjść nie mogę...*

Okres jego literackiej świetności przypadł na lata 1960-1968. Pięć „małych powieści”, dwa zbiory opowiadań, w tym *Mój przy-*

jaciel i ryby, nie mający sobie równego w polskiej literaturze. Lepszy, bardziej wycieniowany, głębszy filozoficznie niż Hemingwaya *Stary człowiek i morze*. Wśród pięciu „małych powieści” są cztery arcydzieła: *Romans prowincjonalny* (1960), *Pamiętnik antybohatera* (1961), *Jeniec i dziewczyna* (1964) i *Mężczyzna jak dziecko* (1967). Świetny, ale nie dorównujący tym czterem *Ogród pana Nietschke* ukazał się w roku 1964. Jest dla mnie nie do pojęcia, że żadna z tych książek nie została przerobiona na film.

Myszę, że w tym okresie największego rozkwitu, wręcz ekspansji sił twórczych, forma opowiadania stała się dla Filipowicza zbyt ciasna — z powieści epickiej zrezygnował chyba wtedy na dobre — jako jedyna forma prozy. Miniaturowa powieść, gatunek bardzo wdzięczny, znakomicie pasowała do jego sucholirycznego stylu, botanicznego (ale nie naturalistycznego) zmysłu obserwacji i — *last but not least* — owej „busoli moralnej”, o której na tandetnej obwołucie *Między snem a snem*¹ wspomina Matuszewski. Tej busoli Filipowicz nigdy nie spuścił z oka, nawet pisząc dzieło tak behawiorystycznie amoralne (i dla Polaków drażliwe) jak *Pamiętnik antybohatera*.

W roku 1968 wydał znakomity zbiór opowiadań, *Dziewczynka z lalką czyli o potrzebie smutku i samotności*. A potem nastąpił spadek, albo raczej zatrzymanie się w miejscu. Tu i ówdzie, w kolejnych tomikach, błyskały pierwszej świetności fragmenty. Ale opowiadania stawały się coraz krótsze, szarzały. Z prozy Filipowicza zniknął Jan, jego *porte parole*. Zamiast opowieści z Janem, który występował w trzeciej osobie, przyszły opowiadania-wspomnienia pisane w pierwszej osobie. Jan był Filipowiczem, ale był także — a raczej przede wszystkim — postacią literacką. Z odejściem Jana proza Filipowicza utraciła swą literackość i osobisty ton. Pozwolę sobie przytoczyć, co na ten temat pisałam w recenzji ze zbioru wydanego w roku 1974, *Gdy przychodzi silniejszy*²:

„Odchodzenie od siebie, wnikanie w innych, roztopianie się w socjologii. Aby na krótką chwilę znów powrócić do źródeł, bo źródła Filipowicza są — jednak! — osobiste i psychologiczne. I choć formalnie niewiele na to wskazuje, jedynym jego bohaterem jest Jan. Jan z opowiadań rybackich, Jan z tomu *Krajobraz niewzruszony*. I ów tytułowy krajobraz. To, co zostaje, kiedy odchodzi człowiek. Co jest bytem dla siebie. Samoistnym i niewzruszonym. Samotnym. Ale Jana i krajobrazów udziela Filipowicz czytelnikowi i sobie coraz rzadziej, coraz niechętniej.

Chodzi mi o to, że nie można bezkarnie być każdym. To znaczy formalnie można, jeśli się zna geografię społeczną i ludzką tak, jak ją zna Filipowicz. Ale to wszystko odbywa się chyba

1. Kornel Filipowicz, *Między snem a snem*, WL., Kraków 1980, str. 142.
2. „Ta zwykłość”, *Kultura* nr 1/2, 1976.

— chyba, powtarzam, bo na pewno nie wiem — jakimś sporym kosztem. Wyrzeczeniem”.

2. Był w Krakowie znaną, choć mało głośną postacią: bardzo wysoki, ubierał się z dyskretną fantazją. Dla mnie należał zawsze do pejzażu miasta, jak Planty i kościoły. Był przedmiotem rozmów, ale nigdy plotek. Był bez wątpienia najpiękniejszym mężczyzną w Krakowie, podobno także przed wojną.

Pana Kornela poznałam osobiście, kiedy pisałam dla *Twórczości* recenzję z *Ogrodu pana Nietschke*. Zaprosił mnie do restauracji na rybę (tylko jemu podawano tam świeżą rybę) i wódkę. Byłam bardzo dumna i jeszcze bardziej speszona. Moją intencją było „ulepszyć” książkę i wmówić autorowi, że jego opowieść o byłym hitlerowcu jest przypowieścią o „jeder-mannie”, o faszyście tkwiącym w każdym z nas, który, kiedy przychodzi pora, zamienia się w przyzwoitego człowieka. Ale pan Kornel siedział podczas wojny na Montelupich, pracował w kamieniołomach, był więźniem w Gross-Rossen i Oranienburgu. Zwrócił mi, taktownie ale zdecydowanie, uwagę że jego książka traktuje o Niemcu.

Potem pisałam o nim wiele razy, prawie o każdej książce, którą wydał. W Krakowie śmiano się, że pisałam nie recenzje, a miłosne listy. Nie było to tak dalekie od prawdy; zbliżał się okres nagonki na Żydów i pan Kornel był dla mnie — a wiem, że i dla wielu innych — człowiekiem, który samą swoją obecnością nie pozwalał przekląć do reszty tej ziemi, którą nazywaliśmy ciągle ojczyzną. Był wcieleniem spokoju, rozsądku i powściągliwego humoru. Był także powściągliwym patriotą, w tych czasach okazywał się unikalnym. Jego sądy o czasach były ostre, o ludziach — ostrożne. Bóg wie dlaczego byłam przekonana, że zawsze należał do partii, i kiedyś — ach, jakże chciałam, żeby był bez plamy! — spytałam, czy nie ma zamiaru oddać legitymacji partyjnej. „Co ja im mam oddać — powiedział — mam tylko legitymację Związku Rybackiego”.

Kiedyś, w najgorszych dniach, kupił mi fiołki na Rynku (gdyby wiedział, ile większych bukietów dawno zdążyłam zapomnieć...). Szliśmy, rozmawiając o ludziach, którzy wyjeżdżali. Ja poszłam jeszcze raz na plac przed kościołem Mariackim, a pan Kornel śpieszył pocieszyć przyjaciela-Żyda, przedwojennego komunistę, który właśnie wyjeżdżał do Szwecji.

Spędziłam z nim i jego przyjaciółmi moje ostatnie w Polsce Boże Narodzenie. W mieszkaniu pana Kornela zastałam dwie, już wtedy i do dzisiaj najlepsze w Polsce poetki. I Adama Włodka: poetę i ojca wszystkich debiutantów. Adam Włodek był jedynym nie-Żydem, który należał do kongregacji żydowskiej, i jedynym jej członkiem, który głośno odmówił podpisania rezolucji potępiającej syjonizm. Byliśmy zaproszeni na karpia do bohatera opowiadania *Krajobraz, który przeżył śmierć*. Gospodarz-malarz, od paru dni „były” prorektor Akademii, wieczny

komunista i wieczny członek partii, otworzył nam drzwi w fartuchu, jak dobra gospodyni. Gotował równie dobrze jak malował, w dodatku malował to samo, co gotował: ryby. Widok tego człowieka, który przed wielu laty ocknął się pod górą trupów, i którego — niedobitego wtedy — dobijano teraz, w fartuszkach, z bezradnym uśmiechem na „syjonistycznej” twarzy, prześladuje mnie do tej pory. Ale był to w sumie radosny i wyjątkowy wieczór, w tłumie życzliwych, interesujących, inteligentnych ludzi. Pomyślałam, że nie wyjadę, bo od takich ludzi nie wolno odjeżdżać bezkarnie. Ale potem trzeba było wyjść na ulicę.

Kiedy chmura syjonizmu zniknęła z polskiego nieba i Żydzi, którzy jeszcze zostali, zaczęli się ujawniać, napisałam na zamówienie *Miesięcznika Literackiego* artykuł: „Piśmiennictwo Kornela Filipowicza”. Już po wyjeździe z Polski przeczytałam za powieść druku w rubryce: „W najbliższych numerach”. Potem zapowiedź znikła. Ale wcześniej doszła mnie wiadomość, że zaproponowano mi rozszerzenie artykułu i wydanie go w formie monografii. Miałam polski paszport i oficjalnie ciągle mogłam wrócić. Ale nie wróciłam. Myślę jednak, że pozostałam panu Kornelowi wierna.

3. Piszę to zamiast recenzji ze zbioru *Między snem a snem*, książki w której Filipowicz wyrzeka się literatury, która jest bladym odbiciem tego, co jeszcze parę lat temu świeciło pełnym blaskiem. Książki zmęczonej, pisanej w stanie zwątpienia, zresztą nie pierwszego, we własne możliwości. Styl Filipowicza zrobił się tak przezroczysty, że to co niegdyś (w myśl recepty Dąbrowskiej) stanowiło o jego doskonałości, zamieniło się w brak, w rozrzedzone powietrze, którym ta proza nie może już oddychać. Oczywiście: pozostała klarowność myśli, rutyna początku i końca, znajomość ludzi, społecznego konkretności. I trzy dobre opowiadania: *Statość uczuć*, *Gataż* i *Podróż do Sopotu*, czyli *opowiadanie naiwne*. Ale wszystkie trzy są tylko bladym odbiciem wcześniejszych, tematycznie pokrewnych opowiadań. *Między snem a snem* jest książką rzetelną, także literacko (Filipowicz nie umie pisać nierzetelnie), rzeczową, miejscami wzruszającą, miejscami bardzo mądrą, ale w sumie smutną i, od strony formalnej, przejmująco szarą. Filipowicz jest tego świadomy i znowu mam ochotę popełnić nietakt i przypomnieć mu to, o czym sam pamięta: że tam, na głębszej wodzie, czeka wielka ryba i że warto zarzucić wędkę. A jeśli nie ryba i woda, to poprzeczka, przeszkoda (sam kiedyś użył tego porównania, określając naturę swych możliwości twórczych), którą należy przekroczyć, aby znowu znaleźć się po stronie wyobraźni, metafizyki, męskiej samotności w krajobrazie „moralnie obojętnym”. Filipowicz pisze w *Między snem a snem*:

„Ale jest coś, co mnie bardzo gnębi, i o tym nareszcie muszę także powiedzieć. Wiem mianowicie, że w tym, co piszę, pisałem i co jeszcze napiszę, do końca, do ostatniego zdania, będzie mi towarzyszyło męczące przekonanie, że nie powiedziałem wszyst-

kiego, co o sobie i świecie powiedzieć chciałem. Że pozostanie jakaś niepokojąca reszta, o której nie potrafiłem ani nie będę umiał nigdy nic powiedzieć. Nie umiałem nigdy, ani wtedy, gdy byłem w świetle, ani wtedy, gdy ogarniał mnie mrok. (...) Czasem wydaje mi się, że ta reszta o której nie napisałem jest ważniejsza od wszystkiego, co napisałem. Że jest najważniejsza, i o niej tylko warto pisać...”

Janina KATZ HEWETSON

Polonica w Bibliotece Kongresu St. Zjednoczonych

Ani zbiory polskie Biblioteki Kongresowej USA, ani też prowadzone tam od lat prace bibliograficzne nad polską historią i piśmiennictwem nie cieszyły się dotąd zainteresowaniem prasy emigracyjnej. Jakość tej kolekcji i znaczenie prowadzonych przez nią dzieł polski Bibliotekarz prac popularyzatorskich zasługują tymczasem na baczną uwagę. Przedstawiamy więc poniżej krótki zarys historii polskich zbiorów w Bibliotece Kongresowej oraz ich krótką charakterystykę¹.

Dzieje zbiorów słowiańskich (*Slavic Collections*) Biblioteki sięgają początku wieku, kiedy to w roku 1907 Biblioteka nabyła od syberyjskiego kupca Genadija Yudina jego 80.000 tomową kolekcję sławików. Kolekcja owa, w większości w języku rosyjskim, zawierała sporo pozycji XVIII-wiecznych, a także czasopisma i publikacje rządowe, zwłaszcza z obszaru Syberii. W ciągu następnych dziesięcioleci zbiory słowiańskie Biblioteki Kongresowej rozrastały się szybko, acz nie zawsze w sposób uporządkowany. Proces ten usystematyzowany został dopiero po drugiej wojnie światowej, kiedy (w roku 1951) utworzono w Bibliotece Dział Słowiański (*Slavic Division*), przemianowany później na Dział Słowiański i Środkowoeuropejski (*Slavic and Central European Division*), obecnie zaś nazywany Działem Europejskim (*European Division*). Zbiory słowiańskie w Bibliotece Kongresowej

1. Dane na podstawie opracowania Janiny Hoskins, „Survey of the Polish Collections in the Library of Congress”, w tomie pod red. Paula Horecky'ego *East Central and Southeast Europe. A Handbook of Library and Archival Resources in North America*. 1976; str. 256-265 oraz Davida Krausa, „The Slavic Collections in the US Library of Congress”, *UNESCO Journal of Information Science, Librarianship and Archives Administration*, I, 3/1979; str. 184-190.

wej liczą dzisiaj łącznie (dane za rok 1979) ponad milion książek i czasopism, co stanowi około 7% całych zbiorów Biblioteki. W skład kolekcji słowiańskiej wchodzi ponadto dziesiątki tysięcy pozycji nie-książkowych: mikrofilmy, mapy, atlasy, filmy, fotografie, plakaty, ryciny, taśmy magnetofonowe, itp.

Zbiory polskie w Bibliotece Kongresowej stanowią oczywiście fragment kolekcji słowiańskiej. Jej pierwszy, najwcześniejszy załazek to osiemnastowieczne polonika w bibliotece T. Jeffersona, wśród których znajdował się m.in. egzemplarz angielskiego tłumaczenia *Konstytucji 3 Maja* (Londyn, 1791), A. L. Caraccioli'ego *La Pologne, telle qu'elle a été, telle qu'elle est, telle qu'elle sera* (Paris, 1775) oraz B. B. Mably'ego *Du Gouvernement et des lois de la Pologne* (Paris, 1781). W ciągu XIX wieku polskie nabytki w Bibliotece Kongresowej były jednak ograniczone i sporadyczne; w roku 1901 liczba polskich książek w Bibliotece wynosiła zaledwie 97. Zakupiona pięć lat później kolekcja Yudina zawierała około 200 poloników (głównie w języku rosyjskim), w tym XVII-wieczne dziełko pióra Jakuba Haura, *Skład abo skarbiec znakomitych sekretów oekonomii ziemiańskiej*. Szybszy rozrost kolekcji polskiej nastąpił jednak dopiero po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w roku 1918. Kiedy w roku 1951 utworzono w Bibliotece Dział Słowiański, powołano również stałego specjalistę do zbiorów polskich — funkcję tę objęła i sprawuje do dzisiaj dr Janina Hoskins. Kolekcja polska liczy obecnie wedle danych za rok 1980, ok. 150.000 pozycji (książek i czasopism) i powiększa się systematycznie poprzez nabytki uzyskiwane drogą umów wymiennych z 290 instytucjami rządowymi, naukowymi i wydawniczymi w Polsce. Regularnie gromadzone są również przez Bibliotekę Kongresową traktujące o Polsce prace w innych językach. Kolekcja obejmuje również około 150 tytułów gazet i ok. 5.000 czasopism. W ostatnich latach Biblioteka Kongresowa nabywa rocznie średnio 2.000 pozycji w języku polskim lub Polsce poświęconych.

Zbiory polskie Biblioteki ująć można w kilkanaście poddziałów:

(1) *Bibliografie ogólne i specjalne*. W tym egzemplarz najwcześniejszego polskiego przewodnika bibliograficznego z roku 1625 pióra Szymona Starowolskiego, wielotomowa *Bibliografia polska* Karola Estreichera i najnowszy, powojenny *Przewodnik Bibliograficzny*.

(2) *Geografia i krajoznawstwo*. Dział ten obejmuje geograficzne opisy Polski od XVI-wiecznych studiów Macieja z Miechowa po współczesne słowniki geograficzne, przewodniki turystyczne i czasopisma naukowe z zakresu geografii fizycznej, politycznej i gospodarczej.

(3) *Mapy*, w tym XVI-wieczne mapy Europy Wschodniej ukazujące obszar Polski po zawarciu unii z Litwą, a także historyczne plany miast polskich. Kolekcja liczy łącznie 2.500 map, z czego 500 to mapy miejskie.

(4) *Historia*. Dział ten stanowi ok. 30% poloników Biblioteki Kongresowej i obejmuje opracowania historyczne od średniowiecza do dnia dzisiejszego (w tym ogólne i specjalne bibliografie historyczne, katalogi publikacji Polskiej Akademii Nauk i towarzystw naukowych oraz liczne podręczniki w rozmaitych dziedzinach pomocniczych nauki). Poczesne miejsce w kolekcji historycznej zajmują wydania średniowieczne i nowożytne źródła archiwalne. W Bibliotece znajdują się m.in. najstarsze polskie kroniki (w *Monumenta Poloniae Historica*), *Acta Historica* obejmujące okres od roku 1507 do 1795, *Monumenta Medii Aevi Historica*, *Acta Tomiciana*, 22-tomowe dzieło *Scriptores Rerum Polonicarum*, *Monumenta Poloniae Vaticana*. Dział historyczny zawiera również zbiór wydań dokumentów odnośnie spraw polskolitewskich z lat 1385-1791, materiały z okresu powstania Kościuszkowskiego, dotyczące sprawy polskiej dokumenty z obrad konferencji wersalskiej, materiały odnośnie stosunków polsko-sowieckich od roku 1917. Polskie zbiory historiograficzne Biblioteki obejmują wydania i dokumenty od wieku XV (*Historia Polonicae Libri XII* Jana Długosza), przez *Historie Narodu Polskiego* Adama Naruszewicza, studia historyczne Joachima Lelewela, krakowskiej szkoły historycznej, historyków okresu międzywojennego, aż po współczesne prace historyczne. Biblioteka Kongresowa gromadzi również najważniejsze naukowe czasopisma historyczne wydawane w kraju i na emigracji, a także najróżniejsze czasopisma specjalistyczne i regionalne.

(5) *Rękopisy*. Większość posiadanych przez Bibliotekę Kongresową rękopisów odnoszących się — w całości lub w fragmentach — do Polski i Polaków, to prace o proveniencji amerykańskiej. Zbiory obejmują m.in. materiały dotyczące osiedlenia się w roku 1608 w Jamestown pierwszych polskich imigrantów, korespondencje Pułaskiego i Kościuszki z G. Waszyngtonem, korespondencje Kościuszki i Niemcewicza z T. Jeffersonem, rękopisy z okresu amerykańskiej wojny domowej zawierające wzmianki o udziale Polaków (w tym papiery gen. bryg. W. Krzyżanowskiego), wreszcie listy i notatki Woodrow Wilsona, Roberta Lansinga, Henry White'a z okresu konferencji wersalskiej w sprawie przywrócenia niepodległego państwa polskiego oraz liczne papiery odnośnie spraw polskich po roku 1918 — w tym Williama Orra na temat polskiego szkolnictwa i oświaty i Charlesa Deweya, doradcy finansowego przy rządzie polskim.

(6) *Cimelia*. Wśród wczesnych poloników Biblioteki Kongresowej znajdują się inkunabuły, w tym *Dialogus rationis et conscientiae* Mateusza z Krakowa, wydany w Mainz w roku 1460, najprawdopodobniej przez Gutenberga. W zbiorach polskich Biblioteki znajdują się również książki drukowane przez Stanisława Polaka w Sewilli, przez Jana Hallera oraz przez Kacpra Hochfedera w Krakowie. Kolekcja obejmuje także egzemplarz *Komentarza* do Kosmografii Ptolomeusza pióra Jana ze Stobnicy z roku 1512, stanowiącego pierwszą drukowaną w Polsce książkę

zawierającą wzmiankę o Ameryce. W zbiorach Biblioteki jest również dzieło Marcina Kromera *De origine et rebus gestis Polonorum* (1558), Krzysztofa Warszewickiego *Turcicae quatuordecim* (1595), Reinholda Heidensteina *De bello Moscovito* (1558), a także pierwsze wydanie (1543) Mikołaja Kopernika *De revolutionibus orbium caelestium*. Spośród XVIII-wiecznych druków polskiej Biblioteka posiada m.in. proklamację konfederacji dzikowskiej zwołanej w roku 1735 przez popleczników Stanisława Leszczyńskiego przeciwko Augustowi III, a także apele i proklamacje Tadeusza Kościuszki.

W skład zbiorów polskich wchodzi również około 50 XVI- i XVII-wiecznych poloników hebrajskich, w tym Torat ha-hatat Mojżesza Isserlesa.

(7) *Rząd i stosunki polityczne*. Dział ten obejmuje dokumenty publiczne, prace i sprawozdania rządowe i parlamentarne powstałe w okresie od wieku XVI do dzisiaj. Kolekcja zawiera szczególnie dużo materiałów z konferencji wersalskiej, a także stenograficzne zapisy obrad sejmowych z lat 1922-39, liczne prace politologiczne dotyczące Polski międzywojennej, udziału Polaków w drugiej wojnie światowej oraz obecnego położenia politycznego Polski. Szeroko reprezentowane są również w zbiorach Biblioteki zagadnienia wojskowości polskiej, zwłaszcza w okresie historii najnowszej.

(8) *Prawo*. W skład tego działu wchodzi ok. 6.000 książek z dziedziny polskiego prawodawstwa oraz ok. 80 tytułów czasopism prawnych. Biblioteka Kongresowa posiada m.in. oryginalne wydanie *Volumina Legum*, zawierające akta ustawodawcze z lat 1347-1793. W kolekcji polskiej znajdują się także *Statuty Litewskie* — prawa obowiązujące w litewskiej części Królestwa, spisane w roku 1529 i dwukrotnie modyfikowane w 1566 i 1588. Biblioteka posiada 22-tomowy zbiór *Akt grodzkich i ziemskich* (Lwów, 1868-1935) z okresu 1244-1768. Są także w zbiorach polskiej Biblioteki komplety dwu oficjalnych dzienników ustaw z okresu rozbiorów: 76-tomowy *Dziennik Praw Królestwa Polskiego* i 16-tomowy *Dziennik Praw Rzeczypospolitej Krakowskiej* (1815-1846) oraz komplety międzywojennego *Dziennika Ustaw, Monitora Polskiego* oraz publikowanego we Francji, a następnie w Anglii w okresie drugiej wojny światowej *Dziennika Ustaw*. Dla okresu powojennego Biblioteka posiada pełny zestaw aktów ustawodawczych, kodeksów prawnych oraz współczesne opracowania i studia prawnicze.

(9) *Gospodarka*. Kolekcja zawiera analizy, dane statystyczne i opracowania stanu polskiej gospodarki — generalnie i w rozbiu na poszczególne działy — od roku 1918, a także prace najwybitniejszych polskich ekonomistów okresu międzywojennego (m.in. Feliksa Młynarskiego, Tadeusza Brzeskiego, Edwarda Taylora, Edwarda Lipińskiego, Michała Kaleckiego), jak też publikujących w Polsce po drugiej wojnie światowej (Oscara Langego, Bronisława Minca, Włodzimierza Brusa, Stefana Kurowskie-

go, Andrzeja Karpińskiego, Józefa Pajestki, Kazimierza Socomskiego). Biblioteka Kongresowa gromadzi ponadto polskie czasopisma ekonomiczne.

(10) *Językoznawstwo*. Kolekcja obejmuje XIX- i XX-wieczne prace o charakterze filologicznym i lingwistycznym, w tym studia nad językiem polskim pióra A. Brücknera, J. Baudouin de Courteney, Zenona Klemensiewicza, Tadeusza Lehr-Spławińskiego. Publikacje leksykograficzne obejmują m.in. monumentalny słownik Samuela Lindego, tzw. Słownik Warszawski Karłowicza, Kryńskiego i Niedźwiedzkiego oraz wydany niedawno przez Polską Akademię Nauk 11-tomowy słownik współczesnej polszczyzny pod redakcją W. Doroszewskiego. Studia z zakresu historycznej i opisowej gramatyki języka polskiego reprezentowane są w pracach J. Łosia, Z. Klemensiewicza, J. Szobera, Doroszewskiego, H. Gaertnera, H. Grappina, A. Meilleta, C. Verdianego i wielu innych. Szeroko reprezentowane w Bibliotece są również studia uczonych polskich nad gwarowymi odmianami języka polskiego, a także amerykańskie badania nad językiem polskim, włącznie z materiałami dydaktycznymi dla nauki języka polskiego. Kolekcja obejmuje także sporą liczbę polskich elementarzy wydanych w wieku XIX na użytek amerykańskich dzieci polskiego pochodzenia.

(11) *Literatura*. Obszerny ten dział obejmuje setki wydań polskich dzieł literackich od najwcześniejszych utworów: Mikołaja Reja, Jana Kochanowskiego, Klemensa Janickiego, Łukasza Górnickiego, poprzez literaturę barokową, utwory okresu Oświecenia, literaturę romantyczną — m.in. pierwsze wydania *Konrada Wallenroda* (1828) i *Pana Tadeusza* (1832), dalej utwory pisarzy epoki pozytywizmu, rozmaite kierunki literackie okresu międzywojennego, aż po najnowszą prozę i poezję polską. Biblioteka Kongresowa posiada również bogatą kolekcję przekładów literatury polskiej na język angielski (w tym m.in. mało znany przekład Conrada komedii Bruno Winawera pt. *Księga Hioba* z roku 1931).

(12) *Oświata i Nauka*. Dział ten obejmuje dokumenty i prace z zakresu historii polskiej oświaty, ustawodawstwa, organizacji, programów i reform szkolnictwa. Kolekcja zawiera przewodniki po archiwach i bibliotekach polskich, katalogi uniwersyteckie, sprawozdania z kongresów naukowych itp. Biblioteka gromadzi także czasopisma specjalistyczne z dziedziny polskiej nauki, oświaty i wychowania (posiada m.in. komplet numerów periodyku *Nauka polska* od roku 1918).

(13) *Filozofia i Religia*. Kolekcja zawiera teksty filozoficzne począwszy od wieku XV po czasy współczesne. Dobrze reprezentowany jest zwłaszcza wiek XIX, w tym dzieła Trentowskiego, Libelta, Cieszkowskiego, pisarzy-mesjanistów i filozofów nurtu pozytywistycznego. Biblioteka posiada również prace polskich logików (Ajdukiewicza, Kuratowskiego, Chwistka), a także repre-

zentantów młodszego pokolenia filozofii polskiej (m.in. Stanisława i Marii Ossowskich, Adama Schaffa, Leszka Kołakowskiego). Kolekcja obejmuje też bibliografie i antologie prac i kierunków filozoficznych w Polsce, słownik filozofów polskich oraz czasopisma filozoficzne.

Szeroko reprezentowana w zbiorach Biblioteki Kongresowej jest historia Kościoła katolickiego oraz innych wyznań w Polsce. Kolekcja „kościelna” w zbiorach polskich Biblioteki zawiera m.in. *Historię Kościoła* Józefa Umińskiego, a także prace traktujące o rozmaitych: prawnych, kulturowych, społecznych aspektach życia religijnego w Polsce (m.in. studia P. Dąbkowskiego, S. Barącza, J. Fijałka, Z. Kaczmarka, A. Brücknera, A. Kłoczowskiego).

Historia religii żydowskiej w Polsce reprezentowana jest zarówno w oryginalnych dokumentach (XVI- i XVII-wieczne *Responsa* wydawane w Krakowie i Lublinie), jak i w studiach historyków (M. Bałabana, I. Schipera, Z. Pazdro).

(14) *Sztuka*. Kolekcja obejmuje słowniki polskich artystów, podręczniki historii sztuki polskiej, przewodniki po muzeach i galeriach sztuki, katalogi wystaw artystycznych, reprodukcje dzieł polskich artystów: architektów, malarzy, rzeźbiarzy, twórców ludowych, od średniowiecza do czasów współczesnych, a także prace i studia badawcze w dziedzinie historii sztuki w Polsce.

(15) *Ryciny, Szttychy, Plakaty, Fotografie i Filmy*. Załącznikiem tego zbioru były swego czasu szttychy wchodzące w skład otrzymanej przez Bibliotekę Kongresową kolekcji Gardinera Hubbarda reprezentujące królów polskich oraz inne osobistości, malowane przez artystów szkół flamandzkiej, francuskiej i niemieckiej. Biblioteka posiada również 65 rycin pędzla Jana Norblina, malarza związanego na emigracji z Hotelem Lambert. Dział ten obejmuje także ok. 500 współczesnych plakatów polskich, obszerny zbiór fotografii (lata 1897-1939, druga wojna światowa i okres powojenny) oraz zestaw filmów, w tym niemieckie filmy dokumentalne o Polsce sprzed roku 1939 i z lat 1939-1945, filmy propagandowe przygotowane przez rząd polski w Londynie w okresie drugiej wojny światowej, a także współczesne polskie filmy krótkometrażowe.

(16) *Muzyka*. Kolekcja obejmuje prace z zakresu historii i teorii muzyki polskiej, a także biograficzne dane o polskich kompozytorach (od średniowiecza po współczesność). Biblioteka posiada również facsimila oraz wydania polskich utworów muzycznych z epoki Średniowiecza, Renesansu i Baroku, w tym wczesne kantyczki oraz utwory monograficzne z XVI i XVII wieku (m.in. *Tabulatura* Jana z Lublina, *Offertoria* i *Communiones* Mikołaja Zielińskiego). Kolekcja zawiera także egzemplarze pierwszych polskich oper, liczne wydania *Halki* i *Straszego Dworu* Moniuszki oraz *Harnasi* Szymanowskiego. Wśród kompozytorów najliczniej reprezentowany jest Chopin (Biblioteka jest m.in. w posia-

daniu egzemplarzy pierwszych wydań jego mazurków i walców. Dobrze reprezentowana jest również grupa Młodej Polski, współcześni kompozytorzy polscy, a także XIX- i XX-wieczna muzyka ludowa oraz polska muzyka „etniczna” — utwory nagrane w społecznościach polsko-amerykańskich w Michigan, Wisconsin i Kalifornii. W skład działu muzyki wchodzi również korespondencja i rękopisy utworów kompozytorów polskich, m.in. Paderewskiego, Szymanowskiego, Kasserna, Wieniawskiego i Jareckiego.

(17) *Polacy za granicą*. Dział ten obejmuje dokumentację statystyczną oraz historyczne i współczesne opracowania dotyczące emigracji Polaków do różnych krajów, listy i pamiętniki imigrantów, czasopisma emigracyjne polskie i polonijne, katalogi prasy polskiej za granicą, socjologiczne i antropologiczne studia nad polską grupą etniczną itp.

Tyle o historii i zawartości zbiorów polskich w Bibliotece Kongresu Stanów Zjednoczonych. Podkreślić trzeba również znaczenie prac badawczych i wieloletniej działalności popularyzatorskiej dr Janiny Hoskins, „polskiego eksperta” w Dziale Europejskim Biblioteki. Dr Hoskins jest autorką wielu bibliograficznych opracowań poloników w Stanach Zjednoczonych, z których najciekawsza bodaj i najoryginalniejsza jest praca *Early and Rare Polonica of the 15th-17th Centuries in American Libraries. A Bibliographical Survey* (Boston, 1973). Opracowanie to — pierwsze w swoim rodzaju na kontynencie północnoamerykańskim — zawiera 1.230 pozycji sponad 150 bibliotek amerykańskich.

Wkrótce po objęciu stanowiska kustosa zbiorów polskich dr Hoskins zorganizowała pierwszą polską wystawę w Bibliotece Kongresowej, poświęconą życiu i twórczości Adama Mickiewicza (1955, w stulecie zgonu poety). Kolejne wystawy przygotowane przez J. Hoskins poświęcone były: Millenium Chrześcijaństwa w Polsce (1966), Polskiemu Folklorowi w Literaturze i Sztuce (1970), Mikołajowi Kopernikowi (1973), Tadeuszowi Kościuszce (1976) i Ignacemu Paderewskiemu (1981). Prócz tego P. Hoskins — niejako z urzędu bierze udział — najczęściej z odczytami na temat zbiorów polskich w Bibliotece Kongresowej — w amerykańskich i międzynarodowych konferencjach naukowych poświęconych historii i kulturze narodów Europy środkowej i wschodniej. Co kilka lat, jako wysłannik Biblioteki Kongresowej, dr Hoskins składa też wizyty w Polsce dla podtrzymania kontaktów z polskimi bibliotekami, uniwersytetami i instytucjami wydawniczymi (w roku 1978 negocjowała m.in. polsko-amerykańskie porozumienie PL-480 regulujące tryb spłaty polskich długów wobec Stanów Zjednoczonych dostawami książek dla Biblioteki Kongresowej i kilkunastu innych amerykańskich bibliotek naukowych).

Włodzimierz Bukowski

Marszałek Piłsudski zauważył kiedyś, że za kulisami rosyjskiego życia politycznego i społecznego zawsze kryje się takie czy inne więzienie. Uwaga ta — dotycząca w oryginale Rosji carskiej — jest wciąż jeszcze (czy wręcz: coraz bardziej) aktualna i losy Włodzimierza Bukowskiego potwierdzają ją raz jeszcze. Bukowski jest jednym z najlepiej znanych na Zachodzie dysydentów, choć dodać trzeba, że rozgłos swój zawdzięcza on tutaj nie tyle swym wieloletnim tułaczkom po sowieckich więzieniach i „klinikach” polityczno-psychiatrycznych, co nagłej i niespodziewanej wymianie na Luisa Corvalana, przywódcę chilijskich komunistów. Wymiana ta odbyła się w grudniu 1976 na lotnisku w Zurychu, na które dostarczono Bukowskiego specjalnym samolotem Aerofłotu, skutego i pod eskortą. Z typową dlań dezynwolturą i rzeczowością Bukowski w pierwszym wywiadzie dla prasy zachodniej — jeszcze na lotnisku w Zurychu — odpowiedział na pytanie, jakie były jego wrażenia w czasie podróży, następująco: „No, miałem dużo czasu, więc obejrzałem dokładnie kajdanki jakie miałem na rękach. Odkryłem na nich napis: *Made in U.S.A.*”. Ostatnia książka Bukowskiego, o której chcę tu napisać obszerniej, traktuje o Zachodzie i jest w pewnym sensie rozwinięciem tej pierwszej obserwacji. Zanim jednak przejdę do właściwego tematu, przypomnę w skrócie główne punkty życiorysu autora.

Bukowski urodził się w 1942 i z „kulisami życia społecznego” w Rosji zetknął się już w gimnazjum: za współudziału w nielegalnej gazetce, pisanej ręcznie w kilku egzemplarzach i — bardzo stosownie — zatytułowanej *Меченик* został wydalony ze szkoły ze współczesnym odpowiednikiem wilczego biletu i oczywiście dostał się w krąg podejrzanych i obserwowanych. W czasie jednej z rewizji w 1963 KGB znalazło u niego w domu kopię pracy Dżilasa *Nowa klasa*; reszta potoczyła się już gładko. Za posiadanie tej obrazoburczej książki Bukowski został na kilkanaście miesięcy zamknięty w „klinikę specjalną”. Jak tam wyglądało w środku Bukowski miał okazję opowiedzieć w 1970 roku korespondentowi amerykańskiej *Washington Post*; przytaczam fragment:

W celi miałem dwóch towarzyszy — starego Ukraińca-nacjonalistę, który siedział tam już od 17 lat i obłąkańca, który zamordował własne dzieci, a potem obciął sobie uszy. Ukraińiec spędzał czas na domaganiu się ciągłym rykiem niepodległości Ukrainy, zaś morderca siedział cicho i cały czas się uśmiechał.

„Opiekunami” w tym zakładzie byli przestępcy kryminalni;

bicie i administrowanie zastrzyków wywołujących potworny ból należało do normalnych zabiegów. Bukowski w tym samym wywiadzie opowiedział o różnych innych swoich przejściach (m.in. o łągrze pod Woroneżem, w którym jakiś czas siedział), gdyż w międzyczasie był jeszcze aresztowany za protest przeciw skazaniu Siniawskiego i Daniela w 1966 roku. Wywiad podpisał pełnym imieniem i nazwiskiem, z podaniem dokładnego adresu. Skutki oczywiście nie dały na siebie czekać — za powyższy wywiad i kilka drobniejszych deliktów tego rodzaju (kontakt z cudzoziemcami) Bukowski został skazany 5 stycznia 1972 na 7 lat łągru *plus* (potem) 5 lat przymusowego osiedlenia; łącznie 12 lat pozbawienia wolności (podstawa: § 70 sowieckiego kodeksu karnego: „oszczerstwo i wroga propaganda”). Siedział tym razem „tylko” cztery lata, bo jednak jego sprawa wywołała na Zachodzie sporo szumu i niewygodnych dla sowieckich władz publikacji (np. Corneli Gerstenmaier „*Władimir Bukowskij. Der unbequeme Zeuge*”, Stuttgart 1973).

Po przyjeździe na Zachód Bukowski był przez pewien czas tematem aktualnym i bohaterem dnia, a później — jak było do przewidzenia — wszedł do galerii pozostałych dysydentów tu się znajdujących, o których w zachodnich „kołach postępowych” zwykło się mówić w tonie „*no tak, ale oni są tacy nieobiektywni!*”. A *propos* tego sposobu załatwiania ich na odległość (bo niewątpliwie jest to „sposób”, należący do nie całkiem spontanicznej akcji uspokajająco-ogłupiającej na użytek zachodnich *polieznych idiotow*, jak ich nazywał w chwilach szczerości tow. Stalin) Bukowski zauważył w swej ostatniej książce, że jest to dokładnie ten sam zarzut, który można wysunąć przeciw Żydowi, który cudem ocalał z Oświęcimia: „No tak, Pan osobiście dużo wycierpiał, więc Pan *nie potrafi* obiektywnie i rzeczowo odnieść się do Hitlera”.

Wspomniana ostatnia książka nosi tytuł „*Ach, ta dokuczliwa wolność. Listy rosyjskiego dysydenta do mieszkańców Zachodu*” — parafrazuję tytuł francuskiego tłumaczenia („*Cette lancinante douleur de la liberté. Lettres d'un résistant russe aux Occidentaux*”, R. Laffont 1981), bo nie mam niestety oryginału. Jest to druga książka tego autora po jego przybyciu na Zachód; pierwsza — rodzaj autobiografii — powstała w ciągu pierwszych kilku miesięcy po sławetnej wymianie i nosi tytuł „*Na nowo wiatr...*” (*I wozwraszczajetsia wieter...*, YMCA-Press, Paryż 1977).

Głównymi cechami charakteru i umysłu Bukowskiego są — poza odwagą — rzeczowość, inteligencja i poczucie humoru. Dodam tu od razu, że sposób, w jaki urządził swe życie na Zachodzie, również o tym świadczy: zamiast stać się jeszcze jednym specjalistą od spraw rosyjskich i niczym więcej, 35-letni Bukowski po załatwieniu najważniejszych spraw bytowych dla swej rodziny (na jego kategoryczne żądanie władze sowieckie zgodziły się na wypuszczenie ciotki-staruszki i kilkunastoletniego siostrzeńca: odpowiedników matki i syna tego ciągłego więźnia) zapisał się na normalne studia uniwersyteckie (biologia, Cambridge).

Ostatnia książka też o tym świadczy: jest to bystre, złośliwe i zarazem logiczne podsumowanie jego czteroletnich obserwacji nad Zachodem, a szczególnie nad tutejszymi postępowcami-defetystami, o których pisze z nieukrywaną pogardą („...stylizują się starannie na proletariuszy, choć najcięższym przedmiotem jaki kiedykolwiek podnieśli w życiu była kromka chleba z masłem...”). Oficjalnie ludzie ci są klasyfikowani — a przynajmniej sami się tak klasyfikują — jako „siły postępu, pokoju i socjalizmu”; hałas jaki podnoszą utwierdza przywódców sowieckich w mało dla zachodniej Europy pochlebnym (i nic dobrego nie wróżącym) przekonaniu, że — jak to zwięźle ujmuje Bukowski — „ludzie tam nie chcą się bić [o swoją wolność] i w razie czego bić się nie będą”. Stwierdzenie to wyjaśnia gorzką ironię tytułu książki.

Książka Bukowskiego zawiera szereg prostych stwierdzeń, które dla czytelnika polskiego są oczywiste, a dla zachodniego — niewygodne, bo zakłócające błogi spokój. Niewygoda ta transponuje się w rodzaj ideologii ochronnej, która na zewnątrz wyraża się tzw. postawą postępową, czyli odrzucaniem oczywistych, a niepokojących stwierdzeń jako „symplicystycznych, reakcyjnych i pełnych uprzedzeń”. Większość prasy zachodniej opanowana jest przez tego rodzaju postępowców i sprawy zaszyły już tak daleko, że nawet pisma stosunkowo rozsądne *boją się* pisać o tym zbyt dużo, by nie otrzymać lawiny listów protestacyjnych od zawsze czujnych „sił postępu i pokoju”. Czytelnicy, którzy z Bukowskim się zgodzą, zazwyczaj listów do gazet nie pisują — niestety.

Przegląd treści „Listów” Bukowskiego można zorganizować według wspomnianego „reakcyjnego” schematu, oddając jak najczęściej głos jemu samemu. A zatem — *ad* „symplicyzm”:

Każdy sowiecki funkcjonariusz nieco wyższego szczebla musiał, zanim się nań wspiął, pograć się dokumentnie dziesiątki innych konkurentów, o ile nie wręcz wspiąć się po trupach; w tym celu musiał opanować wszystkie arkana podłości i perfidii ... Tak więc, psychologicznie i typologicznie biorąc są to kryminaliści, warunkami sukcesu których są podstęp i rutyna... Pięćdziesiąt lat historii stosunków pomiędzy krajami demokratycznymi a Związkiem sowieckim z uderzającym podobieństwem odzwierciedla stosunki panujące w łagrach — pomiędzy „jeleniami” a „urkami” [zawodowymi przestępcami]. Ci pierwsi byli zawsze systematycznie rabowani i maltretowani we wszystkich więzieniach etapowych... I w jednym i w drugim wypadku zaobserwować można tę samą naiwną wiarę w wykręcenie się sianem za pomocą płacenia okupu i schlebienia przeciwnikowi. ... Aby skutecznie pertraktować z Sowietami świat zachodni zrobiłby dobrze, gdyby zamiast zawodowych dyplomatów z harwardzkimi dyplomami wyznaczył na ich miejsce doświadczonego szeryfa z Chicago, obeznanego dokładnie z mentalnością przestępców.

Na temat polityków u władzy (książka pisana była jeszcze przed wyborem Reagana) Bukowski wypowiada się podobnie: „...z wyjątkiem Sadata, Papieża i pani Thatcher poziom zawodowy polityków zachodnich jest alarmująco niski...”, na skutek czego „polityka szaleńczych ustępstw sprawiła, że dyktat sowiecki

jest już dziś wyczuwalny w całej Europie”. Zauważmy, że dwie z wymienionych przez autora osób stały się w międzyczasie celem zamachów.

„Grzech nr 2” Bukowskiego, czyli „reakcyjność” — tak jak jest ona rozumiana przez tutejszych postępowców — ujawnia się w jego niechęci do socjalizmu i tęsknocie za kapitalizmem. Tęsknocie, bo — oddajmy mu znów głos:

...być może cztery lata są okresem zbyt krótkim, ale dotychczas nie udało mi się na Zachodzie odkryć kapitalizmu. Z pewnością, nikt nie zabrania wam otwarcia sklepika, ale to nie jest też zakazane w Polsce czy Jugosławii. Nawet w ZSSR można mieć prywatny warsztat szewski. Nikogo to jeszcze nie wzbogaciło, ani tu, ani tam. Nigdy nie słyszałem o przemysłowcu, który by się wzbogacił. Przeważająca większość obecnych nowobogackich to ludzie należący do *show-business*’u: piosenkarze, muzycanci, autorzy tekstów, aktorzy, futbaliści, a także ich impresariowie i adwokaci, antykwariusze i handlarze przedmiotami zbytku, właściciele obiektów sportowych i sal gry... Przemysł od dawna jest kopciuszkiem i ofiarą państwa, przemyślnych przepisów, urzędów podatkowych i związków zawodowych. Przedsiębiorstwa są albo własnością państwa, albo towarzystw akcyjnych. Wszystko to prowadzi do podobnych rezultatów jak w ZSSR, to znaczy „zbiorowej nieodpowiedzialności”, braku motywacji pracy u robotników i urzędników, nieopłacalności i złej jakości.

Mimo wszystko poziom życia na Zachodzie uważa Bukowski za wielokrotnie przewyższający poziom „ojczyzny proletariatu”, toteż do pasji doprowadzają go przejawy naiwności czy też marksistowskiego zaślepienia, np. demonstracja dobrze ubranych i odżywionych pielęgniarek włoskich z transparentem głoszącym: „Domagamy się tych samych warunków pracy co pielęgniarki w ZSSR” (Bukowski: „życzę im szczerze, żeby sobie trochę pomieszkały po sześć w jednym pokoju, na głodowej pensyjce!”). Na obficie produkowanej tu literaturze marksistowskiej winny być, jego zdaniem, umieszczane podobne napisy jak obowiązkowe nadruki na opakowaniach papierosów typu „Palenie może szkodzić zdrowiu” — w danym wypadku Bukowski proponuje następujący tekst: „Uwaga, teoria ta została wypróbowana w praktyce, w wyniku czego ok. 60 milionów ludzi straciło życie”.

Cała książka Bukowskiego jest próbą uświadomienia Zachodowi, że Sowiety *rzeczywiście* mu zagrażają i już zdołały go wmanewrować w fałszywą alternatywę: „niewola albo wojna”. Fałsz polega tu na przekonaniu, że adekwatne uzbrojenie i zdecydowana postawa Zachodu są równoznaczne z wojną; przekonanie to jest intensywnie szerzone wśród i przez liczne rzesze defetystów, którzy pocieszają się na dwa sposoby: że utrzymanie „odprężenia” (z którego w istocie nic już nie pozostało) załagodzi sytuację, albo też że — w najgorszym razie — Europa zachodnia wypracuje „własną drogę do komunizmu”. Na temat pierwszego złudzenia Bukowski przypomina, że śp. *détente* lat siedemdziesiątych *nie* była pierwszą w historii stosunków sowiecko-zachodnich, a jej prawdziwy cel był nieco inny, niż się to wydaje prostolinijnym (i bojaźliwym) entuzjastom: „Kiedy chce się zła-

mać kawałek stalowego drutu, trzeba go kilka razy zgiąć w jedną i drugą stronę — wtedy sam trzaśnie". A propos drugiej iluzji Bukowski zauważa: „Gdy sprawy zajdą już tak daleko, to nie pp. Marchais i Berlinguer będą decydowali o tym jak ma wyglądać nowy ustrój, tylko pp. Czerwonienko, Ponomarew i Susłow”.

Z przytoczonych cytatów widać, że Bukowski pisze „nieobiektywnie” — automatyczny „grzech nr 3” — i że książka jego została przyjęta niechętnie przez szerokie koła „postępu, pokoju i socjalizmu” na Zachodzie. Fakt, że on sam cudem wyrwał się z kleszczy systemu o którym pisze i że wie jak on wygląda, niewiele tu zmieni, bowiem aroganckie besserwisserstwo zachodniej lewicy płynie z uczuć: frustracji, niepewności i — być może — nadziei na władzę, a uczucia zazwyczaj zwyciężają w walce z rozumem. Przynajmniej w pierwszej fazie. Dobrze, jak na razie, że książka w ogóle mogła się ukazać.

M. BROŃSKI

Tito i Dżilas

UWAGI I KOMENTARZE DO OSTATNIEJ KSIĄŻKI DŻILASA¹

Tito i Dżilas to dwie przeciwstawne strony jugosłowiańskiego równania. To władca i heretyk. To polityk i człowiek idei. To kult jednostki i człowiek rozkochany w królewskim wprost przeprychu i jego dwukrotny więzień stanu. To autokrata i jego przeciwnik. To szef partii i jeden z jego najbliższych współpracowników. To układny pół-Chorwat pół-Słoweniec i dumny, uparty i twardy Czarnogórzec. To zderzenie pomiędzy mężem stanu przeświadczonym o swym wielkim historycznym posłannictwie i rozczarowanym rewolucjonistą i wiecznym buntownikiem. To przywódca „nowej klasy wyzyskiwaczy” i jej wysoko postawiony odszczepieniec i nieubłagany krytyk². To starcie pomiędzy „centralizmem” reprezentowanym przez Tito i „demokracją”, której rzecznikiem po zerwaniu z komunizmem stał się Dżilas. To uwielbiany niegdyś „Stary” i ukochany „Dżida”³, o którym mó-

wiono, że kiedyś zostanie następcą Tito. To wreszcie titoizm i jego zaprzeczenie. To dwie postacie, które od dawna już przeszły do historii. Tito jako twórca i niepodzielny władca powojennej Jugosławii, której zapewnił pełną niepodległość i suwerenność; Dżilas jako nieustraszony krytyk rządów partyjnego aparatu.

Czytając książki Dżilasa warto o tym pamiętać.

Zdaniem Dżilasa Tito był utalentowanym politykiem pozbawionym jednak wszelkich innych zalet i przymiotów. Co więcej, stale prześladowanym przez różnego rodzaju sprzeczności i paradoksy, którym autor miał okazję dobrze się przyjrzeć w czasie swej długiej współpracy z nim w latach 1937-1954. Przez 10 lat — 1944-1954 — Dżilas należał do kwartetu Tito-Kardelj-Rankovic- i on, który rządził Jugosławią. To co nam Dżilas daje w swojej książce jest portretem Tito z tego okresu. Nie jest to jego biografia, ale ważny do niej przyczynek.

Dżilas słusznie podkreśla iż Tito, pomimo że pochodził z ludu, nie stronił od królewskich wprost splendorów władzy i przepychu, kochał luksus i piękne kobiety, u których miał duże powodzenie. Wokół siebie tolerował jedynie ślepych wykonawców swej woli i układnych dworzan. Niemniej w momentach kryzysu umiał identyfikować się z interesami aparatu partyjnego, gdyż dobrze rozumiał iż bez jego lojalnej współpracy nie mógłby rządzić państwem, w którego skład wchodzi siedem różnych narodowości — Serbowie, Chorwaci, Słoweńcy, Czarnogórcy, Macedończycy i Albańczycy — wyznających trzy odmienne religie: prawosławną, katolicką i muzułmańską. Jugosławia to istna mozaika trudnych do pogodzenia narodowości, kultur, religii i języków, z której Tito przy pomocy partii chciał uczynić jednolity twór państwowy i gospodarczy w imię zasady „bractwa i jedynstwa” oraz federacji. Tito, chociaż był marksistą-leninistą, głęboko wierzył w rolę jednostki jako siły motorycznej historycznego postępu.

Dla wzmocnienia swych rządów i pozycji Tito często wygrał wojsko przeciw policji i na odwrót. W oparciu o kontrwywiad wojskowy ukrócił w 1965 roku wpływy panoszącej się Udby (Bezpieki) i wyeliminował z władz jej szefa Aleksandra Rankovica. Takich posunięć nie powstydziliby się sam Machiavelli, którego Tito był pod wieloma względami idealnym uczniem, działającą w kluczowych rozgrywkach z siłą lwa i przebiegłością lisa, pomimo swych wszystkich wad i słabostek.

Tito eliminował swych ewentualnych rywali zdecydowanie i szybko, ale nie pozbawiał ich życia. Zarówno Dżilas jak i Rankovic żyją do dzisiaj w Jugosławii. Nawiasem mówiąc Dżilas pisze, iż Rankovic najprzystojniej zachowywał się wobec niego, gdy wyrzucono go z partii.

Dżilas ostatecznie zerwał z Tito, gdyż sądził iż po śmierci Stalina przestał się on interesować reformami społeczno-gospodarczymi, a zabiegał głównie o umocnienie swej własnej pozycji jako głowy partii i państwa, oraz o unormowanie stosunków

1. M. Dżilas: *Tito: The Story from Inside*, Weidenfeld & Nicolson 1981, str. 185.

2. M. Dżilas: *Nowa Klasa Wyzyskiwaczy*, Paryż 1957, str. 221.

3. Partyjne przydomki Tity i Dżilasa używane przez członków elity jugosłowiańskiej.

z Moskwą. Tito szedł na reformy tak długo, jak długo były one konieczne i nie zagrażały kierowniczej roli partii ani nie niszczyły aparatu. Tymczasem Džilas myślał już o rozpedzeniu aparatu i utworzeniu w Jugosławii oficjalnej opozycji jako gwarantki dalszej demokracji i liberalizacji. To też zadecydowało o wyrzuceniu go z partii. Do więzienia trafił jednak dopiero w 1956 roku jako jedna z głównych ofiar zbliżenia jugosłowiańsko-sowieckiego.

Autor ma rację gdy pisze, iż Tito umiał zaskarbić sobie wdzięczność szerokich mas, gdyż robotnikom dał wyższy niż przed wojną poziom życia, a chłopom pozwolił zachować ziemię. Jugosłowiański chłop bronił się przed kolektywizacją z zaciętością polskiego chłopca. Religię tolerował, póki nie zagrażała partii i jej rządowi.

Tito był urodzonym i rasowym politykiem, który politykę uważał za „wielką kurwę”. Džilas uważa politykę, podobnie jak Platon i Arystoteles, za najwyższą formę ludzkiej działalności, która ma zapewnić społeczeństwu sprawiedliwość i szczęście. To też musiało stać się kością niezgody pomiędzy „Starym” i „Dzidą”, który był i jest jaskrawym zaprzeczeniem polityka, do czego sam zresztą się przyznaje i w czym upatruje swoją klęskę.

Jak to świetnie ujął autor „Księcia” — „uzbrojeni prorocy zwyciężają, bezbronni giną”. Nie dodał jednak, iż ich ideologie zostają i często wchodzi do programu ich zwycięzców.

Podobnie ma się rzecz z ideami Džilasa, z których wiele weszło do oficjalnych jugosłowiańskich programów⁴, chociaż on sam nie stał się szefem opozycji w swoim kraju.

Zdaniem Džilasa Tito był obdarzony władczą naturą, wielkim politycznym instynktem i dużą dozą charyzmy, ale niczym więcej. Zawsze czuł się odpowiedzialny za losy partii i państwa. Był słabym mówcą, chociaż lubił przemawiać. Jego wykształcenie pozostawiało wiele do życzenia. Słabo znał klasyków marksizmu-leninizmu, z którymi zapoznał się w więzieniu i w szkole kominternu w Moskwie. Literaturą piękną nie interesował się w ogóle. Po wojnie z braku czasu czytał niewiele. Jego ulubioną lekturą były raporty Udby. Języków obcych poza niemieckim właściwie nie znał. Źle mówił nawet po serbo-chorwacku. Był pozbawiony talentów dowódczych. Słabo znał się na wojsku. W czasie wojny dbał o własne bezpieczeństwo. Miał jednak silną wolę zwycięstwa, nie zrażał się niepowodzeniami. Uwolnił swoich partyzantów od kompleksu niższości wobec Niemców⁵.

Od wczesnej młodości pragnął się wybić. Był urodzonym buntownikiem. Utożsamiał się z rewolucyjno-mesjanistyczną rolą proletariatu, ale nie czuł specjalnego nabożeństwa i poważania dla robotników.

4. O szczegóły patrz: *Program Związku Komunistów Jugosławii*, Paryż 1957, str. 273.

5. Džilas wspaniale opisuje walki partyzantów z Niemcami w swej pracy pt. *Wartime*, Londyn 1977, str. 469.

Ludzi, którzy kwestionowali jego rządy i politykę traktował jako wrogów partii.

Sekretarzem partii został w 1937 roku, w szczytowym punkcie „wielkiej czystki” i „wielkiego strachu”. Był wtedy lojalnym i zdyscyplinowanym stalinowcem. Inaczej sam padłby ofiarą czystki, która zdyscyplinowała kierownicze szeregi KPJ. Istniały obawy, że KPJ podzieli losy KPP. Po czystce KPJ i jej kierownictwo było stalinowskie. Zdaniem Tito Stalin uwolnił KPJ od największego dla niej niebezpieczeństwa — frakcjonistów. „Ludzie ci powinni dostać po głowie”, wyraził się Tito w 1948 roku, „ale nie należy ich stracić”.

Rola Tito w czystkach ograniczała się do atakowania *post factum* aresztowanych już przez NKWD towarzyszy.

Po powrocie z ZSSR w 1937 Tito utrzymywał żywy kontakt z Moskwą i sowieckim wywiadem. O stosunkach sowiecko-jugosłowiańskich do ataku niemieckiego w 1941 roku członkowie Politbiura wiedzieli tyle, ile mówił im Tito.

Od 1939 roku partia, licząca 12.000 członków, była niezależna finansowo od Moskwy, co było rzeczą niezmiernie ważną. Różnice pomiędzy Tito i Moskwą zaczęły występować w czasie wojny, ponieważ trudno było pogodzić interesy wielkiej potęgi z interesami małego państwa. Tito radził się Moskwy, ale często działał samodzielnie, co wywoływało jej ostre sprzeciwy.

Kult Stalina pozwolił mu na uprawianie własnego kultu i własnej linii politycznej, co bardzo wzmocniło jego pozycję w czasie konfliktu z ZSSR. Pomogło to zwiększyć niezawisłość Jugosławii.

Do zerwania z Moskwą w 1948 roku doszło powoli i stopniowo. Wywołało ono jednak wielki psychiczny i ideologiczny wstrząs w całej KPJ. Było ciężkim ciosem dla wszystkich. Pomimo to Tito nie załamał się i w czasie sporu odegrał historyczną rolę — wyprowadził KPJ z kryzysu i nie skapitulował wobec Stalina. Stopniowo doprowadził do ukształtowania się „titoizmu”, czy jak kto woli „narodowego komunizmu”, co wywarło wielki wpływ na rozwój wypadków w prawie wszystkich kadeelach po śmierci Stalina. Chociaż Džilas o tym nie pisze, nie ulega kwestii, iż „jugosłowiański model” i „droga do socjalizmu” w pewnym przynajmniej stopniu inspirowała partyjnych reformatorów w Polsce, na Węgrzech i w Czechosłowacji. Działo się to jednak już po rezejsji się Tito z Džilasem. W tym czasie Džilas nie wierzył już w możliwość zreformowania i zliberalizowania komunizmu i propagował powstanie w Jugosławii systemu wielopartyjnego. Twardo już stał na antykomunistycznych pozycjach.

Z książki tej jasno wynika, iż Džilas prawie do końca — do 1954 roku — uwielbiał Tito, że zerwanie z nim było dla niego ciężkim i bolesnym przeżyciem i że jego późniejsze prace powstawały w pewnym przynajmniej stopniu pod wpływem tej wielkiej, zawiedzionej miłości. Autor stara się pisać o Tito spokojnie i obiektywnie. Niemniej portret Tito, który nam daje, siłą rzeczy jest jednostronny i nie całkowicie wierny. To wizerunek

widziany przez ucznia Tito a zarazem jego surowego krytyka, który wziął z nim rozbrat, gdyż titowska codzienna rzeczywistość przestała odpowiadać jego snom i marzeniom, w imię których został komunistą i o które przez wiele lat bezkompromisowo walczył, aby wreszcie stać się ich ofiarą.

Jan CIECHANOWSKI

Zapomniana wojna

W grudniu 1981 roku upłynęły dwa lata od dnia, kiedy armia sowiecka wkroczyła do Afganistanu. W prasie sowieckiej umilkły już wzmianki o Afganistanie. I prasa zachodnia milczy o dalekim azjatyckim kraju. W rocznicę zapomnianej wojny ukazały się dwie książki.

Pierwsza to „Prawda o Afganistanie. Dokumenty, fakty, świadectwa” (AP Nowosti 1980). Już na jednej z pierwszych stronic czytamy: „Rozumie się, że nie było nigdy i nie ma żadnej sowieckiej 'interwencji' czy 'agresji'”. W drugiej książce¹ mowa jest o tym, jak ludność Afganistanu niemal jak jeden mąż wystąpiła przeciw ustrojowi sowieckiemu, wspieranemu przez czołgi, helikoptery i 85 tysięcy żołnierzy. Pierwsza książka ukazała się w Moskwie w nakładzie 200 tysięcy i nazywa się naturalnie „Prawda o Afganistanie”. Drugą wydano w Paryżu pod tytułem „Raport o afgańskim ruchu oporu”. W Moskwie opublikowano punkt widzenia okupanta. W Paryżu opisano to, co się naprawdę dzieje w Afganistanie.

27 grudnia 1979 roku wojska sowieckie po raz pierwszy od czasu wojny naruszyły przyznaną ZSSR w Jałcie granicę wpływów i wtargnęły do Afganistanu. W tym okresie wybuchło żywiołowe powstanie przeciw reżymowi, wprowadzonemu w kwietniu 1978 roku przez afgańskich komunistów. Interwencji zlikwidowali prezydenta Amína, który rzekomo wezwał armię sowiecką, i posadzili na jego miejsce przywiezionego z Moskwy Babraka Karmala.

Opór przeciw reżymowi istniejącemu tylko z łaski interwencji ogarnął cały kraj. Gérard Chaliand, który od 1964 roku studiuje wojny partyzanckie we wszelkich ich formach i we wszystkich zakątkach świata, pojechał do Afganistanu na polecenie londyńskiego Międzynarodowego Instytutu Badań Strategicznych. „Raport o afgańskim ruchu oporu” to owoc dwóch podróży do Afganistanu — latem i późną jesienią 1980 roku. W niedużej książce — 159 stron — autor dał historyczny przegląd i analizę

1. Gérard Chaliand, *Rapport sur la résistance afghane*. Paryż 1981.

społecznej i demograficznej struktury Afganistanu, zwięźle ale bardzo szczegółowo opisał główne ugrupowania prowadzące wojnę z okupantem, strategię Związku Sowieckiego i afgańskiego ruchu oporu.

Od połowy XIX wieku Afganistan był państwem buforowym: do 1917 roku oddzielał od siebie dwa imperia (brytyjskie i rosyjskie), a po rewolucji oddzielał ZSSR od Zachodu. Interwencja sowiecka naruszyła *status quo*. Gérard Chaliand wtargnięcie armii sowieckiej rozpatruje nie tylko jako „etap na drodze stopniowego podminowywania pozycji przeciwnika przy każdej nadarzającej się sposobności”, ale także jako „katalizator końca epoki odprężenia”.

Autor „Raportu” przekonująco wyjaśnia, dlaczego „rewolucja kwietniowa” 1978 roku nie mogła się udać. Z tych samych powodów, dla których nie udają się komunistyczne przewroty w innych krajach: objąwszy władzę, komuniści afgańscy postanowili trzymać się sprawdzonego schematu, czyli powtórzyć model sowiecki. Przede wszystkim ogłosili reformę rolną. W warunkach afgańskich reforma rolna „typu leninowskiego” dała władzy same kłopoty: w kraju tym jest dużo ziemi, ale zważywszy strukturę geograficzną i klimatyczną tego rejonu, chłopom nie po ziemi, jeśli nie ma wody. A nie można było dać wody chłopom, którym dano ziemię, bo wody nie było. Pierwsze posunięcie rządu rewolucyjnego — dekret o ziemi! — było zatem ważnym krokiem na drodze do rozbicia podstaw gospodarki afgańskiej, podziału ziemi właśnie. Potem komuniści przypuścili szturm na religię, stare obyczaje, stary sposób życia. Minęło zaledwie kilka miesięcy od rewolucji, a nowa władza mogła się utrzymać jedynie przy pomocy sowieckich czołgów.

Gérard Chaliand pyta: dlaczego Związek Sowiecki zdecydował się na okupację Afganistanu? Po pierwsze dlatego — odpowiada — że chciał podtrzymać reżym komunistyczny. Ale strategiczny sens interwencji jest znacznie głębszy. Armia sowiecka stanęła na granicy Pakistanu, znajduje się więc kilkaset kilometrów od Oceanu Indyjskiego. ZSSR okrąża teraz Iran nie tylko od północy, ale i od wschodu. W chwili kiedy Iran znajduje się w fazie przejściowej a Pakistanem targają bardzo poważne trudności wewnętrzne, armia sowiecka zajęła jedyną dogodną pozycję strategiczną. Autor „Raportu” podkreśla, że stało się to możliwe dzięki upadkowi szacha Iranu i kryzysowi, jaki przeżywały Stany Zjednoczone po wojnie wietnamskiej.

Gérard Chaliand uważa, że przywódcy sowieccy nie spodziewali się ogólnonarodowego oporu w Afganistanie. Nie wzięli pod uwagę historii: w odróżnieniu od większości krajów Azji i Afryki, Afganistan nigdy nie był kolonią; w dwóch wojnach pobił — w XIX wieku — armię angielską; społeczeństwo afgańskie hołduje niemal bez wyjątku — czym także różni się od większości krajów trzeciego świata — tradycyjnym formom życia.

Autor „Raportu” dostrzega słabości afgańskiego ruchu oporu: jego rozbicie, niezdolność do pojednania, które tłumaczy wciąż

niewygastymi różnicami etnicznymi, plemiennymi i religijnymi. Ale w tym rozbiciu jest i siła. Wojska sowieckie mają przeciw sobie wiele ognisk walki, których nie sposób zlikwidować zmasowanym uderzeniem. Główne atuty afgańskiego ruchu oporu to poparcie ogromnej większości ludności i nieugięta wola walki.

Strategia wojsk sowieckich, liczących nie mniej niż 80 tys. żołnierzy i oficerów, polega na zapewnieniu sobie kontroli nad miastami i głównymi drogami. Zadanie to żołnierze sowieccy muszą spełniać sami — armia afgańska, licząca w 1978 roku 80 tys. żołnierza, stopniała (w okresie kiedy powstał „Raport”) do połowy. Taktyka sowieckich strategów jest tradycyjną taktyką okupantów: część ludności zmusza się do emigracji (pod koniec 1981 roku na ok. 17 milionów Afgańczyków ok. 2 miliony żyły na emigracji); chłopów zagania się do miast, gdzie łatwiej ich kontrolować; bezustannie usiłuje się szczerć jedne plemiona na drugie.

Gérard Chaliand uważa, że celem Moskwy jest przekształcenie Afganistanu w nową Mongolię, tzn. protektorat nierozzerwalnie związany z imperium.

Wydana w Moskwie „Prawda o Afganistanie” nie przestaje powtarzać: pokój, pokoju, pokojem. Autor „Raportu o afgańskim ruchu oporu” kończy swą książkę zatrważającym wywodem: „W chwili obecnej Związek Sowiecki ma przewagę wojskową zarówno w dziedzinie broni konwencjonalnej jak i w dziedzinie broni nuklearnej. Biorąc pod uwagę wysiłki Stanów Zjednoczonych, Związek Sowiecki zachowa tę przewagę przez jeszcze kilka lat, najwyżej do 1984 roku. Byłoby dziwne, gdyby nie starał się wykorzystać swej przewagi, nawet jeśli oznacza to kalkulowane ryzyko. Właśnie dlatego wojskowa machina ZSSR jest dziś najważniejszym problemem w stosunkach międzynarodowych”.

Można do tego dodać, że 1982 rok zaczyna się w sposób budzący trwogę: dwa kraje komunistyczne prowadzą wojny zaczepne przy pomocy własnych wojsk: Wietnam w Kambodży, Związek Sowiecki w Afganistanie.

Adam KRUCZEK

Nadesłane nowości wydawnicze

Słowo na storożi. Str. 24. Orhan Towyarystwa Płekannia Ridnoji Mowy. Nr 19/1981. (Wyd. Ukrainian Language Ass., Ottawa).

Bajawaja Uskałos'. Byelorussian Literary Magazine. Nr 18. (Wyd. Literaturnaja Sustań „Bajawaja Uskałos”, Toronto 1981).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

10-11-81

Teatr Polski w Warszawie wystawił sztukę pt. „Chamsin”, zbudowaną z fragmentów prozy Marka Hłaski przez Jerzego Rakowieckiego i przez niego reżyserowaną. Sztuka ta została powszechnie oceniona jako nieudany eksperyment.

13-11-81

Z inicjatywy Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej 284 intelektualistów, robotników i działaczy społecznych ogłosiło apel do społeczeństwa polskiego o umacnianie tradycji przyjaźni narodów Polski i ZSSR oraz zaprotestowała przeciwko próbom jej podważania przez przeciwników politycznych. ■ W PRL odbywają się XXV Dni Książki Radzieckiej zainaugurowane wystawą w Pałacu Kultury w Poznaniu. W PRL ukazało się ponad 4.000 przekładów z literatury sowieckiej w nakładzie ponad 100 mln egzemplarzy. PRL jest największym importerm wydawnictw sowieckich. W 1980 roku sprowadzono z ZSSR 6,2 mln egzemplarzy książek.

20-11-81

Krakowski Klub twórców i działaczy kultury „Kuźnica” przyznał swą doroczną nagrodę Marcinowi Szumowskiemu i kierowanemu przez niego zespołowi *Gazety Krakowskiej*.

22-11-81

W chwili obecnej prowadzi się w PRL 182 postępowania karne za rozpowszechnianie pism i ulotek „godzących w interes Państwa, socjalistyczny ustrój i w nasze międzynarodowe sojusze”. ■ *Życie Warszawy* podaje, że kilku obywateli PRL gotowych było pożyczyć fabryce pralek automatycznych kilka tysięcy dolarów, których zabrakło na import niezbędnej do produkcji pralek taśmy termobimetalicznej. Produkcję zatrzymano, a z oferty prywatnej nie skorzystano. Przepisy bowiem nie przewidują możliwości udzielenia kredytu państwowemu przedsiębiorstwu przez prywatnych obywateli.

29-11-81

Po raz 34-ty przyznano nagrody im. Włodzimierza Pietrzaka, ufundowane przez Stowarzyszenie PAX. Nagrody otrzymali: prof. Czesław Bobrowski, prof. Ryszard Manteuffel, Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość”, Anna Kamińska, Zbigniew Łoskot, Zofia Małynicz, Andrzej Drzycimski, Józef Wołkowski, Jacek Kaczmarek i Andrzej Kaczorowski.

30-11-81

Zmarł w Warszawie w wieku 71 lat Janusz Wieczorek, b. szef Urzędu Rady Ministrów, przewodniczący Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa oraz Społecznego Komitetu Budowy pomnika-szpitala Centrum Zdrowia Dziecka. Był to człowiek, który w ogromnej mierze przyczynił się do korupcji nie tylko leaderów partyjnych, ale i środowisk intelektualnych oraz firmował nadużycia przy budowie Centrum Zdrowia Dziecka, o których w swoim czasie pisał *Biuletyn Informacyjny KOR-u*, nie doprowadziwszy, niestety, do końca analizy gospodarki budowy Centrum.

2-12-81

Zmarł w Warszawie w wieku 66 lat Kazimierz Sidor, znany z akcji dywersyjnej w Drugim Korpusie we Włoszech w okresie, kiedy był szefem Polskiej Misji Wojskowej w Rzymie. Okazał się później jednym z czołowych antysemitów PRL.

6-12-81

W 1980 roku PRL wydało na zakup żywności około 30 % środków dewizowych, a w 1981 roku ponad 50 %. ■ Dział konsularny Ambasady RFN w Warszawie wydał w 1981 roku 400 tys. wiz wjazdowych dla obywateli PRL (w okresie 1980 roku wydano tych wiz tylko 234 tys.). ■ Głód w Stanach Zjednoczonych: Agencja TASS wyraża niepokój z powodu trudności w zaopatrzeniu w żywność ludności Stanów Zjednoczonych. Na rynku odczuwa się brak szeregu produktów. Zmniejszenie produkcji rolnej stwarza groźbę niedoborów żywności, zwłaszcza w rejonach miejskich. Sytuacja jest szczególnie niepokojąca na północno-wschodnich obszarach USA!

7-12-81

Kazimiera Hłakowicz otrzymała tytuł doktora *honoris causa* Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

10-12-81

Na posiedzeniu komisji wewnątrzpartyjnej KC PZPR podano, że na dzień 1 grudnia 1981 PZPR liczyła 2 mln 734 tys. członków i kandydatów. W stosunku do czerwca 1980 liczebność zmniejszyła się o ponad 415 tys. członków, tj. o 13,2 %. Legitymacje partyjne oddało 254 tys. członków.

11-12-81

Gen. Huszcza, przewodniczący Rady Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, w liście do *Tygodnika Solidarność* stwierdził, że w trakcie załatwiania jest porządkowanie mogił i nagrobków w Murmańsku i Archangielsku, ekshumacja prochów Aleksandra Fredry i Stanisława Witkiewicza, spoczywających na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie i przeniesienie ich do Zakopanego. Byłoby lepiej by p. generał Huszcza zajął się nie tyle ekshumacją, co opieką nad grobami polskimi we Lwowie oraz grobami rozszanymi w Związku Sowieckim na szlaku Drugiego Korpusu, nie mówiąc już o cmentarzach wojskowych na Środkowym Wschodzie.

14-12-81

SKŁAD RADY WOJSKOWEJ „OCALENIA NARODOWEGO”
powołanej nocą z 12 na 13 grudnia 1981 roku:

Przewodniczący — generał Wojciech Jaruzelski,
gen. Florian Siwicki (z-ca członka Biura Politycznego PZPR, wiceminister Obrony Narodowej),
gen. Tadeusz Tuczapski (wiceminister Obrony Narodowej),
gen. Eugeniusz Molezyk (wiceminister Obrony Narodowej),
admiral Ludwik Janczyszyn (dowódca Marynarki Wojennej),
gen. Czesław Kiszczak (minister Spraw Wewnętrznych),
gen. Tadeusz Hupakowski (minister Administracji Komunalnej),
gen. Czesław Piotrowski (minister Górnictwa),
gen. Józef Baryła (wiceminister Obrony Narodowej),
gen. Włodzimierz Oliwa,
gen. Henryk Rapacewicz,
gen. Józef Uzycki,
gen. Tadeusz Krępski,
gen. Longin Łozowicki,
gen. Michał Janiszewski (szef gabinetu Premiera),
gen. Jerzy Jarosz,
pułkownicy: Tadeusz Makarewicz, Kazimierz Garbacik,
płk rezerwy Romanles,
podpułkownicy: Jerzy Wosiński i Mirosław Hermaszewski.

ZACHÓD — EMIGRACJA

22-10-81

Zmarł w Helsinkach w wieku 90 lat Henryk Sokolnicki, ostatni poseł R.P. w Helsinkach i Sztokholmie.

28-10-81

W Londynie odbyła się inauguracja roku akademickiego 1981/1982 na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie (PUNO). W czasie tych uroczystości dokonano promocji doktorskich: doktorat honorowy z ekonomii otrzymał Józef Poniatowski za swoją działalność i prace z tej dziedziny; doktorat honorowy z literatury przyznano Józefowi Czapskiemu za działalność literacką i malarską.

13-11-81

Ks. Prymas Józef Glemp w czasie swego pobytu w Paryżu odwiedził Bibliotekę Polską i Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu.

15-11-81

W Instytucie Badania Zagadnień Krajowych w Londynie odbył się na początku listopada 1981 roku szereg zebrań, a mianowicie spotkanie z Markiem Borowikiem, członkiem zespołu kierowniczego Niezależnej Oficyny Wydawniczej „nowa”, spotkanie z redaktorem lubelskich *Spotkań* Januszem Krupskim i przedstawicielem tego pisma w Paryżu, Piotrem Jeglińskim. Celem tych zebrań było poinformowanie o działalności niezależnych wydawnictw w Polsce. Ponadto w ramach bieżącego Roku Młodzieży Instytut i Polska YMCA poświęciły ostatnią niedzielę października na omówienie aktualnej sytuacji w Kraju i wynikającej stąd roli młodego pokolenia.

25-11-81

Zmarł w Londynie w wieku 88 lat gen. Kazimierz Głabisz, były dowódca Drugiej Dywizji Grenadierów Pancernych, b. oficer do zleceń Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych oraz przewodniczący Polskiego Komitetu Olimpijskiego a po wojnie długoletni prezes polskich klubów sportowych w Wielkiej Brytanii. ■ Zmarł w Londynie w wieku 52 lat Andrzej Stypułkowski, żołnierz A.K.; w Powstaniu Warszawskim walczył w szeregach oddziału „Baszta”, był założycielem i dyrektorem Polonia Book Fund, Overseas Publications Interchange Ltd.

28-11-81

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbyła się akademie dla uczczenia 151 rocznicy Powstania Listopadowego. W programie tego wieczoru inż. Handelsman miał odczyt o Lelewelu i jego związkach z Towarzystwem Historyczno-Literackim w Paryżu, następnie Grzegorz Boguta wygłosił wprowadzenie do nowoutwartej wystawy pt. „Cztery lata działalności Niezależnej Oficyny Wydawniczej „nowa” — na zakończenie dano pokaz filmów z okresu drugiej wojny światowej, zorganizowany przez p. Krzysztofa de Berg z Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie.

1-12-81

Zmarł w Londynie w wieku 84 lat gen. bryg. Antoni Grudziński. Był ostatnim dowódcą Brygady Kawalerii Pancernej I dywizji pancernej i wiceprezesem Kół Pułkowych Kawalerii.

11-12-81

W Centre du Dialogue w Paryżu odbył się wieczór autorski Sławomira Mrożka.

12-12-81

Księgarnia Polska w Paryżu zorganizowała tradycyjny Kiermasz Gwiazdkowy 1981. Na otwarciu Kiermaszu podpisywali swoje książki: J. Czapski — „Tumult i widma”, K. A. Jeleński — „Antologie de la poésie polonaise” oraz „L'Histoire” W. Gombrowicza, którą przetłumaczył wraz z G. Serreau (rysunki Jana Lebensteina). Ponadto Księgarnia Polska zorganizowała wystawę afiszu polskiego, połączoną ze sprzedażą.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

W dniach od 16 do 19 listopada odbywał się w Nowym Jorku zjazd AFL-CIO (pełna nazwa: American Federation of Labour and Congress of Industrial Organizations). Konwencja miała miejsce w setną rocznicę zainicjowania ruchu zawodowego w Stanach. Honorowym gościem konwencji miał być Lech Wałęsa, który na kilkanaście dni przed jej rozpoczęciem odwołał swój przyjazd. Cały przebieg obrad nacechowany był ostrą i napaśtliwą krytyką programu prezydenta Reagana. Jeśli chodzi o mówców, to poza delegatami występowali wyłącznie demokratyczni senatorowie, demokratyczny burmistrz Nowego Jorku, demokratyczny gubernator stanu i przywódca demokratycznej większości w Izbie Reprezentantów. Prezydent Reagan wbrew dotychczasowym zwyczajom amerykańskiego ruchu zawodowego nie został zaproszony na konwencję. W świetle jej wybitnie antyreaganowskiego przebiegu nietaktem byłoby prawdopodobnie zaproszenie go, ponieważ byłby narażony na szereg afrontów ze strony wielu mówców. Ze swej strony prezydent Reagan zaprosił na rozmowy do Białego Domu przewodniczącego AFL-CIO Lane Kirklanda wraz z kilkunastoma czołowymi działaczami organizacji. Niektórzy przywódcy AFL-CIO zaproszenia nie przyjęli. W drugim dniu obrad nastąpiło przyznanie nagrody im. George'a Meany Lechowi Wałęsie jako akt uznania dla „Solidarności”, jego obecnego przywódcy i najwybitniejszego inspiratora ruchu. W czasie konwencji wyświetlany był krótki film obrazujący wydarzenia w Polsce. Konwencja miała wiele akcentów świadczących o przyjaznym stosunku AFL-CIO do ruchu odnowy w Polsce. Widowym tego znakiem była poza uchwaloną rezolucją ściana w hallu przyległym do sali obrad, pokryta zdjęciami z wydarzeń na Wybrzeżu i w innych miastach polskich.

Zb. B.

Niniejsza nota, dotycząca konwencji AFL-CIO w Nowym Jorku, wymaga komentarza redakcyjnego ze względu na jedną ważną okoliczność — planowaną na niej obecność Lecha Wałęsy i szereg wydarzeń, które się z tą wizytą wiązały. Przewodniczący AFL-CIO Lane Kirkland zapragnął, by z „Solidarności”, a zwłaszcza z Lecha Wałęsy, który stał się międzynarodowym symbolem i którego nazwisko rozbrzmiewa we wszystkich zakątkach świata, uczynić sprzymierzeńca w walce z programem społeczno-ekonomicznym prezydenta Reagana. Jesteśmy jak najdalej od insynuowania, że Lane Kirkland oczekiwał, iż Wałęsa odegra taką rolę w zamian za okazaną przyjaźń i pomoc. Nie. Był to po prostu błąd w jego strategii, którego, być może, nie popełniłby jego bardziej doświadczony poprzednik George Meany. Ten zrozumiąłby bez trudu, że przywódca rewolucyjnego antytota-

litarnego ruchu w Polsce, który — z jego czy bez jego woli — staje się coraz bardziej antykomunistyczny i antysowiecki, nie może występować ramię w ramię z najsurowszymi krytykami administracji amerykańskiej, której postępowanie, jak dotąd, wskazuje, że pierwsza od wielu lat zdecydowała się położyć kres ekspansji sowieckiej i dla której ruch wszczęty przez „Solidarność” jest naturalnym sprzymierzeńcem, zasługującym z tej racji nie tylko na jak najdalej idącą sympatię, ale i na materialną pomoc, która została już Polakom zaofiarowana.

Polacy — poza blisko miliardowym narodem Chińczyków — są przy swych 35 milionach ludności jedynymi, którzy, przy trzęsącej się ze strachu Europie Zachodniej, zachowali wobec Sowietów odwagę. Dlatego Ronald Reagan, właśnie w owej roli „kowboya strzelającego z biodra”, wzbudza w nich szczere uznanie. Im więcej w nim „kowboya” — tym bardziej jest w Polsce popularny. Dlatego przywódca „Solidarności” w charakterze nawet symbolicznego i krótkotrwałego sprzymierzeńca AFL-CIO w walce przeciw prezydentowi Stanów byłby dla Polaków absolutnie nie do zaakceptowania. Z tej dość prostej sytuacji przewodniczący centrali amerykańskich związków zawodowych Lane Kirkland nie zdawał sobie bodaj sprawy.

Ze AFL-CIO pod nowym kierownictwem usiłowało rzeczywiście wciągnąć Lecha Wałęsę a wraz z nim „Solidarność” do rozprawy z prezydentem Reaganem, dowodzą pewne imprezy poprzedzające wielką „Stuletnią Konwencję” amerykańskiej Centrali Związków Zawodowych. Pierwszym sygnałem była „Parada Solidarności” w Waszyngtonie w dniu 14 września 1981 roku. Oczywiście słowa „solidarność” nie wymyślił ani Wałęsa, ani żaden z jego ówczesnych współpracowników. Znaleźć je można we wszystkich słownikach świata, ale „Parada Solidarności” nawiązywała wyraźnie do tego co się działo w Polsce. Nie będziemy do tego wracać: czytelnik znajdzie odnośne informacje w nocie na str. 129 i 130 listopadowego wydania *Kultury*. To, że Zygmunt Przetakiewicz, z dosyć niewyraźnym sprecyzowanym mandatem zorganizowania biura czy punktu prasowego, rozprowadzającego biuletyn „Solidarności”, ale nie będącego placówką „Solidarności”, zainstalował się na krótko w Nowym Jorku wynikało zapewne z nieporozumień w głównej kwaterze „Solidarności” w Gdańsku. Zostało to szybko wyjaśnione i placówkę zlikwidowano zanim (poza konferencją prasową) zdołała ona rozpocząć swą działalność. Tu oczywiście, jeśli ktoś zawinił — to rodacy. Natomiast fakt, że Zygmunt Przetakiewicz został z miejsca zaanektowany (w przyjaznym sensie tego słowa) przez jednego z najbardziej wpływowych członków Rady Wykonawczej AFL-CIO, Alberta Shankera, przewodniczącego Amerykańskiej Federacji Nauczycieli, który udzielił mu opieki i udostępnił biuro, obok którego Zygmunt Przetakiewicz kroczył w „Paradzie Solidarności” wraz z 250-tysięczną masą demonstrantów, przeklinających w żywy kamień Reagana z jego programem, świadczyło o wyraźnej próbie wprzęgnięcia „Solidarności” do antyreaganowskiej kampanii. Ale to były tylko pierwsze sygnały; prawdziwą sensacją miała być obecność Wałęsy w charakterze honorowego gościa za stołem prezydialnym konwencji. Zanim jednak do tego miało dojść, Lane Kirkland zaproszony został do Polski na pierwszy Zjazd „Solidarności”. Oczywiście — co było do przewidzenia — władze PRL odmówiły mu wizy, niemniej delegaci zjazdowi mieli okazję zobaczyć Lane Kirklanda z taśmy video i wysłuchać jego krótkiego, taktownego i wyważonego przemówienia. Wobec takiego stanu rzeczy Lane Kirkland nie mógł oczywiście postąpić inaczej jak tylko zaprosić Lecha Wałęsę na „Stuletnią Konwencję”. Ale prezydent AFL-CIO powinien był wiedzieć, że Wałęsa, orientując się z dotychczasowych sygnałów na co się na konwencji zanosi, w mniej lub bardziej dyplomatycznej formie wymówił się od uczestnictwa. Rzecz jednak w tym, że Lane Kirkland naprawdę

oczekiwał jego obecności i udziału w obradach, próbując go nakłonić do choćby jednodniowej obecności w Stanach i posadzenia go za stołem prezy-dialnym w charakterze prawie że primadonny. Motywy, którymi kierował się przewodniczący AFL-CIO, były jasne. Konwencja z Lechem Wałęsą nabrałaby w tych warunkach znacznie większego blasku, który przy ofiar-nym współudziale amerykańskich *mass media* porażiłby Reagana. Czy rze-czywiście by go poraził? Prawdopodobnie nie, ale ostatecznie kwestia „co by było, gdyby” jest mało ważna. Ważne jest to, że Lane Kirkland nie zro-zumiał, iż Lech Wałęsa w tej imprezie uczestniczyć nie może, nawet jeśli Kirkland w trybie wyjątkowym zgodzi się na to, by przewodniczący „Soli-darności” przyleciał wprost do Nowego Jorku, a nie jak było uprzednio pla-nowane do Kanady, skąd miał być przywieziony na konwencję AFL-CIO drogą lądową. Nawet na to udogodnienie Lech Wałęsa szczęśliwie się nie zgodził. Konwencja — a właściwie wielka rozprawa przeciw Reaganowi — odbyła się wprawdzie przy udziale wielu zagranicznych gości, ale bez udziału przywódcy polskiego ruchu odnowy.



W Nowym Jorku wyszedł pierwszy numer biuletynu *Solidarność* po angielsku. Jest to wspólna impreza trzech grup: *The Polish Workers Task Force*, założonej rok temu przez AFL-CIO; *The League for Industrial Democracy*, założonej w roku 1905; i *The Poland Watch Center*. Biu-letyn redaguje Eric Chenoweth, jego doradcami są m.in. Piotr Naimski i Tadeusz Walendowski.

KRONIKA AUSTRIACKA

Minister spraw wewnętrznych, Lanc, wyjechał do Australii celem dopro-wadzenia do zwiększenia puli imigrantów polskich do Australii. Po wy-wrocie podano komunikat, że Australia przyjmie 6.000 Polaków. ■ Z 26 tys. Polaków przebywających obecnie w Austrii i zarejestrowanych na wyjazd do Kanady, Australii i USA, wyjedzie w 1981 roku tylko 7 tys. ■ Jak wynika z danych Bundespolizei przestępczość Polaków wzrosła o 8%. Dokonywali oni włamań do samochodów, kradzieży w do-mach towarowych, tramwajach, podejmowali nielegalnie pracę za wynagro-dzeniem 16 szylingów za godzinę (czterokrotnie mniej od ogólnie przyjętej stawki), wprowadzając tym zaburzenia na rynku pracy usystematyzowanej, dopuszczali się napaści na funkcjonariuszy policji. Wzrosła także w Wied-niu prostytutka, rekrutująca się niestety spośród przebywających tam Polek. ■ Minister spraw wewnętrznych wprowadził od 8 grudnia 1981 roku dla Polaków przyjeżdżających do Austrii obowiązek posiadania wiz. Zarządze-nie ma na celu zahamowanie tej „emigracji gospodarczej”. Austria ogło-siła, że do 10 grudnia 1981 roku będzie jeszcze traktowała liberalnie posz-czególne wypadki (np. gdy dana osoba opuściła Polskę 7 lub 8 grudnia i nie mogła jeszcze postarać się o wizę wjazdową). ■ Ambasady krajów przyjmujących nowych imigrantów Polaków mają ferie świąteczne w Aus-trii począwszy od 20 grudnia do 10 stycznia 1982 roku. ■ Przybysze z Polski, zarejestrowani na wyjazd do innych krajów, mieszkają w Austrii w dobrych warunkach na terenie Tyrolu, Karyntii, Stejmarku, Nideröster-reichu i Burgenlandu w prywatnych pensjonatach w miejscowościach uzdro-wiskowych i ośrodkach sportów zimowych, w pokojach 3-osobowych, otrzy-mując śniadanie, obiad i kolację, a dzieci dodatek w postaci owoców po-łudniowych.

M. GOMUŁKA

KRONIKA KANADYJSKA

Prezesem Zarządu Głównego Związków Polaków w Kanadzie został Julian Dobranowski, a sekretarzem generalnym — Jerzy Dobrzański. ■ Rząd federalny przekazał Kongresowi Polonii Kanadyjskiej \$100.000 na zakup żywności, a w pierwszym rządzie mleka w proszku. Dwaj byli amba-sadorowie Kanady w Warszawie pp. Hamilton Southam i John McCordick również organizują pomoc dla Polski. ■ Stowarzyszenie Techników Pol-skich zajmuje się nowoprzybyłymi inżynierami, Związek Nauczycielstwa udziela wszelkiej pomocy rodzinom, których dzieci są w wieku szkolnym. Toronto Board Education uruchomił opiekę dla dzieci w szkołach oraz poza-lekcyjne nauczanie języka polskiego. ■ Szereg organizacji polonijnych — jak Związek Narodowy Polski, Stowarzyszenie Techników Polskich, Związek Polaków w Kanadzie — wypowiedziało się za koniecznością roz-winięcia akcji pomocy dla nowych imigrantów polskich. Najważniejsze są wysiłki podjęte przez niektóre organizacje dla zapewnienia nowoprzybyłym mieszkań i znajdowania dla nich pracy. W obecnej sytuacji, kiedy brak jest mieszkań, a ilość bezrobotnych w ośrodkach miejskich stale wzrasta, akcja ta będzie miała bodajże największe znaczenie. ■ Stowarzyszenie Studentów Polskich Western Ontario University w London, Ontario zor-ganizowało z okazji swojego dziesięciolecia „Tydzień Polski”. ■ Z powo-du sytuacji w jakiej znalazła się Polska rząd kanadyjski zawiesił wobec oby-wateli polskich niektóre postanowienia ustawy imigracyjnej. Minister imi-gracji, Lloyd Axworthy zakomunikował, że urzędnicy imigracyjni otrzy-mali polecenie stosowania obowiązujących przepisów wysoce liberalnie i że przyznano im odpowiednie uprawnienia dyskrecjonalne. Obywatele kana-dyjscy, względnie stali mieszkańcy Kanady, którzy mają w Polsce rodziny i pragną je sprowadzić będą mogli wnieść o wize imigracyjne dla nich i Ambasada kanadyjska w Warszawie będzie załatwiała ich podania w ramach łączenia rodzin. Turyści polscy, którzy mają w Kanadzie krewnych mogą uzyskać wize pobytowe i nie muszą już opuszczać Kanady by w innym kraju starać się o kanadyjską wizę pobytową (imigracyjną). Zaś ci, którzy w Kanadzie nie mają krewnych mogą otrzymać roczne wize i prawo za-trudnienia. Po tym okresie władze kanadyjskie podejmą decyzję, mając na względzie sytuację w Polsce. ■ Parlamentarzyści kanadyjscy wyło-nili specjalny komitet dla spraw uchodźców polskich. Przewodniczącym został poseł i b. minister konserwatywny, Steve Paproski, a w skład ko-mitetu weszli: senator St. Haidasz, posłowie Flis i Hubicki (wszyscy po-chodzenia polskiego) oraz Tony Ruprecht — poseł do ontaryjskiej Izby ustawodawczej. Utworzono podkomisje dla utrzymania kontaktów z pol-skimi organizacjami i parafiami, władzami prowincjonalnymi oraz z nie-polskimi organizacjami i parafiami. Funkcję łączników, przewodniczących tych podkomisji, objęli posłowie Jessy Flis, J. McDermid i ks. R. de Corneille.

B. H.

KRONIKA SZWEDZKA

Z inicjatywy sztokholmskiej Polonii powstał w Szwecji Bank Leków. Lekarze polscy, zamieszkali w Szwecji, wystosowali do społeczeństwa szwedzkiego i organizacji apel o pomoc dla Polski, potrzebującej leków i sprzętu medycznego. Odezwę tę podpisał m.in. prof. Jerzy Einhorn, znany onkolog, kierownik Karolińskiego Instytutu Onkologii przy Uniwersytecie w Sztok-holmie. Wezwano także zamieszkałych w Szwecji Polaków do wpłacania da-rów na Läkemedelsbanken, Postgironummer 79 717-5. ■ Z inicjatywy

i pod auspicjami Szwedzkiego Czerwonego Krzyża odbył się w dniu 25 listopada 1981 roku w Sztokholmie Koncert Galowy szwedzkich i polskich artystów. Siostra Króla szwedzkiego, księżniczka Krystyna, prowadziła konferensjerkę, a sekretarz Szwedzkiego Czerwonego Krzyża, współpracujący z Polskim Czerwonym Krzyżem, przedstawił zakres jego pomocy dla Polski. Szwedzki personel Czerwonego Krzyża zajmuje się na miejscu rozdaniem darów, które przede wszystkim trafiają do starców i dzieci. Cały dochód z koncertu został przeznaczony na akcję pomocy dla Polski. ■ Na zjeździe Szwedzkiej Partii Komunistycznej — VPK powzięto jednomyślnie uchwałę zawierającą m.in. następujący passus: „VPK widzi w osiągnięciach demokracji w Polsce podstawę wzmocnienia pozycji socjalizmu. VPK odrzuca zasadniczo wszystkie próby określania rozwijających się w Polsce wypadków jako mających charakter kontrrewolucyjny i stanowczo odcina się od wszystkich prób wtrącania się w wewnętrzne sprawy Polski”. ■ Norweska policja bezpieczeństwa oskarża pierwszego sekretarza Ambasady Sowieckiej, Czobotka oraz urzędnika tej ambasady o przekupienie pięciu Norwegów, którzy wypowiadali się w pismach przeciwko norweskiej polityce atomowej. ■ Od lipca 1980 roku do lipca 1981 tylko 70 Polaków otrzymało zezwolenie na pozostanie w Szwecji ze względów politycznych. 915 Polaków otrzymało prawo pobytu i pracy ze względów rodzinnych (łączenie rodzin, małżeństwo). Coraz trudniej jest Polakom otrzymać azyl w Szwecji. Udzielany jest w zupełności wyjątkowych okolicznościach. Polityka wobec uchodźców została niewątpliwie zaostrożona w porównaniu z okresem lat 70-tych. ■ W rządzie szwedzkim dyskutowany jest projekt reformy biurokratycznego trybu załatwiania podań o zezwolenie na stały pobyt w Szwecji, zmierzający do przyspieszenia trybu załatwiania tych spraw i wydawania decyzji. ■ Szerokie poparcie społeczeństwa szwedzkiego dla sprawy polskiej wyraziło się już 13 grudnia spontaniczną demonstracją przed ambasadą PRL w Sztokholmie, w której udział wzięło ponad 3 tysiące osób. Rzecznik prasowy „Solidarności”, region Mazowsze, S. Trzciniński wezwał szwedzkie związki zawodowe do jak najostrejszego protestu. Najważniejszą była demonstracja zainicjowana przez sztokholmski oddział związków zawodowych i inne organizacje, która odbyła się 17 grudnia w Sztokholmie. Na jednym z centralnych placów zebrało się około 10 tysięcy osób, które z pochodniami przeszły przez centrum miasta udając się pod ambasadę PRL. ■ 16 grudnia ambasador PRL w Sztokholmie, Paweł Cieślak, został wezwany przez ministra Spraw Zagranicznych Ola Ullsten, który oświadczył, że „Rząd szwedzki jest głęboko poruszony rozwojem wypadków w Polsce”, zaprotestował przeciwko „naruszaniu wszystkich ludzkich i wolnościowych praw w Polsce” i dodał: „Wiadomości o aresztowaniu działaczy związków zawodowych i robotników i stosowanie środków przemocy wywołują w nas głęboki niepokój”. Minister zaprotestował także przeciwko jednostronnemu zerwaniu przez PRL umowy o bezwizowym ruchu turystycznym między Polską a Szwecją i stwierdził, że obywatele PRL w dalszym ciągu będą mogli przybywać do Szwecji bez wiz. ■ 18 grudnia na posiedzeniu komisji Spraw Zagranicznych Parlamentu szwedzkiego, reprezentującej wszystkie stronnictwa z wyjątkiem komunistycznego, podjęto bardzo ostrą uchwałę w sprawie Polski, której wyraz dał potem premier Fälldin oświadczając: „Zabijanie Polaków przez milicję i wojsko wstrząsnęło nami. Walczyli oni o demokrację, o swoje prawa i wolności — o prawa ludzkie. Szwecja z całą stanowczością potępia te ciężkie wykroczenia. Uwięzieni — a wśród nich Wałęsa — muszą zostać zwolnieni”. Do tego oświadczenia nie przyłączyła się szwedzka socjaldemokracja, twierdząc, że już przedtem wyraziła swoje oburzenie, natomiast zostało ono poparte nawet przez szwedzkie stronnictwo komunistyczne PWK. Jaruzelskiego poparł jedynie odłam komunistów-stalinowców — APK — nie reprezentowany w Parlamencie. ■ Mauno

Koivisto, pełniący obowiązki prezydenta Finlandii, a przebywający w Szwecji, oświadczył prasie: „Śledzimy rozwój wypadków w Polsce z największym niepokojem”. ■ Centrala szwedzkich Związków Zawodowych, będąca od roku łącznikiem między zachodnimi syndykatami a „Solidarnością”, wstrzymała na razie zarówno dostawy sprzętu poligraficznego jak i wizyty, czekając na wyjaśnienie sytuacji. Przedstawiciel związku poligrafów, odpowiadający za kontakty z „Solidarnością”, przez trzy tygodnie przebywał we Wrocławiu, gdzie montowano nową drukarnię, którą dostarczyła Szwecja. Wysyłka dodatkowych dostaw, które miały nadejść zaraz po Świętach, została wstrzymana. Dotychczasowa pomoc poligraficzna Zachodu dla „Solidarności” wyniosła w sumie 2 mln koron, z których półtora miliona dała sama Szwecja. ■ Olof Tangberg, sekretarz zagraniczny Szwedzkiej Akademii Nauk otrzymał już o 6-ej rano w niedzielę 13 grudnia telefon z PAN-u; poinformowano go, że 60 członków PAN, wraz z rodzinami ukrywa się; że są już w Warszawie ranni i zabici; domagano się pomocy w postaci plazmy — pomoc ta została natychmiast udzielona. ■ W szwedzkiej *Dagebladet* ukazał się 18 grudnia interesujący wywiad z kapitanem służby czynnej Tamasem Weberem, ekspertem walki wręcz, który był świadkiem dramatycznych zaszereżeń w Polsce. Twierdzi, że akcja ta była od dłuższego czasu zaplanowana i tylko jej wykonanie zostało przyspieszone. W pierwszych dniach użyto głównie lekko uzbrojonych oddziałów poborowych, zastąpiono je następnie specjalnymi zawodowymi oddziałami uzbrojonymi w ciężką broń automatyczną. ■ Pięknie zachowuje się szwedzki Kościół luteranski, który urządza zbiórki dla cierpiącej Polski, a nawet — jak w przypadku miasta Malmö — jest jednym z organizatorów demonstracji. Katedra w Lund przeznaczyła całą tegoroczną zbiórkę świąteczną na rzecz Polski. W tejsze katedrze od dwóch dni grupa członków polskiej „Solidarności” odbywa strajk głodowy. Pastor Rolf Linden 19 grudnia wrócił z Polski, dokąd zawiózł transport lekarstw, żywności i odzieży zebranych w swojej parafii. ■ Dochodzą nas dalsze wiadomości o czynnym zaangażowaniu się Kościoła protestanckiego i organizacji religijnych w niesienie wszelkiego rodzaju pomocy Polsce. Natomiast zupełnie inaczej zachował się proboszcz polskiej parafii św. Jana w Sztokholmie — ks. Buczkowski. Ku oburzeniu wielu wiernych podczas mszy św. w niedzielę 13 grudnia nie wspomniał nawet o ludności cierpiącej w Polsce. Wiele osób protestowało. Aktywna stara polityczna kolonia polska od dawna skutecznie domagała się usunięcia ks. Buczkowskiego. ■ Pomoc Szwedzkiego Czerwonego Krzyża funkcjonuje nadal mimo wprowadzenia w Polsce stanu wojennego. W pierwszym tygodniu dotarł do Polski transport 5 tys. paczek żywnościowych i drugi z 40 t odzieży i artykułów higienicznych. Zawiózł go do Warszawy osobiście sekretarz generalny Szwedzkiego Czerwonego Krzyża, Anders Wijkman. Transport ciężarówek przybył 17 grudnia. Dalszy transport z 16 tys. korder opuścił Szwecję 19 grudnia. Wijkman powrócił do Szwecji 20 grudnia i natychmiast udzielił wywiadu telewizyjnego. Powiedział, że jest zaszokowany — „Nędy w Polsce nie da się opisać. Ludność strasznie cierpi i marznie. Potrzeba pomocy jest ogromna. Dystrybucje Polskiego Czerwonego Krzyża, Kościoła czy organizacji pomocy dzieciom funkcjonują. W miastach nie widać zwiększenia dostaw żywności. Ludność odczuwa dotkliwy brak leków”. Widział brudny szpital dziecięcy, w którym brakowało środków higienicznych i środków do prania. Uważa, że brak wszystkiego może złamać naród. W wielu mieszkaniach temperatura spadła do zera. Szwedzki Czerwony Krzyż w tej sytuacji koncentruje całą swoją pomoc na noworodkach, których każdego miesiąca przybywa 16 tys. ■ Szwedzki urząd imigracyjny zalecił policji wstrzymanie wydalania Polaków przebywających w Szwecji nielegalnie. Wszystkie podania o pobyt czy azyl kierowane są do urzędu imigracyjnego i zostaną rozstrzygnięte po wy-

jaśnieniu sytuacji w Polsce. W ciągu jednego tygodnia podania o azyl złożyło 600 osób, w tym 70 marynarzy, członków załogi polskich promów, które kursują między Swinoujściem a szwedzkim portem Ystad. Przez jakiś czas było to jedyne połączenie Polski z Zachodem. Zdaniem policji szwedzkiej w Szwecji przebywa jeszcze około 2 tysięcy polskich turystów.

■ Na spotkaniu w Zurychu z 13 delegatami „Solidarności”, którzy przyjechali do Szwajcarii na zaproszenie tamtejszych związków zawodowych, uchwalono założenie w Sztokholmie centralnego biura informacyjnego „Solidarności”, a to ze względu zarówno na położenie Sztokholmu jak i na tradycję Szwecji utrzymywania stosunków z Polską w czasach krytycznych.

■ Polska kolonia w największym szwedzkim porcie, Göteborgu, podjęła inicjatywę skłonięcia europejskich radiostacji do poświęcenia w każdym dzienniku chociażby kilku minut na nadawanie informacji w języku polskim. Radio Sztokholm odpowiedziało pozytywnie i każdego dnia przez 10 minut będzie nadawało po polsku.

■ Rzecznik Szwedzkiego Czerwonego Krzyża oświadczył, że wszelka pomoc do Polski z krajów zachodnich zostanie przerwana, jeżeli wojsko przejmie jej dystrybucję.

Norbert ŻABA

NOTY

POLSKIE TOWARZYSTWO NAUKOWE NA OBCYZYNIE

25 września br. odbyło się w Londynie doroczne Walne Zgromadzenie PTNO.

Sprawozdanie za ubiegły rok złożył ustępujący prezes, prof. dr Tymon Terlecki.

Omawiany okres zaznaczył się wzmocnionym dopływem funduszków na działalność naukową i wydawniczą. Dzięki temu ukaże się wkrótce długo oczekiwany XXIII rocznik PTNO pod redakcją prof. T. Sulimirskiego; rocznik następny, pod redakcją kmdr. B. Wrońskiego, ma zapewnione finanse.

Z dwóch wydziałów PTNO działał tylko Wydział Humanistyczny.

Walne Zgromadzenie nadało członkostwo honorowe profesorowi pedagogiki, historii i nauk społecznych dr. Markowi Krugowi z Chicago, USA. Na członków czynnych przyjęto: prof. T. F. Domaradzkiego, prof. W. Drzewienieckiego, inż. Z. Gąsiewicza, dr. A. Hertza, prof. A. Kruszewskiego, dr. A. Iwańską, prof. J. Kryńskiego, inż. J. Marcinkiewicza, dr. Danutę Mostwin, dr. J. Rakowskiego i dr. A. K. Zielińskiego; na członków korespondentów: dr. H. Dembkowskiego, p. B. Heydenkorna, dr. F. Mantla, dr. Ewę M. Thompson oraz p. Z. W. Ungara.

Prezesa PTNO został wybrany prof. dr Edward Szczepanik, ekonomista z Uniwersytetu Sussex i dziekan PUNO. Nowo wybrany Zarząd ukonstytuował się w listopadzie następująco: prof. dr Józef Jasnowski i prof. dr W. Skiba — wiceprezisi; mgr Zdzisław E. Wałaszewski — sekretarz generalny; dr Kazimiera Domaniewska-Sobczak — skarbnik; dr Jan Marcinkiewicz — redaktor rocznika PTNO; ks. dr Jerzy Mirewicz TJ, prof. dr Tadeusz Piszczkowski, dr F. Strzałko — członkowie Zarządu oraz przewodniczący Wydziału Humanistycznego, prof. Jan Drewnowski, wchodzący do Zarządu *ex officio*.

zew.

„KONTYNET” PO NIEMIECKU

Redagowany przez Władimira Maksimowa kwartalnik rosyjski *Kontyent* posiada cały szereg edycji obcojęzycznych. Niektóre są jedynie antologicznymi wyborami z pisma rosyjskiego. Inne wykorzystują także, poza materiałem z *Kontyentu*, materiał drukowany w niezależnych pismach pozostałych krajów wschodnioeuropejskich. Najbardziej i najbardziej systematycznie robi to *Kontyent* po niemiecku, który szczególną uwagę poświęca tekstom autorów polskich. Przegląd dwudziestu numerów niemieckiej edycji *Kontyentu* pozwala zestawiać imponująco długą listę tekstów polskich, dobranych z wielką inteligencją i znanstwem przedmiotu, często zaczerpniętych z *Kultury*. Podajemy spis autorów polskich w niemieckim *Kontyencie*, sporządzony nie alfabetycznie lecz w porządku ukazywania się ich tekstów w dwudziestu numerach pisma: Stefan Kisielewski, Leszek Kołakowski, Andrzej Braun, Stefan Kardynał Wyszyński, Zygmunt Ossowski, Lech Dymarski, Anna Wierzbicka, Gustaw Herling-Grudziński, Stanisław Barańczak, Witold Wirpsza, Zbigniew Stypułkowski, O. Józef Bocheński, Antoni Pawlak, Maciej Broński, Stefan Kurowski, Tymoteusz Klempski, Leopold Tyrmand, Czesław Miłosz, Andrzej Drawicz, Jan Kielanowski. Nie brak też ważniejszych dokumentów, jak oświadczenia i apele KOR, PPN i „Solidarności”.

Redaktorem odpowiedzialnym niemieckiego *Kontyentu* jest Cornelia Gerstenmaier. Funkcję redakcyjnego „asystenta” sprawuje nasz przyjaciel Krzysztof Hyla. I to jemu z pewnością zawdzięczamy tak bogatą i uważną prezentację problematyki polskiej w niemieckim wydaniu rosyjskiego kwartalnika. Krzysztof Hyla ponadto z ogromną ofiarnością zajmuje się sprawami polskimi.

ZNANA ORGANIZACJA HUMANITARNA MEDECINS DU MONDE

organizuje konwój z lekami i środkami opatunkowymi do
Polski apelując o wpłaty na ich konto pocztowe.

MEDECINS DU MONDE

17, rue du Fer-à-Moulin, 75005 Paris.
Nr konta: CCP 11 - 669 - 07 - H PARIS.

Powyższy apel zbiegł się z niepokojącą wiadomością że władze wojskowe w Kraju nakazały opróżnienie wszystkich szpitali i odesłały wszystkich chorych do domów.

Prosimy naszych Czytelników o poparcie tego apelu.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Monreal, 1 listopada 1981.

W nrze 9/408 *Kultury* z września 1981, Brukseleczyk nazwał francuską gałąź rodu Poniatowskich „pseudo-księżętami” (str. 32). Jest to zarzut krzywdzący i niesłuszny.

Rodzina Poniatowskich jest jedną z dwóch rodzin które otrzymały tytuł księżęcy od Sejmu polskiego przed I rozbiorem, tj. w roku 1764 (druga rodzina to Sapiehowie w 1768). Żyjąca do dziś we Francji gałąź Poniatowskich to jedyna niewygasła gałąź tego rodu, mająca prawo do tytułu księżęcego.

Tytuł ten dziedziczny, był potwierdzony przez św. Cesarstwo Rzymskie w osobie cesarza Austrii w roku 1850 na rzecz 2 uznanych synów x. Stanisława, bratanka królewskiego (1754-1833): Karola i Stanisława-Michała-Ksawerego-Jana.

Szymon Konarski w swoim dziele „Armorial de la noblesse polonaise titrée”, Paris 1958), stwierdza na stronie 110, że prawo do tytułu księżęcego przysługuje potomstwu Leopolda-Stanisława-Augusta-Marii-Andrzeja (ur. 24. I. 1864 — zm. 16. II. 1954), oż. z Elżbietą-Heleną Sperry, ur. 6. X. 1872).

Warto pamiętać, że zmarły niedawno x. Andrzej (2-gi), hallerczyk z I-ej wojny, był opiekunem Towarzystwa Historyczno-Literackiego i Biblioteki Polskiej w Paryżu.

Wreszcie — dowód wzruszającego przywiązania tej rodziny do Polski — to bohaterska śmierć jego syna, który walczył w polskich szeregach i zginął za Polskę w Holandii w roku 1945. Podporucznik broni pancerniej Poniatowski był dekorowany pośmiertnie srebrnym krzyżem *Virtuti Militari*.

Łączę najlepsze wyrazy,

Witold BABIŃSKI

Szanowna Redakcjo,

6 listopada 1981.

W numerze 10/409 z 1981 r. miesięcznika *Panów*, w dziale „Kronika amerykańska” ukazała się notatka (str. 147) o udekorowaniu lotnika amerykańskiego, który brał udział w locie na pomoc Powstańczej Warszawie w roku 1944. Nie była to uroczystość odosobniona. Podobne miały miejsce w innych miastach amerykańskich, między nimi i w Albuquerque w Nowym Meksyku. Ta ostatnia była chyba na największą skalę. Prezes lokalnej Delegatury Zarządu Okręgu Koła AK w Stanach Zjedn. J. C. Troyanowski, b. „cichociemny” i uczestnik Powstania Warszawskiego, udekorował

wał krzyżem AK 5 lotników ze stanów Arizona, Kalifornia i Floryda, którzy wraz z żonami przybyli na tę uroczystość do Albuquerque i dołączyli do zamieszkałego tu stale kolegi. A oto lista udekorowanych:

ppłk J. Bromberg, Albuquerque, N.M.; st. sierż. J. Horan, Floryda; kpt. L. Michelina; st. sierż. R. Spence, Arizona; por. R. Thomas, Kalifornia.

Okazja ta była powodem proklamowania przez mayora Albuquerque D. Ruska (syna b. Sekretarza Stanu Dean Ruska) Tygodnia Przyjaźni Polsko-Amerykańskiej w dniach między 18 a 24 września 1981.

Z poważaniem,

Maria O. BLACHUT

Sekretarz Delegatury AK na Nowy Meksyk,
2150 Iona R. Albuquerque, N.M. 87105.

London, 21 listopada 1981.

Szanowny Panie!

W nrze 11 *Kultury*, w dziale „Akcja Pomocy dla Polski” był Pan łaskaw umieścić akcję prowadzoną przez „Związek Polek”. Nasza organizacja nazywa się „Zjednoczenie Polek na Emigracji” i została założona w 1946 roku.

Jednym z naszych celów jest niesienie pomocy, potrzebującym w Polsce i akcję tę od lat prowadzimy.

Obecna akcja przekracza wszystkie dotychczasowe, nawet pomocy podczas wielkiej powodzi.

Pomoc wysyłamy kobietom spodziewającym się potomstwa, niemowlętom i maluchom. Wysyłamy: odpowiednią odzież, pożywkę oraz produkty higieny.

Nasze dary są przekazywane przez „Solidarność” lub bezpośrednio do szpitali i Domów Opieki. Jednocześnie wysyłamy odzież i żywność do domów starców i do zakładów dla niewidomych (nie do Lasek).

Jakkolwiek już wysłałyśmy przeszło 5 ton, akcja nasza nie jest zakończona i dlatego nie ma jeszcze sprawozdania. Nasze szczegółowe sprawozdanie ukaże się po zakończeniu tej akcji, którą zawdzięczamy wyłącznie społeczeństwu brytyjskiemu.

Z wyrazami serdeczności,

Maria LEŚNIAKOWA — przewodnicząca
M. BIELICKA — sekretarz

San Francisco, 12 grudnia 1981.

Szanowny Panie Redaktorze,

Zwracam się do Pana z przeprosinami za zwłokę w publikacji bibliografii, którą był Pan tak uprzejmy poprzeć w zeszłym roku podpisując na nią subskrypcję. Nieprzewidziane okoliczności zmusiły nas niestety do przesunięcia terminu niezbędnej weryfikacji ok. 15.000 haseł, które zawierać będzie *Bibliotheca Poloniae Judaica: The Materials for a Bibliography of Polish-Jewish Coexistence, 1772-1939*; zważywszy że mój mandat wygasł wiosną 1981 roku, mogę jedynie kompletować projekt. Piszę to aby Pana zapewnić, że choć powoli, praca nad bibliografią posuwa się i tekst będzie gotowy do druku przed 1 listopada 1982.

Z subskrypcji uzyskaliśmy jedynie sumę 2.000 dolarów, co nie wystarcza na wydanie książki tej objętości. Zamierzamy zatem wydać ją w formie powielonej, aby móc zapewnić ją wszystkim subskrybentom oraz głównym księgarniom i instytucjom zajmującym się poważnymi badaniami historii Żydów i stosunków polsko-żydowskich.

Z wyrazami szacunku,

George LERSKI

Bergen op Zoom, 14 grudnia 1981.

Szanowna Redakcjo,

Już drugi numer *Kultury* publikuje listę krajów i organizacji przychodzących z pomocą Polsce. Jak dotychczas nie opublikowano żadnych danych dotyczących Holandii, której mieszkańcy w ciągu ostatnich tygodni zebrali duże sumy pieniędzy na zakup żywności i medykamentów dla Polski.

W miesiące, w którym mieszkam, Bergen op Zoom, na apel jednego z mieszkańców, dość często podróżującego w sprawach handlowych do Polski, zebrano duże sumy na wysłanie około 2.000 paczek żywnościowych dla mieszkańców miasta Kostrzyń, położonego tuż nad granicą wschodnio-niemiecką. Zakupiono też pokaźne ilości oleju, kawy, mleka w proszku i pokarmu dla niemowląt. Zebrano około 250.000 guldenów — ilość pieniędzy i podarunków dostarczonych przez mieszkańców Bergen op Zoom i okolicznych miejscowości wielokrotnie przekroczyła oczekiwania organizatorów akcji. Przy zbiórce oraz organizowaniu pomocy brali udział prawie wyłącznie Holendrzy poświęcając przez co najmniej dwa tygodnie swój wolny czas. Pisząc te słowa był zatrudniony jako tłumacz przy tłumaczeniu przepisów przygotowania rozmaitych produktów żywnościowych. Paczki żywnościowe zostały przewiezione trzema ciężarówkami FIAT, wypożyczonymi przez ich właściciela. Podobne akcje są organizowane w innych miastach holenderskich. Wiadomo mi o pokaźnych transportach z Bredy Amsterdamu i okolic, Eindhoven i innych.

Łączę wyrazy szacunku,

Z. M. KARETTA

Buffalo, 8 listopada 1981.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z uwagą przeczytałam ciekawy artykuł Jana Józefa Lipskiego pt. „Dwie ojczyzny — dwa patriotyzmy” w październikowym numerze *Kultury*. Jan Józef Lipski jest człowiekiem wielkiej mądrości i wiedzy, i artykuł jego zawiera wiele ważnych i słusznych tez i spostrzeżeń; nie mogę jednak zgodzić się ze sformułowaniem autora, iż Żydzi i Polacy żydowskiego pochodzenia, którzy wyjechali z Polski na skutek antysemickiej nagonki 68-go roku uczynili to gdyż „nerwowo nie wytrzymali”.

Przyczyną wielkiego i ponurego egzodusu było coś więcej niż słabe nerwy. Wśród tysięcy ludzi, którzy opuścili wtedy Polskę, było na pewno wiele różnych motywów, które pchnęły ich do emigracji: wyjeżdżali ci, którzy utracili pracę z powodu (tylko i wyłącznie) pochodzenia i nie mieli możliwości wykonywania swych zawodów i zarabiania na utrzymanie; i ci, których oskarżono o najfantastyczniejsze przewinienia wobec reżymu, bez możliwości samoobrony przeciw tej nagonce; pakowali walizki studenci relegowani z uczelni, nie mogąc liczyć na powrót na studia, a także ludzie, którzy

nie widzieli możliwości normalnej egzystencji; opuszczali kraj ich rodziny, nie mogące pogodzić się z rozłąką z bliskimi; emigrowali ci, których lżono i obrażano, i inni, aby zaprotestować przeciw antysemickiej kampanii. Byli wśród wyjeżdżających ludzie pragnący spokojnego życia, i na pewno i tacy, którzy liczyli na lepsze, wygodniejsze i zasobniejsze bytowanie.

Dla wielu wyjazd na emigrację był ciężką, tragiczną decyzją. Powiedzieć, że zdecydowali się na opuszczenie kraju, rodzin, przyjaciół, języka, kultury, na zrezygnowanie z wizji przyszłości, na utratę czegoś, czego czuli się częścią, że skazali się na życie na obczyźnie wiedząc, iż może być ono gorzkie, dlatego że nerwowo nie wytrzymali — jest niesłuszne i krzywdzące.

Z wyrazami najgłębszego szacunku,

Bronisława KARST

7 listopada 1981.

Szanowny Panie Redaktorze,

Do mego artykułu, opublikowanego w październikowym numerze *Kultury*, zakradł się pewien błąd. Na stronie 91, w drugim od góry akapicie po zdaniu zakończonym „... o zaprzestaniu działalności bądź jej kontynuowaniu” winien znaleźć się jeszcze ustęp, który pozwolił sobie tutaj przytoczyć:

„Nadał jednak przeciwko wielu osobom z opozycji formalnie prowadzone jest postępowanie przygotowawcze, pomimo przekroczenia wszelkich terminów trwania takowego, określonych w k.p.k. Z 'przygotowań' tych zapewne nic nie wyniknie, co jest jeszcze jednym przykładem 'względności' prawa w PRL”.

Staram się w ten sposób zwrócić uwagę na ów charakterystyczny przykład niepraworządności, jakim jest prowadzenie śledztwa (być może tylko formalne) przeciwko wielu działaczom aktywnym w ubiegłych latach w KSS „KOR”, w WZZ czy innych niezależnych ugrupowaniach. O ile mi wiadomo, żadne z tych dochodzeń nie zostało do dziś umorzone. Nie jest też dziełem przypadku, że podobne metody policyjno-prokuratorskich represji stosuje się obecnie przeciw związkowcom z „Solidarności”, zwłaszcza tym, którzy zajmują się działalnością wydawniczą i informacyjną.

Łączę wyrazy szacunku,

Tomasz MIANOWICZ

Baltimore, 22 listopada 1981.

Szanowny Panie Redaktorze,

Na marginesie doskonałego i kontrowersyjnego artykułu pana Jana Józefa Lipskiego „Dwie ojczyzny — dwa patriotyzmy” pozwolę sobie zauważyć pewną nieścisłość semantyczną.

Nieścisłość ta, według mnie, dotyczy przeciwstawienia „dóbr duchowych i wartości” pojęciu „przynależność etniczną”. Pan Lipski pisze:

„W skrajnych wypadkach — należymy właściwie do różnych ojczyzn — jeśli ojczyzna to przede wszystkim dobra duchowe i wartości, a nie tylko fakt takiej a nie innej przynależności etnicznej”.

Piszę z punktu widzenia amerykańskich grup etnicznych, które odróżniają się od siebie właśnie hierarchią wartości i dóbr duchowych odziedziczonych historycznie (z kraju pochodzenia), a nie tylko regionalizmem.

Etniczność, w moim rozumieniu (i według definicji społecznych nauk amerykańskich) to układ tych wszystkich czynników społeczno-kulturowych i duchowych, które tworzą integralną osobowość człowieka.

Sformułowanie pana Lipskiego sugeruje niepełną definicję etniczności, taką, która nie przyznaje grupom etnicznym udziału w dobrach duchowych i wartościach kulturowych ojczyzny ich pochodzenia. Odrzuca ekologię, to jest współzależność otoczenia i organizmu człowieka (włączając w to jego psychikę). Przykład Wita Stwosza, „etnicznie” Niemca, ale przebywającego i tworzącego w Polsce, wydaje mi się dobrą ilustracją. Wit Stwosz wchłonął niewątpliwie wiele polskich wartości, które razem ze swoimi wartościami niemieckimi przetworzył w swoich dziełach. Nazywanie Wita Stwosza „etnicznie” Niemcem jest rozumowaniem „biało-czarnym” odrzucającym koncept współzależności i układ warunków, które w wypadku Wita Stwosza (a również i Szopena i innych artystów i myślicieli) wydały ludzi, którzy legitymować by się mogli nie „etnicznością”, a „trzecią wartością” wynikłą ze zbieżności dwóch (albo i trzech) kultur.

Wydaje mi się, że semantyka terminu „etniczność”, która uległa dogłębnym zmianom w ostatnim dwudziestolecium na skutek rozkwitu teorii układów i ekologii i który to termin jest włączony w legitymację tożsamości amerykańskich grup etnicznych, zasługuje na przeanalizowanie zarówno w Polsce, jak i poza Polską.

Łączę wyrazy szacunku,

Danuta MOSTWIN

Stockholm, 16 listopada 1981.

Szanowny Panie Redaktorze,

W „Kronice szwedzkiej” z nr-u 11/410 *Kultury* znalazła się wzmianka o „lansowanej przez paru miejscowych rodaków” propozycji utworzenia obozu dla uchodźców polskich w Szwecji. Informację tę warto uzupełnić: z żądaniem zajęcia się bezradnymi przybyszami z Polski i udzielenia im dachu nad głową zwróciła się do Ministerstwa Zatrudnienia i Imigracji delegacja Rady Uchodźstwa Polskiego w Szwecji w dniu 28 lipca 1981. Wśród przyjętych przez dyrektora departamentu obecny był również przedstawiciel emigracyjnego rządu londyńskiego p. Wiesław Patek. Proponowany ew. „obóz przejściowy” służyć miałby nie osobom ubiegającym się o azyl w Szwecji, lecz ludziom emigrującym do innych krajów Zachodu, gdyż ci ostatni nie otrzymują żadnej pomocy socjalnej od władz szwedzkich; nie stać ich też na kontynuowanie wędrowki do obozów w Austrii lub w RFN (do Niemiec nielegalnie, gdyż ambasada RFN w Stockholmie nie wydaje wiz Polakom). Po wizycie przedstawicieli Rady Uchodźstwa Polskiego w szwedzkim ministerstwie odbyła się konferencja, na której przedstawiono na konkretnych przykładach tragiczną często sytuację Polaków oczekujących w Szwecji na niespieszne decyzje ambasad USA, Kanady, RPA, Australii itd. W wielu przypadkach są to rzeczywiście uchodźcy polityczni (pamiętajmy, że np. KPN jest organizacją w Polsce autentycznie prześladowaną, są zaś ludzie, którzy na wieść o jej powstaniu nie chcieli „siedzieć” bezczynnie w aresztach). Po wydostaniu się z Polski wskutek zagrożenia — nie zawsze z legalnym paszportem — nie mają szans na uzyskanie azylu w Szwecji, gdyż tu wyrobiono im zawczasu opinię... terrorystów, czyniących „największą grande” w dziejach opozycji polskiej (słowa wyjęte z autentycznej ekspertyzy podsunętej władzom imigracyjnym o uchodźcach związanych z KPN-em). Oczywiście dla większości uchodźców polskich przeważające są obecnie motywy ekonomiczne. Rada Uchodźstwa Polskiego nadała

tej sprawie duży rozgłos w prasie i obecnie nie deportuje się już osób schwytych w Szwecji, jeśli wykażą, że złożyły podanie o emigrację do któregoś z krajów zachodnich. Przy okazji wspomnieć należy, że Rada Uchodźstwa Polskiego (RUP) jest najstarszą organizacją uchodźczą w Szwecji.

Z wyrazami szacunku,

Władysław NOWIK

New Haven, Conn., grudzień 1981.

Szanowny Panie Redaktorze,

W listopadowym numerze *Kultury* ukazała się niepodpisana, niezwykle bałamutna notatka, odbijająca swym poziomem od reszty numeru, pt. „Polski Instytut Kultury Chrześcijańskiej w Rzymie”. Ponieważ dotyczy ona spotkania grupy naukowców i intelektualistów z udziałem niżej podpisanego i zawiera uwagi na mój temat, pozwalam sobie udzielić pewnych wyjaśnień.

Autor notatki stwierdza, iż Instytut jest „integralną częścią Domu Polskiego” co nie jest zgodne z prawdą. Rzecz na pozór drobna, ale w dalszym ciągu notatki autor miesza stale obie instytucje co pozwala mu na wyciąganie dość swoistych wniosków. Pisze następnie, że prof. Feliks Gross i niżej podpisany „reprezentowali” emigrację i krytykuje ich „wybór” jako „delikatnie mówiąc, nieporozumienie”, gdyż obaj są „kompletnie oderwani od życia polonijnego i nie orientują się w potrzebach kulturalnych, abstrahując od tego, że nie mają nic wspólnego z akcją zbiórki na Dom Polski”. Co słowo to niewypał, albo kula w plot. Ani prof. Gross ani ja nikogo nie „reprezentowaliśmy”, uczestnicząc jedynie jako naukowcy zaproszeni celem omówienia naukowego profilu i naukowych zadań Instytutu. Autor nie zdaje sobie chyba sprawy z komizmu zwrotu „oderwani kompletnie od życia polonijnego”, a oczywiście może tu być tylko mowa o życiu naukowo-kulturalnym. Zebranie nie miało dosłownie nic wspólnego ani z Domem Polskim ani z akcją zbiórki. Jak sam autor wspomina, profesor Gross jest dyrektorem Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku, a więc instytucji odgrywającej bardzo poważną rolę w życiu naukowo-kulturalnym Polonii amerykańskiej. Niżej podpisany jest członkiem stałej rady Instytutu Józefa Piłsudskiego, członkiem redakcji *Niepodległości* oraz członkiem komitetu redakcyjnego serii wydawanej w Paryżu pt. „Historia i Teraźniejszość”.

Duża część notatki poświęcona jest osobom, które zdaniem autora powinny być zaproszone na spotkanie; czy anonimowy autor figuruje wśród nich pozostanie jego słodką tajemnicą.

Autor notatki stwierdza wreszcie, iż spotkanie uczestników narady z Ojcem Świętym w Castel Gandolfo, „według interpelowanych przez nas osób” — czyżby informacja agencji J.P.P.? (jedna pani powiedziała...) — „nie nie dało”. Jako biorący udział w tym spotkaniu jestem wręcz odwrotnego zdania, jak zresztą i pozostali uczestnicy. Jeśli chodzi o resztę przydługich spekulacji i domysłów autora notatki na temat wyników narad rzymskich mogę je jedynie określić, delikatnie mówiąc, jako nieporozumienie...

Wyrazy prawdziwego poważania łączę,

Piotr WANDYCYZ

Boston, USA, 17 listopada 1981.

Szanowny Panie Redaktorze!

„Oficyna Poetów i Malarzy” p. Hewetson w numerze wrześniowym nie przypomina ani recenzji ani krytyki. Jest to jakieś niefrasobliwe cedzenie treści siem własnych upodobań i grymasów. To tak jakby, ni stąd ni zowąd,

zmarłychwstał wiecznie napuszony Gombrowicz i wzywał Paporisza i Cybulską do natychmiastowej zmiany stylu i naśladowania siebie.

Najuczciwsze i najprawdziwsze byłoby chyba *post scriptum* o Messingu Mierzejewskim. Wszystko inne — przesadne, nudne, chropowate! Bo co ma wspólnego ortografia „Dokąd” z narratorskim talentem autora? Albo jakie jest kryterium „dobrej albo złej” poezji z „Prób lirycznych”? Byłbym p. Hewetson zobowiązany za konkretną definicję w tym przedmiocie. *Verba volant — scripta manent!*

Wyrazy szacunku łączę,

Stefan K. ZIEMBIŃSKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

R. K., *Warszawa*. — Dziękujemy za list i miłe słowa o naszym przedstawicielu, który rzeczywiście pracuje bardzo ofiarnie. Artykułu nie zamieszcimy, mimo że z małymi zastrzeżeniami zgadzamy się z Pana tezami, ale te sprawy były już w *Kulturze* wielokrotnie poruszane.

Z. J. J., *Myrna Park, USA*. — Listu nie zamieszcimy. Niestety nie możemy przesłać go p. J. J. Lipskiemu, który został aresztowany jako jeden z pierwszych.

Władysław Pokrzywa, *1095 Francis, Longueuil P.Q., Kanada*. — Listu nie zamieszcimy, swoje wypowiedzi powinien był Pan skierować do Polskiego Radia w Warszawie, gdyż zbieżność poglądów z juntą gen. Jaruzelskiego jest zadziwiająca. Wydrukowanie dzisiaj Pana listu byłoby obelgą dla ludzi zaaresztowanych i mordowanych w Kraju.

DZIWNE POSTĘPOWANIE

P. Edward Piszek zamieścił w *Życiu Warszawy* (nr 271 z 20. XI. 1981) „List Otwarty do wydawcy *Kultury* paryskiej”, w którym stwierdził, że wywiad jaki przeprowadził z nim Zdzisław Bau i który został wydrukowany we wrześniowej *Kulturze* (nr 9/408, 1981) zawiera szereg nieścisłości i nie był autoryzowany.

Nie dociekając dlaczego p. Piszek swój list ogłosił w Warszawie zamiast przysłać go do Redakcji *Kultury*, stwierdzamy, że wywiad był nagrany na taśmę, przesłuchany przez p. Piszka i autoryzowany. Taśmę z wywiadu p. Zdzisław Bau zdeponował w nowojorskim Polskim Instytucie Naukowym, gdzie p. Piszek może ją ponownie przesłuchać i odświeżyć swoją pamięć.

REDAKCJA

W związku z nawałem materiału i brakiem miejsca musieliśmy w ostatniej chwili usunąć 2 ostatnie strony listów do Redakcji. — Zamieszcimy je w numerze marcowym. Bardzo przepraszamy naszych Korespondentów.

REDAKCJA

Franciszek Strociak, Park Ridge, Ill. (USA), po raz 22-gi	F. 216,00
— \$ 38,00	F. 100,00
Strutyńska Irena, Knutange-Nilvange (France), po raz 5-ty ..	F. 131,00
Dr Adam Sułkowski, Sudbury, Ma. (USA) — \$ 23,00	
Kali i Henryk Weynerowscy, San Francisco, Ca. (USA) — zamiast kwiatów dla naszego „Little Jesus of Bahamas”	F. 285,00
— śp. dr. Adka Richtera — \$ 50,00	F. 57,00
W. Wilczyński, Brooklyn, N.Y. (USA), po raz 2-gi — \$ 10,00	F. 85,00
Janusz S. Wiland, Toronto, Ont. (Kanada), po raz 18-ty ..	
Wacław Winnicki, Cincinnati, Ohio. (USA), po raz 4-ty — \$ 50,00	F. 285,00
Dr Stefan Wowczak, Brelingen (RFN), po raz 3-ci	F. 261,00
Łucja Zalewska, Chicago, Ill. (USA), po raz 17-ty — \$ 148,00	F. 843,00
Anonimowo z USA, po raz 5-ty	F. 260,00
Bezimiennie z Chiasso (Szwajcaria), po raz 8-my — F.S. 40,00	F. 120,00
Bezimiennie z Chicago (Szwajcaria), po raz 8-my — F.S. 40,00	F. 120,00
Bezimiennie z Mediolanu, po raz 19-ty	F. 60,00
Bezimiennie z Nowego Jorku, po raz 7-my — \$ 27,00	F. 153,00
Bezimiennie z Nowej Zelandii — \$ A. 12,00	F. 77,00
Bezimiennie z USA, po raz 15-ty	F.2.116,50

DZIĘKUJEMY!

WPŁATY NA NSZZ „SOLIDARNOŚĆ”

Bezimiennie z Grenoble	F. 200,00
Bezimiennie ze Stamford, Cal. (USA), po raz 2-gi — \$ 100,00	F. 570,00
Adam Hervé, Paryż	F. 100,00
Ida Osterlund, Szwecja — K.S. 130,00	F. 130,00
Prof. Aleksander Schenker, Hamden, Conn. (USA) — \$ 50,00	F. 285,00
Jan i Czesława Seremak, Santa Monica, Ca. (USA) — \$ 200,00	F.1.140,00
Władysław J. Stankiewicz, Vancouver, B.C. (Kanada) — \$ c. 100,00	F. 469,19
H. Sz., Paryż	F. 100,00
Barbara i Jan Żuchowscy, Spanga (Szwecja) — K.S. 100,00	F. 100,00

WPŁATY NA KRAJOWY FUNDUSZ WYDAWNICZY

Aleksander Bąk, Calgary, Alta. (Kanada) — \$ c. 100,00	F. 470,00
Bezimiennie z Brisbane (Australia)	F. 749,20
F. H., (USA) — \$ 10,00	F. 57,00
Jan i Czesława Seremak, Santa Monica, Ca. (USA) — \$ 50,00	F. 285,00
Dr Zygmunta Stankiewicz, Stockholm	F. 100,00
Krystyna Rudiak, North Port, Fla. (USA) — z przeznaczeniem na pomoc dla więźniów politycznych — \$ 20,00	F. 114,00

WPŁATY NA POMOC DLA WALCZĄCYCH W KRAJU

A. Herman, Adamstown (Australia) — \$ A. 5,00	F. 32,00
Prof. Jeanne Hersch, Genewa	F.1.000,00
M. & Mme Reiner Biemel	F. 800,00
Dr Danuta M. Podkomorska, Winnipeg, Man. (Kanada) — wpłaty na styczeń i luty 1982 — \$ US 200,00 (gotówka)	F.1.140,00

WPŁATY NA KSS „KOR”

Bezimiennie z Holandii F. 436,98
 Bezimiennie z Hamilton, Ont. (Kanada) — \$ c. 50,00 F. 230,00

WPŁATY NA NOW-ą

Bezimiennie z Paryża — dla uczczenia pamięci Romana Jury-
 sia, w 3-cią rocznicę Jego śmierci F. 100,00
 Franciszek Łętowski, Paryż F. 500,00

Tadeusz Brzostek, Paryż — na obronę sądową przywódców KPN F. 200,00

Bezimiennie z Toronto (Kanada) — F. 520,00 z czego na:
 Fundusz „Kultury” F. 120,00
 NSZZ „Solidarność” F. 100,00
 T.K.N. F. 100,00
 Fundusz Pomocy Więźniom Politycznym w Polsce F. 100,00

Na apel „Konfederacji 76” w USA wpłacili: R. Winowski —
 \$ 50,00; T. Dziekanowski i W. Ewans — po \$ 30,00;
 K. Konopka, B. Brodziński — po \$ 20,00; B. Pilecki —
 \$ 10,00 — ogółem na Studencki Ruch Oporu (Niezależny
 Związek Studentów) w Polsce — \$ 160,00 F. 912,00

Stefan Ginilewicz, Brownville, Tx. (USA), na:
 Fundusz „Kultury” po raz 7-my — \$ 28,00 F. 160,00
 NSZZ „Solidarność” — \$ 30,00 F. 171,00
 Lekarstwa dla Polski — \$ 30,00 F. 171,00

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
 Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
 Commission Paritaire N° 60789.
 Dépôt légal: 1^{er} trim. 1982.

Imprimé en France

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
ARGENTYNA: « Liberia Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
AUSTRALIA: Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, Tel. 212-2013	\$A. 4,50	\$A. 26,00	\$A 48,00
AUSTRIA: Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
BELGIA: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23	F.B. 225,00	F.B. 1200,00	F.B. 2350,00
BRAZYLIA: prosimy o przesyłanie czeków do administracji « Kultury »	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
DANIA: O. T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd ..	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji « Kultury » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
HOLANDIA: Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, Tel. (01 184) 14073, Postgiro 1379176	Fl h 12,00	Fl h 60,00	Fl h 110,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.O. J4W 1S5. Tel. (514) 465-2362; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2, Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszczański, 90 Hiliard Avenue, Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen St. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiakowiec », 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 6,00 DM 12,00	\$ Can. 35,00 DM 60,00	\$ Can. 60,00 DM 110,00
NIEMCY: St Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
NORWEGIA: Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 10,00	F.S. 60,00	F.S. 100,00
SZWECJA: Norbert Zaba, Kalskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 25,00	K.S. 135,00	K.S. 260,00
U.S.A.: S. Dobczynski, Alma Shipping Co., 121 St. Marks Pl., New York, N.Y. 10009, Tel. 475-8886, Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; T. Konopacki, 27437 Detroit Rd., Cleveland., Ohio, 44145, Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254 - 34-th St., San Diego, Cal. 92104, Tel. 284-6271; Krystyna Leser, 1725 - 17-th St., N.W., Washington D.C. 20009; M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich. 48234; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, Il. 60618, Tel. (312) 489-2554; Jan Wojcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233 El Camino Real, Palo Alto, Cal., 94306, Tel. (415) 327-5590 & 851-0748.	\$ US 5,00	\$ US 28,00	\$ US 52,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W.5. ORD. Tel. (01) 370 2210	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00
WŁOCHY: Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	F. 25,00	F. 135,00	F. 260,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.260; półroczna — F.135.
 Przesyłka pojedynczego numeru — F.3,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
 INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
 par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
 lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 345 — MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

BIBLIOGRAFIA

KULTURA (1974-1980).
ZESZYTY HISTORYCZNE (1974-1980).
DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1974-1980).

Str. 310.

Cena F. 85,00.

(Poprzednio ukazały się: Jan Kowalik — KULTURA 1947-1957).
Maria Danilewicz Zielińska: BIBLIOGRAFIA (KULTURA 1958-1973; ZESZYTY HISTORYCZNE 1962-1973; DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA 1959-1973).



TOM 346 — CZESŁAW MIŁOSZ
„DZIEŁA ZBIOROWE” TOM XI

POEZJE

Tom III

Str. 112.

Cena 30,00.



KULTURA

TRZECI ZESZYT SPECJALNY W JĘZYKU
ROSYJSKIM

Zawiera m.in.: *Niepodległość Polski a Rosja*; *Przemówienie Czesława Miłosza w Akademii Szwedzkiej z okazji otrzymania Nagrody Nobla*; *Czesław Miłosz: Wiersze* (w przekładzie Josifa Brodskiego; Gustaw Herling-Grudziński: *Wizyta w Pradze*; Marek Hłasko: *Cmentarze z przedmową G. Herling-Grudzińskiego*; Wiktor Sukiennicki: *Polsko-rosyjska antynomia*; Maria Danilewicz Zielińska: *Polskie zabytki wywiezione do ZSSR*.

Str. 240.

Cena F. 35,00.